



Iwona J. Walczak

Nagie
myśli

Replika

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jestem zaledwie małym akapitem w opowieści o byle jakim życiu, właściwie nikim szczególnym. Jednak postawiłam przed sobą wyjątkowe zadanie – jadę odzyskać swój dom. Wracam, bo muszę w końcu wyjść poza granice świata opowiedzianego samej sobie, pełnego kłamstw, namiastek, ale też iluzji i ucieczek, wypełnionego miejscami, gdzie ukrywałam się przed wszystkim, co budziło mój strach. Przed samą sobą też. Czeka mnie bitwa o tożsamość, bo straciłam Juliana, bo nie mogę wiecznie uciekać. Bo... dla siebie warto podjąć wyzwanie.

W tym cholernym mieście nie pozostał mi już nikt bliski, tylko Oni.

Tych dwoje!

Czy coś osiągnę? Nie wiem, ale spróbuję, odwrócę kolejną kartkę. Już się tak bardzo nie boję.

Śliska droga do domu

Pozornie nic się nie zmieniło w drodze na moje osiedle. Poza porą roku – Poznań zasypany był śniegiem. Tramwaj enerdowskiego pochodzenia wypluł mnie przez wąskie drzwi na placu Cyryła Ratajskiego.

– Dalej nie da rady – warknął motorniczy. – Awaria prądu, przy takiej pogodzie wszystko może się zdarzyć!

Zmierzałam na przystanek autobusowy bez nadmiernego ociągania się i marudzenia. Staralam się energicznie brnąć przez zaspę. Nie użalałam się nad sobą. Już nie.

Na Fredry zerknęłam w kierunku wieży kościelnej – było piętnaście po jedenastej. Późno. I dziwnie obco. Miałam wrażenie, że w tej dzielnicy byłam zaledwie wczoraj, choć to przecież niemożliwe, bo od mojej ucieczki z domu minęło trochę czasu. Kilka miesięcy szczęścia to bardzo dużo, prawda? Niesamowicie dużo! Miałam fart.

Jeszcze parę dni temu wielkim łukiem ominęłabym centrum tego parszywego miasta – bo Poznań to złe miasto. Opluło mnie. Tak, nie mogłam myśleć inaczej. W ogóle, a może na razie, jeszcze nie wiem. Nie mogłam, choć paradoksalnie czułam, że depczę miejsca święte, że profanuję, bo jeśli odwiedzałam je z Julianem, to chyba muszą być namaszczone, prawda?

On i ona. Cudnie brzmi. My.

Przyzwyczajalam się do niebytu, wiedziałam, że muszę się przełamać, pogodzić z faktami, powrócić do dawnych miejsc. Naszych, tych, gdzie wspólnie jadaliliśmy lunch, chodziliśmy na spektakle, koncerty. Spacerowaliśmy. Bywaliśmy.

On i ja. Ja i On.

Tęskniłam. Gorzej, moje wnętrzości płakały z bólu. Wyły. Nasza ławka była pusta. Zatopiona w śnieżnym puchu, wyglądała, jakby na coś (a może na kogoś?) czekała; zdawało się, że wystarczy tylko strzepnąć śnieg. Mróz nie byłby ważny.

Kilku przechodniów skracało sobie drogę, między drzewami z szadzią na gałęziach przemierzając aleje skweru za Centrum Kultury „Zamek”. Wyczułam pośpiech, niczym nieuzasadnioną nerwowość. Żeby zdążyć, zakończyć, wywiązać się z obowiązków. A może w petardy zaopatrzyć i szampana dokupić? Czy tylko wino musujące? Jednak nie każdy czynił tego rodzaju przygotowania. Ja byłam zrozpaczona i nie miałam potrzeby, by kontemplować świąteczną atmosferę. Zupełnie nie. Nie miałam ochoty na nic.

Był ostatni dzień 2009 roku.

Wsiadłam do autobusu i nagle wszystko wróciło. Widmo własnego wrogiego domu, a przede wszystkim obawa przed powrotem *tam*. Właściwie po co? Dlaczego? Czy...? Właśnie „czy” było tu najbardziej wątpliwe. Snułam się po zakamarkach swojej poranionej duszy.

I ten zniechęcony autobus. Drzwi zamykają. Się. Jak zawsze, z akcentem na „się”. To usłyszałam najpierw. Autobus ruszył. Potem, przy wejściu, natknęłam się oczywiście na wózek inwalidzki. Jak zawsze wypchany zniczami, siatkami z jedzeniem i foliowymi torbami, potwornie tarasował przejście. Po autobusie snuł się zapach wędzonki. Uznałam, że to niedobry znak, skoro nawet w sylwestra, gdy w końcu zdecydowałam się wrócić, czyli w tak niecodziennych i stresujących dla mnie okolicznościach, znowu się na nie natykam. Na przednich siedzeniach panoszyły się dwa wredne babiszony z wiecznie skwaszonymi minami! Wiozły konflikt rodzinny i niespożyte chęci na dalsze burdy. Ujemne emocje dawało się wyczuć z daleka, pewnie za całokształt. Skąd ja to znam?! Pośpiesznie, chyłkiem, unikając kontaktu wzrokowego, przemknęłam obok i kuląc się ze strachu, dotarłam na tył autobusu. Z ulgą klapnęłam na siedzenie.

Patrzyłam, jak stara sieje wrogi jad spod bezkształtnych, szczeciniastych brwi. Miała minę niczym doberman mojej koleżanki, gdy ktoś chciał mu zabrać kość. Co rusz odwracała głowę oszpeconą wielką szarą czapą przypominającą pończochę. Wypłowiwałymi z okrucieństwa oczyma przypatrywała się beczelnie pasażerom autobusu. To temu, to tamtemu. Oceniała, komu dzisiaj wleźć na ego, z kim wszcząć awanturę. Po mnie też badawczo przeslizgnęła się rozmytymi źrenicami. Skwasiła się jeszcze bardziej, szturchnęła w bok córkę. Poświęcenie tej młodszej było bezdyskusyjne, o ironio! – jakże podobne do mojego. Porządek naszego, wspólnego skądinąd, świata jest taki, że córka pomaga matce, matka jest naburmuszona i z córki zawsze niezadowolona. Właśnie tak, nigdy na odwrót.

Ja też się rozglądałam, ale inaczej. Szukałam różnic, a może podobieństw do mojego „kiedys”. Dostrzegłam kilka osób znanych z widzenia, na szczęście dla mnie neutralnych. Znajomych „na słówko” nie było. Ani tych na „co słyhać”. To dobrze, bo nie chciało mi się z nikim nawiązywać kontaktu. Nie mogłabym nawet. Z wielką ulgą przyjął fakt, że w autobusie na pewno nie ma Kapelusznika z Dużym Łbem i Wielkim Dupskiem. Uff!

Autobus dojeżdżał na mój przystanek, mijaliśmy właśnie Osiedle Kopernika. Wszystko zasypała śnieg, trzeba było bardzo uważać na chodnikach. I na jezdni. Zdrapywałam szron z okna, gdy nagle... Coś takiego! Przez niewielki skrawek szyby dojrzałam Kilkakrotną Wdowę. Wchodziła właśnie do kościoła – w białych kozaczkach za kolana i pod rękę z kandydatem do obdarowania ją kolejnym wdowieństwem. Jak ona to robi? Niesłychane! Tym razem poczułam z nią dziwną więź.

Babiszony sposobily się do wyjścia, młodsza sadowiła starą na wózku, torby z zakupami wieszała na ramieniu i na rączce wózka, rozpychała się. A ja się przyglądałam. Co tam! Mogę patrzeć, jeśli chcę, nikt mi już tego nie zabroni! Stara miała wypłowiawe, ale tym razem załamane oczy, młodsza – jak zawsze – wrogie, świdrujące.

– Najlepiej na starych śmieciach swoje śmierdzące giry wachać. Dobrze, że mnie do siebie zabierasz, Marianowa by mnie wykończyła! – zabalgotała stara do młodszej, ignorując moje spojrzenie.

– No widzi mamusia. Teraz mamusia doceniła! – zachrypiała młodsza. Zsunęła starej czapę z czoła i przywarła do pomarszczonej suchej skóry matki spierzchniętymi ustami. Niezgrabnie to wyglądało, niezwykajnie. Tak, jakby robiła to pierwszy raz. Odwróciłam się, bo ta czułość otwierała moją bolesną ranę. Usłyszałam głośne kląsknięcie.

Pomyślałam, że i ja chciałabym budować ze swoją matką chociaż taką więź! Powiedziałam: „matką”? No właśnie...

Była dwunasta. Zabiły kościelne dzwony, ich melodia zabrzmiała jak wdowi rehot. Albo starczy. Może był to jakiś symbol, przepowiednia na przyszłość?

W ten sposób wracałam do niego, do niej, a nawet do odpadających klepek na posadzce i grzyba w łazience. Nieważna była także wystająca, złamana sprężyna w kanapie. Wracałam, żeby odzyskać swój dom. Wracałam, żeby od nowa budować swoje życie. Żeby być blisko niej, to jest blisko Babci, czyli Krysty *vel* mojej matki. Nadal gubię się w określeniach. Zupełnie nie wiem, które wybrać. Nieważne zresztą. Istotne jest, że powinnam być blisko.

Dużo bliżej niż kiedyś.

Mosięzna kołatka

W torbie wiozłam pudełko z mosięzną kołatką. Cacko udało mi się wylicytować na aukcji internetowej dzień po tym, gdy przyszła ta okrutna wiadomość. I druga, równie dramatyczna. Nieszczęścia zawsze chadzą parami! Zawsze.

Cieszyłam się z nabytku. To był śliczny, bardzo stary bzdecik. Przymocuję go na drzwiach wejściowych do domu. Nie na tych, co są teraz – kupię nowe, zlecę wstawienie, bo na tych obdartych przez psa żadna kołatka nie miałaby odpowiedniej prezencji.

Tak. Drzwi to pierwsza rzecz, o której powinnam pomyśleć. One na pewno nie będą brązowe ani beżowe. Na pewno! Kolor błękitny byłby intrygujący, ewentualnie różowy. Generalnie lubię wszystko, co jest pastelowe. (Bo teraz najważniejsze jest to, czego ja chcę, a nie, co inni preferują). Liliowy może być, taki jasny, dlaczego nie? Że co? Że te barwy nie są dobre do wykończenia domu w Wielkopolsce? Niech sobie gadają, a ja będę czynić, co uważam za słuszne. Realizować swoje cele. (W końcu pokocham swój dom!) Drzwi liliowe będą. Na pewno.

Zaraz obok dam fioletowego klematisa, żeby wszystko pasowało do siebie. Urośnie szybko, odpłaci się mięsistymi kwiatami, szczerze obsypie kolorem wejście. A w ogóle – każdy krzak, który posadzę w ogrodzie, będzie miał swoje imię.

Wyobraziłam sobie, że do naszego domu będą dobijać się goście. Czy kiedy będą kołatać, dźwięk na pewno do mnie dotrze? Jaki będzie? Donośny i dźwięczny czy delikatny, cichutki? Chcę, żeby był cichy! JA tego chcę. Ale ona na pewno będzie życzyła sobie donośny. Znowu będzie niezadowolona!

Ona, Babcia Krysta *vel* Krysta, czyli moja matka.

Poza tym dźwigałam wielkiego żółtego melona. Dla siebie. Prezent tak jakby. Od Juliana. Bo dopiero on nauczył mnie delectować się egzotyką, cały świat mi dał na talerzu. Na zawsze. A ja go w sobie noszę. Dźwigam uroczyście.

Na wskazującym palcu zatknęłam uchwyt kartonika z marcepanami. Niewiele ich było, jeden w kształcie choinki, drugi – czekoladowa imitacja kasztana. I mały słoik dżemu z suszonych fig też wiozłam. Dla Krysty.

Zawsze lubiła słodycze. Łasuch taki. Kupowała wielką, półkilogramową czekoladę, którą natychmiast zjadała łapczywie, po kryjomu i wielkimi gryzami. Żeby nikt nie widział, żeby się tylko nie podzielić! Kilka razy ją przyłapałam. Udawała, że nic takiego się nie dzieje, że siedzi tylko i odpoczywa, a policzki miała wypchnięte do przodu jak wielkie, napełnione powietrzem balony. Oczu w ogóle nie było widać. I krzyczeć na mnie nie mogła, a gdy miała puste usta, to owszem, nieraz się zdarzało. Wchodziłam w tę grę. Że nie zauważyłam. Że jestem niespostrzegawcza! Że to wszystko to nic takiego. Potem wychodziłam z pokoju i przez szparę w drzwiach podglądałam, jak dwa balony ruszają się i ruszają, czasem bardzo długo, aż w końcu opadają. Więdy, gdy wreszcie przeżuły czekoladowe mazidło.

W ogóle się z moją rodzinną traumą nie godziłam. To brzemię, którego bardzo chciałam się pozbyć. Ale nie mogłam, a czas biegł. I biegł... I tak sobie żyłabym jakoś...

Jednak stało się inaczej. Zmieniłam się. Dojrzałam.

Dopóki sił, będę biegł...

Powoli docierałam do domu. Mijałam właśnie podły blaszak, a w nim zamknięty sklep spożywczy. To tam poznałam Malutkiego Sklepikarza, tam opowiedział mi swoją historię. Obok zaś, zamiast wypożyczalni filmów z moim ulubionym Znaczą Arcydziel za kontuarem, zastałam kolejny bar z szybkim żarciem. Zamiast szewca zapraszała pralnia. Ciekawe, jak długo. Na skraju mojej ulicy, za płotem sąsiadów, przywitały mnie dwa psie olbrzymy. Warowały przy siatce jak zwykle, nie było wyjątków – zima czy lato, wiosna czy jesień. Zawsze tam czyhały. Otworzyły wielkie paszcze i zabulgotały. Od razu poczułam smród. Fuj! Jestem na fetor uczulona, szkoda gadać. Wstrzymując oddech, przemknęłam obok jazgoczących potworów. Zresztą byłam niedaleko. Już widziałam dwa olbrzymie łyse modrzewie i wielkie sosny, całe w śniegu. Sosny należałoby w połowie lutego przyciąć, a modrzewie w ogóle usunąć. Pyłają i osypują się na chodnik. To tam, między tymi drzewami, wreszcie odnaleźć muszę swój dom.

Za naszym płotem senior Kędziora odgarniał śnieg ze ścieżki prowadzącej do ich ogrodu. On kochał pracę, bawił się obowiązkami. Niedobrze, gdy w pobliżu mieszka taki „społeczny przykład”. Kończył nucić swoją (i moją też) ulubioną balladę indiańską – „to nic... to nic... to nic... dopóki sił... jednak iść... przecież iść... będę iść... to nic... to nic... to nic... dopóki sił... będę szedł... będę biegł...”^[1]. Zastałam znajome klimaty, jednak nie mogłam powiedzieć, żeby mnie ucieszyły. Bezwiednie zaczęłam powtarzać za Kędziorą: „dopóki sił, to nic, to nic, to nic”.

Niepewnie otworzyłam furtkę, nie była zamknięta na klucz. Ciemnozielona farba obłaziła z niej płatami. Podobnie było na płocie. Rozglądałam się i skradałam jak złodziej. Bałam się wejść w tę obcą jednak dla mnie otchłań, w mury z odpadającym tynkiem, bez oznak życia. Złowieszczą ciszą wokół onieśmieliła mnie. Bezruch zaskoczył.

Kroczyłam chodnikiem przed domem, a raczej dróżką z wybojami, w której od dawna brakowało kilkunastu kostek betonowych, przez co było jeszcze bardziej nierówno. Poślizgnęłam się. Wreszcie dotarłam do obgryzionych drzwi wejściowych. Rudą bejcę wymył śnieg. Zamek był ten sam, wsadziłam klucz, przekręciłam. Puściły.

– Dobrze, że pani wreszcie wróciła. Co tu się działo?! – Senior Kędziora jednak mnie dostrzegł.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się blado.

– Mówiła mi żona, że widziała, jak do pana Bogusia prawie codziennie zaglądała Kilkakrotna Wdowa. I taką niziutką waszą wspólną znajomą też ponoć ktoś przywoził. Potem pan Boguś ją odwoził do domu. I jeszcze kilka pań całkowicie nam nieznanymi ja sam też widziałem.. Nic dziwnego, że pani matka się rozchorowała. Ale ona już wcześniej musiała się źle czuć. Kiedyś zasłała w kościele, a raz żona widziała ją siedzącą na przystanku autobusowym. Była taka bladziśnią, nikogo nie poznawała...

– Tak...? – uśmiechnęłam się, po czym prędko weszłam do domu.

Za drzwiami wdepnęłam w psie posłanie. Apatyczny Szaki łypnął na mnie małymi oczkami i wcale nie wstał z wyliniłej skóry. Lekko zawarczał. Śmierdziało. Tak, znowu śmierdziało. Poza tym straszyl wielki wór z pampersami XXL i zimowe buty Bogusia z poprzedniego sezonu. Z Tesco za dwadzieścia złotych – ohyda. W lustrze na korytarzu szukałam swojego odbicia, a tam wymizerowana, elegancka kobieta o niepewnym spojrzeniu rozpaczliwie szukała tego samego u mnie.

Tak. Boguś... Przecież to jest nadal mój mąż, z którym spędziłam wiele wieczorów. Większość w milczeniu. Jednak mimo wszystko mąż. W zasadzie nieważne jaki. Nie mnie oceniać. Jeśli na takiego tylko kiedyś było mnie stać, to i ta ocena mogłaby być nic niewarta.

Weszłam w końcu do domu. Zatrzasnęłam drzwi. Na schodach prowadzących na półpiętro też cuchnęło psem, poza tym panował zaduch. Jak zawsze niewietrzona chata i gorące kaloryfery. „Świeże powietrze zabija. Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, ale od mrozu wielu”. Krysta zawsze powtarzała tę herezję. A poprzedniej zimy doszła nowa opowiadka o tym, jak nasz dalszy sąsiad (moczymorda, że hej) zeszywniał na amen w mróz na działkach. Wódka go nie rozgrzała, a od mrozu i świeżego powietrza zdechł! Takie wywody w naszym domu były na porządku dziennym. Buntowałam się. Bo to nie ja, naprawdę, to Krysta zawsze miała pogardliwy ogląd rzeczywistości. Źle się o trupach wyrażała. I o powietrzu świeżym. I o wielu innych rzeczach też. Ech, szkoda dalej wymieniać.

Z Julianem było inaczej... Wszystko było inne. On był inny, ja przy nim byłam lepsza. Kobięca. Zmysłowa. Dużo bardziej wartościowa, więc i szlachetności nabyłam.

Rozglądałam się dalej. No tak. To się porządzili! Nie mam nic przeciwko ludziom kreatywnym i z inicjatywą, nawet lubię się od takich uczyć, czerpać, ale... Na regale w przedpokoju nie było w ogóle moich rzeczy! Książek, słoni na szczęście, ptaszków zbieranych od dzieciństwa, Baby-Jagi, portretu Żyda, pamiątek.

Dostałam kiedyś od ulubionej cioci śliczny stary serwis kawowy, istne cudo. Miniaturowe filiżanki miały złoty rancik i maleńkie uszka. Kochane cacka! Lubiłam je polerować, choć wcale tego nie wymagały, zawsze były lśniące i czyste. Na krzepiące, mocne espresso nadawały się idealnie. (Uwielbiam się wzmocnić taką aromatyczną, małą kawką). I tak to sobie biegło. Nie używałam ich, oszczędzałam na specjalne okazje. W zasadzie bałam się, że potłukę mój skarb, że zniszczę, dlatego gościom zaparzałam kawę w porcelitowych kubkach. Albo w grubej porcelanie kupionej na wagę. Zresztą któż do nas przychodził? Nikt ważny! Teraz o porcelanowych cudach muszę mówić w czasie przeszłym... Do siostry pewnie pojechały.

– Zobacz, co zrobiłaś z moją mamusią! – krzyczała przedwczoraj do słuchawki Aga. Śliczne imię dali mojej siostrze. Aga dzień wcześniej wyrzuciła mnie ze znajomych na Naszej Klasie. I na Facebooku. Jej dzieci też. Szwagier na razie nie. Ona zawsze lubiła mnie ranić. Obwiniać o wszystko, choć prawie nigdy nie miała racji. A może miała? Sama nie wiem. Tym razem nie mogłabym się o nic sprzeczać. Mój cel był dużo poważniejszy, był misją. Przybywałam, żeby naszą Matkę wyciągnąć z paraliżu. Żeby jeszcze pożyła. Doceniła mnie!

Po policzku zaczęły mi płynąć łzy. To nie tak ma być, że będę miękka, to nie tak. Stwardniałam, wyschłam. Poukładałam prawa życia.

Prędko weszłam do łazienki, na dłonie nabrałam zimnej wody, spryskałam oczy, głośno wytarłam nos. Wstydziałam się łez, nie jest rozsądnie pokazywać światu swoją słabość. To już wiem. Puściłam mocniej strumień, ochlapałam całą twarz, nawet włosy. Oczy mnie piekły, przetarłam je parę razy. Zamrugałam. I nic. W końcu osuszyłam się zielonym ręcznikiem z azteckim wzorem (lubię zielony kolor, optymistyczny jest, zawsze wprawia mnie w lepszy nastrój). Jeszcze raz przytknęłam ręcznik do twarzy. Nie śmierdział. Czysty był.

Rozejrzałam się. I wówczas doznałam szoku. Ściany w łazience zostały wyrównane i pomalowane brzoskwiniową farbą! Idealnie równe były. Nie czułam zapachu wrogości, którą latami chłoneły. Nie zauważyłam też absolutnie żadnego pająka czy załączka pajęczej nici. Muszla klozetowa nowa. Czysta. I umywalka też. W wannie ktoś zamontował nowy syfon i sitko bielusieńkie. Wypucowana terakota odzyskała miodowy kolor. Odetchnęłam, nosem wciągnęłam powietrze, zapachniało jabłkiem. Piękna woń. Stałam jak posąg. Albo nie, jak klinkierowy filar, to brzmi lepiej, bo generalnie lubię klinkier. Zmiana była tak nieprawdopodobna, że musiała być prawdziwa.

Poszłam do kuchni. Rękoma oparłam się o stół, zamyśliłam, popadłam w zbawcze odrętwienie. Czekałam na karetkę. Już godzinę temu mieli Ją wypisać ze szpitala. Lekarz zatroszczył się o wszystko, miał nie ujawniać mojego udziału. Czas płynął. Tik-tak, tik-tak. Stałam, nasłuchując, aż zdrętwiały mi nadgarstki.

Na stole leżała wielka papierowa torba. Dopiero po chwili dostrzegłam w niej tę brązową sieczkę, czyli grykę z mojego tobołka pod głowę. Miała podobno powstrzymywać zwyrodnienia kręgow szyjnych. Tak pisali. Bujda! Obok leżała wyprasowana żółta powłoczka, a przy niej kartka.

„Nie wsypuj, Elżuniu, gdy wrócę, to Ci pomogę. Wszystkie bibeloty umyłem, są w piwnicy, wieczorem będziemy mogli je razem poustawiać. A my będziemy mogli rozpocząć nowy rozdział. Bogdan”.

Pandemonium

Było pół godziny później. Sanitariusze wepchnęli wózek do domu. Widać, że mieli wprawę, ale zasapali się straszliwie, bo prowizoryczne wejście utrudniało jakikolwiek manewr. Boguś wskazywał drogę, otwierał drzwi. Pies plątał się pod nogami. Piszczął i wskakiwał na wózek. Lizał jej pomarszczone ręce. Pamiętał.

Głowę miała opuszczoną, popielaty beret zsunięty na oczy. Sam się zsunął, czy ona to zrobiła, żeby mnie nie widzieć? Poprawiłam go z lękiem. Ale delikatnie. Łza powoli spływała po jej policzku. Musnęłam pomarszczoną rękę, była chłodna i obojętna. Nie czułam bliskości. Tylko ziąb. Westchnęła. Ja też, głośniej. O losie mój przewrotny! Losie niesprawiedliwy... Ech! Potem, przy pomocy sanitariuszy, położyliśmy ją na łóżku. Klapnęła ciężko. Beżowy sweter pozwijał się pod jej plecami. „Nic to, potem” – pomyślałam, szukając koszuli nocnej w szafie. Potem ją podniesiemy. Widziałam, że jest dużo chudsza, ale czułam jednocześnie, że pozostała nadal niesłuchanie ciężka.

– Musi czuć potrzebę współdziałania, wtedy szybciej wyjdzie z paraliżu. Udar nie uszkodził aparatu mowy, jednak ruchowo nie jest najlepiej – rzucili na odchodnym sanitariusze. Chcieli pewnie pokazać, że rozumieją wagę problemu. Podziękowałam. Wcisnęłam im w dłonie po dwadzieścia złotych. Od razu dotarło do mnie wszystko, strach przed spotkaniem zniknął, a niepewność co do wzajemnych relacji odpłynęła gdzieś w dal.

Wpadłam w rytm prozaicznych czynności. Zajmowałam się wszystkim jak w transie, nic nie czułam, tylko zmęczenie, ciężar, obowiązek. To mnie zaskoczyło. Przyniosło ulgę. Bezmyślność czasem mogła być ucieczką.

Pandemonium wybuchło chwilę później.

Karetką odjechała, a ja usiłowałam zmienić jej pieluchę i założyć koszulę nocną. Było to bardzo trudne. Czułam, że z wysiłku i pośpiechu puchnie mi szczęka. Brzydziłam się, w domu zaczęły dominować zapachy zniedołężniałej starości. Obłożności i niewykapanego psa. Chciałam uciec, ale tylko przez moment. Rzuciłam zmoczonego pampersa na podłogę, obmyłam ją, potem Boguś zapiął nowego. Nie chciałam tych intymnych czynności wykonywać mechanicznie, ale nie znalazłam metody, żeby odczuła to inaczej. Szaki obwąchiwał wszystko: nas, ją, łóżko. Biegał w kółko, podniecony i odurzony trudną do zniesienia wonią. Kręcił się wokół własnego ogona, jakby zwariował albo dostał czymś w łeb. Są jednak takie widoki, których nawet pies nie powinien oglądać.

Przykryłam ją kołdrą. Uczesałam rzadkie, pogniecione włosy, potem spojrzałam w zrezygnowane oczy. Nie grała! Czułam, że jest dużo słabsza, bardziej nieporadna. Że może da sobie nareszcie pomóc. Jak to „da sobie pomóc”?! To JA sprawię, że tę opiekę przyjmie! JA! Przypatrywałam się zmęczonej twarzy starej kobiety. Westchnęła, zamrugała, podniosła powieki, ale potem rzuciła mi znajome spojrzenie, od którego każde mleko musiałoby skisnąć. Po chwili zrobiła to jeszcze raz. A ja? Byłam już kimś innym. Ta „nowa ja” była opanowana, obojętna i pragmatyczna. Uśmiechnęłam się do siebie, bo przecież wróciłam, żeby Ją ratować. Siebie zresztą też. Wszystko naraz. Bardzo chciałam, żeby mi wreszcie pozwoliła. Żeby nie utrudniała.

Szaki kręcił się po pokoju.

– Idź stąd! Sio! – zasyczałam. Zrazu nie zareagował, spojrzał na mnie bezczelnie, przystanął koło oparcia kanapy, znowu łypnął na mnie okiem. Potem na nią. I znowu na mnie. Jeszcze raz na nią. Pewnie liczył na zmianę zdania. Jak zawsze. Nie doczekał się jednak, więc pokręcił się wokół własnego ogona, po czym przystanął obok nogi bordowej kanapy, popatrzył na mnie jakby wyzywająco...

A potem podniósł nogę i siknął! Siknął na mebel!

Stałam jak wryta. Uczucie tonięcia w pełnym bylejakości rodzinnym bagnie powróciło z podwójną mocą. Ale w inny sposób, dużo bardziej motywujący do działania. Nareszcie!

– Won, natychmiast! – krzyknęłam do psiny, wyprostowanym jak struna palcem wskazując drzwi. Warknął. Łypnął okiem, przystanął, wyprostował grzbiet, znowu zaczął warczeć. Na mnie warczeć?!

– Won! – powtórzyłam. Psiur powoli wycofywał się z pokoju.

– Przez ciebie miałam udar. Po co wróciłaś? Domu i tak ci nie przepiszę. Agusia w nim zamieszka, przyjedzie w końcu do mnie, bo mnie kocha – znad łóżka dobiegł mnie zachrypnięty głos Matki. A potem szloch.

– Przestań już, to do niczego nie prowadzi!

– Nie wyrzucaj psa. Niech zostanie, mój jest. – Jej głos nabrał zimnej, starczej tonacji. Hardości, którą tak dobrze znałam. Tupnęłam nogą. Nie! Tym razem nie ustąpię. On musi stąd wyjść!

– Mamo, dziesięć lat straciłyśmy na walkę. Na obwinianie się. Całą dekadę. Ten dom jest tak samo mój jak i twój, i żaden pies nie będzie już sikał w nim na kanapy. Ani ty na mnie. Poza tym, na pewno nigdy więcej nie będzie tutaj cuchnęło!

Że jesteśmy

„Tak. Tutaj już na pewno nie będzie śmierdziało, bo to jest mój dom” – myślałam godzinę później. Dodam mu duszy, wybuduję kominek tak wielki, że zmieści się w nim metrowe polano. W tak mroźny dzień jak dzisiejszy usiądę przed nim i usłyszę wesoły trzask palącego się drewna. Może być nawet sosnowe, chociaż nie doradzają. Ale pachnie pięknie. Wokół poukładałam baranie skóry z długim włosiem. Białe albo prawie białe. Jaśmin w donicach posadzę. Julian lubił ciepło i soczystą roślinność. Tak, bardzo lubił. W głowie roilo mi się wiele pomysłów.

Boguś wyszedł z łazienki. Nie patrzyłam na niego, omijałam wzrokiem, odkąd wróciłam. Stał za mną, poczułam jego ręce obejmujące mnie w pasie i oddech na swojej szyi. Objął mnie mocniej, przyciągnął do siebie, moje ciało odebrało jego tęsknotę. I radość. Nie odwzajemniałam tych uczuć. Bynajmniej. Z trudem powstrzymywałam szloch pełen wyrwijącej się na świat dziecięcej rozpacz.

– Ślicznie pachniesz i pięknie wyglądasz! Wróciłaś do swoich ciemnych włosów. Schudłaś... Wyglądasz ładniej niż Wolszczak. Taką cię pokochałem... Już mi stoi! Dotknij.

Tak?! Najpierw mi spieprzyli kilkadziesiąt lat życia, a teraz...? Co teraz niby ma być? Rodzina? Miłość? Bzykanie?

– Usmażyłem dla ciebie zraz zawijany i melona kupiłem. – Mówiąc to, całował mnie w kark.

Zrozumiałam, że moje życie zatacza właśnie wielkie koło. Czy było warto? Na pewno tak, pokochałam przecież, uwierzyłam w siebie. Doświadczyłam innego świata.

Westchnęłam ciężko. Wyrwałam się z uścisku i wyszłam.

Wieczorem siadłam w zagraconej stróżówce po Marcinie, włączyłam muzykę i wyjrzałam przez okno. U sąsiadów na dachu utworzyła się wielka zaspą. Na ogromnej choince przed ich domem paliły się kolorowe światełka. Kilka złotych łańcuchów przywołało wspomnienie mego macierzyństwa, tych wspaniałych, mlecznych dni, kiedy miałam się na kim oprzeć, mogłam się kimś nacieszyć. Krzysiek i Marcin byli tacy spontaniczni! Cudowni. Oni dali mi dom, poczucie, że gdzieś jest moje miejsce. A teraz ja im się odwdzięczę. Nareszcie stworzę prawdziwy zajazd rodzinny, żeby przyjeżdżali, żeby nigdy nie zbaczali z drogi. I niechby wreszcie przestali się wstydzić!

Za oknem, na czubku naszej choinki, jarzyły się zielone kule, niżej żółte, mniejsze światełka, a jeszcze niżej niebieskie sople. Na samym dole zaś wielkie czerwone bombki. Boguś stanął na wysokości zadania. Jednak mógł!

Napadało sporo śniegu, wielkie płaty nadal spadały z nieba, przykrywając parapet z rozbiórkowej cegły klinkierowej. Tworzyły coraz grubszą warstwę. W telewizji zapowiadali śnieżyce, ostrzegali, że w górach wystąpią lawiny, a ślizgawica będzie właściwie wszędzie, że zawieje mocno... Tak mówili. A ja byłam w swoim domu, daleko od pogodowej zawieruchy. Samotna, smutna, ale bezpieczna. Myśli i wspomnienia były tylko moje, nie musiałam się nimi z nikim dzielić.

Z okna obserwowałam białą ścieżkę przed wejściem. Boguś w kufajce po moim ojcu odgarniał śnieg, fioletowa szufla śmigła szybko. (Dobrze, że ją kupiłam, stara zardzewiała i źle by o nas świadczyła). Jednocześnie zamiatał spadające wciąż na ziemię wielkie płaty i posypywał ścieżkę piaskiem. Potem to samo robił przy furtce. Chodnik musiał być bezpieczny – obok naszego płotu wiodła droga do kościoła i sklepów.

Szaki wariował, szczyrzył kły, warczał to na szuflę, to na Bogusia, unosił fafle. Na wszystko się denerwował. W końcu zrezygnował i zaczął bawić się śnieżnymi płatkami. Wyciągał język, żeby je złapać, skakał, merdał ogonem. Wszystko to było niezwykle. Malownicze. Jak z amerykańskiego obrazka.

Albo jak z mojego dzieciństwa u dziadków.

Babcia Krysta spała już, porcję lekarstw zjadła bez żadnego zgryźliwego komentarza. Zgasiłam światło, wcale nie pytałam, czy mogę. Zawsze oszczędzała prąd, lubiła żyć w mroku. Tak przynajmniej mówiła.

Pies zadrapał w drzwi. Ale nie tak brutalnie, jak mogłoby na to wskazywać jego wcześniejsze zachowanie. Gdy go wpuściłam, zaczął biegać po korytarzu i otrząsać się ze śniegu. Z podłogi odpadło kilka kolejnych klepek.

– Tu, leżeć! – Moje komendy były oschłe. W bezokoliczniku. Prawdziwa tresura taka właśnie powinna być. Za dużo słów ogłupia psa. Może się uda... Bo jeśli nie, to co można jeszcze? Uśpić?

Przywołany do porządku (a może wyczuł powagę mojego dialogu wewnętrznego?), położył się karnie przy drzwiach wejściowych. Czyżby rozumiał, że moje życie to jedna wielka kupa popiołu? Że mam już tego dość? Łypał ślepiami, owszem, ale nie tak bezczelnie jak kilka miesięcy temu. Inaczej. Widać zaskoczyło go moje panowanie. Jego los został przesądzony – najpierw weterynarz, potem psi fryzjer, a dopiero na końcu koszyk z nowym posłaniem. I miska nowa.

Rozsiadłam się w fotelu, do komputera włożyłam płytę z ariami Walewskiej. Oparłam się wygodnie i zamknęłam oczy. Zrosłam się z muzyką, dzięki niej oddalając się od galimatiasu, w jakim dawno temu ugrzęzłam. Po moim policzku płynęły łzy. Bolało. Och, jak mnie wszystko bolało! Krwawiło. Westchnęłam.

Nie słyszałam, że wrócił. Poczułam jego zmarznięte ręce na swojej twarzy. Skostniałą dłonią próbował zmasać mi łzy. Niechętnie otworzyłam oczy. Stał przede mną nieporadnie, jak małe, oczekujące klapsa dziecko. Był kimś innym. Wychudł, wyciszył się, bardzo krótko obcięte ciemne włosy ujawniły, jak ładny ma kształt głowy. Włożył mój ulubiony granatowy sweter z szetlandzkiej wełny i wąskie dżinsy. Patrzyłam na niego jak na przedmiot przywieziony z renowacji. Mebel do przesuwania albo ustawienia gdzieś w domu. Zaciekawiał mnie, owszem, ale nie zaskoczył ani nie wystraszył.

Postawił na stole talerz z kawałkami melona.

– Dziękuję, kochana... – powiedział cicho.

– Za co? – Wzruszyłam ramionami.

– Że jest sylwester... że jesteśmy... że śpiewa Walewska...

Siedziałam nieruchomo z niewypowiedzianymi słowami na końcu języka, potem powoli opuściłam głowę. Nie wiedziałam, co powinnam na to odpowiedzieć. Nic jeszcze nie wiedziałam. Zastanawiałam się, czy ze swoim dotychczasowym życiem właśnie się żegnam, czy może dopiero na nie godzę.

*

Muszę tę historię koniecznie komuś opowiedzieć, ale nie wiem, od czego zacząć... Może od środka? Owszem, tak chyba będzie najlepiej.

Zostaw mi jakieś pieniądze!

Było to jakieś dziesięć miesięcy temu.

Pobudka! Rankiem, jak co dzień, obwieściła to moja czerwona komórka. Od kilku dni na równe nogi stawiało mnie szczekanie psów. Przedtem nastawiłam sobie syrenę okrętową, ale okazała się nie do wytrzymania, zmieniłam więc dzwonek w trosce o swój system nerwowy. Ku radości mojego Bogusia także, bo nieszczęśnik miał syndrom zbyt gwałtownego wychodzenia ze snu. Budził się bardzo nerwowo. Tak nerwowo, że pewnie wiele razy chciało mu się zakląć! Ale nie mógł, choć był stuprocentowym cholerykiem, wiem to.

Jak zwykle najpierw wypuściłam psa do ogrodu, potem wpadłam do łazienki. Śpieszyłam się, bo za chwilę zapewne wstanie Marcin, zacznie się ruch. I nerwy. Z torebki leżącej w przedpokoju odezwał się budzik drugiego telefonu. „Trzeba go wyłączyć – pomyślałam – bo za chwilę wstaną wszyscy i każdy będzie chciał wyegzekwować swoje prawo do zajęcia jedynej w domu łazienki!” Takie momenty wytrącały mnie z równowagi na cały dzień. A tamtego dnia miałam mnóstwo spraw do wykonania i załatwienia.

Madonna, polska Madonna.

Na szczęście w domu nadal panowała cisza. Ufff, udało się! Mogłam spędzić w łazience tyle czasu, ile potrzebowałam. Potem biegiem na autobus. „Ale zaraz – przypomniałam sobie. – Przed wyjściem trzeba przecież zawołać Marcinka, żeby wstawał. Znowu zaśpi, nie zdąży na wykład. W końcu wyrzucą go z uczelni, nie będzie mógł znaleźć pracy, zabiorą go do wojska, a tam będzie fala. Zgnoją jego psyche... A gdy stamtąd wróci, będzie – jak tych dwoje – siedział na moim garnuszku, a do tego jeszcze pewnie ćpał i pił... Jakież to byłoby straszne!” Tego rodzaju czarne scenariusze często powstawały w mojej głowie.

Bałam się...

Marcin to młodszy syn, nie był jeszcze samodzielny. Mieszkał z nami. Wypadał ze swojego pokoju z potarganymi jasnymi włosami, bez góry od pidzamy, nagi, a w tym domu taki ziąb! Na pewno się przeziębi! Gdy chciałam go czymś nakryć albo pogłaskać po głowie, otrząsał się. Nie znosił bliskości, jakiej ja akurat bardzo potrzebowałam. Do łazienki wpadał wściekły, nie wolno było wtedy wejść mu w drogę. Gdy gulgotał, płuczac gardło, Szaki sterczał pod drzwiami i nasłuchiwał. A gdy długo nie wychodził, pies drapał w drzwi i szczekał. W naszym domu wszystkie drzwi były obzarte i porysowane pazurami. Ten zwierzak musiał mieć ADHD!

A ja? Zatykałam wtedy uszy. I zamykałam oczy. Rano każdy hałas odczuwałam ze zdwojoną siłą. Kiedyś z tego rozdrażnienia krzyknęłam na psinę, przyznaję, dość brzydko. Babcia Krysta wypadła wówczas ze swojego pokoju i wstawiła się za Szakim.

– Żeby tak nawet nad psem się znęcać! Jak można? Straż miejską zawołam! Wstyd. A niechby cię użarł. Za cyce! Jak można się tak niewłaściwie wobec psa zachowywać?! Co ci zrobiło niewinne zwierzątko?! Odpowiedz! Chodź, piesku, chodź. Tylko ty jesteś tutaj moim przyjacielem.

Tak, zdarzało mi się wkurzać na sierściucha, to prawda, no bo dlaczego szczekał z byle powodu i na cały głos? No niech mi ktoś to wytłumaczy. Niewychowany kundel!

– Zostaw mi jakieś pieniądze! – Wzdrygnęłam się na dźwięk głosu dobiegającego z pokoju. Z pokoju? Ni to salon, ni to gabinet, ni to sypialnia. Garderoba też nie do końca. Właściwie wszystko po trochu. Czyli pomieszczenie, w którym ludzie z nizin społecznych często spędzają całe życie.

Bogus obudził się już dawno i od razu zinwentaryzował stół. Wówczas nic na nim nie było, bo skąd?

Nie położyłam nic dlatego, że sama miałam w portfelu tylko na bułkę i sok. No, może i na gazetę, bo miał wyjść dodatek „Praca”.

– Na co? – zapytałam jednak, zatrzymując się w drzwiach. Stałam wyszykowana do wyjścia, pozostała mi tylko jedna minuta w zapasie.

Nie wiem, po co się zatrzymałam. Autobus pewnie odjeżdżał już z przystanku beze mnie. Będę musiała szukać innego połączenia, spóźnię się do firmy, a wcześniej rano miałam przecież zaksięgować kilkadziesiąt dokumentów. Ktoś je wreszcie wyciągnął z kieszeni i rzucił na moje biurko, bo nadchodził termin zeznań podatkowych. A terminy to rzecz święta! Tak. Niedotrzymanie terminów fiskalnych donosów na samego siebie nawet śmierć nie może usprawiedliwić.

– Jak to, na co?! Nawet papierosów nie mam! Poza tym nie udawaj, że nie pamiętasz! Znowu chcesz wszystko spieprzyć, tak?! Dzisiaj wychodzi miesięcznik „Partycja” i ma być ten artykuł o pisaniu wirusów.

Boguś usiadł na kanapie. Szlafmyca obsunęła mu się z głowy. Przyzwyczyłam się do tej fanaberii. Czarne kłaki miał przylizane jak po deszczu. Albo jakby krowa całą noc lizała mu głowę wielkim i mokrym jęzorem. A ja zawsze lubiłam jego kręcone włosy. Burzę loków. Lubiłam je nawijać na palec albo burzyć. Były miękkie jak jedwab. Opowiadałam znajomym, że wyszłam za mąż za Jimmy’ego Hendriksa.

– I ty akurat musisz wiedzieć, jak je tworzyć! Zabawne! Naucz się najpierw je usuwać!

O rany! Czy potrzebna mi była ta dyskusja? Wzburzona fala umysłowych obscenów? Czy takie pta-py w ogóle coś wnoszą? Żałowałam, że w tym uczestniczę. Byłam zdenerwowana, bo wybił mnie z rytmu poranka. Niestety, on znakomicie wiedział, kiedy podjąć temat, miał mnóstwo czasu, by obmyślić strategię. Wyczekiwał na odpowiedni moment, bo świetnie zdawał sobie sprawę, że nie znoszę się denerwować. O tak. To on ciągnął za sznurki, sterował mną jak drewnianym pajacykiem! Klik, klik. A jeśli to nie wystarczało, to powtarzał. Klik, klik! Nieco mocniej. A wtedy, dla własnego spokoju, w końcu dawałam mu te cholerne pieniądze!

– Nie możesz się ograniczać? – Z trudem trzymałam nerwy na wodzy. Niestety. Konsekwencja nie była moją najsilniejszą stroną, a wahanie w mych ruchach, pomimo że niewielkie, na pewno bardzo widoczne. To mu zwykle wystarczało.

Znałam te mechanizmy znakomicie, ale moje życie w tamtym czasie generalnie można było zdefiniować jednym słowem.

ZANIECHANIE!

– No, daj mi te parę groszy! – Było coś tak żebraczego w jego tonie, że... No właśnie, co mądrego można było na to odpowiedzieć? Miotalam się, bo choć czułam emocjonalny cynizm na kilometr, to byłam już mocno spóźniona. Z portfela wyciągnęłam ostatnie dziesięć złotych.

– Następnym razem już tak nie będzie. Nie tak miało być. Umawialiśmy się – powiedziałam bardzo niepewnym głosem.

Nie dałabym wiary, że usłyszałam to z własnych ust. A jednak! Prędko wybiegłam z domu.

Osobista wartość dodana

Znakomicie wiedziałam, że w dalszej części tamtego dnia Boguś, jak zwykle zresztą, snuje się po salonach niczym swąd spalonej kaszy. Ów zapach psiej stawy dominował w naszym domu. Wstawanie nie przychodziło Bogusiowi łatwo, o nie. Poza tym nie miał dokąd się śpieszyć. Niestety nie pracował zawodowo, od kilku lat był na moim utrzymaniu. I tak gnił sobie i gnił. I tył sobie, i tył. To przy mnie zrobiło się z niego wielkie bydlę. Sto dwanaście kilo wagi. I sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, tyle już miał dużo wcześniej. Jego to bynajmniej nie martwiło. Owo miłe przysporzenie spłynęło na niego jako osobista wartość dodana. Że się tak wyrażę, używając ekonomicznego terminu.

– Nie ma w tym kraju pracy dla humanistów – twierdził niezmiennie. Sam w to uwierzył dawno temu i postanowił niczego w swoim życiu nie zmieniać. Starzał się. I staczał. Czekał na państwową daninę dla zaawansowanych wiekiem, przy czym czekać przyjdzie mu zapewne jeszcze ze dwadzieścia lat! O rany! Bo to przecież nie była jego wina! O co chodzi wszystkim dookoła? Nie ich sprawa! Dlaczego sugerowali, że powinien intensywniej szukać, zmienić zawód, uczyć się lub nawet wyjechać za pracą do innego kraju? Na obczyznę?! On jest patriotą! W tym kraju się urodził i tutaj powinien godnie żyć – to była, tak w skrócie, jego odpowiedź na zarzut robienia fanaberii i tworzenia problemów przy poszukiwaniu pracy.

Ja też mu sugerowałam, że jednak coś powinien zrobić ze swoim życiem. Nawet bardzo często to się zdarzało, ale co z tego? Stał na stanowisku, że małżeństwo zobowiązuje i w biedzie trzeba sobie pomagać. Na tym polegać ma wyższość tej instytucji nad wszystkimi luźnymi związkami. Boguś włoczył ten pogląd do mojej głowy i pilnował, żeby tam tkwił. Miał czas. W przeciwieństwie do mnie miał też pomysł na łatwe życie! A ja, zniechęcona jego biernością, zaprzestałam w końcu wygłaszania takich kazań.

Bo może rzeczywiście byłam wszystkiemu winna? Pcham się, za przeproszeniem, ze wszystkim do przodu, spieszę się, nie czekam na niego. Na nikogo zresztą nie czekam. A mogłabym przecież przystanąć, rozejrzeć się, wyczuć człowieka, zrozumieć. Może by mnie w końcu dogonił. I gdyby tak się zdarzyło, powinnam przepuścić go do przodu. Wtedy może by wreszcie w siebie uwierzył...

– Kobieta zawsze powinna iść pół kroku za chłopem. Ty ze swoim podłym charakterem nigdy porządnego męża nie znajdziesz – tymi słowami zawsze pouczała mnie Babcia Krysta, czyli matka. Rodzinne guru. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze miała głos decydujący, donośny, nawet gdy byłam dzieckiem. Krysta to, Krysta tamto, słyszałam w dzieciństwie. Tak ją nazywały ciotki. I jej rodzice. A ja w myślach dodawałam często: „Krysta od Antychrysta, Krysta od Antychrysta!” I śmiałam się wniebogłosy. Niektórzy myśleli nawet, że zwariowałam.

Boguś często miał do mnie pretensje. Poza tym wytykał mi, że się ośmieszam. Bo co ja mogę niby wiedzieć o pracy w szkole? A w ogóle to nigdy, przenigdy go nie rozumiałam. Twierdził nawet, że to moja wina, iż znalazł się w takim położeniu, bo zawsze stawiałam na swoim. Na przykład kilka lat temu, po śmierci ojca, kiedy zdarzyła się ta historia z nagłą przeprowadzką do rodzinnego domu. No bo jak to? Czy miałam prawo tak bez uzgodnienia, jak ostatnia egoistka albo jakaś nawiedzona histeryczka, spakować siebie, Krzyśka i Marcina, zlikwidować wszystko? I wyprowadzić się do owdowiałej matki, nawet go nie informując?!

Po co to było? Zresztą zbieram tego przykre owoce. Mogliśmy nadal mieszkać sami, nie byłoby tych awantur. Tego poniżenia.

Zawsze mi to powtarzał!

A ja? Nie mogłam Jej zostawić. Nieporadna była, nie potrafiła się na niczym skupić. Najchętniej siedziałaby całe dni w domu po ciemku, nic do nikogo nie mówiąc. Krzywdę sobie robiła, bo nie można cierpieć tak długo. Ocknąć się należy! Bo życie dalej biegnie! Wiele może się jeszcze zmienić, trzeba tylko uwierzyć. Nie mogłam patrzeć na ten marazm. Jak mogłabym na to dalej pozwalać? Była bardzo samotna. Wiedziałam, że czeka, aż przyjadę. W jej oczach nareszcie dostrzegłam zapowiedź miękkiego dotyku, ciepłych rąk, czego zawsze dla siebie szukałam. Skrawek mojego nieba. Wzruszała mnie wtedy. Chciałam jej pomóc odnaleźć się w nowej sytuacji, wziąć pod opiekę.

Moja siostra Aga mieszkała w Londynie, miała znakomitą pracę, nie mogła... „To ty powinnaś – mówiła. – Jesteś starsza. Byle co zarabiasz w tym Koninie, głodowe pieniądze, na pewno w Poznaniu znajdziesz lepiej płatną pracę”. A ja chciałam. Przyjechałam. Nikt mnie nie pytał, czy mogę. Bo ja musiałam móc. Serce dobre mam. I może ktoś wreszcie dostrzeże, że jestem też dobrą córką?!

Bardzo chciałam zasłużyć wreszcie na jej uczucie. Przypodobać się. Oj, jak bardzo! Mogłabym zrobić wszystko, żeby tak się stało. Żeby móc wspólnie wygrzewać się w ciepłe naszej miłości. Poczucie zapach rodzinnego szczęścia. Ciepło wspólnych myśli.

Wówczas z takiego obrotu sprawy cieszyli się wszyscy. Aga, Krysta, ja... Nawet Marcin. No może tylko Boguś niespecjalnie był szczęśliwy. I Krzysiek, który skorzystał z sytuacji i się... ożenił.

– Dam wam dwa pokoje – obiecywała na powitanie. – Sama się do jednego przeniosę. Obiady będę dla wszystkich gotować, zakupy robić, tylko mi pieniądze zostawisz. Wszystkim się zajmę.

Tak było na samym początku.

Boguś przeprowadził się do nas po czterech miesiącach. Niestety, już po to, żeby mnie przed nią ratować.

Geniusz przeksięgowania

Kiedy zamieszkałam w domu rodzinnym, rozpoczęłam pracę w małej, bardzo zwyczajnej firmie. Mieteks się nazywała. Tam nie miałam specjalnych problemów. Czułam się bardzo bezpiecznie. Cyferki, rubryczki, zestawienia, memoriały, noty, storna. Nawet dzisiaj uśmiecham się na myśl o genialnych i sprytnych przeksięgowaniach. Nikt nie potrafił tak doskonale czyścić kont. Nikt. Wielu młodych absolwentów ekonomii przychodziło do mnie po poradę. A ja... cóż, przy tych mało spektakularnych czynnościach mogłam się zająć własnymi myślami. Robiłam zapisy w księdze, tworzyłam storna, a jednocześnie zastanawiałam się, co przygotować na jutrzejszy obiad. Kompensowałam rozrachunki, a w głowie tworzyłam listę zakupów do zrobienia w osiedlowym sklepiku.

Każdy ma swoje błahę, błąkające się po mózgu myśli. Ale żeby jakieś błędne zapisy mi się zdarzały... Nie. Absolutnie. Wszystko się zgadzało, co do grosika. Nie było żadnych zaległości. Firma naprawdę miała ze mnie pożytek. A szczególnie zadowolony był Mieczysław Jęchorek, mój naczelny pryncypał.

– Pani Beciu, będziemy musieli jutro przekazać wnioski z załącznikami do towarzystwa leasingowego. Mówiłem, że mamy wreszcie zgodę na leasing? – zakomunikował mi rano, od razu po tym, gdy wpadłam spóźniona do firmy.

Jęchorek, jeśli mówił, że ma zgodę, to oznaczało, że tę zgodę ma dopiero mieć. Ale nie okazywałam swoich wątpliwości. Nigdy. On zaś był pewien, że wystarczy tylko poruszyć myszką, żeby z drukarki wyszły gotowe, nawet opracowane wnioski leasingowe, kredytowe, o cesję, gwarancję i tym podobne. Biznesplany też. Inna sprawa, że ćwiczony aktualnie leasing zwrotny był formą dość szybkiego pozyskania pieniędzy potrzebnych na zwykłą działalność bieżącą. Ale i na zapchanie dziur, opłatę ZUS-ów, podatków, mediów, telefonów.

I oczywiście wynagrodzeń.

Wiedziałam, co znaczy ostrożnie wydawać pieniądze. Przy oszczędnym gospodarowaniu i spłacie kredytu zdołałam odkładać tysiąc złotych miesięcznie z przeznaczeniem na bieżące remonty i modernizację.

Ciężko mi było, nie zawsze dawałam radę, miałam swoje chwile słabości. Człowiek podlega przecież różnym pokusom: a to bluzkę chciałam sobie nową kupić, a to buty lub bieliznę, innym razem kosmetyki markowe. Lubię rzeczy markowe... Nawet bardzo. Ale nic z tego. Szastanie pieniędzmi nie leżało w moim charakterze. Byłam uzależniona od ciucholandów, dzięki temu czasem mogłam sobie pozwolić na małe szaleństwo. Zwłaszcza gdy trafiałam na tak wyjątkową okazję jak apaszka jedwabna z Kopenhagi za dwa złote albo angielski, wełniany sweterek ze ślicznym wzorem za osiem (to nic, że zmechacony, w domu miałam urządzenie do golenia kulek z dzianin). Potem ze dwa razy wkładałam nowy nabytek i odkładałam na półkę. Czasem trafiały się różne bibeloty, stareńkie drobiazgi, precjoza, a przy tym odrobina adrenaliny – aukcje internetowe.

Bardzo łatwo przychodziło mi przyzwyczajanie się do złego. Zawsze i w każdym szukałam jakiegoś dobra. Punktu zaczepienia. Całą ludzką niegodziwość potrafiłam sobie w mig wytłumaczyć. Z tego powodu nie zawsze dbałam o własne interesy.

Na przykład – Babcia Krysta jest moją matką, starszą już kobietą, nieporadną, zatem to ja powinnam opłacać wszystkie domowe rachunki, a nie obciążać nimi sędziwą osobę – tak postanowiłam sobie w duchu, gdy zamieszkaliśmy razem. Boguś jest moim mężem, na razie nie ma pracy, ale żyć musi. To była druga finansowa deklaracja, też wewnętrzna, gdy wreszcie przeprowadził się do nas.

– Jak chcesz. – Krzysiek i Marcin, gdy dowiedzieli się o mojej decyzji, wzruszyli ramionami.
Synowie.

Odkłaczanie i tym podobne...

Kilka dni później zerwałam kolejną kartkę z kalendarza. Był już początek marca. Wiedziałam, że Boguś potrafi efektywnie wykorzystywać czas przedpołudniowy. Spał do dziesiątej, potem ponoć odkłaczał dom. Niestety niedokładnie.

Po kilku rutynowych ruchach odkurzaczem odczekiwał, aż w kuchni Krysta upichci obiad dla siebie, po czym odfajkowywał strawę dla mnie. Albo i nie. Marcin jadł na mieście, więc jeden głodomór odpadał, Boguś zaś nie jadł byle czego, o nie – nabywał sobie kurczaka z grilla przy samie. Nieraz zdarzało mi się wygrzebać wysane kosteczki ze śmietnika!

Czasem spokój zmaćcił mu jakiś fachowiec. Albo ja.

– Halo! Bogusiu, możesz dzisiaj zrobić na obiad dorsza z sałatą i cytryną, jest w zamrażalniku, ale proszę, przypiecz go dość mocno, bo wiesz, że nie lubię takiego ledwo usmażonego. Aha, i zadbaj, żeby nie napił się za mocno oleju. Będę około siedemnastej. Zatrzymaj dekarza, gdybym się trochę spóźniła. OK? – zatelefonowałam z pracy.

Komendy zostały wydane – to była jego pierwsza myśl. I ostatnia też, jak sędzę. Wiedział, że został męską kurą domową. Płeć męska dla kury to kogut, ale on kogutem bynajmniej nie był, przynajmniej przez ostatnie kilkanaście lat. Nie był, bo mówiłam, że nie chcę, posiłkowałam się nawet takim nowoczesnym określeniem, że mamy porozumienie, to znaczy, ja mu pomagam, i owszem, ale to, co było między nami kiedyś, nie ma już świeżości. Nie nęci. Mnie, bo jego ponoć tak. Przy czym wcale nie nalegał. Według mnie także nie przywoływał chemią. Niestety. Czułam się wygasła jak chilijski wulkan Ojos del Salado, poza tym często bolała mnie głowa. No i Krysta mogłaby nas usłyszeć, a potem wyśmiać.

Wiem, w zasadzie powinnam być dla niego lepsza, bo przyjechał za nami, ratował mnie. Stawał po mojej stronie. Faktycznie, czasem nawet dawał mi oparcie. Na jakiś czas. Jednak fundament naszego ułomnego związku tworzyła jego finansowa zależność ode mnie, w moim zaś przypadku było to emocjonalne (i nie tylko) osamotnienie, przywiązanie do tradycji i zupełny brak czasu na jakąkolwiek fluktuację na stanowisku męża. Był klasycznym utrzymankiem. Na wypadek ewentualnych zagrożeń wykazywał sporą czujność i nie umknął jego uwadze żaden potencjalny konkurent. Zawsze, odkąd pamiętam, na czas zdążył się z takim zaprzyjaźnić, a potem już zaczynała działać męska solidarność. I było po sprawie. Tak było, gdy poczułam sympatię do Piotra, dziesięć lat temu. Wtedy jeszcze coś w swoim emocjonalnym życiu chciałam zmienić. Teraz już nie. Jak? Z kim? Od dawna czułam się zupełnie niewidzialna. Skryłam się przed światem za łachami z ciuchbudy. Spospoliciałam, zszarzałam.

Było trochę po szesnastej. Wbiegłam do domu. Boguś jak zawsze okupował komputer. Klikał, tępym wzrokiem patrząc w monitor. Głośno siorbał herbatę. W brudnej popielniczce leżały dwa ogryzki po jabłkach. Obok stały cztery puste kubki po napojach. Śmierdziało wczorajszym petem, a z komputerowych głośników wydobywał się muzyczny staroć, którego szczerze nie znosiłam. Gorzej – nienawidziłam! „Zachodni wiatr spienione goni fale, wysoko gdzieś zawisnął mewy krzyk. Gasnący dzień zachodem się rozpałił, stoimy tak bez słowa ja i ty”. Przecież kiedy Marta Mirska śpiewała tę piosenkę, on jeszcze się nie urodził! Ale to nie było najgorsze, bo oprócz zawodzenia Mirskiej w radiu i telewizji leciały sprawozdania z posiedzeń wszystkich możliwych komisji śledczych. Na podglądzie miał włączony kanał ekonomiczny, bo monitorował ewentualny kierunek kryzysu. Fachowiec się znalazł! Ekonomista domorosły, samozwaniec!

Trzasnęłam drzwiami, zdjęłam czapkę, płaszcz, buty. I co dostrzegłam? Że niechętnie odszedł od komputera i dopiero teraz zaczął piec rybę! Nie wyłączył z prądu ani komputera, ani telewizora. Mirskiej

też nie. Znowu udawał szarego, niby spłoszonego, ale zawsze gotowego do długiego susa przed komputer, króliczka!

– Mają rację, tak jest, mają. Praca potaniała, towary potaniały, jest odskocznia do wzrostu... – dobiegło mnie z kuchni. Samozwańczy ekonomista stawiał światu ekonomiczną diagnozę.

Jakież to było denerwujące! Przecież prosiłam, żeby oszczędzał. I żeby rybę dobrze wysmażył. Siedzi, kurde, całe dni w chacie! Poza tym wiedział, jaka jestem głodna, bo znowu ostatnie pieniądze dałam mu na następną nic niewnoszącą, opasłą książkę informatyczną. Do kolekcji na półce. No tak. Jak to jest możliwe, żeby niepracujący koleś miał cztery regały nowych książek i czasopism, a ja zaledwie jeden?! Czy na świecie są jeszcze inne takie idiotki? A może już wyginęły i mogłabym funkcjonować jako okaz?! Opłacałam jego kaprysy i przymykałam oko na cyniczne próby udowodnienia mi, że jako żona powinnam go wspomagać. A raczej nadskakiwać mu!

– Po raz kolejny mnie upokorzył! – westchnęłam cicho, rozżalona. Cholernie chciało mi się płakać, czułam się słaba, samotna. I miałam wielki problem. Wyłącznie mój. No cóż, udawała mi się ta hodowla ciężarów, oj udawała! Niewielu znajomych wiedziało, że „ciężar” w postaci mojego męża od lat nie pracuje i nie wspiera mnie absolutnie w niczym. Że Krysta... Ach! Wstydziałam się swojego położenia.

To samo, ale o mnie, myślała Babcia Krysta.

Masz dla mnie te PIT-y?

I tak żyliśmy sobie od wypłaty do wypłaty. Płynność finansową dzięki bankom miałam w miarę dobrą. Dźwigałam jednak duże obciążenia, bo moje konta wykazywały ujemne salda. Największy minus straszył na pożyczce odnawialnej, drugi, nie mniejszy, na kredycie remontowym. Dwie następne karty kredytowe też świeciły pustką. Pomyślałam, że koniecznie powinnam porozmawiać o tańszym kredycie konsolidacyjnym. Na okna może wystarczy z bieżących środków, nie pozwolę już, żeby mróz czynił sobie z szyb – bez śladu kitu – pole do ornamentów i płaskorzeźb. Nie pozwolę! Jestem konsekwentna. Jak się uprę, muszę dotrzymać planów. No, muszę i koniec!

Moje życie odbywało się w cyklach – od dwudziestego do dwudziestego oraz od końca miesiąca do końca następnego. I tak w kółko. Najpierw zeznania, potem wypłata wynagrodzenia. I znowu to samo. Jeśli się przyzwyczaić i powiedzieć sobie, że już nic więcej mnie w tym cholernym życiu nie czeka, jest nawet dobrze. Rezygnacja nie jest jednak całkiem zła! Bardzo łatwo oszukać samą siebie. Wystarczy sobie wmówić, że nie ma innego życia, że nie istnieje kraina, którą tak doskonale znam z własnych marzeń. Nie istnieje! Nie ma! Naprawdę, wystarczy tylko siebie do tej myśli przekonać. Do czasu! Bo jednak nieraz zaglądałam księżycowi w oczy, jakbym chciała z nich wyczytać zapowiedź lepszego losu albo błagać o protekcję. Tam na górze!

Dzień przed dwudziestym marca wibrująca komórka złapała mnie w Mieteksie na gapieniu się w okno.

– Beta, bądź dzisiaj po południu, przyjadę. Masz dla mnie te deklaracje podatkowe?

– Mam. Już wczoraj miałam. Tak się umawialiśmy.

Wszyscy mówili do niej Kinga, ale tylko ja wiedziałam, że w papierach ma Mieczysława. Nieładnie. Nawet moje „Becia” było lepsze. Kinga mawiała zawsze, że jesteśmy przyjaciółkami. Może i tak jest, znałyśmy się długo i w ogóle. Dawała mi czasem zarobić.

Poznałyśmy się kilka lat temu. Zgłosiła się, jako jedyna, na mój anons na Gratce. Zaskoczyła mnie, bo pojawiła się w moim jakoby biurze, czyli obleśnym salonie dla ubogich, kilkanaście minut po swoim telefonie. Wślizgnęła się w nasze życie jak jezor wielkiego ognia po drewnianej szczapie. Opanowała mnie od samego początku. Tylko mnie, reszta jej nie interesowała. Są ludzie, którym do życia nie są potrzebne tłumy, wystarczy jedna wielbiąca istota. Ja widocznie na takową wyglądałam. Zresztą, w istocie, taka też byłam! Słuchająca, kochająca. Nie potrafiłam zapomnieć nikogo, kogo w swoim życiu spotkałam, bo według mnie każdy człowiek ma w sobie coś niepowtarzalnego. Dlatego nie potrafiłabym zgrzeszyć z facetem na jedną noc, bo potem najpewniej bym za nim tęskniła. A kysz, niemoralne myśli!

Gdy poznałam Kingę, od razu spodobała mi się jej ruda gęsta czupryna, którą widać było z daleka. Ale nie tylko, beżowe džinsy z dziurami na kolanach były świetne, torba od Wittchena i krótkie kozaki z beżowej skóry też. Wszystko miała w najlepszym gatunku. Pięknie pachniała! A ja na zapachach się znam znakomicie. Patrząc na nią, na jej gładką cerę, żelowe paznokcie i długą jedwabną tunikę, przeżywałam tak wielkie upokorzenie, jak jeszcze nigdy przedtem. Nasze spotkanie było niewątpliwie zderzeniem piękna z brzydotą. Pewności siebie z całkowitą niepewnością. Towarzyskiego obycia z „płonieniem raka”! Wprawdzie wtedy Bogdana w domu nie było, ale Krysta kilka razy przeparałowała przez korytarz, głośno zamykając wszystkie drzwi. Kinga spojrzała na mnie wówczas, położyła rękę na moim nadgarstku i powiedziała, głęboko patrząc mi w oczy:

– Proszę się nie wstydzić! Ja też kiedyś tak mieszkalam! Ale z tego można wyjść, jeśli się bardzo chce. Czyli co? Zaczynamy współpracę?

– Tak – wyszeptałam tak cicho, jakbym składała donos, a nie zawierała umowę o współpracę na lata.

Tak było na początku naszej znajomości.

Ale wracając do zeszłorocznego spotkania – tego dnia ucieszyłam się, że dzwoni. I że przyjedzie. Jednak tym razem nie tyle chodziło mi o spotkanie, ile o gratyfikację za moją pracę. Przed weekendem zawitał do domu inkasent, zbierał za prąd od maruderów z mojej ulicy. Mnie wtedy nie było, a gdy wróciłam z Mieteksu, Krysta przywitała mnie krzykiem:

– Jak to? Znowu prąd nieopłacony! Sąsiedzi patrzą, że chcą nam go odciąć, tylko wstyd mi za was przed ludźmi z ulicy! Nie życzę sobie długów – kontynuowała już ze swojego pokoju. Czyli z centrum zarządzania parobkami.

Nie, nie zapytała, czy się dołożyć. Ponoć w ogóle nie zużywa prądu – w takim razie kto, do cholery, te sześćset złotych przez dwa miesiące nabił?! O nie, nie będę się denerwować. Ureguluję wszystko. Kinga mi zapłaci, to z tego dam inkasentowi.

– Coś blada jesteś, idź na solarium. – Kinga patrzyła na mnie krytycznie. – Zimą i wczesną wiosną też trzeba się naświetlać, bo w ten sposób unika się depresji. A ty zawsze jesteś jakaś skwaszona! Masz dla mnie te PIT-y? W piątek miałaś mieć, nie mogłaś zadzwonić?!

O nie! Jak może?! Przecież od pierwszego dnia znakomicie wyczuła moją przygnębiającą sytuację! Ja nie zadzwoniłam?! Ja?! To ona powinna mnie pilnować! Miała interes, to powinna. Ale nie... Kinga, czyli pani, każe, więc Becia, czyli..., a szkoda gadać!, musi!

– Ile mi wyliczyłaś? – Przeglądała deklaracje, blednąc.

– Co „ile”? Trzy tysiące. Niecałe – wyszeptałam bladymi ustami. To tylko jedna piąta jej dochodu. A ile zysku będzie mogła skonsumować! Nie widzi?! Wyda na kolejne obcisłe dżinsy, tuniki jedwabne, torebki od Wittchena i włoskie botki! A ja? Klientka lumpeksów! Roczne zeznanie podatkowe składam już w styczniu, żeby jak najszybciej zainkasować od państwa zwrot nadpłaty. W głowach biedaków z pierwszego podatkowego progu zachodzą całkiem inne przemyślenia. Tak więc niecierpliwie wyglądam tych pieniędzy, a w zasadzie energetyka wygląda ich ode mnie. Nie, że u mnie zostaną połknięte! I tego Kinga akurat nie widzi? Hipokrytka!

Nie powinnam się tłumaczyć, o nie. Kinga niewątpliwie jest światłą osobą i sama mogłaby wykazać się ekonomicznym obeznaniem. Poczułam się nią rozczarowana. No bo jak to? Niby taka wielka bizneswoman, a dwóch dokumentów sprzedaży i czterech kosztowych nie mogła zliczyć?! No tak! Cienka, foliowa koszulka papierków, a głowę obnosi, jakby spółką giełdową zarządzała. Mitomanka. Tak, dobrze liczę, trzy rachunki telefoniczne, dwa za paliwo... Ach nie, szczęście, bo jeszcze amortyzację za fiata jej dodaję. Też mi firma! Pfff.

– Skąd tak dużo? Nic nie mówiłaś, że aż tyle wyjdzie! Nie mogłaś wcześniej przedstawić mi symulacji? To ja mam dbać, żeby nie za wiele zapłacić? Od czego mam ciebie?

„Od czego mam ciebie?” To mną poruszyło. Generalnie jestem dla nich wszystkich „od czegoś”. Tak. Jestem tylko białą, jasnowłosą Murzynką zamieszkałą na wielkopolskiej ziemi! „Od czegoś”? A kogo mam ja?

– No właśnie, czy mogłabyś mi mój stary rachunek dzisiaj zapłacić? Bo mi prąd wyłączą – umizgiwałam się z panicznym prawie strachem, że może mi nie dać. Albo ofuknąć.

– No coś ty?! Myślisz, że ja na pieniądzach śpię? Nie mam. Jestem jedynie zwyczajnym człowiekiem ze zwyczajnymi kłopotami. – Kinga wcale się nie zawstydziała. Nie wzruszyło jej też, że jest nieterminowa, że wcale nie ma dla mnie uwagi.

– Aha. Ale... No to kiedy będziesz miała? – wydukałam płaczliwie. Bo skąd wezmę dla inkasenta? Znowu będzie się awanturować! Krysta od Antychrysta. Zafrasowałam się.

– Za jakieś dwa tygodnie może jakoś uzbieram. Może, bo przecież mam swoje płatności.

– No dobra – tylko to mogłam powiedzieć. Bo co innego? Przyjaźnimy się przecież i w ogóle. Przez

te wspólne lata zżyłyśmy się. Chcę ją akceptować!

Rzeczywiście – widziałam jej łóżko, pokazywała mi. To fakt, nie śpi na pieniądzach. Ale pościel zawsze ma najdroższą, subtelną, nabłyszczoną, jak mgiełka delikatną, w śliczne pastelowe kwiaty. Do tego znakomicie napięte prześcieradło z takiej samej tkaniny do kompletu – myślałam z zazdrością, całkiem już zrezygnowana. Widać moje ciało – tak samo jak twarz – też się skurczyło, zestresowało, bo Kinga spojrzała na nie krytycznie. Już wyraźnie rozluźniona.

– Ale sobie fałdy na brzuchu wyhodowałaś! W ogóle nie masz wcięcia. Zobacz moje, ale ja nie to, co ty. Nie zapuszczę się. Chodzę na drenaż limfatyczny, rolki i masaż. Mówię ci, warto! Też powinnaś. Dam ci adres. Albo nie. Zapiszę cię na jakiś termin, bo ty nigdy sama się na nic nie zdecydujesz. Fryzjer też by ci się przydał. – Zajrzała do lustra i poprawiła swój rudy, kręcony skalp. – Wyobraź sobie, że dostałam się wreszcie do Lucjusza.

– Serio? – Przyglądałam się swoim wielkim dłoniom, po babci Antosi. Ze strony ojca. Że są wielkie, mawiały ciotki, siostry ojca. I Babcia Krysta, czyli moja matka też sobie z nich ciągle dowcipkowała. Że niekobiece. Ja tamtej babci ze strony ojca wcale nie pamiętam, ale że dłonie są wielkie jak od pracy na roli, to mam wkodowane w każdy mały stawik każdej swojej wielkiej łapy. Piszczy mi przy najmniejszym ruchu, uwiera.

„Ale co do Kingi, może i ma rację” – pomyślałam. Wprawdzie jej fryzura wcale mi się ostatnio nie podobała, za krótko się ścięła, no ale nie miała nawet minimalnego śladu odrostu. I chyba ten cały Lucjusz doprawił jej kilka pukli, bo włosy jakieś sterczące były, sprawiały wrażenie jeszcze bardziej gęstych niż zwykle. Zdecydowała się na asymetrię, ale mogła pozostawić włosy nieco dłuższe. „I tak super wygląda” – stwierdziłam w myślach, patrząc na nią z uwielbieniem.

– A ile kosztuje ten drenaż? – spytałam w końcu. Pro forma, to oczywiste. Dla ożywienia dialogu. Nie powinno mnie to naturalnie wcale zainteresować, bo teraz inkasent był ważny, jedynie on. „I skąd mam na jutro wziąć sześćset złotych za ten prąd?!” – zastanawiałam się gorączkowo, jednym uchem słuchając wynurzeń Kingi.

– Dwieście złotych. To i tak dobrze, że nie w euro. Ten drenaż jest znakomity. Trwa jedynie pół godziny, a wychodzisz jak nowo narodzona. Trochę chce ci się pić, ale to nie jest ważne. Seks, mówię ci, jak nam po tym seks wychodzi! Dawno nie miałam takich orgazmów. Jakbym eksplodowała. Jeszcze teraz czuję to podniecenie.

„Seks...” – myślałam po wyjściu Kingi. No cóż, nigdy nie byłam orłem w tym temacie. Ani tym bardziej Boguś. Już wspominałam, że zrezygnowaliśmy. A może warto coś jeszcze odtworzyć? Doznać jakiejś kompatybilności, choćby seksualnej? Bądź się znowu rozczarować...

Te dwieście złotych to dużo kasy. Dwieście za mnie, dwieście za Bogusia, bo i jemu by się przydał taki drenaż – wyhodował sobie olbrzymie i ruszające się brzuszysko. Prawie jak łóżko wodne. Tak, jego też musiałabym w to włączyć, by nie pomyślał, że mam kochanka, skoro ostatnie pieniądze wydaję na bzdety zamiast na utrzymanie rodziny jak każda przyzwoita kobieta. Nie, nie i jeszcze raz nie! Inkasent jest ważny. Co na to powiedziałyby Krysta? Poza tym – po co mi to? W tym wieku się modelować? W mojej rodzinie, nawet dalszej, nie było takich przypadków! Że fryzjer by się przydał, to fakt. „OK – negocjowałam z samą sobą. – Gdy za dwa dni wpłynie ochłap z Mieteksu, udam się do osiedlowego”.

Zbliżał się wieczór... Nie, to chmura deszczowa powodowała ten mrok. „To dobrze, że nie śnieg” – pomyślałam, bo po mroźnych dniach na początku marca trawa zaczęła się zielenić i pokazały się pierwsze kwiaty. Bardzo często powracałam myślami do czasu, gdy wróciłam tutaj, do pustego po śmierci ojca domu, po to tylko, żeby przekopać ogród i zasiać trawę przed zimą. Babcia Krysta rokowała dobrze, jakby miłością przywoływała...

Była późna jesień, zaczął padać zimny deszcz, który zamieniał ogród w błotny ugór, a ubranie, w którym pracowałam, w zimne, mokre i nieprzyjemne łachmany. „Dam radę – myślałam przemoknięta. – To nic, że sama”. I dałam radę! Nie ma szczęścia zupełnego – pocieszałam samą siebie. Tylko czasem

przemykało mi przez głowę, że kiedyś wszystko się wreszcie poukłada. Posklejam w końcu tę rodzinę. Przekonam ich do siebie. Staniemy się sobie bliscy. Bo jedynie rodzina daje siłę i wewnętrzny spokój. Dopiero wtedy mogłabym odkryć siebie na nowo, nareszcie poczuć swoją obecność.

Pełną obecność. Ciałem i wszystkimi pochodnymi. Bo spokój to cisza, a cisza to obecność. Teraz wokół mnie jest zgiełk, w nim zaś czai się samotność...

Lichotki na głowie

Było to tydzień później. Ósma rano, ziąb na dworze, niby kwiecień, a pogoda zupełnie jak pod koniec listopada. Firma była zamknięta, chipa przykładałam do zamka kilka razy, ale nic to nie dało. Drzwi pozostawały zamknięte na klucz. Kolesia z administracji miało dzisiaj nie być, no cóż, on zwykle te wrota otwierał. Bernard miał przyjechać później, zresztą ponoć zgubił klucze. Dojeżdżał już Tomek, a za nim swoim peugeotem powoli sunął Fredek. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szła Czesia, nasza sekretarka. Jej rude poncho i blond loki rozwiewały się jak wierzba płacząca na wietrze. Czesia nie była już młoda, ale widać ją było z daleka. Nie wstydziła się siebie. Zupełnie nie. Potrafiła szokować. Jaskrawoczerwona pomadka jeszcze bardziej uatrakcyjniała jej upierzenie. Też bym chciała być atrakcyjna. Też chciałabym się wyróżniać! No ale... życie wyrzyło na mej twarzy głęboki ślad tęsknoty za kolorem.

Chwilę potem staliśmy już wszyscy przed drzwiami i naradzaliśmy się, co dalej robić z tym zamkniętym fantem.

– Trzeba zadzwonić do Jęchorka, bo nie ma nikogo innego z kluczem. – Tomek miał telefon służbowy, ale przecież nie będzie się wychylał. Spoglądał wyczekująco na Fredka. Tomek był szarym trybikiem w maszynarii pod tytułem Mieteks. Nikt o nim nic nie wiedział, a on sam nikomu się z niczym nie narzucał. Byli tacy, co mawiali, że preferuje chłopców. Ale ja nie dociekałam.

Spojrzałam na Fredka, a on zerkał na mnie, pocierając swoją łysą główkę. Z natury całkiem łysy nie był, ale odkąd go znam, miał zakola i wielką, nieporosłą włosami polanę z tyłu głowy. Młody był, przed trzydziestką jeszcze, fryzura na pożyczkę absolutnie nie wchodziła w rachubę, to zsiekł wieniec jasnych rzadkich włosów porosłych dookoła głowy. Wstrzelił się na szczęście w czas łysych. Moda mu sprzyjała. Zawsze odziewał się w bardzo eleganckie garnitury, czym drażnił niechlujnego Jęchorka i nieprzejawiającego elegancji w ubiorze (w przeciwieństwie do swojej żony) Rafała.

– To kto zadzwoni? Aż strach. Boss pewnie jeszcze śpi – spytałam nie tyle z ciekawości, ale by wywołać jakąś reakcję i inwencję twórczą. Po co ja mam wybiegać przed szereg?

– Zadzwonię, niech będzie. Jak mnie wypieprzy, będziecie się składać na zasiłek – powiedział Fredek z telefonem przy uchu. – Nie odbiera! Głupi nie jest. Widzi, że to ja, Fredek, zwykły firmowy sierściuch, znowu mu zawracam dupę, więc ma to w nosie. Przyjdzie nam sterczeć na tym zimnie, aż się wyśpi. Kapitalista jeden!

– No dobra, spróbuję, mój numer się nie wyświetla, może odbierze. – Drżącymi palcami wystukiwałam cyfry na klawiaturze. – Halo, szefie, nie obudziłam?

Jęchorek zaskoczył mnie, odebrał od razu.

– Skądże, co też pani wymyśliła? – warknął. – Już od piątej jestem na terenie firmy. Zaraz tam u was będę.

– Powiedział, że zaraz będzie, bo jest od piątej rano gdzieś tutaj – relacjonowałam kolegom. – Ciekawe zresztą gdzie – dodałam z powątpiewaniem w głosie. Wiedziałam, że Jęchorek jest mistrzem kamuflażu. Ale nigdy jeszcze na mnie tak nie warknął. Jakbym zwrotem: „nie obudziłam?” dobrała się do jego najbardziej zakamuflowanych kompleksów i tym samym wytrąciła mu berło z ręki. On musiał być silny! Słaby facet w ręce nie trzyma nic. Co najwyżej puszkę z piwem! Albo puszkę z piwem plus pilot.

– Nic, tylko muszę wreszcie tę Babę-Jagę dla pani kupić! Jęchorka pani wybudziła. – Czesia roześmiała się.

„Dla mnie Babę-Jagę?” – pomyślałam. Dla mnie, oazy spokoju? Krętacz upatruje krętacza w drugim,

nie w sobie, złodziej zawsze widzi wokół samych złodziei, awanturnik o kłótniwość na pewno oskarży spokojniejszego od siebie. A złośliwa Czesia Babę-Jagę zamierza przekazać w najmniej właściwe ręce!

– Bacia, tylko nie stój twarzą do bramy wjazdowej, bo gdy w końcu się zdecyduje i będzie wjeżdżał, zobaczy, że zauważyłaś, że dopiero teraz z chaty do firmy przyjeżdża – szepnął mi do ucha Tomek.

To mnie zaskoczył!

– Skąd wiesz?

– Kiedy przejeżdżałem obok jego pałacu, widziałem, że jego bryka stoi jeszcze przed bramą. Na sto procent zasnął. Ciekawe tylko po czym, bo ostatnio wcale się nie przemęcza. Ma przecież nas, którzy dobrobyt mu na barach wnosimy.

„No tak – pomyślałam. – Udaje wielce zapracowanego, żeby było, że to on na nas pracuje, a nie my na niego”.

– Trzeba założyć związki zawodowe w Mieteksie. Ze Śniadkiem warto by się dogadać – włączył się Fredek.

– A dla Beci koniecznie kupić Babę-Jagę! – Czesia znowu zachichotała.

Po dziewięciu godzinach, wracając z Mieteksu do domu, uznałam, że nadszedł czas na osobiste porządki. Wiosna wymusza wietrzenie wszystkiego. Co roku jest podobnie. Najpierw na sznurach za domem wywieszam wysłużone kołdry. Następnie dokładnie je trzepię. Potem koce i pledy. Trzepię. Na końcu psie legowisko z baraniej skóry. Kurzu z niego leci tyle, ile pyłów podczas wybuchu wulkanu Krakatau. Zimowe płaszcze i buty wynoszę do piwnicy. Wstawiam do seledynowej szafki, ongiś kuchennej. Na końcu wietrzę własny łeb. Tej wiosny było podobnie. Wysiadłam, zupełnie ad hoc, przystanek wcześniej z zamiarem dotarcia do fryzjera.

– Mamo, gdzie jesteś?

– U fryzjera Teodora.

– Gdzie? Przecież on cię obetnie jak od garnka! Zainwestuj wreszcie w markowego fryzjera na mieście. Ale twoja wola. Mogę cię odebrać. Chcesz? – zapytał mnie telefonicznie Marcin, gdy wreszcie usadowiłam się na fotelu w osiedlowym salonie fryzur.

Marcin od pół roku miał prawo jazdy. Miesiąc temu zaś, czyli kiedy zatrudnił się na ćwiartkę etatu w firmie reklamowej, dostał samochód. Najlepszy i najbardziej luksusowy środek lokomocji. Do tego darmowy. Bo służbowy. Czasem lubił mnie gdzieś podwieźć. „Podwieźć” – to słowo nie opisuje w pełni czynności Marcina. Miał przy tym niezły ubaw! Niestety – moim kosztem. Marcin też „miał mnie”, jednak jemu służyłam do dostarczania innych nieco wrażeń. Kolekcjonował moje dziwne zachowania! Wyglupiał się za kierownicą, puszczał głośno muzykę, jechał slalomem, potem ostro hamował albo zajeżdżał innym drogę. Straszyl mnie. Miał wielką radość, gdy krzyczałam. Albo zaczynałam płakać. Wcale nie przestawał. Miał mnie! „On na pewno mnie nie skrzywdzi! To mnie tylko może wzmocnić” – myślałam wtedy, zaciskając ręce na brzegu samochodowego fotela. A w rzeczywistości mówiłam sobie: „Na pewno nigdy nie usiądę za kierownicą, skoro po ulicach mojego miasta jeździ tylu nieobliczalnych kierowców! Nie i już!”.

No więc siedziałam w zakładzie fryzjerskim, w którym od lat nic się nie zmieniło. Bo i po co? Klientela okoliczna starzała się wraz z salonem. I równocześnie z Teodorem. Śmierdziało płynem do trwałej ondulacji starego typu. Wdowia i babciowa fryzura nie zakładała zmian. Loczki, loczki i jeszcze raz loczki – to hasło mogłoby wisieć na bannerze przed przybytkiem Teodora.

Spojrzałam w lustro, ale tylko na chwilę. Moje jasne włosy odginały się na zewnątrz, co sprawiało, że wyglądały jak łan przejrzałego żyta po tornado. Smętnie i niejednoznacznie jak ja cała. Ale Teodor zawsze strzygł mi je w podobny sposób. I zawsze, przy każdej następnej wizycie dziwił się, jak mógł mi je ktoś tak postrzępić. Tracił już pamięć, prawdopodobnie.

– Ojej, kto pani zaaplikował tę cytrynę? Po co cieniować tak rzadkie włosy?! Jakie pani sobie życzy

uczesanko? Ścinanko też będzie? – Teodor był fryzjerem osiedlowym od zawsze.

– Kolor platynowy chyba bym chciała i skrócić pewnie też by wypadało. Zresztą, zdaję się na pana doświadczenie.

Według mnie mojej urody nie była w stanie poprawić żadna fryzura. Twarz najpierw powinnam zmienić, potem włosy. Właściwie całą głowę mam do wymiany. Dwie bruzdy idące od wargi w dół powinny skłonić państwo polskie do przyznania mi ulgi w rocznym Picie. Ale nie tylko to – ciało również szło sobie tylko znaną, błędną drogą.

– Podetniemy je mocniej. Wymodelujemy i damy na żelik. Lichotki te włosięta, ubóstwo, oj, ubóstwo, podtapirować trzeba będzie... Dam dużo lakieru, żeby udało się spanko w tej fryzurze. – Teodor długim wąskim grzebieniem sprawdzał stan skorupy na mojej głowie.

Przeczesać się natychmiast – taki teraz miałam przymus. Bezzwłocznie poprawić fryzjera. Płacąc, natychmiast rozwiązać kontrakt z Teodorem. Dlaczego niektórzy mówią, że u fryzjera się relaksują? Ja nie. Nie patrzeć w lustro – dla mnie to było teraz największym priorytetem. Zapłacić, a potem natychmiast wyjść z zakładu i szybko dotrzeć do domu.

Uff, wypadłam wreszcie z zakładu. „Synek słowny jest, czeka już biedaczek w samochodziku przed zakładzikiem” – myślałam zdobnie, bezwiednie naśladowując styl osiedlowego fryzjera. Najchętniej schowałabym łeb w wielką plastikową reklamówkę. Teodor zawsze robił mi taki kaczy kuper. Ale nie zdierał przynajmniej kasy! A ja oszczędna jestem... Prędko się pożegnałam.

– Pokaż, co tam ci zrobili. – W oczach Marcinka na pewno nie znalazłam aprobaty. Choć muszę się przyznać, że właśnie akceptacji w nich teraz szukałam.

„Co tam – myślałam, gramoląc się na przednie siedzenie. – Gdy tylko wpadnę do domu, przeczese się po swojemu. Nie mam odrostu, hurra! To najważniejsze!”

– O kurka! Jaki fryz! Mamo, uważaj, bo mi tą spiczastą fryzurą tapicerkę w suficie przebijesz!

A szlag by trafił te wszystkie kociska!

– A szlag by trafił te wszystkie kociska! – wrzeszczałam w drugim tygodniu kwietnia. Bo z okna łazienki dostrzegłam znowu wielkiego rudego kocura. Kilka miesięcy temu upodobał sobie ogromny kamień nad naszym oczkiem wodnym, skąd śledził moje śliczne, maleńkie rybki. Nie było dnia, żebym ich nie przeliczała. Rachowałam i rachowałam, bo zdawało mi się, że znowu jakaś ubyla.

Tamtego dnia też zajął swoje ulubione miejsce. Siedział nieruchomo jak drewniany dziad, cały nastroszony, jedną rudą łapę miał przyczajoną blisko lustro wody, drugą wbił w korzeń miniaturki cedru i w tej pozie czatował na swoje ofiary. Wiele razy w czasie tych „polowań” stratował trawę pampasową. Poza tym nie tylko on szkodził. Na trawniku królowały krecie kopce. Tak było też w tamtą środę.

Dzień później zaś, wcześniej rano, Zośka, koleżanka, która onegdaj się do mnie dratwą przyszyła, przywiozła nam swojego zwierza na przechówek. Rasowy potwór, to co miałam zrobić? Zośka uznała, że jej kot jest na tyle dobrze ułożony, że naszego psa drażnić nie będzie. Szepnęła mi, iż bardziej obawia się o Bogusia. Nie znosiła go od zawsze. Czyli długo, bo znamy się jeszcze ze studiów. Ale nie jest to dla mnie bliska znajomość. Ot, luźna raczej, jak kopczyk z gałązek gruszy w naszym ogrodzie.

Zośka wyglądała, jakby uciekła krasnoludkom. Zawsze była moim przeciwieństwem. Ona mała – ja wysoka, ona drobna – ja właścicielka dorodnej figury, ona kolorowa – ja szara. Ciemnowłosa – ja blond. Odważna – ja tchórz. Rozpalona – ja sopel. I to jeszcze nie byłby koniec tej wymienianki... Być może chciałabym tak jak ona umieć to i tamto, ale... miałam Bogusia. Zośka była niewątpliwie radykałem w podejściu do facetów. „Na mój lep zawsze się jakiś truteń skusi” – to było jej ulubione hasło. I drugie, w zasadzie jej życiowe credo: „Facet musi mieć swoją historię!”. W tym mieściła się też historia przestępcza! Wolałam nie myśleć o jej kochankach! Ani nawet nie wiedzieć! Zośka, podobnie jak Kinga, zawsze próbowała mi coś o sobie opowiadać. Ale tym razem, gdy tylko usłyszałam, że ją bardzo, ale to bardzo podnieca seks w stanie zagrożenia, bardzo stanowczo powstrzymałam jej zwierzenia.

Móc komuś coś przekazać! Mieć kogoś, na kim można zawiesić swoje wątpliwości. Wreszcie mieć taką osobę, na której można się oprzeć! To były jedne z największych życiowych pragnień kobiet, które znałam. Łącznie z kobietą pod tytułem „Becia”. Tak sobie czasem przemyślałam. Lekko, niezobowiązująco, ot, tak dla odświeżenia myśli. Po głębszym zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że Zośka konfabuluje. Krysta, która zawsze z okna obserwowała okolicę, nie zostawiła na mojej drobnej znajomej suchej nitki! No cóż! Często jest tak, że ludzie wiedzą o kimś więcej niż on sam.

Zośka zawodowo była nauczycielką pierwszych klas.

Wracając do tematu. Przywiozła tego kota, a ja nigdy nie mówię: „nie”. Poza tym rozumiałam ją bardzo dobrze, nie miała alternatywy, musiała wyjechać – sprawa życia i śmierci (konkretnie śmierci jej związku z największym kloszardem, jakiego dane mi było znać osobiście), a w sądzie niewątpliwie powinna być bez kota.

Szaki oka z intruza nie spuszczał, kot cały się trząsł i zaraz się zaszył w stercie kabli pod moim biurkiem. Boguś dostał zadanie pilnowania spokoju ogniska domowego i jakoś nad tym zwierzyńcem zapanował. Jedynie postukał się w głowę, że mam niby jakiś problem z prawidłowym myśleniem. Krysta tradycyjnie rozpoczęła lamenty, czy aby to kocisko nie podrapie jej psa. Na wszelki wypadek zamknęła rozjuszonego Szakiego w centrum, nie zważając na to, że w drzwiach postanowił wydrapać dziurę. Pazury zasuwały po laminowanej drzwiowej płycie szybciej niż kiedyś nogi Szewińskiej na setkę. No właśnie. Jak można mieć aż tak egoistyczne myśli à propos gryzonia? Bo mogło przecież być odwrotnie.

Czmychnęłam prędko do firmy, odprowadzana wściekłym szczekaniem naszego wilkołaka,

nieśmiałym pomiaukiwaniem kota Zośki, gromkimi okrzykami Bogusia w rodzaju: „cicho!” i głośnym gderaniem Krysty, że drugiego takiego głupka jak ja to ona nie zna i że mogłabym się zastanowić, a nie tak beztriosko zostawiać ich samych z niesamowicie wielkim kłopotem. Ciekawe, co znowu można do nocy robić poza domem. Ona ponoć dobrze wie!

No i wróciłam pod wieczór. Już zapomniałam, że przecież opiekuję się kotem, beztriosko więc otwarłam drzwi na oścież, a tutaj coś z piskiem czmychnęło między moimi nogami. Kot. Uciekł. A za nim pies. Omal mnie nie przewrócił. O nieba! Przecież taki kot ze dwa tysiące kosztuje na dzień dobry! I gdzie go mamy teraz po nocy szukać? Jeszcze jakieś obce psisko go zagryzie albo, na nasze finansowe nieszczęście, własne. Psisko, rzecz jasna. I finansowe nieszczęście też. Boguś wziął jednak sprawę na siebie. Rzucił w moją stronę słowo, którego ja na pewno wstydziłabym się użyć w stosunku do kogokolwiek, nawet w myślach. Latarkę pochwycił w rękę i oddalił się szukać kota w egipskich ciemnościach ogrodu. Szaki też nie dawał znaku życia, znikł w czeluściach rosochatego drzewostanu. Na chwilę jeszcze mignął mi w krzakach jego ogon, ale potem pies przepadł jak kamień w wodę.

– Bronisław, Bronisław! – pobrzmiwało po ogrodzie. Boguś nawoływał coraz głośniej.

Jak można dać kotu takie ludzkie imię?! Może właśnie z powodu tego imienia mąż Zośki nie wytrzymał i zasilił kloszardzi i żebraczy stan, a ona biedna musi teraz do młodszego i często przestępczego zbioru sięgać? Filemon jest ładnie, Bonifacy też może być. Mopsik, Mruczek albo Buczek. Dropsik czy Gucio. Ale Bronisław?! To przecież bardzo ludzkie miano jest.

Tak właśnie było na imię mojemu nieżyjącemu już ojcu!

– Bronisław, Bronisław – dobiegało z ciemnego ogrodu. Snop światła z latarki myszkował po kniejach. Ja z okna zarządzałam całą sytuacją. Z nerwów obgryzałam paznokcie, bo wiadomo, te dwa tysiące tłukły mi się po głowie. Nagle zdałam sobie sprawę z absurdalności tego, co się dzieje. Co sobie pomyślą sąsiedzi?! Że Boguś sfiksował, chodzi z latarką po ciemnym ogrodzie i woła mojego ojca nieboszczyka!

– Ciii – zasyczałam z okna. Boguś nic, dalej nawoływał Bronisława! Wysłałam na dwór, by jak najszybciej zatuszować całą tę historię. Tym bardziej, że w oknie sąsiadów z drugiej strony ulicy nagle zrobiło się ciemno i poruszyła się zasłonka. Chciałam się zapaść pod ziemię z tej kulminacji wstydu.

(Tak. Wstyd mi przed wszystkimi. Rodziny się wstydzę, tego, że mamy chore relacje, się wstydzę. Że nie jestem choć trochę atrakcyjna – też się bardzo wstydzę. Generalnie poczucie wstydu prawie nigdy mnie nie opuszcza.)

I wtedy go dostrzegłam. Bronisław siedział mniej więcej na środku wielkiego, lekko pozieleniałego modrzewia, obok wejścia do domu. Małeńki, ciemnoszary, trzęsący się kotek. Przywarł kurczowo łapkami do suchej, prawie gołej jeszcze gałęzi i smutnymi ślepkami błagalnie patrzył na mnie. Pod drzewem stał na straży wyraźnie podekscytowany Szaki i warczał.

– A szlag by trafił te wszystkie kociska! – wrzeszczał po chwili Boguś z ostatniego szczebla drabiny. Na głowie zrobiła mu się lwia grzywa albo szopa Hendriksa, jak kto woli. Rękę miał zakrwawioną, trzymał w niej kota, a ten się wyrywał i potwornie miauczał.

– A ty... – Zwrócił twarz w moją stronę. – Kup sobie wreszcie pukawkę czołową! I dla twojej matki przy okazji. Dla niej dwie! Zapomniałbym, zaschniętej Zośce też podaruj!

Przyjeżdżam. Gotuj pierogi

Było to dwa dni później. Rano, wychodząc z domu, zawsze miałam jedną, taką samą myśl. Że po moim i Marcina wyjściu w tych starych, napęczniałych wilgocią i niechęcią murach zalega głucha cisza. Że wtedy dom wygląda jak przystań po sezonie. Krysta siedzi w szufladzie (bo kiedy nie może mną zarządzać ani – co częstsze – pomiatać, jej pokój nabiera właśnie takiej funkcji), pies leży przed drzwiami. Pewnie otrząsa się, a wówczas z jego kudłów dobywają się kłęby kurzu. Boguś też jest znakomicie wpasowany w ten scenariusz. A może nawet go moderuje!

Ale tamtego dnia na pewno było inaczej. Boguś zajął się nadzorem, Krysta udawaniem umierania, a pies skupił się na pomrukiwaniu i poszczekiwaniu, bo na naszym dachu zaczynali grasować robotnicy. Zrywać papę miała ekipa dachowców z właścicielem firmy, nie lada przystojniaczkiem w czerwonej koszuli. To był dopiero początek.

Oczyma wyobraźni widziałam ten obraz. Jak pokruszone, porwane, zmurszałe resztki dachu spadają na śliczny wczesnowiosenną barwą trawnik. Bezczelnie gniotą maleńkie źdźbła trawy nieśmiało wyglądającej na świat. Zaburzają moją radość z wiosny. Ten dach był kilkakrotnie łatany, ale i tak przeciekał. Wilgotne plamy na suficie już się zaczęły robić ciemne. Jeśli fachowcy zdejmą papę, pozostaniemy bez ochrony przed deszczem.

Pod wieczór wróciłam do domu. Na dachu nie było widać żadnego postępu, za to Boguś szalał. Ponownie urządził jakąś demonstrację, z szaf wyrzucał ubrania. Wzruszyłam ramionami. Chyba nie rozumiem jego świata. Są ludzie, którzy podobno robią porządek przez wyrzucanie wszystkiego na środek. To przecież papudraki jakieś są... Dzieło od tyłu zaczynają. Ale domowy nieudacznik absolutnie nie miał zamiaru niczego porządkować. I nadal opróżniał szafę.

– Tobie nie można dać niczego do prania! Gdzie jest moja koszula flanelowa i skarpety frotté? – wrzeszczał.

– Która?

– Bordowa. I białe skarpety z zielonymi paskami.

Zdenerwowałam się, bo nie znosiłam krzyku. Czy raczej – zwyczajnie się go bałam. Dobrze odbierałam wyłącznie spokojne i konstruktywne rozmowy. Zatem i tym razem nic nie odpowiedziałam, bo moja odpowiedź nie przypadłaby mu do gustu. No cóż – nienawidziłam tej obleśnej koszuli, nie znosiłam, kiedy przebierał się za robotnika. Znajdował upodlające mnie zadowolenie we wszystkim, co obskurne. Tworzył bylejakość. A skarpety, które miały po dwie duże dziury, to była jego następna maskarada. Kiedy o tym pomyślałam, chciało mi się wymiotować.

Poszłam nalać sobie wody. Po jakimś czasie ochłonęłam. Już miałam powiedzieć, co myślę o takim nieszanowaniu mojej osoby (bo kto to wszystko znowu poukłada w szafie?), ale w tym momencie zadzwonił telefon.

– Mamka, będę jutro. Mam spotkanie służbowe, a na wieczór umówiłem się z kolegami w pubie, więc u was się tylko trochę prześpię. Gotuj pierogi.

– No, zawsze to coś. Nie możesz zostać dłużej? – spytałam bez większych nadziei, że odpowie twierdząco.

To Krzysiek, starszy synek, stłamszony przez zaborczą żonę. Odwiedzi mamusię. Uda mu się wyrwać choć na chwilę do swojego domku! Może mamuśka wreszcie będzie mogła poradzić się syneczka w sprawach zawodowych. W końcu jest uznanym doradcą personalnym!

Zapomniałam o Bogusiu. Mechanicznie wrzucałam jego łachy do szafy. W pośpiechu, bo przecież –

pełna mobilizacja! Nadciągał wielki dzień! Zakupy, smażenie, gotowanie, prasowanie obrusów i pościeli. Takiej z ozdobnym haftem, odświętnej. Synek nie może poczuć, że jest mi bardzo ciężko. Taka ze mnie matka Polka, gotowa na wszystko dla swoich ukochanych dzieci.

Boguś oglądał telewizję w salonie dla ubogich, Babcia Krysta to samo, tyle że w swoim „apartamencie”. Pełna stereofonia dudniła w domu, na ekranach gościł któryś z popularnych tasiemców, *Klan* albo *Barwy szczęścia* – chyba. No cóż, szczęście to tylko on i ona mają... Niczym się nie przejmują i żyją z dnia na dzień, totalna bez troska. Jakoś dałam radę ogarnąć wszystko, choć ledwie trzymałam się na nogach.

Następnego dnia wieczorem na piecu nadal stała nietknięta, gotowa do podgrzania, ulubiona zapiekanka syna, do tego ciasta – dwa rodzaje, stół uszykowany jak na święta. Chodziłam niespokojnie od drzwi do okna dobrych parę godzin, bo gdy spojrzałam na zegarek, było już przed piątą. A jego nie ma! Nie dzwonił ani nie SMS-ował... Na pewno coś się stało! Gdzie moja komórka? Jest – wyczułam ją pod palcami. Nie zapalając światła, cicho, bez kapci, na palcach podreptałam do łazienki. Stamtąd zadzwonię. O nie, znów nie zabrałam ze sobą okularów! No nic, przecież nie będę wracać do pokoju, bo obudzę Bogusia, a on narobi hałasu. Jeszcze Babcie obudzi i dopiero będzie afera. Swoją drogą, nie znosiłam jego głosu. Nie wiem, czy to przez papierosy, czy przez to, że był nerwowy, ale w jego głosie pojawiały się ostre, drażniące ucho chroboty, które budziły we mnie lęk i obrzydzenie jednocześnie.

Będąc już w łazience, uniosłam kłapkę telefonu. „Krzysiek kom.” – szukałam, przewijając spis telefonów i odsuwając od siebie aparat, jak mogłam najdalej.

Tak, to chyba ten numer.

Wcisnęłam, co trzeba, po chwili usłyszałam w słuchawce damski głos. „Coś się stało” – pomyślałam w panice. Trzęsącym się głosem wydukałam:

– Zastałam Krzyśka?

– Beta? Krzysiek u was przecież jest. Nie ma go? – mówił zaspany, damski głos. Cholera! Ten głos. Znałam go. Należał niewątpliwie do mojej synowej!

– Tak, tak, jest. Oczywiście. Śpij, śpij słodziutko, Kasiu, musiałam się pomylić. Coś mi się widocznie przyśniło.

No pewnie, że się pomyliłam, bo to było „Krzysiek dom”! Zupełnie zagmatwałam sytuację! Wkopałam mojego biedaczka przed żoną, zaborczą i nietolerancyjną kobietą. Szybko zakończyłam połączenie i właśnie wtedy zza okna dobiegł dźwięk podjeżdżającego samochodu. Przez firankę dojrzałam Krzyśka wysiadającego z taksówki. Uff, nareszcie! Zdążę go uprzedzić.

– Ciiii, bo Babcia Krysta... Gdzieś ty był? – zapytałam, gdy pojawił się w wejściu. Stałam tuż za drzwiami w zupełnych ciemnościach, ubrana tylko w cienką białą koszulę w niebieskie kwiatki. Długą, do kostek. Czulałam, że pod moimi bosymi stopami ruszają się klepki z mozaiki parkietowej.

– O Jezu! Mamo, co się tak czaisz za tymi drzwiami po nocy? Chcesz, żeby mi serce wysiadło?! Przestraszyłaś mnie! O tej porze porządne kobiety w twoim wieku śpią! Albo szykują się na roraty!

– Stało się coś strasznego! – szeptałam gorączkowo. – Pomyliłam się, zamiast zadzwonić na twoją komórke, zadzwoniłam do waszego domu. Proszę cię, skontaktuj się z Kaśką.

– No coś ty? I co ja jej powiem? O, masz, właśnie dzwoni. Musiałaś Kaśkę denerwować? – Krzysiek wyciągnął z kieszeni telefon i zaraz przybrał potulny ton.

– Jak to, Kasienko, gdzie jestem? Śpię sobie w łóżku w domu rodziców. Nie, nie, może mamie się coś przyśniło. Nie wiesz, jaka ostatnio jest zakręcona z powodu ojca? Jak chcesz, to ją obudzę. Porozmawiacie sobie...

Słowa mają dziwną moc

Kilka dni później byłam u Kingi, która zaprosiła mnie na pierogi, tak bez okazji. Zamiast zapłaty za usługi zapewne. A może miała chandrę, w końcu prowadzi te swoje biznesy, jest kryzys, kiepsciutko, wszyscy ubolewają, a ona – jako przedstawicielka klasycznej warstwy średniej z aspiracjami, by należeć do wyższej – jest przecież kręgosłupem polskiej gospodarki. Myślałam o niej w ten sposób bez żadnej ironii.

Jaka jest Kinga, każdy wie, ale ja, ze swoimi masochistycznymi skłonnościami, czasem odbierałam ją jako swojego coacha, kogoś w rodzaju osobistego trenera duchowego, bo nie mogę jej nazwać psychoterapeutką. Porad i terapii dobrego psychologa to i ona czasem wymaga. Wtedy jestem ja. Wzywa mnie do siebie, nastawia zdartą płytę Cohena i słucham jej opowieści. Ekshibicjonizm na klatkę przyjmuję. Na przykład zwierzenia o czterdziestoparoletnim ogierze, którego podobno uwiodła. To był ponoć uciekający w seks prezes salonu samochodowego, będący w finansowych tarapatkach. Już wiem, jak się pieprzą (ona twierdzi, że kochają), ile razy, jak mokre ma orgazmy. I co robi z pościelą „po”. Mówi mi o swoim uczuciu i jego miłości do niej też, ale nie wydaje mi się, że to prawda. Nie sądzę, żeby w repertuarze uczuć tego mięśniaka, a jednocześnie prężnego do niedawna gracza z samochodowego rynku, było miejsce na miłość, w dodatku do o pięć lat starszej kobiety.

Zresztą, miłość – cóż to jest? Przerекlamowane monstrum, zawsze doprowadzające do stanu nierównowagi. Tak. Ja kocham mniej albo on kocha mniej, nadchodzi czas licytacji. Albo rezygnacji, jak u mnie. Poczucie rezygnacji jest stanem emocjonalnie bardzo bezpiecznym pod warunkiem, że jest się gotowym na własny niebyt. Ja wtedy byłam skondensowanym niebytem.

Wracając do Kingi, chyba mogłabym uznać ją za swojego życiowego doradcę, kreatora kariery osobistej tudzież moderatora mojego życia. Bo Kinga mną wstrząsa. Czasem daje mi moc, gdy uważa, że nie jest jeszcze ze mną bardzo źle, tylko najpierw wysyła mnie do fryzjera – wiadomo, nie powinnam oszczędzać na włosach, bo przeszczepy na razie należą do rzadkości. No i kosmetyczne egzorcyzmy mi doradza, w pierwszej kolejności odsysanie tłuszczu, te rzeczy i modelowanie brzucha, potem wizażystka. Gdy trochę się nasłucham o nowinkach, to i ochota mi przychodzi, żeby coś zmienić. Czyli chyba faktycznie nie jest jeszcze ze mną tak źle. Kinga twierdzi, że jestem zupełnie normalna, tyle że funkcjonuję w nienormalnym świecie i w rozpieszczonym gronie. Ponadto mam w sobie za dużo dobroci (czytaj: naiwności i uciążliwej dla samej siebie głupoty), a co za tym idzie – daję przyzwolenie uczuciowym manipulantom (z tym jednak nie potrafię się zgodzić). Według niej utknęłam w matni, przystałam na taki wariant spędzania życia, powiedziałam sobie: „pas” i poszłam w niesłuszną rezygnację. No cóż, może Kinga ma rację, że tylko rozbestwiam swoich – pozał się, Boże – bliskich. Daj palec, a wezmą ci całą rękę, i tak dalej.

Jednak tego dnia obyło się bez powyższych mądrości. Kinga była wyraźnie nie w sosie, jakaś taka przygaszona, niczego specjalnego mi nie zarzuciła. Dała te obiecane pierogi i kielich czerwonego wina, jak zawsze. Nawet poczułam się rozczarowana, bo to jest bardzo doświadczona kobieta, a od takiej przyjmie się każdą krytykę. Zresztą, do krytyki nawykłam. Miałam przecucie, że tym razem to ona chce sobie coś zarzucić, coś opowiedzieć. Ponadto przyjęła mnie w małym pokoju, skąd jej były mąż nadal nie zabrał wszystkich swoich rzeczy.

– To jest zwyczajne samcze pieczętowanie terenu, żeby na starość mógł wrócić – wściekała się kiedyś.

Zawsze mi się ten pokój podobał, męża Kingi też lubiłam, ale ponoć do siebie nie pasowali.

Dorośle dzieci się wyprowadziły, a ich zaskoczyło uciążliwe sam na sam. Czas leciał, a Kinga chciała zaznać nowych doświadczeń. Mąż się wyprowadził, z tego, co wiem, jest nadal sam, czeka, aż Kinga wróci do podstaw. Czyli do tego, co ich kiedyś łączyło. (Niektóre pary eksperymentują, inne często dokonują autodestrukcji, chociaż z powodzeniem mogłyby swój związek poddać renowacji. A nawet bardziej odważnej ewolucji. Ja to wszystko znakomicie wiedziałam, ale... moje życie składało się wyłącznie z aktów renowacji własnej osoby. Zazdrościłam Kingce odwagi i woli działania.)

Miałam nieodparte wrażenie, jakby czegoś w tym gabinecie brakowało. Rozglądałam się uważnie, rejestrując wzrokiem książki i różne bibeloty: strzemień i siodło końskie wisiały przy drzwiach jak zwykle, tam-tam też stał na swoim miejscu, w kącie znajdowała się harmonia (notabene starsza od nas dwóch razem), skrzypce z dziewiętnastego wieku wisiały na ścianie...

A jednak coś było nie tak.

Kinga milczała, skubiąc frędzelki obrusa. Oczy miała skierowane w dół. Ocknęła się dopiero, gdy wodząc wzrokiem po podłodze, dostrzegła moje buty. Wtedy westchnęła i powiedziała tonem zupełnie niepodobnym do jej zwykłej intonacji:

– Cóżże ty włożyła! Te buciory są dłuższe niż butelka po francuskim merlocie! Ach, kobieto...

Potem jakoś się rozkręciła, znowu, po raz n-ty, snuła opowieść o seksie. Ale tym razem bez pikantnych szczegółów. Pomyślałam, czy nie należy zacząć się o nią martwić. Nie dlatego, że ubyłaby mi klientka, o nie, kiepski z niej był płatnik. Ale to w końcu też człowiek.

No cóż. Bardzo mnie to wszystko zaskoczyło. Bardzo, naprawdę. Już wychodziłam, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że przecież nie widziałam jej kotki! To dziwne, że o niej zapomniałam. Koty wśród moich koleżanek były bardzo popularne. Rysowała się nawet pewna prawidłowość. Najpierw odchodził stary, czasem (jak w przypadku Zośki) patologiczny mąż, potem pojawiał się kot, a później wkraczał z pompą młodszy kochanek. Według Bogusia – kolejny jelen z łapanki. Do dzielenia się dobrobytem. (Jakby zapomniał, że w naszym związku to nie on pełni rolę jelenia.) Po krótkim okresie euforii ów kochanek zniknął.

– A gdzie jest Madonna? – zainteresowałam się.

I wówczas się dowiedziałam! Madonna dzień wcześniej nagle i niespodziewanie zdechła.

O, Madonna! Słowa jednak mają bardzo dziwną moc...

Reforma Mieteksu

W drugiej połowie kwietnia roczne rozliczenia miałam już dawno za sobą. Do firmy przyjechałam godzinę wcześniej niż zwykle, bo miałam zamiar posegregować dokumenty, spiąć, zapakować w obwoluty archiwizacyjne, część przenieść do piwnicy, pozostałe dać na dolne półki. Lubiłam zapiąć wszystko na ostatni guzik, a potem zając się bieżącą pracą, miałam jej zwykle sporo. Na moim biurku leżały szare, archiwizacyjne teczki. Właśnie opisywałam je czarnym flamastrem i odkładałam na bok, kiedy zadzwonił telefon. Że mam zaraz zejść do szefa.

– Właściciele drugiej spółki mnie docenili i chcą, żebym był szefem rady nadzorczej. Zresztą sam też planowałem odejść od bieżącego zarządzania. Jestem Mieteksem bardzo zmęczony. Powinien mnie zastąpić ktoś młodszy, nowy... – Jęchorek zawsze był bezpośredni, można powiedzieć, że wiele lat współpracy stworzyło między nami pewien rodzaj zażyłości. A może zaufania. Przy czym bardziej mojego do niego niż odwrotnie.

W moim życiu generalnie brakowało wzajemności. Przykre to, nawet bardzo. Może na wzajemność trzeba sobie zasłużyć? Z Jęchorkiem było inaczej, zdarzało się, że często prosił mnie o opinię. Oj, to było coś. Bo wtedy ja – zwykła, szara księgowka – mogłam się pochwalić. Czym? Swoją wiedzą, kompetencjami, a może intuicją. Ktoś mnie wreszcie uważnie słuchał... Brałam głębszy oddech i robiłam minę niczym entuzjastka psychologii paschalnej (spotkałam kiedyś jedną taką, więc wiem, co mówię).

– Szefie, zawsze uważałam, bo tak czuję, że pan powinien zająć się tylko nadzorem. Od czasu do czasu sprawdzić wielkość sprzedaży (czy rośnie), koszty (czy nie zmiernają do przerostu) i czy wystarczy pieniędzy na zapłatę zobowiązań. O kontrakty powinien dbać ktoś inny – rozkręcałam się. – Tak intuicyjnie wyczuwam. Stagnacja jest jednocześnie cofaniem się. Za wszelką cenę nie możemy do tego dopuścić!

Zamilkłam gwałtownie. Zmieszałam się. Patrzyłam, jak przygarbiona sylwetka Jęchorka się prostuje, blada twarz ożywia. Blizna po operacji zajęczej wargi też zrobiła się płystsza... Zdziwiłam się, bo byłam pewna, że wygłaszam puste frazesy, coś, co jest powszechnie wiadome, jednym słowem – bzdety nadmuchane. Ale Jęchorek był zainteresowany. Wstał z krzesła, drapał się po czole i słuchał mojej klepaniny.

Ludzie często mają tendencję do pouczenia innych, nachalnie popisują się swoją wiedzą niezależnie od tego, czy ktoś jej pragnie, czy nie. Ja też nie jestem bez winy, czasem przyłapuję się na wygłaszaniu podobnych truizmów jak te dzisiejsze. Jednak – i to mnie zaskakiwało – Jęchorek szanował nasze rozmowy. Cieszył się, gdy udawało mi się coś sensownego powiedzieć. A jeśli jakiś mój pogląd sprawdził się w praktyce, to już w ogóle...

Dobrze jest spotykać ludzi słuchających. Bo według mnie (można się z tym nie zgodzić) społeczność dzieli się na słuchaczy i mówców. Generalnie wolę słuchać. Ale nie tym razem. Gadałam jak najęta. Trajkotałam, jakbym była topowym ekonomistą. Kobiety mają sporą intuicję, a pryncypał bardzo, ale to bardzo na niej polegał. Słuchał mnie uważnie, nie przerywał, kiwał głową, a po ostatnim zdaniu – zdawałoby się, kasandrycznym w swojej wymowie – wstał z fotela, by już za chwilę w zadumie kroczyć po pokoju. Jakby chciał wykrzesać z siebie pokłady energii albo jakby doznał olśnienia.

– No tak, święte słowa, stagnacja też jest cofaniem się, musimy działać. Tak, tak musimy! Wie pani co? Ale niech to będzie naszą tajemnicą. Pozostali współwłaściciele prosili mnie, żebym wskazał kogoś na swoje miejsce. Sam też głosowałem za tą uchwałą. Nie chciałym na tak wysokie stanowisko

proponować nikogo z zewnątrz. Myślałem, żeby powołać Bernarda.

– Bernarda?!

Dlaczego tak spontanicznie zareagowałam? Sama nie wiem. Zresztą pewnie nikt nie wie. Zazwyczaj się przecież nie wychyłam. Wydaje mi się, że wreszcie nauczyłam się mieć o kimś zawodowo niedobre zdanie. Znowu użyłam sformułowania: „Wydaje mi się”. Nie powinnam tak mówić. Ani nawet myśleć. Lepiej mówić, że wiem na pewno. Umacniam w ten sposób swoje ego. Wracając do tematu, wtedy zaoponowałam dość gwałtownie, przynajmniej jak na mnie. Bo we mnie jest coś takiego, że utożsamiam się z firmą, a Bernard mógł tę firmę położyć.

– Uważa pani, że jego nie? – Jęchorek był wyraźnie zaskoczony.

– Myślę, że Rafał byłby odpowiedni. Jest tuż po czterdziestce, robi jakieś podyplomówki z zarządzania, ma za sobą fizykę. Jest pragmatykiem. Firmie potrzebny jest teraz inny styl działania.

– O nim zupełnie nie pomyślałam. – Jęchorek drapał się po głowie. Chodził zamyślony po pokoju. Powoli podszedł do stołu, zapisał coś w notatniku, przeszedł jeszcze ze dwa razy pokój, potem zatrzymał się bez ruchu przy oknie. Długo nic nie mówił, po czym, po dłuższej chwili milczenia, rozsunął żaluzje i otworzył okno. Stał na tle szeroko otwartego okna, wciągnął powietrze. Potarł czoło, a potem się odwrócił. – Dziękuję, pani Beciu, przemyślę tę sugestię.

– Aha, zapomniałam. Czy mogłabym wziąć trzy dni urlopu? Zaprasza mnie koleżanka z Berlina, obiecałam jej już dawno, że przyjadę, no i teraz byłoby mi najwygodniej.

– Oczywiście, że tak. Trzeba czasem odsapnąć, pokręcić się po świecie... Ale po trzech dniach wróci pani do nas? Będziemy czekać z niecierpliwością...

To stara baba już jest...

– I po co tam pojedziesz, do tej starej baby? Wszyscy pytają. Nawet mój zięć się dziwił, że ty nie możesz domem się zająć, tak jak moja Aga. U nich wszystko błyszczy, a tu? Aż mi wstyd za was przed ludźmi – gderała Krysta, gdy następnego dnia, wczesnym wieczorem, szykowałam się do wypadu do Berlina.

Zięć Babci (wprawdzie dla niej to nie takie oczywiste) był jednocześnie moim szwagrem, a mężem mojej siostry, Agi. W sprawach mnie dotyczących zawsze, przed piedestałem Babci, zajmował politycznie umocowane, silne stanowisko, dlatego też dostąpił – jedyny w rodzinie – zaszczytu nazywania się zięciem.

Babcia Krysta lubiła nudne (według niej „unormowane”) życie bez wyjazdów, szczególnie turystycznych, jak i wielu innych, dziwnych w jej mniemaniu, zachowań. Godziła się na życie dużo mniej barwne niż moje (jakby moje w ogóle można było za takowe uważać!). Nieszablonowe zachowania w rodzinie były oczywiście spotykane, a jakże. Zabawne, bo to ponoć ja byłam ich główną dostarczycielką. Czy osoba tak pospolita jak ja może być dla kogokolwiek niezwykła? Czyżby normy miały różny wymiar? A może i normy należałoby znormalizować? Nie potrafię tego zrozumieć. Odnieść do rzeczywistości, w której tkwiłam.

– Nie mów tak, Jola jest ode mnie młodsza o trzy lata, więc, jak łatwo policzyć, skończy dopiero czterdzieści dwa – odpowiedziałam na wyrzut w związku z berlińską eskapadą.

– To stara baba już jest. Pamiętaj, ja na pewno twoich chłopów pilnować nie będę!

To też mówi samo za siebie – moich mężczyzn trzeba objąć nadzorem! (Może tylko z wyjątkiem starszego syna, Krzyśka, którym od roku zarządza żona.) Nie jest to specjalnie dziwne, jeśli chodzi o młodszego, Marcina. Wiadomo, od roku studiuje i różne głupoty mogą chodzić mu po głowie. Ale mąż Boguś jest bardzo dorosły. Specjalnie powiedziałam o nim „mąż”. Początkowo chciałam nazwać go tak nowocześnie, „partner”, ale ten układ – w moim mniemaniu uczciwy – nam nie wychodzi.

W swej samotności jestem podobna do orlicy. No dosłownie! Czy jednak wypada mi porównywać się do tak szlachetnego, niespotykanego ptaka? Utożsamiać się aż tak bezczelnie? Powinnam chyba z tego miejsca przeprosić orlicę. No to przepraszam!

Czyli – można powiedzieć – szczyliłam się tym, że finansowy ciężar utrzymania całego domu ponosiłam wyłącznie ja. Miałam zaszczyt – to właściwsze określenie. Ja wiem, takie ułożenie spraw w małżeństwie czy w większej rodzinie na pewno nie może być uznawane za normalne. Często zastanawiałam się (zresztą robię to do dziś), czy godząc się na krzywdzące mnie relacje, jestem wyzyskiwana, czy może wyzyskująca. Pewności nie mam.

Reasumując – w moim domu było dwóch facetów, Babcia Krysta i jej pies. Pies jak pies. Z nim na żadne ustępstwa się nie umawiałam. Jednak Krysta miesiąc zaledwie wytrzymała w swoim zobowiązaniu. To znaczy, że będzie gotować obiady.

– Nie będę waszym parobkiem – oświadczyła po kilkunastu dniach, gdy przyszło wypełnić złożoną obietnicę. – Sami sobie róbcie!

O rozliczenia pozostałych kosztów wspólnego mieszkania nawet nie zapytała. Nawiasem mówiąc, jeśli się tak postawi sprawę: „To ty będziesz wszystko opłacać, bo chciałaś tutaj zamieszkać”, to tworzy się dla siebie komfortowy układ. Uprzywilejowany. Jakby podjęło się decyzję o przyznaniu sobie do emerytury dodatku kombatanckiego. Tak, ja chciałam z nią zamieszkać. To fakt. Bo jak można zostawić starszą osobę samą w wielkim domu, bez żadnej opieki?

– Też ciebie utrzymywałam, gdy byłaś dzieckiem. Obsikane pieluchy prałam, zaharowywałam się, dupę obsmarowaną gównem wycierałam. Masz wobec mnie dług do spłacenia, a długi trzeba regulować, nie myśl, że ci ujdą na sucho – powiedziała kiedyś, a minę przy tym miała taką, jakby było jej niedobrze. Takie słowa usłyszałam od własnej matki. Urocze, prawda?

Czyli odgórną decyzję dotyczącą również mojej osoby główny domowy strateg podjął już dawno, sobie pozostawiając absolutnie niepodważalne prawo do przesądzania o wszystkim.

Ciągle kalkulowałam, czy nam wystarczy pieniędzy i ile muszę jeszcze pracować, żeby ich wszystkich utrzymać. Jakiej dodatkowej pracy się złapać? Gdzie jej szukać? Jednak, gdy tak sobie pomyślę, to przyznać muszę, że w tym zarabianiu wcale mi nie przeszkadzali. I to był mój małeńki komfort. Moja mała odskocznia od dusznej atmosfery rodzinnego domu.

Tchórzostwo! Ucieczka! Do Mieteksu.

A tam... Po weekendzie, czyli zaraz po powrocie z Berlina, gdy tylko pojawiłam się w firmie, Jęchorek zajrzał do mojego pokoju. Uśmiechnął się i skinął ręką. Odwzajemniłam uśmiech. Jak co rano, miałam wiele do zrobienia. Ponadto, niestety, powstało sporo zaległości. Tak. Nie potrafiłam się opieprzać, o nie, najbliższa zawsze mi była dokładność i terminowość.

Po godzinie Jęchorek zajrzał ponownie i zapowiedział, że gdy wróci do firmy około dwunastej, chciałby ze mną porozmawiać. „Oczywiście, przecież to jego gaj” – pomyślałam.

Muszę się do czegoś przyznać. Nie lubię nasiadówkowego modelu spędzania czasu w pracy. Zresztą – on to dobrze wiedział i nie absorbował mnie naradami zbyt często. Coś za coś! Bo w ten sposób pozbawiałam się przywileju trzymania ręki na pulsie firmy. Niejeden by oddał wiele za tę możliwość. Ja nie. Zupełnie. Nie potrafię się cieszyć i czerpać korzyści z nienależnych mi splendorów. Fredek, bardzo dobry kolega z innego działu, też zajrzał do mojego pokoju i szepnął konspiracyjnie:

– Becia, czuję, że coś się święci. Boss za bardzo się dzisiaj na salonach przewija.

Fredek niby nie był blisko nieformalnych, strategicznych miejsc „dobrze poinformowanych”, jednak miał nosa.

Potem wpadła Gośka. Nie lubiłam tej dziewczyny. Była ładna, młoda, karzełkowata, nieco dupiasta i głupia. Poza tym miała krótkie i masywne nogi, a eksponowała je, jakby była Joanną Krupą. Uważała się za jedyny filar firmy. Niesłusznie. Bo każda dobra firma opiera się na co najmniej kilku.

– Widziała pani, jakiego wąchala ma dzisiaj Czesia?

– E tam, niech sobie ma – bąknęłam. Nie interesowały mnie sensacje na siłę. Sensacje z nudów, z ciasnych horyzontów myślenia. Owłosienie, tusza, ubiór, zasobność. Te, jak się w życiu okazywało, często podlegające ocenie walory, wady bądź cechy człowieka nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Zupełnie. Nie szukałam sensacji. A może uciekałam od porównań? Bo z czym? Co miałam w domu?

– Aż razi.

– E tam. Nie zauważyłam. Więc chyba nie jest tak źle...

– Niech się pani dobrze przyjrzy, z takim zarostem to na portalach randkowych może tylko baby szukać. Błeeee.

Jęchorek przyjechał punktualnie. Zaprosił mnie do pokoju z owalnymi stołami, na jednym z nich stała parująca herbata. W bladuróżowej filiżance z Ikei. Przed nim zauważyłam taką samą. Uśmiechał się do mnie życzliwie. „Ojej – pomyślałam. – Fredzio ma jednak siódmy zmysł...”

– Postanowiłem, pani Beciu, tak, jak pani mi doradzała. Rafała powołam na stanowisko prezesa. Już rozmawiałem z nim i zgodził się pomóc firmie. Na poniedziałek jesteśmy umówieni na podpisanie aktu notarialnego. To dziękuję bardzo, pani Beciu. Dobrego wieczoru, również dla rodziny. Zeszło ze mnie trochę obowiązków, mnie już w tym tygodniu nie będzie. Miłego majowego weekendu!

Nic z tego niebędę jadła!

Niech się święci 1 maja! Boguś rano wywiesił biało-czerwoną flagę za oknem naszego salonu dla nizin, Krysta taką samą w swoim centrum pomiatania parobkami. Czyli okno obok.

– To mówisz, siostra, że coś nadal będziesz robić z tym domem? – Aga z mężem, będąc w kraju, wpadli odwiedzić matkę, a przy okazji nas. To też. Jednak głównie przyjechali po to, żeby pokazać nowe, bielutkie volvo. Lśniło. Dorobkiewiczze jedni. Nie znosiłam wciskającego się w oczy bogactwa mojej siostry i jej męża. Zresztą i ja, gdybym tyle lat siedziała w Anglii, przywiozłabym wór pełen funtów. Też coś!

Było południe. Podjechali przed nasz płot, zaakcentowawszy to klaksonem. Szaki wyprysnął z domu jak rażony piorunem, skakał przy ogrodzeniu, łamał płożące się iglaki, merdał ogonem w tempie szybszym niż wycieraczki samochodowe podczas ulewy. Unosiły się tumany kurzu. Cała ta toksyczna chmura pyłów osiadała najpierw w moich oskrzelach, a nawet w płucach, potem na parapecie, a także na meblach i dywanie! Ponadto szczekał ochrypłym psim basem, jego jazgot świdrował mi mózg. Czułam ciarki na plecach, rozstrojone nerwy, podrażnione nogi, zresztą, wszystko mnie drażniło. Wręcz wkurzało! Że oni mają dobrobyt, a ja nie – to najbardziej.

Szwagier wysiadł z auta z wciągniętym brzuchem, wodząc wzrokiem po oknach sąsiadów. Przystojny był zawsze, to fakt. Może niezbyt wysoki, ale miał w sobie coś bardzo ujmującego. Czy to był bielusieńki uśmiech, czy błyszczące radością oczy... A może włosy jasne jak len... Nie wiem. Mógł się podobać, tak jak jego nowiusieńkie volvo. Widziałam, że w domu po przeciwnej stronie ulicy ruszają się firanki. W moim zresztą też. Wymizerowana Aga, wystrojona w fioletową, bardzo wciętą w talii marynarkę, wygrażała psu, który skakał na nią, drapał, lizał i obśliniał.

– Agusia! Bo ci ten śliczny skórkowy żakiecik poszarpie! – wołała z okna zatroskana Babcia Krysta. „Żle wygląda, nie tak dobrze jak ostatnio” – pocieszałam się, obserwując siostrę zza firanki. Jednak w istocie wściekałam się, bo dlaczego ja też nie mam tak szczupłej talii?! Zawsze miałam do siebie żal o tę zazdrość! Zawsze! Bo Aga wszystko miała ode mnie lepsze. Nie ma sprawiedliwości. Z ojca wzięła zgrabny, maleńki nosek, poza tym jędrny, dumnie sterczący biust, taki w sam raz, po cioci Zuli. A ja płaska jak spiłowana decha byłam! I gęste, kasztanowe włosy Aga miała. A ja blond w nieładzie, jak po burzy. Jej stopy...! Także o niebo ładniejsze od moich wyglądały znakomicie w każdym buciku. A ja ze swoimi pociieranymi od niewygodnych, zbyt małych buciorów po czterdziestkę do Niemiec musiałam wyjeżdżać! Tak. To nie było fair... Niektórzy mówili, że Krysta na pewno nie mogłaby się mnie wyprzeć! Że geny i takie tam... Może dlatego faworyzowała Agnieszkę, tak różną ode mnie, ale i – a może przede wszystkim – od niej samej?!

– Szaki, nie wolno skakać! No mówię, że nie wolno! – Aga komenderowała sopranem.

– Jak ślicznie wyglądasz. I młodo – cieszyła się Babcia.

– A twój Szaki taki kochany – przypochlebiała się Aga.

– Pies zawsze wyczuje dobrych ludzi. Jak on was kocha! I wcale nie zapomina. – Krysta była szczęśliwa.

– Becia! Jesteś, a słyszałam, że miałaś być w Berlinie! – Aga przytknęła się chłodnym policzkiem do mojego ucha.

– Była tydzień temu. Ja nie wiem, po co tam pojechała, zamiast tu siedzieć. Zupełnie nieogarnięty ten dom. Sama wszystkiego nie dam rady tutaj robić. Zresztą nie pozwolę, żeby ze mnie starej robili służącą – uzałała się Babcia Krysta.

– Pfff – prychnęłam pod nosem, zamiast odpowiedzieć coś sensownego. Bo niby kto tu sprząta? – Pfff – dodałam ciszej, już dla siebie. Na pocieszenie.

– Miałaś jakieś remonty zaczynać... – kontynuowała wywiad rodzinny Aga.

– Tak, będę robić kilka rzeczy: podłogę, kominek, nowe tynki w pokojach, strukturalne chyba, ale jeszcze nie wiem... – kłamałam niezrażona. I rozmarzona. Niczym nie nawiązując do żalów Babci.

Zużywałam się w ten sposób, teraz to wiem. Pompa mi od dawna siadała, ścisnęła, zacisnęła, kręciło mi się w głowie, drętwiała ręka. A w nocy nawet bezdechy miałam. Powinnam się popłakać. W ten sposób pomagałam sobie. Płukałam smutek. Bardzo często. Wraz ze łzami uchodziły ze mnie emocje.

– No, mamusiu, widzisz, będzie robić. A ty martwisz się, że nie. Zupełnie niepotrzebnie. – Aga głaskała Krystę po rękę. Siedziały blisko siebie. I ta czułość... dotyk, bliskość... Krysta wyprostowana. Wniebowzięta. Ja wprost przeciwnie, siedziałam jak intruz. Nie patrzyły na mnie. A ja na nie tak.

– Przewieźć cię autem? – Siostra w końcu podniosła na mnie wzrok.

– Nie – bąknęłam, bo przypomniało mi się, że kiedyś zabić mnie nawet mogła. Czy może chciała... Nie potrafiłam odczytać intencji. Bo nie wsiadłam jeszcze do auta, a ona już ruszyła z piskiem, jakby powietrze wiozła. Nie chcę. Zresztą, co to znaczy „przewieźć”? Czy ja pierwszy raz samochód na oczy widzę?! Dla zasady nie wsiadam do pojazdów droższych od mojego udziału w rodzinnej, rozpadającej się rezydencji. A on jest wart bardzo niewiele, ot, cena maleńkiej działeczki, dzielona przez sześć. Czyli nie. Dziękuję.

Przybrałam pozę wyrażającą opanowanie, a nawet flegmę. Chwilę tak wytrzymałam, a potem prędko wyszłam do kuchni. Zaczęłam kroić cebulę, młoda dużo bardziej drażni. Z moich oczu potoczyły się łzy. Wielkie strumienie. Kapały za kołnierzyk odświeżonej bluzki, kupionej dwa dni temu w ciucholandzie. Może i było ich za dużo, ale co tam. Wreszcie poczułam ulgę. Powycierałam się w rękaw i wróciłam do pokoju.

Krysta stała przy oknie. Aga siedziała na sofie w drugiej części pokoju. Daleko. Stałam obok Babci i też wyjrzałam zza firanki. Tak zwany zięć, czyli mój szwagier, stał razem z Bogusiem na ulicy, nadal podziwiali cacko. Boguś obniżał sobie fotel, dopasowywał się do kierownicy. Krysta, patrząc na auto, mieniła się na twarzy miłością i dumą, aż jej się nozdrza rozdymały. Przysunęłam się bliżej, chciałam dotknąć jej ręki. Była po raz pierwszy od dawna uśmiechnięta. Ale ona, wcale na mnie nie spojrzawszy, zaraz się odsunęła. Gwałtownie otworzyła okno i zaczęła krzyczeć:

– Halo, halo! Nie pozwól mu siadać do auta, bo ci zaraz coś zepsuje! Też coś! Nierób pchać się będzie do takiego drogiego samochodu!

Może byłoby inaczej, gdybym była posłuszna? I bardziej ufna? Gdybym jej słuchała. Doradzała mi. A ja brałam to za wyśmiewanie. Mówiła na przykład:

– Powinnaś zawsze iść pół kroku za mężem.

Albo:

– Ale nieudacznika sobie wzięłaś. To nie to, co mój mąż.

Westchnęłam. Wspomnienia przywołały mola, przyfrunął i natychmiast wżarł się w moją duszę. Zwiesiłam swą niekochaną przez nikogo głowę, potem znowu wyszłam do kuchni. Zaczęłam przygotowywać kolację. Wymyśliłam małe placki z poszatowanej piersi kurczaka, posiekanych pieczarek i zmielonej cebuli, oczywiście z jajkiem i obtoczone bułką tartą. Wrzucałam je na głęboki olej, w drugim garnku gotowała się kapusta. Pachniało kminkiem. Oczekiwałam pochwał, myślałam, że im nareszcie dogodzę. To znaczy – im też, ale przede wszystkim jej. Czyli matce. Marzyłam, żeby tak było. Oj, jak ja się bardzo starałam! Wykrawałam ozdoby z papryki, pomidora, potem nawet z kiszzonego ogórka. Prawdziwe cacka! Później dodałam nać pietruszki, połówki brzoskwiń i gruszek. Cudnie to razem wyglądało. Cały dom pachniał smakowitościami. W duszy zaś ubolewałam, że następnego dnia

wcześnie rano znowu muszę biec do pracy, a przecież wcale w ten weekend nie wypoczęłam.

Gotowe dania wносиłam w miskach i półmiskach. Stawiałam na stole. Biegałam, żeby nie wystygły, wszystko u mnie musiało być świeże. Kursowałam i kursowałam, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, aż zahaczyłam kapciem o brzeg dywanu! Jakoś w końcu złapałam równowagę. Udało się. Czyli nie jestem niezgrabna! Chyba nie jestem.

Krysta prychnęła. Znowu!

Na stole zrobiło się kolorowo. Warzywne rzeźby miały uatrakcyjnić lunch.

– Co tam masz do jedzenia? – Krysta zaglądała do półmiska. Machnęła ręką z rezygnacją. Po czym zrobiła pogardliwą minę, kąciuki ust opuściła ku dołowi. Tę sztukę miała opanowaną od zawsze. Ten wyraz twarzy znałam od lat. Gdyby mnie ktoś zapytał, jak z dzieciństwa pamiętam swoją matkę, odparłabym bez wahania. Tęgą, leżącą, leniwą i naładowaną złością na świat. I że mnie nie kochała.

– A pies coś dostał? – zapytała, wbijając widelec w największy z kotletów. Skosztowała. Boguś głośno siorbał herbatę, usta wycierał węgierską serwetką z wytłaczanej bibułki, które kupiłam z myślą o spotkaniu z Krzyśkiem i Kaśką. Potem wyciągnął łyżeczkę i zaczął ją wycierać następną śliczną węgierską serwetką. Zmiętą rzucił na podłogę. Już drugą! Aga też piła herbatę. Łyżeczką o mało nie wybiła sobie oka. Patrzyłam, jak posrebrzany trzonek sztuczca pozostawionego w duraleksowym kubku porusza jej gęste, wyszczotkowane i podkrecone zalotką rzęsy. Nie chciała pić z mojej porcelany, wołała zastawę Krysty, żeby się znowu, kurde, przypodobać! Szwagier przeglądał książeczkę o marce Volvo. Babcia w tym momencie nagle wybuchła:

– To nie są rzeczy, które ja lubię! Strasznie przesolone! Nic z tego nie będę jadła! Nic. Co to w ogóle ma być, jakieś niewydarzone filety? – Głośno odsunęła talerz.

Wyprowadzony tym stwierdzeniem z równowagi Boguś równie dynamicznie odsunął filiżankę z herbatą. Kilka kropel rozlało się na obrus. I znowu sięgał do serwetnika!

– Ręką zetrzyj, szkoda serwetki! – Nie wytrzymałam.

– Co za twardizna! Nie wiesz, że mięso musi skruszeć? Ty zawsze wszystko musisz spieszyć! Szaki, Szaki! Psa mi też zagłodzą! – wykrzykiwała swoje rytualne bzdury Krysta.

Aga się uśmiechała. Siedziała, jak zawsze, nieruchomo. Raził mnie ten jej przylepiony uśmiech, przeciwwaga do smutnych i niemych oczu! Patrzyłam, jak płaski, drobiowo-pieczarkowo-cebulowy kotlet z talerza Krysty ląduje na moim, wydeptanym i pełnym kłaków Szakiego, dywanie. Obok spadła rozetka z pomidora. A potem zauważyłam, że przeżarta psina kładzie się obok ochłapu i warczy. I też go wcale nie chce żreć!

Parada przyczajonego rysia

Minęły ze dwa tygodnie. Ślicznie się na świecie zrobiło, tak majowo. Kwitły grusze i jabłonie. Morela nie zmarła tego roku, dużo owoców się pozawiazywało. Będzie morełówka i może kilkanaście słoików dzemu. Parę razy posiedziałam sobie na leżaku pod pergolą. Kiedyś... w ogrodzie pod pergolą z piernikowym dachem (senior Kędziora ją tak nazywał, mówił, że jest jak z bajki) zleciłam stolarzowi wybudowanie i zainstalowanie wielkiego stołu. W planach miałam jeszcze budowę grilla tak wielkiego, żeby móc upiec na raz maciorę wielkości malucha. Cały byłby z kamienia. Rodzina mogłaby się zbierać, spędzać tam wolny czas. Jeść, grillować, rozmawiać. Może nawet wypić wspólnie piwo czy wino albo nalewkę mojej produkcji. A niechby i wypić za dużo! Marzyłam o dużej rodzinie, o biesiadach, o rozmowach, ba, nawet o sprzeczkach. A siedziałam tam sama. Nie obchodziłam nikogo, nikt za mną nie tęsknił.

To posadziłam w trawie drewnianego dziada. Kupiłam go na aukcji. A jakże! Nieraz siadałam przy wielkim stole, przy którym mogłyby się pomieścić ze dwa tuziny osób, a stał pusty. Od tafli oczka wodnego odbijało się słońce, pływały trzy czerwone rybki, ścigały się między tatarakiem. Mlaskały. Albo wyskakiwały ponad tafelę wody, jak delfiny. Otwierały pyszczki, by połknąć różnokolorową karmę o kształcie kulek. Patrzyłam to na bezstresowo żyjące rybki, to na drewnianego starca, to na ogród. Myślałam, że sadzonek truskawek trzeba dokupić, a na jesień grzybnię kani i pieczarek. Pod sosnami nawet i maślaki by się sprawdziły. Marzyłam. Planowałam. I relaksowałam się. Mogłam tak siedzieć godzinami. Ja plus myśli. Albo myśli moje i ja, bo czasem i one nade mną dominowały.

Tego dnia posiedziałam niedługo, bo śmierdziało. To któraś z wdów podlała pewnie swój ogród fekaliami. Że niby pomidory i groszek zielony użyźniane w ten sposób szybciej rosną. Może i tak, na pewno można w ten sposób myśleć, ale pod warunkiem, że podczas konsumpcji się zapomni, czym te biedne roślinki pojono w okresie wzrostu!

W firmie też nastał czas względnego spokoju, banki nie potrzebowały żadnych zestawień, wierzyciele ucichli. Wiosna, proszę państwa, wiosna!

Było wczesne poniedziałkowe rano, a Jęchorek już wołał mnie do pokoju narad.

– Pani Beciu, Rafał chciał z panią porozmawiać, ale powiedziałem mu, że będzie lepiej, jeśli ja to powiem.. Bo wie pani... – Jęchorek się zawahał. – Musimy oddać większość spraw poza firmę. Rafał znalazł takie dwie, które zgodziły się pomóc, jedna podatkowa, zresztą bardzo nowoczesna, a druga obsługuje firmy w zakresie sprzątnięcia, a także administrowania biurem i nieruchomościami. Przejęłyby też czynności, które do tej pory pani wykonywała...

Sparaliżowało mnie. Od razu poczułam, że nie mam lewej strony ciała. Czyli co? Mam teraz sobie szybciotko i cichutko spadać, tak? Usiłowałam myśleć resztką przytomnej części mózgu. Ale mnie urządzili! Na własną prośbę! Już dawno tak bardzo nie bałam się o swoją codzienną egzystencję, przyszłość zwyczajnego bytu. Robiło mi się na przemian ciepło i zimno. Ciemno i jasno. Ciasno i luźno. Czułam się jak zdechły śledź albo miazga gnieciona na żywca rękoma w białych rękawiczkach. Gnieciona, bo się nie nadawała. Bo się znudziła, bo była beee.

Nieudacznica, ludzki odrzut.

– Jedną i drugą firmą zarządzają mężczyźni, na ten czas nie chcieliśmy kobiet – tłumaczył się Jęchorek. W moich oczach tymczasem coraz bardziej się pograżał. – Sama pani rozumie, teraz są takie czasy, że lepiej, jeśli w firmie pozostaje tylko działalność tak zwana operacyjna. Zresztą z kilkoma innymi osobami będziemy musieli się, niestety, pożegnać. Panią widzielibyśmy na bardzo ważnym

stanowisku, w istocie najważniejszym w firmie. Byłaby pani koordynatorem naszych wszystkich poczynań. Nadzorowałyby pani te firmy zewnętrzne, będzie pani miała wgląd w ich systemy. To bardzo ważne czynności. Sama pani mówiła, że Mieteks trzeba koniecznie zreformować. To jest awans, pani Beciu! Serdecznie gratuluję! – Starał się mnie nie urazić. A może tylko sprytnie spacyfikować ewentualny odwet?

O nieba! Oby tylko nie włączył mi się na czole tekstowy wyświetlacz myśli! Ratunku! Co on mówi?! Nie czułam żadnej ulgi, byłam pełna podejrzeń, spiskowa teoria moherowa mnie wiodła, wiedziałam, że to jest dopiero początek zagrywek. Reform, jak mnie zapewniali. Od tej chwili nie wierzyłam już w żadne jego słowo. Od razu zawładnęła mną mania prześladowcza, taka kobieca, jakby okołomenstruacyjna. Albo intuicja. Strach je mieć po prostu. Lepiej żyć bez. Tak. Od jakiegoś czasu czułam, że za moimi plecami odbywa się parada przyczajonego rysia. Że nowy prezes, z mojej poręki, odbywa tajne rozmowy z firmami, działającymi w mojej branży na rynku outsourcingowym. Cholera! Dobrze, że nie przyodział się na tę okazję w maskującą panterkę. Wydawało mu się, że nic nie widzę, nic nie słyszę ani nic nie czuję. Że nic nie rozumiem! Tego, jako odmieniec płciowy o szowinistycznych przekonaniach, musiał być pewien. A może nawet wydawało mu się, że jest nad wyraz bystry, błyskotliwy, inteligentny i dyskretny? I że zachowuje się elegancko, bo knując za czyimiś plecami, nie robi nikomu krzywdy, a zwrot „cięcie kosztów” z mety go wytłumaczy? Tak jak tłumaczy każdą ludzką pokrętność.

Ryś zarządzania zasobami ludzkimi! O nie, niech tnie na sobie! Albo na tych leniach, którzy nic nie wiedzą ani nic nie robią. Tak zwanych koleśiach. Koleśiach spółki oczywiście. Przecież ja mogłabym jeszcze bardzo długo robić w tej firmie to, co do tej pory. Nie czułam się znudzona. Modne pojęcie „wypalenie” mnie nie dotyczyło. Lubiłam swoją pracę. Tę żmudną dłubaninę. Byłam konserwatywna i nie znosiłam zmian.

– Zastanowię się – powiedziałam spod opuszczonej głowy.

„Niech nie myśli, że nie mam wyboru” – kalkulowałam. Wydawało mi się, że tak powinnam to rozegrać, żeby nie dać po sobie niczego poznać.

– To będzie dla pani nowe wyzwanie. Firma potrzebuje pani wiedzy i doświadczenia. Musieliśmy podjąć tę decyzję, bo tego od nas oczekiwał też nasz partner niemiecki.

W swoim pokoju, rozglądając się, czy nikt na mnie nie patrzy, łyknęłam tabletkę uspokajającą. A potem głóg, który stanął mi w gardle. Zaczęłam połykać go jak kaczką, krztusić się, chrząkać, wreszcie udało mi się odkręcić butelkę z wodą. Wzięłam łyka. Trzęsłam się. Sytuacja mnie przerosła. Patrzyłam w okno. Z komina przemysłowej kotłowni leciał ciemny dym, po granatowym niebie przemykały burzowe chmury, zaczął wiać wiatr.

Cwaniak! Nie wiatr, oczywiście! Jeden z drugim. Jęchorek! Rafał! Palcami bębniłam po biurku. Tak można postąpić, ale czy trzeba? Miałam wątpliwości, bo zawsze preferowałam jawność, a nie gierki zza rogu. No cóż. Nie czułam się dobrze, nie najlepiej się miałam. W ogóle się nie czułam. To awans poprzez wykop! Niestety. Zaczynałam rozumieć, jak mógł czuć się kiedyś prezes geesu, „rzucany” do tak zwanego zjednoczenia za brak wyników na szczeblu niższym. Bałam się, że nie dam sobie rady na szerszym polu. Że nie potrafię zarządzać, bo to przecież mało konkretne zajęcie. Że nie dla mnie.

Jestem bezsprzecznie bardzo nieudanym egzemplarzem.

I oni też to wiedzą.

Zielona trawa i kartony pod mostem stawały się coraz bardziej realne. Zaczęłam się zastanawiać, który most należałoby brać pod uwagę. Most Starołęcki jest duży, a Chwaliszewski bardzo uczęszczany, więc odpada. Najlepiej, gdyby był to „klimatyczny” most Rocha.

Poczułam, że z nadmiaru emocji kręci mi się w głowie.

Aukcja 34872978

Jeszcze z firmowego komputera weszłam na Allegro. W oko wpadł mi mały cynowy kubeczek na długopisy. Miał wytłaczane obrazki myśliwskie. Bardzo precyzyjne ornamenty. Był piękny! Licytacja właśnie dobiegała końca. Odczekałam, aż zrobi się poniżej minuty do końca aukcji, podałam swoją cenę, dużo wyższą niż wszyscy.

I udało się! Wygrałam aukcję! Mam chyba dobrą intuicję. Śliczny cynowy kubek był mój. Poweselałam nieco dzięki tej drobnostce. Jak to mówią: mała rzecz, a cieszy.

Krzesany bez dzyndzla

Całe popołudnie przeleżałam w łóżku. Najpierw przy dźwiękach *Krzesanego Killara*, potem przestawiłam się na jego równie podniosły *Exodus*. Nałożyłam słuchawki. To znaczy, chciałam nałożyć, ale tak niezgrabnie się oparłam, że pękł trzpień, na którym jedna z nich była osadzona. Muzyka płynęła w pełni tylko ze sprawnej słuchawki, drugą oparłam na uchu.

Pomyślałam, że jeśli się wali, to wszystko naraz.

– Nie możesz ciszej tego słuchać? Cała chata trzęsie się w posadach, znowu Kędziora będzie miał pretensje, że płoszymy mu gołębie. – Boguś pojawił się w drzwiach pokoju z sobie tylko właściwym, prawie zupełnym luzem. Jego ciało mówiło: „Brak trosk. Żadnych”.

– Mamo, czego ty słuchasz? Jeszcze depresji dostaniesz – wspomagał go Marcin. – Nie widzisz, że słuchawka dynda ci przy szyi?

– Tak, jakbym jej nie miała... – powiedziałam, wyłączając nagranie. – Zobaczcie! Jak można tak byle jak skonstruować sprzęt, który nakłada się na głowę i w związku z tym poszerza, rozszerza, przesuwa? O, spójrzcie, na jakim cienkim dzyndzlu jest to osadzone.

– Teraz ty kupujesz nowe – zawyrokował Marcin.

No tak. Tak by było elegancko. W końcu te popsute sam nabył za pierwsze zarobione przez siebie pieniądze.

– Boguś, to wszystko jest straszne! Życie moje jest teraz jedną wielką niewiadomą. Nie wiem, co będzie dalej z moją pracą – wystękałam, odkładając słuchawki na stolik. Wprawdzie chciało mi się wyć, ale co tam! Nie teraz. Na to zawsze będzie czas.

– A co? Napyskowałaś im wreszcie?

– Ojciec! Nie obniżaj morale matce! Dawno już nie nawilżała źrenic.

– Przestańcie. Naprawdę może się za chwilę okazać, że nie będziemy mieli za co żyć. Nie mówiąc o spłacie kilku kart kredytowych. Jeśli masz pracę, to banki wszelkimi siłami wciskają ci kasę, ale gdy tracisz stały dochód, to zaraz się o całość upomną. To akurat jest pewne. Gdybyście wiedzieli, jak ja się teraz czuję... Ech. Jak zawsze. Jak najgorzej. A zresztą...

– O, widzę już to mokre coś w oczach... Ojciec, się nie zagalopuj, bo znowu matkę będziemy musieli pocieszać.

– Najwyższy czas, żeby zrozumiała coś z tego świata. Beta, posłuchaj! Przecież ciebie awansowali. Po co znowu rozmieniasz całą sytuację na drobne? Nie mogłabyś żyć bez ciągłego wyszukiwania sobie problemów. Biadolisz. Jęczysz. Cienki skowyt męczennicy wydajesz. Kup sobie pukawkę czołową i przestań! Ciesz się, nie gderaj. W ogóle życzę nam kufereczka stóweczek, więc się nie maź! Słuchaj, czy pies dostał? Bo coś tak smętnie wygląda.

Ech... westchnęłam ciężko. Co mnie tam pies?... Na ścianie nad kanapą dostrzegłam olbrzymią czarną tarantulę. Wylazła! Znowu! Patrzyłam, jak przebiera tymi swoimi włochatymi nogami, grubymi niczym igły do szaszłyka. Gdzieś te ohydy muszą mieć swoje gniazdo. Pewnie w piwnicy! Albo za kanapą, której nikt od dziesięciu lat nie odsuwał. Nie znoszę pajaków, brzydzę się i nie tylko, boję nawet, a te były nad wyraz żwawe. I wielkie, wypasione. Zasuwały po ścianie, że nadążyć za nimi nie można. A jeśli w nocy po mnie spacerują?! Okropieństwo.

Przyczaiłam się, a potem psiknęłam w obrzydliwca lakierem do włosów. To był nowy domowy patent, mocne lakiery do włosów stały wszędzie: przy fotelu, obok łóżka, w kuchni, a nawet w przedpokoju. No i w łazience, tam przede wszystkim. Ufff. Czarny, owłosiony stwór zastygł i odpadł ze

ściany. Schyliłam się nad kanapą, żeby nabrać trupa na kartkę papieru. I wtedy się to stało! Poczułam porażające ukłucie. W co? Wstyd powiedzieć. W najbardziej wrażliwe miejsce.

O nieba! Co się dzieje?! Tak jakby poraził mnie prąd. Poderwałam się z kanapy. Masowałam tyłek. To mi dało jakąś ulgę. No nie! Pod palcami, w spodniach, wyczułam wielką dziurę. Takie dobre spodnie! Z wełnki. Z wypłowiałego pluszu „bez koloru” wysłużonej kanapy sterczał ostry szpikulec.

W takich oto okolicznościach pękła jedna ze sprężyn w kanapie.

– No i jeszcze się blokujesz. Posłuchałabyś mnie w końcu. Ja uważam, że już dawno powinnaś napyskować Babci, a potem tym swoim kapitalistycznym wyzyskiwaczom. Kurde, ty naprawdę masz bardzo słabą psychikę! Ludzie powinni mówić, co czują, a nie międlić i rozpamiętywać. Jest ci u nich źle, mów. Mało ci płacą, mów. A nawet krzycz.

– Akurat. To teoria. Boguś, to tylko teoria.

– Teoria jest podwaliną pod czyny. W życiu wszystko trzeba planować, wtedy nic nas nie wyprzedzi. Nie ma szans. Pamiętaj! W każdym z nas jest godność lidera... Beta! Mówię do ciebie! Co tam zobaczyłaś na tej kanapie, że tak patrzysz i patrzysz?

– Nic. Kolejny dowód na naszą bylejakość.

Uściski mdłych rąk

– Czyli co ja teraz mam właściwie robić? – Po weekendzie (i po indoktrynacji zawodowej Bogusia, dodajmy) odważyłam się i zapytałam prezesa. Świeżo mianowanego.

– Tak jak mówiliśmy, na pewno w rachubę wchodzi te wszystkie nieprodukcyjne działy. To pani wie. Musimy się zabrać za cięcie kosztów. Umówmy się, przychody na pewno nie wzrosną, czyli musimy ciąć wydatki. Koszty pracy są za duże. A co do redukcji zatrudnienia, nie wiem jeszcze jak, ale trzeba, kurwa, zwolnić wszystkich, którzy zarabiają powyżej tysiąca pięćset na łapę. Znajdzie się chłopców i dziewczynki za tysiąc. Z pocałowaniem ręki...

Tak. Reforma. Stado małych sierściuchów przyjmujemy. Klepaczy od zaraz. „No, fajnie się robi – myślałam. – Zaraz mnie wywali, cwaniaczek jeden”. Po raz pierwszy w swoim zawodowym życiu byłam zmartwiona, że zarabiam dużo więcej niż tysiąc pięćset. Brutto. Na trzech wiecznie głodnych w chacie i wszystkie opłaty. Skąd się znowu wzięłeś, zagmatwany ludzki losie! Przykleiłeś się do mnie na zawsze? Czy słusznie zrobiłam, wskazując Rafała jako kandydata na prezesa? Znalazła się matka sukcesu firmy!

– Panie Rafale... Prezesie – poprawiłam się szybko. – Wynagrodzenia i wynikające z nich obciążenia to zaledwie jedna trzecia kosztów w ogóle.

Wybudowali hale jak monumenty, ze ślepymi piętami, bo nie mieli lepszego pomysłu na zagospodarowanie przestrzeni, podczas gdy wszyscy gnieździliśmy się w kilku załoczonych pokojkach. Przez lata dokonywali zakupów jakichś maszyn, mówili, że mają wszystko wyliczone. Że to działalność niszowa i w ogóle sam cud-miód, więc już zaraz, za chwileczkę niewielką, pieniądze będą się pojawiać strumieniami. Tak było kilka lat temu. Ja mam pamięć bardzo dobrą! On też wśród nich był. Też z notatnikiem pod pachą chodził po terenie firmy i nadzorował prace. A teraz gryzie ten swój zielony długopis. Jak może prezes poważnego przedsiębiorstwa posługiwać się tak poobgryzonym długopisem?

– Potrzebuję osoby, która by mnie wspomogła, bo ja muszę poświęcić się kontaktom z klientami. Rozmowy, spotkania i te rzeczy. Poza tym sama się, Beciu, musisz wpasować w nową sytuację, żeby za rok nie okazało się, kurwa, że ta praca nie daje ci satysfakcji. I będziesz chciała odejść... Bo przecież na pewno monitorujesz rynek pracy.

Monitoruję rynek pracy! Dobre sobie. I on to wie na pewno! Za wszelką cenę muszę ten fragment jego wyводу pominąć milczeniem, choćby mnie jęzor świerzył! Powiem, że nie, to mnie wywali, powiem, że tak, też się mnie pozbędzie, bo nie będzie miał wyrzutów sumienia. Skoro szuka, to sama jest sobie winna... A jeśli nie szuka, to musi być głupia...

– Trzeba zrobić nowy schemat organizacyjny, spłaszczyć strukturę organizacyjną, bo ta obecna, kurwa, jest zbyt mocno rozbudowana. Tutaj widzę dla ciebie zadanie. Ja teraz wyjeżdżam na kilka dni, bardziej szczegółowo porozmawiamy po powrocie. To do zobaczenia.

Uśmiechając się krzywo, wyciągnął w moją stronę rękę. W dziwny i absolutnie nietypowy sposób unikającą dotyku. Zawsze tak było. Bo na początku kierował ją w moją stronę w miarę zdecydowanie, ale kilkanaście czy kilkadziesiąt centymetrów przed hipotetycznym punktem styku jego dłoń nagle wytracała prędkość, zatrzymywała się, jakby się wahając, trwała chwilę w zawieszeniu, równoległe do mojej, niespokojnej w oczekiwaniu na następny ruch... Po czym dotykała lekko i natychmiast, jakby rażona prądem, wycofywała się w rejon kieszeni jego spodni. I nigdy nie wiedziałam, czy przywitaliśmy się już, czy jeszcze nie. Moment ów zawsze mi umykał, tak wielkie podekscytowanie towarzyszyło tym czynnościom.

Dzisiejsza rozmowa nic mi nie dała. Nie wiedziałam, na czym stoję ani nawet, czy w ogóle stoję.

Trwałałam w stanie zawieszenia niczym stary pierniczek na choince. Nawet już nie do skonsumowania.

Gryzoni generalnie nie znoszą. Szczególnie myszy. Ale mysie dziury tak. Marzyłam teraz o dużej, śmierdzącej myszami dziurze.

I bardzo chciałabym móc się w niej zmieścić.

*

Aukcja 371356821

Wpadłam do swojego pokoju. Było po szesnastej, ale włączyłam jeszcze firmowy laptop i weszłam na kończące się aukcje. Od razu wpadła mi w oko mosiężna wygaszaczka świec. Niewiele ponad dwadzieścia złotych kosztowała. Była przepięknie rzeźbiona i miała maleńki uchwyt w kształcie łezki. Palec się zmieści, na pewno. Nareszcie będę miała profesjonalne narzędzie do gaszenia knotów. Dzięki temu trochę poprawił mi się humor.

Mój malutki Marcinek

Sen, podobnie jak uczucie wolności, ostatnio pojawiał się u mnie bardzo rzadko. Ale tej nocy musiałam chyba się zdrzemnąć, choć nie wiem tego na pewno. Dość, że nagle usiadłam na łóżku pełna wszechogarniającego strachu. „Nie powinnam, nie wolno mi teraz zapalać lampki – upominałam samą siebie – bo co się stanie, jeśli Boguś odkryje, że znowu źle się czuję?” Zawsze wstydziłam się swej słabości. W zasadzie każdy człowiek może sobie na nią pozwolić, przecież ma prawo być ułomny. Jednak ja od dawna byłam domową instytucją. Przestałam być słabym i pełnym niedoróbek człowiekiem, stałam się słabą i pełną niedociągnięć instytucją, nadającą się do natychmiastowego zreformowania.

A więc stało się!

To nic, że serce waliło mi jak młot pneumatyczny po betonie, to nic, że w drżącej ręce trzymałam trzymiesięczne wypowiedzenie, bez obowiązku świadczenia pracy. To nic? Nie! To przecież było dużo, o wiele za dużo jak dla mnie. Co robić?

Próbowałam jakoś dojść do siebie. Zebrać myśli – to wydało mi się teraz najważniejsze. Miałam jeszcze trochę czasu. „Trzy miechy, mamó” – powiedziałby Marcin. „Miałby rację, to fakt bezsporny” – kalkulowałam, odkładając wypowiedzenie na stojący obok stół. Odkładałam.. a właściwie dopiero miałam zamiar odłożyć, kiedy powoli zaczęło do mnie docierać, że oto jestem we własnym domu, w koszuli nocnej w błękitne kwiatki, we własnym łóżku, pod własną kołdrą z pierza, z którą – tak na marginesie – muszę koniecznie coś zrobić, bo sypie kurzym puchem po domu. Niemniej tym razem ten fakt przyjąłam ze spokojem, a nawet z pewną dozą radości. Obok słyszałam miarowy, spokojny oddech Bogusia. A więc to był tylko zły sen.

Na budziku wybiła właśnie trzecia nad ranem.

Wiem, co mnie tak bardzo przestraszyło! To moja rozbuchana podświadomość! Marcin poszedł z grupą świętować zaliczenie z technik sprzedaży i do tej pory jeszcze nie wrócił. Trzecia nad ranem, a przed wyjściem mówił, że najpóźniej o pierwszej będzie w domu!

Musiało się coś stać!

Wybierałam jego numer już trzeci raz, nikt się nie zgłaszał. Poleżałam chwilę i znowu spróbowałam się z nim połączyć. Wciąż nic – telefon milczał jak zaklęty, jeśli nie liczyć zgłaszającej się poczty głosowej. Z nerwów, po raz trzeci tej nocy, zachciało mi się do łazienki. Kiedy wrócę, zadzwonię do Jarka i innych kolegów Marcina. Na wszelki wypadek wszystkie potrzebne numery miałam w swojej komórce. Zawsze tak robiłam. Tak, do jego byłej dziewczyny też zatelefonuję, co tam... To nic, że noc. Może jest u niej, na pewno się pogodzili, ostatecznie nie była taka zła. „Że też wcześniej na to nie wpadłam!” – myślałam w drodze do toalety.

Chrrrr! – dało się słyszeć zza drzwi stróżówki Marcina.

Znowu ten Szaki musiał wleźć do łóżka! Zmyślna bestia. Sierściuch! Bezcelny jak niejeden człowiek! „Tak nie będzie, że odczeka, popatrzy, gdzie jest wolne jakieś komfortowe miejsce, i hops!” – narzekałam w myślach, wchodząc po omacku do pokoju syna.

– Szaki, złaż! – komenderowałam szeptem, ręką wymacując jego kudłate ciało na kanapie. O nie, nie pozwolę na coś takiego w tym domu, na pewno! Wyczułam, że jeszcze jakimś dziwnym trafem udało mu się nawet wleźć pod kołdrę! Tego już było za wiele! „Jutro porozmawiam z jego właścicielką!” – myślałam ze złością, patrząc na drzwi od pokoju Krysty.

– Mamo, co ty wyprawiasz?! Zwariowałaś, żeby tak po nocy mnie straszyć?!

Czyli to nie Szaki?! To Marcin! Mój malutki Marcinek! Jego głos wydał mi się teraz najpiękniejszy

na świecie. A więc nic mu się nie stało! Jest we własnym domku. Śpi sobie smacznie, a ja niepotrzebnie narobiłam rabanu. Zgłupiałam do reszty. Tańczyć mi się zachciało. Tym razem z ulgi po „cudownym” odnalezieniu się Marcina.

– Nic, nic. Śpij syneczku. Chwała Bogu, że to ty.

– A niby kto miałby spać w moim łóżku? – wymruczał, przekręcając się na drugi bok na trzeszczącej kanapie.

„Koniecznie muszę mu kupić nowy tapczan – pomyślałam. – Nowoczesny i wygodny, nawet kosztem innych wydatków. Nie może mój synek spać na takim rupieciu, żeby się potem swojego domu wstydził! Swojej matki, ojca, babci, a może nawet i psa?”

Drzwi od centrum zarządzania otwarły się z hukiem. Z autentycznym hukiem, bo znad ościeżnicy odpadł kawał tynku. Betonowy kłopot spadł na podłogę, Krysta go kopnęła. Filcowy kapeć poszybował w moją stronę. Zobaczyła mnie, zanim zdążyłam uciec. Popukała się po czole.

– Co to za łażenie po nocach?! Porządni ludzie śpią, a nie jak te łajzy. U Agi już o dwudziestej drugiej wszyscy są w łózkach. A ci potem za dnia siły na nic nie mają, to i dorobić się niczego nie mogli! Na moim garnuszku tylko siedzą!

Wkurzyłam się. Ale objawy miałam, jakbym się wystraszyła. Waliło mi serce. Chciałam coś powiedzieć. O tym garnuszku. Powinnam. Ale nie mogłam, bo przecież to starsza osoba.

Babcia Krysta, Krysta, Babcia, a raczej Matka. Moja Matka.

Wpadłam do swojego pokoju, do uszu włożyłam stopery. Zjadłam dwie pastylki głogu. Kręciłam się w łóżku, potem musiałam jednak zasnąć. Czy to z radości, że Marcin się odnalazł, czy może ze strachu przed Krystą? Nie wiem, który z tych powodów zadziałał najbardziej nasennie.

Spałam znakomicie. Ot, życie. Trzymam się kurczowo różnych ziół, jednak sen spływa na mnie po bardzo dynamicznych wydarzeniach. Od razu i z piękną głębią!

Rano budziki zerwały mnie na równe nogi. Połknęłam letrox. Dałam łyka wody. Po półgodzinie beta-bloker, witaminę B i magnez. Popiłam.

Spojrzałam na śpiącego Bogdana.

Bardzo często z wielkim trudem trzymałam przy nim nerwy na wodzy. Widząc jego tępe spojrzenie, gdy o coś prosiłam, też miałam problem z panowaniem nad sobą. Ponieważ codziennie mnie zawodził, bardzo było mi ciężko. Zaczynałam odczuwać coraz większy żal. Miałam poczucie krzywdy, wydawało mi się, że jestem ciągle wykorzystywana i oszukiwana. Miałam go dość. Jednak nie myślałam o rozstaniu, to byłaby dla mnie bardzo trudna decyzja, bo ciążył na mnie rodzinny przekaz o życiu razem, na dobre i złe. Niewątpliwie byłam uwikłana w surową doktrynę. Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek w bliższej lub dalszej rodzinie kiedykolwiek wziął rozwód.

Po śmierci ojca, gdy zamieszkałam z Krystą, a Boguś został jeszcze w starym mieszkaniu, ta często mawiała:

– Zobacz, ciebie nawet twój własny chłop zostawił. Taki nieudacznik, a zostawił!

Pierwszy raz, gdy mnie wyśmiała, zaczęłam płakać i błagać, żeby mnie nie raniła. A ona się śmiała, nadal śmiała, głośno, i mierzyła we mnie palcem.

– Zostawił, zostawił – powtarzała, leżąc na kanapie.

– To nieprawda! Nie zostawił, na pewno nie! Ale nie chce tutaj na razie przyjeżdżać. Nie może! Nie mów tak do mnie, błagam! – Klękałam przed jej kanapą. Ręce składałam jak do modlitwy. O tak! Wtedy była zadowolona. Wtedy pokazała mi moje miejsce.

– Czyli zostawił – reasumowała z miną lady Makbet.

Krysta od Antychrysta!

Tak było tylko raz. Potem już jedynie wzdychałam. I z aktów walki o swoją tożsamość w tym domu

całkowicie zrezygnowałam. Nie klękałam więcej. Nie błagałam o nic. Trudno jest przekonać do siebie kogoś pełnego pogardy. Ucieszyłam się, gdy Boguś w końcu przyjechał. Udowodniłam wówczas niezbitcie, że mnie jednak nie porzucił!

Posłuszne komputery

Pod koniec maja postanowiłam zmienić bieg rzeczy. Znaleźć sobie jakąś pasję. Albo antydepresanty, miejsca ucieczek czy coś w tym stylu. Zacząć tworzyć swoją, niejako uboczną, historię. Samej sobie coś opowiedzieć. W laptopie wgrałam nowszego Worda, powyrzucałam tony zdjęć, te ważne przegrałam na płyty. Boguś nie chciał ze mną rozmawiać, twierdził, że mówię bez ładu i składu. Starszy syn i synowa, ponieważ mieszkali w innym mieście, w odpowiedzi na moje e-maile z pytaniami w rodzaju: „Syneczku, czy wszystko dobrze, bo się martwię?”, milczeli dyplomatycznie albo ślali lakoniczną wiadomość: „OK, mamo, dajemy radę”.

– To kiedy przyjdziecie? – dopytywałam się niecierpliwie.

– Mamka, jeszcze nie wiem, ale już gotuj pierogi.

Albo:

– Beta, zadzwonię wieczorem – mawiała synowa. Kiedy był dzień pozytywnego postrzegania mojej osoby. Nie ustaliłyśmy jedynie, którego wieczoru, bo już ich tyle minęło od tego czasu. I poza tym cisza. Bezdźwięk. Bezruch.

Muszę się przyznać do następnej swojej słabości. Mam ich wiele, właściwie całą masę. Ta polega na tym, że nauczyłam się żyć z rozczarowaniami. Jeśli ktoś mi coś obieca, wystarczy, że pomyślę, iż nie dotrzyma słowa, a wówczas – jeśli tak się zdarzy – przykreść jest niewielka i rozczarowanie też niekłopotliwe. Prosty rachunek oparty na latach prób na własnej psychice. Zresztą wykorzystywałam go również do wielu innych spraw. Myślałam na przykład, że to nie ja wzięłam sobie Kaśkę za synową, ja tylko Bogusia... sobie wzięłam...

Tylko...? A może aż? Dlaczego nie uśmiechałam się bardziej do Janusza?! Jego żona już dwudziesty rok trzyma nos wysoko, puszy się jak kokocha, bo porusza się najnowszym modelem audi i nie wydaje mi się, żeby Janusz na tym poprzestał. Gdzieżby chciał? A jego „kontraktowa” wcale nie jest młodsza ode mnie.

– Nie rób ze mnie maminsynka – warknął do mnie dzisiaj Marcin, kiedy zapytałam go, czy jeszcze bardzo cierpi po odejściu Asi. Bo jeśli tak, to przyrzadziłabym mu smakowite jedzonko albo pogadalibyśmy, jak za starych, dobrych czasów, gdy był jeszcze małym dzieckiem. O nim. O jego emocjach. O niej też mogliśmy mówić. Że najpewniej głupia jest, skoro go tak źle potraktowała! Gdyby tylko chciał pogadać... Marzyłam, żeby chciał...

Ale znów się zawiodłam. Nie chciał.

Ze mną już w dzieciństwie nikt w domu nie rozmawiał. „Z tobą nie można normalnie pogadać” – mawiała zawsze moja matka. Już wówczas największy rodzinny strateg. Już wtedy Krysta od Antychrysta! Zresztą, czy można cały czas rozprawiać tylko o ciuchach, muzyce, aktorach i wszystkich tych plotkach z kolorowych gazet pod tytułem: „kto z kim?”?! To nie jest prawdziwe życie. Prawda jest w nas. W tym, co my tworzymy. Co my sobie dajemy. To jest nasza wartość. To my tworzymy tę wartość. Przy tym oczywiście ważne jest, jak głęboko się porozumiewamy. To też. „Oni mnie nigdy nie rozumieją!” – myślałam odtrącona.

– To, że ludzie nie mają pracy, to jest tylko i wyłącznie ich wina. Ja i mój mąż zawsze ją mieliśmy – dowodziła ostatnio, negując tym samym zapieklenie się Bogusia w chronicznym już bezrobociu.

– Nie mów tak, bo jednak nie dla wszystkich miejsc pracy wystarcza. Siłą rzeczy zawsze znajdzie się grupa, która nie będzie jej miała. Za waszych czasów wszyscy pracowali, więc to oczywiste, że i wy

też. Zresztą, patrzmy na dokonania, a one były żadne, jak to w socjalizmie – polemizowałam.

Co mnie znowu, do diabła, podkusiło, żeby prezentować swoje zdanie? Czy to w ogóle było moje zdanie? Bo wolałabym, żeby bezrobocie przytrafiło się komuś innemu, obcemu na przykład, a nie akurat mojemu Bogusiowi. Niechby inni sobie go doświadczyli, nie tylko my. Ze mną w ogóle działy się dziwne rzeczy. Zawsze zachowywałam się niezbieżnie, jeśli tak można nazwać ten stan. Gdy Krysta krytykowała mojego Bogusia, stawałam w jego obronie, nawet sprzedając swój prawdziwy pogląd, jak wtedy. Bo miała rację. Ale przecież w ten sposób znowu negowała moje życie! Znowu z nas szydziła, w moim odczuciu.

– Mnie zarzucać brak dokonań! Mnie! Nie wiem, jak to jest, że z tobą nie można tak normalnie, zgodnie porozmawiać. Z Agusią jest mi dużo lepiej. Agusia zawsze dobre słowo dla mnie ma. Od dziecka tak było, a gdy się urodziła, to tak na nią spoglądałaś... Tak spoglądałaś, jakbyś zabić chciała... – powiedziała i wyszła obrażona.

– Pięć lat wtedy miałam...

Tego już nie słyszała.

– Beta, zastanów się, ty od razu każdego zagnałabyś do pokoju zwierzeń. Nie bądź taka konkretna! Uogólniaj, zmyślaj, mów, co chcą usłyszeć. Wyłącznie. A to, jaka jest prawda, bardzo głęboko schowaj w swojej głowie. A zresztą! Jeśli nie masz z kim rozmawiać, to pisz – rzucił zza gazety Boguś.

„Pisz? Też wymyślił. Co mam pisać? O czym? Dla kogo? Do kogo?” – zastanawiałam się.

A gdyby tak zapisywać marzenia? Albo to, co komuś chciałabym powiedzieć? Za tego kogoś mogłabym od razu odpowiadać, i to tak, jak by mi się podobało. Polemistów wokół mam w bród. Komputer jednak jest bardziej posłuszny i nigdy nie był w stosunku do mnie polemicznie nastawiony.

„Kocham mój posłuszny komputer” – pomyślałam. Boguś mnie zainspirował, to fakt. Od tamtej rozmowy siadałam wieczorem koło okna, laptop stawiałam na parapecie.

Okno jest przepustką do barwnego świata, innego niż nasz. Zawsze bardzo lubiłam uczestniczyć w życiu sąsiadów. Ta bardzo poniżająca mnie wada już dawno temu stała się codziennym wieczornym rytuałem. Podglądałam kilkunastoosobową rodzinę Kędziorów siadającą do kolacji. Zawsze o tej samej porze. O dziewiętnastej. Nigdy wcześniej ani później. Stół był nakryty kolorowym obrusem, w kwiaty. Chyba lnianym. Sama nie lubiłam takiej pstrokacizny, ale u nich podobało mi się wszystko.

Cudowność. Czułam, że uczestniczę w tej celebrze. Dbałam, żeby się nie spóźnić. To były piękne chwile. Dla mnie też. Kilkuletnie wnuczki sadowiły się obok dziadków, dalej córki z mężami. Chleb rwali palcami, moczyli w mleku. Albo w oliwie. I tak jedli. Całą godzinę trwała ich uczta. Nikt nie połykał kęsów w biegu, absolutnie, w żadnym stopniu nie czuć było pośpiechu, nikogo nie ciągnęło przed telewizor. Wieści ze świata były dla nich nieważne, podobnie jak na przykład prognoza pogody. W domu mieli własny barometr. Zawsze chciałam, żeby i w moim domu było podobnie. Stary, drewniany barometr już kupiłam. Na aukcji, oczywiście.

Malinowa trufla pisze:

Jak zapisać miłość? Jak podzielić się swoim szczęściem? Nie każdemu jest ono dane na zawsze, to już wiem. Zaczynam pisać tego bloga, żeby pochwalić każdy dzień. To znaczy ten, który tego wymaga.

Nie jestem niezwykła. Dzisiaj postanowiłam posadzić astry i lilie, poszli sobie już zimni ogrodnicy, razem z zimną Zośką. Moje irysy już pączki dostały, tak samo rododendrony, chociaż to inny gatunek i czego innego wymaga... Gleby innej. Mam rękę do kwiatów, rosną jak na zawołanie. Takie to – bardzo prozaiczne, ale jednocześnie piękne czynności mam dzisiaj za sobą.

Bez czarnowidztwa

Źle się czułam, sercowo czy nerwowo, sama nie wiem. Zawsze miałam hipochondryczne skłonności. Szczególnie wiosną. Ale postanowiłam, że pójdę do lekarza, bo nie miałam pewności, czy warto mi jeszcze wymienić okulary.

– Panie doktorze, byłam u kardiologa. Tutaj napisał informację.

– A co mówił?

– Głównie pytał, dlaczego przyszłam, skoro nie mam poważnych zaburzeń. Że to, co mi dolega, to pozostałość po załamaniu nerwowym. Czyli niby „tylko” nerwy. Ale z tego powodu też można przecież umrzeć.

– Zalecił pani holtera?

– Tak, następnym razem mi założą. Czyli za dwa miesiące.

– Dam pani jeszcze raz skierowanie, proszę poszukać, może zmiana lekarza da jakąś diagnozę. Nie może pani cały czas jeść leków uspokajających.

Tak, nie mogę ich cały czas jeść. Ma rację! Ale nie może też mną cały czas trząść! W autobusie, w tramwaju. Na wielkim skrzyżowaniu. Wszędzie. Wśród tłumu. W sumie uciekam z domu do pracy, ale w miejscach publicznych też się boję i uciekam do domu. To brzmi jak niedorzeczność! Przed irracjonalnym lękiem w skupisku ludzkim chronię się w swym patologicznym domu!

– Masz prawo jazdy, kup sobie mały samochodzik. Co za problem? Ale nie, ty wolisz gderać – mruknął Boguś zza gazety.

On nigdy nie przejmował się stanem mojego zdrowia. „Kup sobie samochodzik...” Co za problem?! Hmm... dlaczego nie? Tylko za co? Na talony już nie ma! I kto będzie jeździł, skoro ja się panicznie boję?! Ale może rzeczywiście trzeba to spokojnie przemyśleć? Że wszystkiego się boję, to fakt. OK, pomyślę. Nawet za chwilę pomyślę, będąc u kosmetyczki. W końcu – jeśli mam umrzeć na zawał albo coś podobnego – znacznie lepiej będzie, gdy będę wtedy porządnie wyglądała. Brwi sobie wyreguluję i przyciemnię. Niechby mi Wandzia szarą farbą je pomalowała. Albo brązową.

Zawsze oszczędzałam na kosmetyczkach, szukałam gdzie taniej, podobnie było z fryzjerami. Chciałam tanio kupić sobie dobry wygląd. I co? Dostawałam w pakiecie wszystko w niskiej cenie. Nierówne, namalowane na czole brwi albo spiczastą, natapirowaną fryzurę. Nie potrafiłam się od tych wszystkich tanich papudraków wyzwolić. Żyłam nadzieją, że może następnym razem... Bzdura! Co następnym razem? Na moich kłakach zrobią się mistrzem grzebienia? Gdy już całe brwi mi wydepilują i namalują nowe, jak od cyrkla? Następnym razem!

Patrzyłam, jak Wandzia miesza farbę.

– Szara henna i brązowa są mniej trwałe – odpowiedziała na moją nieśmiałą sugestię dotyczącą koloru. – Doradzam klientkom czarną, bo z nią od biedy można i z miesiąc chodzić. A u pani te brwi są liche, wcale ich nie widać. Brwi tworzą oprawę dla oka, jeśli ich nie widać, to i oko jest za mało zaakcentowane.

– Mówi pani...? – pytałam pełnym wątpliwości głosem, kładąc się na łóżko w gabinecie kosmetycznym.

Trochę się zrelaksowałam, Wandzia zawsze ma w zanadrzu ciekawe historie. Wie, kto się rozwiódł, która jej klientka postrzykiwała się kwasem hialuronowym, która ma wszczepione nowe piersi. I za ile. Kto przychodzi do niej w implantach w szczęce. I też za ile. U jakiego lekarza pozbyć się żylaków, w jakim gabinecie wyciąć obwisłą skórę nad okiem. Ceny też wymienia. I takie tam... bzdeciki.

Wróciłam do domu późno i sama z siebie zaczęłam się Bogusiowi tłumaczyć, gdzie do tej pory byłam. I że jestem chyba chora, bo ciągle coś mi dokucza. I jeszcze, że skoro lekarze nie mogą mnie zdiagnozować, to ja pieprzę taki los... Ale – żeby nie było, że jestem taka niekulturalna – od razu bardzo go przeprosiłam za wyrażenie. Z reguły nie używam brzydkich słów, ale jak to inaczej ująć? Przecież coś z nim muszę zrobić. To znaczy, z tym losem coś powinnam porobić, tak na dobry początek. Moja rodzina się rozsypała. Chodzimy różnymi drogami. Dlaczego nie mogę z nimi o niczym porozmawiać?!

– Ty zawsze musisz poszukać sobie czegoś do zamartwiania się. Weź, zetrzyj sobie brwi, bo ciemne jak noc listopadowa. To nic, że dzisiaj taką nawet mamy. Ta majowa pogoda zawsze zmienna jest. Niedawno ukrop, dzisiaj ziąb. Kobieto! Wyglądasz jakoś groźnie. No i bez czarnowidztwa. Spójrz na to optymistycznie. Od nastawienia do życia też zależy, czy trafi się kufereczek pełen stóweczek – dodał, gdy byłam już w łazience.

„Bez czarnowidztwa” – powiedział. Chyba że miało to związek z brwiami. Ja i czarnowidz! Zabawne, gdyby tak było, już dawno siedziałabym zapłakana w kącie albo powiesiłabym się na męskim ramieniu. I jęczała, że jestem taka biedna, że nikt mi nie pomaga, a przecież wszystko kosztuje. Piekielnie dużo. Sama najlepiej to wiedziałam, robiąc codziennie zakupy. Jednak za cenę ekonomicznego osamotnienia kupowałam sobie prawo do zarządzania wszystkim samodzielnie, bez uzgodnień. Gdy się samemu decyduje o zakupach i inwestycjach, nie ma tych wszystkich debat, zbędnych dyskusji, kłótni, czy kupić serek żółty, czy biały, zupę przyprawić jedynie pieprzem i kostką rosółową czy ziołami prowansalskimi także. To jest wielki plus. Tak. Unikamy nieporozumień w sprawach codziennych. Boguś zaakceptował ten sposób zarządzania i gospodarowania aktywami. Nie musiał się zastanawiać i martwić, czy finansujemy je jeszcze my, czy już kapitał obcy.

Często siadywałam w maleńkim pokoju Marcina, ale on o tym nie wiedział. Niechętnie mi na to pozwalał, nawet zakazywał, mówił, że mu grzebię w biurku. To prawda, kiedyś szukałam baterii i znalazłam zdjęcie jego z dziewczyną. Śliczne, stali na kamiennej uliczce prowadzącej do rynku w Dubrowniku. Cali w bieli, opaleni. Wymuskani słońcem. Mój Marcinek i Kinga. Ta dziewczyna to już przeszłość, ale ja lubię wracać do przeszłości, zastanawiać się, co by było, gdyby...

Lubię ten pokój. To nic, że jest mały, to nic, że umiejscowiony tuż przy drzwiach wejściowych, zupełnie jak stróżówka. Ma dwa okna. Tylko z jednego z tych okien widzę ten drugi dom. Nie ten z rodziną Kędziorów gromadzącą się na posiłki. Dom z drugiej strony płotu.

Jakieś półtora roku temu sprowadzili się do niego bardzo mili ludzie, małżeństwo. Młodziutka sąsiadka obecnie spodziewa się dziecka. To piękny stan. Oczekiwanie dziecka rozpychającego się maleńkimi łapeczkami w brzuchu matki jest największym cudem życia. Ta śliczna sąsiadka na tyłach swojego ogrodu, pomiędzy brzozą a klonem, często pod wieczór tańczy. Kiedyś też się to zdarzało, nie tylko teraz, gdy jest w ciąży. Latem i wiosną na trawniku, jesienią na błotnym ugorze, zimą na śniegu. Czasem towarzyszył jej w tych wieczornych rytuałach mąż. Bardzo lubiłam na nich patrzeć. Wyczekiwałam w oknie nawet z godzinę. Nie mogłam się doczekać, aż się pojawią. Czasem odchodziłam zawiedziona. Ale kiedy już są, chciałabym, żeby tańczyli do zmroku, jak najdłużej. Oni tańczą również dla mnie, to wiedziałam. Zastanawiałam się tylko, czy wiedzieli, że ich podglądałam. Pewnie nie, bo nie tańczyliby tak swobodnie. Ona była bardzo lekka, stąpała z wielkim wyczuciem i ręce miała pięknie ułożone na jego poślądkach. To czysta erotyka. Bez udziwnień. Bez upiększeń. Potem mąż zabierał żonę na ręce i wnosił do domu. Wzruszający byli, tacy... mgielni, eteryczni.

Gdy spektakl dobiegał końca, wracałam do swojego salonu dla ubogich i podchodziłam do regału. Na półce ustawiłam zdjęcia synów, oba oprawione w równe, złote ramki, a oni... tacy przystojni, piękni. Krzyś ma ciemne, kręcone włosy, a Marcinek jasne, też kręcone. Całuję ich podobizny przez szybki. Pomiędzy ramkami stawiam flakony z perfumami. Wszystko, co luksusowe, czym się chełpię, jest na tej półce właśnie. Perfumy to moja słabość, zawsze mam kilka. Ale używam bardzo rzadko. Ja wiem, to do mnie nie pasuje, bo przecież nie mam kasy ani innych luksusów. Jestem oszczędna, niby nie wydaję na

zbytki. W ogóle jestem jedną wielką zwyczajnością. A tutaj taka fanaberia!

To prawda, kolekcjonuję zapachy. Czy luksus to fanaberia? Tak myślę. Wracając do zapachów, dla mnie najważniejszy jest Mademoiselle Coco. The one też lubię albo Eternity Calvina Kleina latem, ale zachwyca mnie wyłącznie tym. Mademoiselle Coco jest cudny, luksusowy. Niewielki flakon trzymam na bardzo ważne okazje. Ostatnio psiknęłam się, gdy odwiedzili nas Krzyś z Kaśką.

Malinowa trufla pisze:

Zawsze wydawało mi się, że znajomi, koledzy czy koleżanki, nie oczekują z mojej strony aktów dobroci. Cóż zresztą mogłabym im ofiarować?! Ale kiedyś postanowiłam dać mojemu mężowi w prezencie stary zbiór wierszy Norwida w skórzanej oprawie. Tak bez okazji. A on się bardzo ucieszył. Uszczęśliwił mnie. Ktoś powie: drobiazg. Ale ja ten drobiazg zauważyłam. Żeby mieć szczęście, trzeba umieć je dostrzec. Lubię mieć takie myśli, bo one dowodzą, że ciepło jest w nas.

Nie czekam, aż dobro do mnie powróci, to byłoby zbyt cyniczne.

Nie wyrażam zgody na klimakterium!

Następnego dnia od rana szukałam w firmie prezesa. Planowaliśmy pojechać do banku, żeby porozmawiać o kredycie. Ponieważ nie odbierał telefonów, zbiegłam do działu sprzedaży. Przez wielkie szklane drzwi widać było doskonale, że jest i właśnie robi odprawę. Gestykulował. W jednej dłoni zielenił mu się wielki, poobgryzany długopis, w drugiej zauważyłam niezapalonego papierosa. Nałogowiec. Wsadziłam głowę do pokoju.

Spojrzał na mnie jak na intruza. Palcem popukałam w zegarek, że przecież jesteśmy umówieni.

– O kurwa, zapomniałem! Już się zbieram!

– Dzień dobry wszystkim – rzuciłam w głąb sali.

– Dzień dobry – bąknęli niektórzy, choć właściwiej byłoby stwierdzić: nieliczni.

Moje pojawienie się nie zrobiło większego wrażenia na kolegach zaabsorbowanych zajęciami, powiedzmy, służbowymi. Nawet nie oderwali głów od komputerów. Przyzwyczaiałam się już do tego. Bernard z wypiekami na twarzy klapnął na siedzenie i udawał, że szuka czegoś w segregatorze. Fredek machnął ręką, nie patrząc w moją stronę. Licytował na aukcji. Skąd on ma na to wszystko pieniądze?! Ha! Takiemu to dobrze. Behapowiec oglądał makabryczne zdjęcia wypadków przy pracy. Patologia! Tomek i Gośka mieli na ekranach komputerów włączony program z podglądem terenu i co jakiś czas monitorowali, czy nie zbliża się Jęchorek. Gośka głośno waliła paluchami w klawiaturę, bo jak zwykle prowadziła ożywiony dialog na Gadu-Gadu. Że też jej te plastikowe pazury z czerwonymi serduszkami nie odpadną!

– Pani Beciu, co ja widzę? Ma pani nowe brwi! – pisnęła Czesia, która siedząc twarzą do drzwi, zawsze dużo widziała. A może i wszystko. Jedną rękę wzniosła w geście, że jest OK, kciukiem do góry, drugą przewijała zdjęcia starych grzybów na portalu randkowym. Zatrzymała się przy jednym. Był siwy, mały, a okulary zajmowały mu całą twarz. Ustawił się na tle nowego porszaka. Dźgnęła ekran palcem. Prychnęła.

– Też coś! Widziałam go. Siedział z zaciętą twarzą na ławce na poczcie, potem zaczął się kłócić, a tu pisze, że dla niego dzień bez uśmiechu jest dniem straconym. Tacy jak on na pewno nie poruszają się tak luksusowymi autami! Kłamliwy dupek! Kobieta musi się bardzo strzec, żeby w konfrontacji z tymi draniami wyjść choćby na zero.

No fajnie, normalnie bym się roześmiała, ale wszyscy – jak na zawołanie – oderwali głowy od komputerów i zaczęli (przynajmniej tak mi się wydawało) rozpracowywać topografię mojej twarzy. Obecnie czerwonej jak nieoszukany przecier pomidorowy. Portal w Czesi komputerze nie wzbudził w nikim emocji. Ani opowieść o ramolu z poczty. Miałam wrażenie, że wyłącznie mój wygląd wywołał nagłe zainteresowanie. Zresztą sama Czesia też śmiała się perliście znad sterty poczty, którą miała do wpisania. Patrząc na moje brwi. A ja czułam, że muszę się zaraz czymś ochłodzić, tak mi się zrobiło gorąco. Nie, to nie może być uderzenie klimakteryjne! Za wcześnie! Zresztą ja w ogóle nie zgadzam się na żadne klimakterium!

A wszystko przez tę nietaktowną i prowokacyjną Czesię! Odwet! Odwet będzie na sto procent! Niech no tylko pojawi się okazja!

– Nie ma solidarności damskiej – zapowiedziałam, siląc się na złowieszczy ton. Podeszłam i zajrzałam do jej komputera.

– A pani ma u mnie zarezerwowaną Babę-Jagę. Muszę ją w końcu przynieść, bo w walce o to trofeum nikt nie ma większych szans. O, jaki towarek do schrupania! Świetny! Tak, ten jest przystojny, że

też nie widziałam go wcześniej! Pewnie nowy. Szkoda tylko, że z Zielonej Góry, ale to przecież niedaleko... – Czesia nie odrywała wzroku od komputera.

– O kurczę! – wymknęło mi się. Bo z ekranu patrzył na mnie, na Czesię też, i nawet się bielusieńko uśmiechał mój szwagier, mąż mojej siostry Agi. I co najważniejsze, zięć Krysty! Stałam ze słowami, tym razem różnymi, na języku. A cisnęło mi się jeszcze wiele następnych!

– Kurczę nie kurczę, ale dobrze wypierzone. Przystojniaczek. Muszę do niego natychmiast napisać, bo potem zrobi się taki tłok, że się nie dopcham! Od razu swoje zdjęcie mu załączę, z plaży w Egipcie najlepiej. – Czesia miała w „de” biurową etykietę.

To jasne, że w takim stanie rzeczy zapomniałam o brwiach! Czerwieniłam się z jakiejś nieracjonalnej radości! Bo okazało się, że moja siostra wcale nie jest ideałem, skoro ją też własny chłop porzucił.

– Jedziemy, jedziemy – zawołał w tym momencie Rafał. – Bo znowu, kurwa, jesteście spóźnieni! Bacia, rozmawiałaś z naszym drogim Adasiem Królikiem?

– Nie znam żadnego Adasia Królika.

– To jeszcze, kurwa, z nim nie spałaś? – wykrzyknął.

To chyba miał być żart, ale w bardzo kiepskim stylu. Nowa, jaskrawa czerwień nałożyła mi się na tę wcześniejszą z powodu brwi. Poczulałam, że natychmiast muszę się powachlować.

– Ten z banku? Żurek się nazywa – wybąkałam speszona.

To straszne, pewnie wszyscy widzieli moje zażenowanie. Swoją drogą, cóż za pytanie! Nie, nie spałam. Nie widać? Z nikim nie sypiam. A prezes? To była molesta. „Poza tym zaraz mu powiem, co sądzę o jego soczystej polszczyźnie – przemknęło mi przez głowę. – Albo nie, nie teraz. Potem mu wytknę. Na pewno będzie jeszcze okazja”. W horoskopie na pierwszą połowę roku absolutnie nie doradzali mi wojowniczości. Pisali w nim, że lepiej nic nie mówić, niż powiedzieć za wiele. I tego postanowiłam się trzymać.

*

Aukcja 14789456

Ależ byłam zdenerwowana! Czy podekscytowana?! To wystarczyło. Po powrocie z banku cichaczem weszłam na Allegro. Szybko wypatrzyłam coś, co mnie wielce zainteresowało. *Krzyżacy* z 1929 roku w przecudnej skórzanej oprawie! To nic, że sto złotych kosztowało. To nic. Warte było, a stówkę można tak łatwo wydać na nieważne rzeczy. W końcu własnego szwagra, ulubieńca Krysty, nie widuje się codziennie na portalu randkowym! Kliknęłam i już prawie książka była moja. I tylko moja!

Triumf Bogusia

Kilka dni później zrobiło się parno. Coś wisiało w powietrzu. Powrót do domu w takich warunkach był katorgą. Spodziewałam się najgorszego. Tłok, zero świeżego powietrza i te wszystkie zapachy spod pachy... Dla mnie letnia mieszanka autobusowa była nie do zniesienia. Czułam ogólne zmęczenie.

Już w drzwiach autobusu rozpoczęłam walkę o miejsce. Od lat ćwiczyłam tę sztukę. Nawet miałam takie miejsce na przystanku, taką swoją wyszczerbioną płytkę chodnikową, gdzie, gdy stanęłam, zawsze byłam pierwsza przy drzwiach. Udało się – zwołniono się siedzenie przy oknie, po nienasłonecznionej stronie. Klapnęłam z ulgą na krzesło. W korku siedzieć w słońcu? O nie, wolałabym stać. Drzwi zamykają. Się. Ufff. Ruszyliśmy, a potem wlekliśmy się zatłoczoną Bukowską, trzy metry do przodu, stop, kolejne trzy metry, stop... Na następnym przystanku wsiadło kilka osób. Nikt nie wysiadł. Drzwi zamykają. Się. Mało mnie to interesowało, dla uspokojenia próbowałam czytać darmową gazetkę. Nie szło mi. Drapałam się zawzięcie po szyi. Potem po ręce. Generalnie wszystko mnie swędziało. Do tego ten tłum. Już zaczynały mnie łapać moje łęki. Kręciłam się. Byłam znów niespokojna.

– Taki młody gnój, a siedzi! – usłyszałam gderliwy, starczy głos.

Podniosłam głowę. Do autobusu wjechał wózek inwalidzki pchany przez wyraźnie podminowaną kobietę, tak na oko grubo po pięćdziesiątce. Myszowate kosmyki zmytej trwałej poprzyklejane były do skroni, w szarej twarzy królował nos, którym mogłaby robić dziury w serze, i nieregularne szare brwi o kształcie podobnym do żywopłotu z berberysów na posesji Kędziorów. Ubrana była w ciemne, wygniecione spodnie, opinające ciasno jej żylaste biodra. Mimo że z grubej i sztucznej tkaniny, dopominały się o kilka ruchów żelazkiem. A biała zapewne kiedyś bluzka, z haftami pod szyją, nie miała guzika na płaskim biuście.

Kobieta rozglądała się po autobusie. Starsza zaś, którą wiozła jak w lektyce, paluchem wskazywała na siedzącego przy drzwiach chłopaka ze słuchawkami w uszach i ze złością tupiała nogą o pedał wózka. Wełniana spódnica niewątpliwie była dla niepełnosprawnej kobiety za ciepła. Niemodne bordo przy tym upale nie wyglądało najlepiej. Jednak najbardziej niesmaczne było to, że stara nie miała na sobie żadnej bluzki, jedynie czarną kamizelę z anilany, spod której wylewała się pomarszczona, obwisła, biała skóra ramion i równie nieapetyczna pacha z widocznym skrawkiem wysuszonej piersi, podobnej kształtem do ucha zająca. Kobiety były niewątpliwie krewnymi. Wskazywały na to te same włosy, brwi, oczy, usta i przygarbione sylwetki.

Przyglądałam się, jak wystraszony chłopak szybko ustępuje miejsca starej, jak młodsza sadza ją troskliwie na krzesło, a wózek ustawia przy kasowniku. Czuć było między nimi w takim samym stopniu głęboką, emocjonalną bliskość, jak i chore uzależnienie. Jedno i drugie tworzy podobnie silne więzy... Nierozzerwalne. Poza tym... tak, sama wiem coś na ten temat. Cała ta scenka wyglądała znajomo. Przyglądałam się tym kobietom z jakąś niezdrową ciekawością, trochę dłużej, niż wypadało.

– Co się tak gapi? Jakby ludzi nie widziała! Siedzi jak ten rozdział. Też może kiedyś będzie inwalidką!

– No, znalazła się wielka panusia! – młodszy babiszon podchlebiał się staremu.

Ocknęłam się. Czułam na sobie źrenice piekące jak rozżarzone węgle. Dopiero wtedy zorientowałam się, że to było kierowane do mnie. Do mnie! Twarz mnie piekła i generalnie czułam się tak, jakby w moim wnętrzu buszował tajfun. Nie spuszczały ze mnie oka. Jeszcze tego brakowało, żebym stała się mięsem armatnim dla niewyżytych babiszonów! Ja! A co ja im, do cholery, zrobiłam?!

Milczałam. „To na deszcz takie wredne! Na pewno na deszcz!” – pomyślałam tylko. Wiadomo –

zawsze jestem w stanie każdego kłótliwca wytłumaczyć.

Z ulgą wysiadłam ze śmierdzącego autobusu. Przed domem zastałam obraz zmagania ciał żywych z materią martwą. Po całym ogrodzie rozrzucone były resztki starej papy i rdzewiejącej już blachy. Scenerię jak po trąbie powietrznej uatrakcyjniały mocno dziurawe, czterdziestoletnie resztki rynien. Część z nich sterczała jeszcze na dachu. I straszyla przechodniów. Zresztą cały dom straszyl. Nigdzie nie było widać nawet śladu fachowca. Za to Boguś triumfował. Uśmiechnięty od ucha do ucha paradował w krótkich spodenkach. Pies kręcił się koło jego owłosionej nogi.

– Mówiłem ci, że Czerwonej Koszuli źle z oczu patrzy – rzekł od progu.

– Pies dostał? Kurczę, jakiej znowu Czerwonej Koszuli? – nie zrozumiałam.

– Trzy razy dostał. Temu twojemu elegancikowi, Jurkowi. Fachowcowi od siedmiu boleści. – Już na wstępie Boguś podnosił mi ciśnienie.

– Za dużo mu dajesz zjeść, już ci to kiedyś mówiłam! Pies raz dziennie, maksymalnie dwa, powinien zjeść. Tylko mi nie mów, że dachowców odgoniłeś! – powiedziałam mocno już poirytowana. Jeszcze w Mieteksie czytałam prognozę pogody. Niestety, nie była zbyt optymistyczna. Słowa Bogusia bardzo mnie zmartwiły. Plus drugi zły zwiastun: babiszony.

– To co się pytasz, czy dostał? Dostał, nie dostał, człowiek się w rozkładzie posiłków psiny może pogubić! Jeszcze nikogo nie pogoniłem, ale jeśli będą w tym tempie pracować, to na pewno wkrótce nastąpi to miłe wydarzenie – odgrażał się dalej.

– Prosiłam cię, żebyś dwa razy się zastanowił, zanim to zrobisz. Przypomnij sobie, jak sam mówiłeś, że ten dachowiec sprawiał najlepsze wrażenie spośród tych, którzy u nas byli. I nie czuć było od niego wody.

– Oni nie mają podstawowej wiedzy o naprawie dachów, dzisiaj to udowodnili. Będą musieli jeszcze raz kłaść papę, frajerzy. Wcale się nie ucieszyli, ale w końcu dla świętego spokoju pościągali rynny.

– Nie wymądrzaj się, bo zagonią nas w kozi róg i zrobią na złość. Deszcze idą, zostaw ich, niech szybko zrobią, co trzeba.

Zazwyczaj bliższy mi był wariant liberalnego podejścia do sprawy. I w ogóle do ludzi. Ale nie tym razem.

I przede wszystkim nie, jeśli chodzi o Bogusia!

Ależ on zawsze jest!

Było już koło dziewiętnastej tego samego dnia. Zaparzyłam sobie herbatę z pokrzywy. Ktoś zarąbał w drzwi, prawie odpadły!

– Byś zmieniła swojego Bogusia na innego, najlepiej dużo młodszego Bogusia. Pełno tych Bogusiów po świecie gania. – Zośka, jak zawsze pewna siebie zwolenniczka seksualnych ekscesów ostatniej szansy (paradoksalnie „ostatnia szansa” dotyczyła też kochasiów, niejeden przekroczył mury więzienne – w „tamtą” niestety stronę), niezapowiedziana maszerowała na wyprostowanych nogach przez mój korytarz. Uśmiechała się przy tym kpiąco.

Swoim wyglądem tradycyjnie musiała zwracać na siebie uwagę. W jednej dłoni trzymała dzwoniącą właśnie, wiśniową komórkę, w drugiej lakierowaną, czerwoną torebkę na sztywnych pałkach, na głowie zaś dumnie niosła nową fryzurę na chłopkę. Spod białej bluzki w wielkie czerwone grochy ledwie wystawała króciutka spódniczka, ale to, co od razu rzuciło mi się w oczy, to czerwone szpilki na patykawatych, świeżo wydepilowanych nogach. Cudo! Nieskazitelne jeszcze, widać, że dopiero kupione. Lśniące, z wąskim noskiem. Że też ona nie ma jeszcze haluksów! Z tyłu i z boku wyglądała bardzo młodo. Przynajmniej według mnie.

No nie, ale teraz mnie zdenerwowała! Czy ona nie widzi?! Sama kiedyś się produkowała, że te klepki w przedpokoju rozeschły się, klej wywietrzył czy coś, i dlatego odpadają. W końcu w zeszłym roku było bardzo upalne lato. Tymczasem jej szpilki wciskały się w pustą przestrzeń między luźno leżącymi drewniakami i powiększały i tak już widoczne dziury.

– Nie poprzyklejał jeszcze?

– Ciiii, jest – szepnęłam nerwowo.

– On zawsze jest. – Wzruszyła ramionami.

Nie dam się zwieść tym razem, najpierw mnie nabuntuje, potem wsiądzie w to swoje nowe auto, powożone przez o dziesięć lat młodszego, wytatuowanego tu i ponoć także „ówdzie” kochanka na jedną noc. I pojedzie. A ja dopiero się nasłucham! Tak, wówczas pojawiłyby się warunki do nawiązania rozmowy między mną i Bogusiem. „Tak, tak – powiedziałyby – słuchaj dalej tej swojej szurniętej Zośki. Małe toto i zasuszone jakieś, wyglądu wcale nie ma, zwyczajny zwiędły irys. A jaką dziurę w klepkach swoimi szpilkami-wabikami wywierciła! I jeszcze myśli, że na taki wygląd albo na czerwone szpilki złapie jakiegoś nieświadomego głupka. A człowiek przez taką podżegaczkę tylko musi naprawiać”.

O nie, taka nierozsądna to ja nie jestem, żeby dobrowolnie narażać się na słuchanie podobnych wyrzutów (choć, prawdę mówiąc, nawet palcem nie kiwnął, żeby cokolwiek naprawić).

– Ukrop na dworze. Duchota. Na pewno będzie padać. Ten twój Boguś nieźle się urządził... Leń. By się wstydził. Co on całymi dniami robi? Ja nie wiem, co ciebie przy nim trzyma. No chyba nie powiesz, że pieniądze. – Zachichotała.

A właśnie, że pieniądze. Trzymają mnie przy nim moje pieniądze.

– Bo czym jest seks, to na pewno dawno już zapomniałaś.

Czy one wszystkie muszą tylko o tym seksie klepać? To się robi, a nie w kółko o tym gada! Nawet taka „zakonnica” jak ja dobrze o tym wie. Mitomanki! Ze strachem spojrzałam w stronę naszego salonu. Dzisiaj nie była mi już potrzebna żadna awantura. Zupełnie nie.

– Ciii – powtórzyłam.

– Co tam pijesz? Jakoś dziwnie pachnie...

– Herbatę z pokrzywy, ponoć paznokcie po niej są lepsze. I włosy... Chcesz też?

– Nie poparzą Bogusia. – Zośka ze śmiechu dostała rumieńców.

Wzruszyłam ramionami. A potem za oknem usłyszałam to, co zapowiadała Zośka i czym straszili dzień wcześniej. Burza, czyli wichura i deszcz razem wzięte. Plus błyskawice. Zostawiłam Zośkę na środku korytarza i zapominając, o czym myślałam przed chwilą, wzięłam głęboki oddech i wpadłam do naszego pokoju. Boguś jak zwykle okupował komputer.

– Nie widzisz, co się dzieje?! – wrzasnęłam.

– Co takiego? – zapytał nieprzytomnie. – Aaa, chodzi ci o to, że Zośka przyszła? Też coś! Stare próchno – szepnął i wstał z fotela. Wyszedł na korytarz.

– No, Zośka, jakaś ty kolorowa, całkiem ponętnie wyglądasz – komplementował „próchno”.

– Ty też sobie kup szyfonowe ubranko! Bardzo by ci pasowało.

– Śmieszne! Aż ze śmiechu dostałem zajadów! A twoje tiry tak zapierdalają, że nie masz czasu ich rozładować? Co? Co cię w ogóle sprowadza do takich starych i biednych trupów?

– Biznes. Wiesz w ogóle, co to jest?

– Ćwierkały niedawno wróble na naszej jabłonce, że młodszych wolisz, nieprawdaż? Dobrze, że nasz Krzysiek już sprzedany, bo Becia byłaby dla ciebie teściową! – Zaśmiał się pełną papą.

– A ty teściem! Boguś! Pytałam ciebie poważnie!

Dopiero wtedy na mnie spojrział. Dawno nie widział mnie tak poruszonej. Gdzie się podziejemy, gdy hrabstwo Krysty się rozpadnie? Jak podzielimy majątek w postaci kupy zmurszałych cegieł? Biegałam zdenerwowana od okna do okna.

A potem drzwi od wiadomego pokoju otwały się z hukiem. Przez te gwałtowne ruchy klamka już od dawna się ruszała. Jeszcze odpadnie. I co wtedy? Drzwi będziemy wyłamywać? Czy przez okno ratować z niewoli?

– Głupcy, zabierają się do czegoś, a niczego nie potrafią! Co robicie z moim domem?! Nie życzę sobie, żebyście jeszcze coś tutaj tknęli! Gdzie jest pies?!

– Pies! A co mnie obchodzi obszczymur?! Sika pewnie na wszystko, co się da! Człowiek chce spokojnie żyć w domu, chce jakoś współżyć, oczekując tylko normalności. Czy to dużo? Dużo?! A co ciągle słyszy?! – wrzeszczał Boguś.

Krysta zaczęła trzaskać drzwiami, potem szukać lekarstwa na nadciśnienie. W końcu – głośno zawodzić. Zamknęła drzwi, ale szlochać poczęła jeszcze głośniej. Westchnęłam. I, jak zawsze, wystraszyłam się.

– To ja już pójdę, ale sajgon. Ostatecznie, Becia, możesz spać u mnie. – Zośka wycofywała się do wyjścia. Jeszcze w domu otworzyła parasol. Czerwony w białe grochy. Zatrzymała się za drzwiami i szepnęła konspiracyjnie: – Kurde, widzisz, co z nami zrobiły te głupie matki?! Do jakiego męskiego zbioru kiedyś sięgnęłyśmy! Zobacz, minął przeszło miesiąc od rozvodu, a ja kilka razy ryj Ryśka w szybie swoich drzwi wejściowych zobaczyłam. Kasę przyszedł na mnie wymuszać. Że niby alimenty. Kloszardem to on już dawno był, a teraz...! Kompletny śmieć, a ja byłam jego żoną. Taki wstyd. Wszystko przez głupotę mojej matki.

– Przestań. Pogadamy kiedyś – szepnęłam. Jeszcze tego brakowało, żeby pod drzwiami Babci dalszą historię swojego życia zaczęła snuć.

– Tak, tak, może jeszcze kochanka jej zaproponujesz?! Takie coś we własnym domu, wcale bym się nie dziwił. – Boguś stanął zniecacka za moimi plecami i złym wzrokiem mierzył Zośkę. Ta jednak zdążyła już się ulotnić.

Wkurzył mnie. Już nie przejmowałam się tym, że wrzeszczę. Dla niej to robiłam. Dla Babci, czyli dla Krysty. Żeby wreszcie przestała płakać. Żeby wiedziała, że zawsze będę bronić jej domu. Że nie musi się o niego martwić. Że o dom zadbam ja!

– Leje jak z cebra, stare rynny ściągnięte, a nowe co?! Niezałożone! Z dachem też nic nie wiadomo.

Z daleka widać, jak cieknie po murach – wyliczałam złowieszczco. – Oby nie było jeszcze gorzej – dodałam trochę ciszej.

Nie wiem, po co to powiedziałam... Słowa mają jednak wielką moc. To już wiedziałam. Najpierw była przecież Madonna. Ech, ale nie tylko. Właśnie spojrzałam na sufit i zrobiło mi się słabo. Ze starego, przedpotopowego żyrandola ciurkiem kapiała woda. Tak! Z naszego żyrandola sikała woda! Zbierała się w holu, niszcząc już i tak poodklejane klepki. Podstawiłam plastikową miskę. Krople dudniły coraz szybciej.

– O co ci chodzi? Mówiłem, że Czerwona Koszula jest fachowcem z bożej łaski. Nie chciałaś mnie słuchać.

– Pomóż mi, nie widzisz, że się miotam?

Zaczęłam płakać.

– Skoro czegoś nie potrafisz, to się do tego nie zabieraj.

– Trzeba było powiedzieć, żeby chociaż rynny założyli. Albo ich nie ściągali. Nigdy się nie pogodzę z bylejakością. Nigdy – mówiłam bardziej do siebie niż do Bogusia. Trzęsło mną. Ścisnęło gdzieś tam w środku. Nie patrzyłam na nikogo. Jak oni mnie upupili! Ogłupili! Chwyciłam się za głowę. Jakby tego było mało, za drzwiami Krysta znów zaczęła zawodzić:

– Głupcy, darmozjady! A ta mu „Bogus” szczebiocze! To dupa, nie facet. Ja na takiego bym nasrała! Człowieka starego wykończą tu na amen.

– To, że pada, to siła wyższa! Kretynki! Może miałem deszcz powstrzymać? O co wam wszystkim, do cholery, chodzi?!

To ostatnie pytanie z mety wyprowadziło mnie z równowagi. Zresztą on je zawsze po to zadawał. O co chodzi, jeszcze pyta, kiedy sypie się nasz dom?! Rozwścieczył mnie. A Krysta przedtem podjudziła.

– Nie obchodzi cię, co się stanie z domem. Ze mną. Z nami. Idzie ci tylko o święty spokój, pieniądze na bzdety, dostęp do komputera. I żebym ja na to wszystko harowała. Nigdy się z tym nie pogodzę. Nigdy! – krzyczałam.

W centrum zarządzania tym razem słycać było trzaskanie oknem. Wiadomo – swoje smrody i brudy kisić mamy tylko i wyłącznie we własnym, na dodatek rozpieprzonym domu.

Weszłam do pokoju Marcina, żeby ochłonać. Włączyłam laptop. Gdy się ładował, ja oparłam ręce o parapet i zaczęłam tęsknie patrzeć za okno. Kędziorowie nadal jedli kolację. Nic innego się dla nich w tym momencie nie liczyło. Nawet ulewa. Dziadek, babcia chora na alzheimera, dwie córki, zięciowie i wnuczeta – wszyscy razem siedzieli przy wielkim stole... Rozmawiali ze sobą. Uśmiechali się do siebie. Chleb podawali. Kawą z białego dzbanka się częstowali. Albo samym mlekiem, nie jestem pewna. Widząc tę sielanę, zaczęłam płakać. Dlaczego mam tak niski próg wrzenia? Próbowałam się uspokoić. Wzięłam kilka głębokich oddechów. Włożyłam płytkę do napędu. Głośną muzyką próbowałam zagłuszyć jeszcze bardziej głośnie myśli. „Nienawidzę, nienawidzę” – Chylińska dawała czadu. A ja nalałam sobie dużą szklankę śliwowicy. Przez ciemną, klarowną ciecz patrzyłam na dom Kędziorów, a następnie wypiąłam ją duszkiem. Drugą szklankę trunku zawsze pije się wolniej niż pierwszą. Sącząc już spokojniej, zaczęłam sobie wyobrażać, że przez cały deszczowy weekend dom bez rynien zdąży zamoknąć, że zacieki będą widoczne nawet wewnątrz. Po czym na pewno rozleci się i stanie się kupą starego gruzu. Nie do ponownego użytku. Ten gruz mnie nawet rozśmieszył. „Do diabła – pomyślałam – przecież na pewno nic złego się nie stanie, jeśli ta chata będzie moknąć jeszcze przez kilka następnych łyków!”

Nieco później zobaczyłam w karafce dno.

Genetyka w kwestii siusiu

Zobaczyłam to dno. Przez mgłę. A następnego dnia miałam potwornego kaca. Ale zapomniałam o smutku, facecie przy mnie (choć nie dla mnie), o rozpadającym się rodzinnym domu do spłacenia i wyremontowania, o deszczu... i nawet o tych nieszczęsnych rynnach też już potem nie pamiętałam. Przez weekend ani razu nie zajrzałam do pokoju Krysty. Ona też nie wychodziła ze swego centrum zarządzania parobkami. Albo centrum pomiatania rodziną. (Jeszcze kilka innych nazw jej salonu miałabym w zanadrzu. Na przykład centrum straszenia rodziny własną śmiercią.)

Normalnie byłabym przerażona. Potwornie bałam się śmierci. Jej śmierci. Nie radziłam sobie z lękiem, gdy zdarzało jej się odgrywać własne umieranie. Wiele razy tak mnie straszyla. Nawet gdy byłam dzieckiem. „Pęknie mi żyłka w głowie i umrę, a ciebie zabiorą do sierocińca, bo kto cię wychowa, gdy mnie zabraknie?” – mawiała, jakby czerpała jakąś sadystyczną przyjemność z zadawania mi bólu. A teraz? Przez całe dwa dni nie siusiała (no chyba że wychodziła, gdy już spaliśmy). Zwykle umierałam ze strachu i poczucia winy. Naprawdę. Nieraz śniłam, że mnie obcy ludzie od jej trumny odciągają. Albo że przychodzi po śmierci nad moje łóżko, śmieje się i krzyczy: „Wszyscy cię zostawiają, wszyscy! Już ja o to zadbam!”. Tej nocy nie przysła. Pomogła mi moja nowa przyjaciółka – śliwowica! Różdżka czyszcząca noc ze złych snów!

W niedzielę pod wieczór deszcz ustał. Po dokładnych oględzinach stwierdziłam, że dom nadal stoi, z żyrandoli już nie kapie, tylko na zewnątrz widać brunatne zacieki, które pewnie będą schły rok. Boguś, jak miał w nosie całe to gospodarstwo, tak miał je nadal. Rzucił mi pogardliwe spojrzenia abstynenta. W kuchni Szaki mlaskał, jedząc zupę. Wokół miski leżały resztki warzyw i kasza. Pies, chlapiąc łapczywie, opryskiwał glazurę na ścianie. Łypał na mnie, jakbym była kaszożerna. W domu panowała względna cisza. Na dworze też. Boguś parzył sobie herbatę.

Drzwi od centrum zarządzania parobkami skrzypnęły cicho. Krysta chyłkiem wyszła na siusiu. Ufff! To znaczy, że żyje! Zerknęliśmy na znikający za łazienkowymi drzwiami cień. Boguś prychnął.

– A ty pogrzeb już planowałaś, śmieszne. Nic dziwnego, że na tej ulicy ze starszych facetów tylko Kędziora żyje, te jędze wszystkich powykańczały. Cóż to za toksyczne pokolenie! Wdowy zapiekle.

– Przestań, to moja matka! – szepnęłam.

– Matka! To jest matka? A zresztą, ty będziesz taka sama. Identyczna. Widzę to przecież. Genetyka robi swoje – mruknął w moją stronę. Zaśmiał się przy tym histerycznie. Mnie zaś widok Krysty żywej tak bardzo uszczęśliwił, że zachciało mi się nucić balladę indiańską. Przebój seniora rodziny Kędziorów, jedyne na tej ulicy starszego pana, który się żonie nie dał piachem przysypać.

„...jak zjawa senna życie jest człowieka, zjawia się – dotknąć chcesz, lecz ucieka... lecz ucieka...”

Garnitur do trumny

Było kolejne czerwcowe popołudnie. Usiadłam w pokoju, nałożyłam słuchawki, w necie włączyłam jakieś radio, nie pamiętam jakie. Chodziło o delikatny podkład muzyczny do lektury. Trzymałam w ręce nabytek. Moich kochanych *Krzyżaków* w skórkowej oprawie w kolorze purpury. Wspaniała książka, miód na zbolałą duszę. Pełen prawdziwych uczuć dukt w ciemnej puszczy, jaką jest współczesne życie. Młodziutka Danuśka Jurandówna tańczyła na łące pod Spychowem, zbierała polne kwiaty, cieszyła się latem, grała na lutni. Jednak w powietrzu czuć było wojnę. Otworzyłam sfatygowaną książkę, przewróciłam kilka stron. Czytałam ją po raz nasty, choć niektóre fragmenty znałam na pamięć. W tym momencie zadzwonił telefon. Krzysiek.

– Mamo, pomyślałam, żeby ojcu na urodziny kupić garnitur. Chodzi ubrany jak menel. Co o tym myślisz?

Kochany chłopczyk z tego Krzyśka! Pamiętaj o nas. Troszczy się. Nie zapomina o nieudanym ojcu. Urodziny Bogusia zawsze urządzaliśmy z wielką celebrą. Ja z miesiąc wcześniej przypominałam o tym synom. Biegałam po mieście, szukając prezentu. O moich urodzinach – podobnie jak o imieninach – nikt w zasadzie nie pamiętał. Tylko na Naszej Klasie czasem komuś wymyknął się jakiś wpis. Że życzy, że sto lat, że szczęścia i pomyślności. Ale to nic. Nie jestem przecież najważniejsza.

Właściwie powinnam Krzyśkowi powiedzieć, że najlepiej by było, gdyby ojcu kupił pukawkę czołową, ale pomyślałam, że taka bezpośredniość mogłaby być niewychowawcza. Przecież własne dzieci wychowuje się nawet wtedy, gdy już mają swoje rodziny, a są nawet takie matki (jak na przykład moja), co swoje dzieci – w ich mniemaniu te gorsze – chcą pouczać aż do ich późnej starości. Pouczać i dołować. Żeby tylko je do siebie upodobnić. Na siłę ociosać duszę, dla samej satysfakcji z czynienia przykrości.

Ratunku! Nie, ja chcę być inna!

– Przy domu może przecież tak wyglądać – powiedziałam bez przekonania po dłuższej chwili milczenia. Bo czasem nawet chciałabym z nim gdzieś wyjść. W restauracji zjeść pierogi ruskie albo nawet boeuf Strogonow. Czy tak po prostu wyjść, byle uciec z krzykliwego domu. Z kimś. Wiele razy kalkulowałam tak: umyję go, ubiorę, zabiorę ze sobą do ludzi. I nie będę wyglądała na samotną! To był chyba mój główny cel. Wiem – głupota! Moje rozmyślenia znów przerwał głos Krzyśka, docierający do mnie jak przez mgłę.

– Kaśka wymawia mi ciągle, że pochodzę z biednej rodziny. Ze społecznych nizin. Kupię. Tylko musiałybyś mi e-mailem podać wymiary.

Spojrzałam na Bogusia. Siedział jak zawsze przed komputerem. Ubrany w podziurawione portki tym razem nastawiał swoją ulubioną płytę. Huragan dźwięków. Czyli zaraz usłyszę wichurę w tajdze, a potem rozpoznam, że to jest jednak Lady Pank.

– To co, podasz? – zapytał Krzysiek. – Bo ja już muszę kończyć. Wyślij w e-mailu, pa! – I rozłączył się, nie czekając na moją odpowiedź.

Wymiary! Łatwo powiedzieć. Wpaść na dowolny pomysł (a kupno jest przecież w gruncie rzeczy zwyczajnym pomysłem) nietrudno, ale zrealizować go – jest bardziej skomplikowane. Co mam niby powiedzieć takiemu niedowiarkowi i podejrziwcowi, gdy go będę obmierzać? Że miara się na nim przypadkowo zaplątała?

– Boguś, możesz mi powiedzieć, jaki ty teraz masz rozmiar ubrań? – zapytałam miło, chociaż absolutnie nic mnie do tego nie upoważniało. Jednak, jeśli chodziło o Bogusia, czasem trzeba było mu

ustąpić. Zresztą, co ja mówię? Czasem? Zawsze!

– Jak to, jaki? Normalny. Po co tobie to wiedzieć? – Przyglądał mi się podejrzliwie.

– E, nic, może bym zrobiła sondaż, gdzie są jakieś ciekawe spodnie. W brązowych sztruksach najlepiej byś wyglądał.

– Odpaliło ci? Nie masz na co wydawać pieniędzy? Nie chcę żadnych spodni, wybij to sobie z głowy! Te, co mam, w zupełności mi wystarczą. Czy ty się kiedyś nauczysz rozumu?! Na łachy całą forszę mogłabyś wydać, a na miesięcznik z olbrzymią dawką wiedzy skąpisz. Gdzie tu logika?

– Przestań zrędzić. No dobra, skoro już tak stawiasz sprawę, to ci powiem. Żebyś mnie nie posądzała nie wiadomo o co. To Krzysiek chciał wiedzieć. – Mówiąc to, już szykowałam się do bardzo samodzielnych i odważnych pomiarów.

Od początku rozmowy trzymałam w dłoni miarę krawiecką, czekałam tylko na właściwy moment. Teraz!

Boguś odwrócił się do mnie tyłem, nałożył słuchawki z pręcikiem na uszy i zaczął wystukiwać w komputerze numer przyjaciela. Opasałam go szybko w tali, po czym lekko miarkę poluzowałam, żeby nie było tak na styk, drugą ręką nieudolnie wkładałam na nos okulary i już chciałam odczytać, ile to tych centymetrów schabowych i kurczaków z różną nagromadził w swoim aparacie nasłuchowym... Ale wtedy podmiot rodzinnej troski wstał gwałtownie, nie zważając, że jest przyczepiony do komputera kablem od słuchawek. Wyszarpnął się z miary, a oburzony był i wściekły, jakbym chciała mu wycisnąć pryszczę.

– Więc to tak?! A może moje wymiary do trumny bierzecie? Chcesz się mnie pozbyć? Razem ze swoimi syneczkami taki plan uknułaś?! Tak, tak! Wdowieństwa może ci się zachciało? Niedoczekanie! Twoja Zośka znowu się tutaj pałętała, starczy jad zapuściła, od razu czuć, że cię nabuntowała.

– Możesz przestać doszukiwać się wiecznie dziury w całym? Filozof od siedmiu boleści! Do jakiej trumny? Już ci całkiem na głowę padło? Chyba że o swoim bycie przy mnie mówisz? Jeśli tak, to ciepło masz w tej trumnie. Stój, gdy mówię, nie ruszaj się. – Tym razem poszło mi lepiej. – No, w pasie masz dużo więcej niż kiedyś. Sto dwanaście. W klatce sto dziesięć, tak samo, szyja czterdzieści trzy.

„Przyjemność” – tu nie chodziło o tworzenie komfortu dla Bogusia. Jemu wystarczał polar. A właściwie dwa. Albo flanela, nawet nieprana. Tak naprawdę wyłącznie dla siebie kupowaliśmy ten garnitur. Boguś nie miał potrzeby być eleganckim mężem. Ani też lepiej ubranym ojcem. O nie, on był ponad takie sprawy! Co innego my. Nie chcieliśmy się wstydzić. Po prostu. Istnieje taki pogląd, że wstydzić należy się wyłącznie za siebie. Cóż, może i tak, ale wydaje mi się, że nie do końca... W każdym razie czułam w tej chwili wielką determinację, żeby przekazać Krzyśkowi te cholerne wymiary.

– Jakie sto dwanaście?! No, jakie sto dwanaście? Sto osiem, nie umiesz mierzyć! O, zobacz – Boguś mówił chrapliwie, głosem ściśniętym miarą. Spoza niej, dołem i górą, wylewało się mięcho. Jego paluch, zagłębiając się w miękkiej, bladej galarecie, porośniętej rzadkimi kłakami, pokazywał sto osiem centymetrów.

Malinowa trufla pisze:

Minął ciepły, ale nieco słotny dzień. Po południu włożyłam kufajkę po ojcu i wyszłam na ogród. Gdy się tak opatulam tą granatową pikowanką, zawsze czuję, jak ojcowskie ciepło spływa na mnie i mnie kołysze. Mam wtedy wszystko, co powinno czuć małe, wystraszone dziecko. Ciepło i dobrą wolę. Tęsknię za tym.

Wczoraj kupiłam sobie śliczne kolorowe kalosze. Tło gumiaków jest niebieskie, a na nim pyszną się żółto-zielone mazgaje – jako kolorystyczna odwrotność błota. Jest coś pozytywnego w bezpośrednim dotykaniu słoty. Wtedy najbardziej szukam w sobie tego małego dziecka, otoczonego uczuciem i troską najbliższych. Ufnego i pełnego nadziei. Jeszcze go nie znalazłam.

Perfekcjonista jeden!

W firmie już drugi miesiąc szukałam dla siebie zajęcia. Jakieś tabelki z symulacjami tworzyłam, analizy, prognozy i tak dalej. Na szczęście małą chwilkę zabił mi behapowiec. Wsadził głowę do pokoju i zapytał:

– Wszystko dobrze?

– Tak, i dziękuję za uśmiech.

– Jaki tam uśmiech, to jest grymas bólu! Wydawałoby się, że stara wyga ze mnie! Bo w końcu były komuch. A taki głupek! Auto otwarte przed blokiem zostawiłem. I nie ma. Odjechało, a polisy nie opłaciłem!

Potem nieco czasu zajęła mi Gośka.

– Jemu z uszu wychodzą włosy, widziała pani? Z nosa też.

– Ale komu?

– Bernardowi. On ma w ogóle strasznie suchą skórę i taką białą, na rękach najbardziej. I plamy brązowe, wyglądają jakby się ćmikiem oparzył. Ale są mniejsze niż średnica ćmika.

– To starość jest...

– A dzisiaj zapufał mi prosto w nos starym petem. Blee.

– Wydaje mi się, że on dużo pali, to chyba nie bardzo stary był ten smród...

– Ale ze starego żołądka!

Za drzwiami coś sapnęło. Chwyciłam za papiery, całkiem łatwo udawało mi się grać zapracowaną. Słusznie, bo tym razem wszedł Rafał. Oczywiście zielony, plastikowy długopis trzymał blisko ust. Cóż za zapobiegliwość! Czyli w razie czego – hyc! – i już go gryzie! Z kim ja pracuję?! Wielki prezes o nawykach i lękach małego zahukanego chłopczyka. Chciałoby się czasem go skarcić. Spłoszył Gośkę, która natychmiast czmychnęła z mojego pokoju.

– Pani Beciu, ładnie pani zrobiła te prognozy na przyszły rok. Ale dlaczego nie ma tam szczegółowych kosztów wynagrodzeń i ich obciążeń? Ja dawniej, gdy jeszcze miałem więcej czasu, robiłem sobie różne ciekawe symulacje. Mam kilka zestawień, prześlę je pani e-mailem.

– To dzięki, będę mieć jakieś podwaliny – ćwierkałam wbrew sobie i wbrew swoim myślom. Generalnie wbrew!

– Podanie, trzy zdjęcia, kwiatów nie piję – Rafał wygłosił stary dowcip z kloszardzią brodą. Zadowolony był z siebie, jakby udało mu się powiedzieć coś odkrywczo dowcipnego. I wyszedł.

Po dziesięciu minutach sprawdziłam pocztę. Jest. He, he. Tabelka jak tabelka, wszystko, co tam zawarł, można ze spokojem uzyskać z programu płacowego i wrzucić do Excela. Czyli zrobić to tak, jak ja miałam. Cwaniaczek. Klikałam beznamietnie i przewijałam strony. Hmm. Uszeregował według działów, potem szły konkretne nazwiska, którym przyporządkował wynagrodzenia i narzuty. Ułożył w układzie miesięcznym na rok do przodu, podsumował i w ogóle. Za cały rok. W podstawowych działach zaplanował przyjęcie stada małych sierściuchów do biegania za kontraktami – po tysiąc pięćset każdy. No OK, mówiliśmy o tym. Wszystko było czytelne. Rzeczywiście się napracował. Chociaż raz. Widzę przecież, że zwykle duperelami woli się zajmować, zamiast rządzić. Podobnie jak ja, tak na marginesie.

Zupełnie bezmyślnie wpatrywałam się dobrą chwilę w ekran, gdy nagle... Coś rzuciło mi się w oczy. A to co, u licha?!

Niebawem będziemy mieć koniec czerwca, a w sierpniu przy moim pospolitym po Bogusiu

nazwisku zaplanował trzy razy więcej kasy niż normalnie! O kurczę! Lubię takie pomyłki! Bardzo. Przy nazwisku koleżanki z działu w czerwcu w ogóle kończyły się wynagrodzenia! Pomylił się, perfekcjonista jeden! Pracoholik!

Przeleciałam kursorem do dołu. A potem zamarłam, zaciskając palce na myszce...

„Założenia do planu wynagrodzeń” – przeczytałam na samym dole. I dalej: „Podwyżki wynagrodzeń będą możliwe z uwagi na duże oszczędności na wynagrodzeniach dwóch osób planowanych do zwolnienia”. O nie! Czyli co, to ja mam spadać za burtę?! Ja, która go zaprotegowałam?!

– Beciu, wyglądasz, jakbyś wampira zobaczyła. *Zmierzch* czytałaś? – zapytał Fredek.

Ten to się zawsze znajdzie w centrum wydarzeń! Kiedy nie odpowiedziałam, zaczął dalej drążyć temat:

– A może jakiś konkretny przelew zobaczyłaś na koncie i prezesik każe wreszcie wysłać premie galernikom? No, co tak patrzysz? – Wzruszył ramionami, widząc moją nieszczęśliwą minę. – Nie ma w tym nic dziwnego. Życie to kulig za tirem. Sobie też będzie mógł przy okazji przydzielić, bo jego baba w przyszłym miesiącu na pewno zechce się wybrać do Mediolanu na zakupy letnie. Nuworysze pieprzeni!

– Do Mediolanu? – szepnęłam, w ostatniej chwili dodając znak zapytania.

– No. Ciekawe, w jaki sposób wkręcił się na tę posadkę! Ktoś go musiał polecić, bo kim on właściwie jest? Cienki Czereśniak! – zakończył Fredek i nie czekając na moją reakcję, wyszedł z pokoju, pozostawiając mnie sam na sam z bardzo niewesołymi myślami.

Chcę być młodziutka i malutka

Pełna świadomość wreszcie do mnie dotarła, jednak wyuczona rezerwa (a może cecha upodabniająca mnie do nieemocjonalnych, niemych gęsi) hamowała moje reakcje w zasadniczy sposób. W ogóle odbywałam właśnie emocjonalne rodeo. „Nie pojedę od razu do domu – myślałam w drodze z Mieteksu. – O nie!” Po rewelacjach znalezionych w tabelce Rafała nie miałam ochoty tam wracać. Nigdzie nie miałam ochoty wracać! Po co? Do kogo? Na przystanku tramwajowym wsiadłam do ósemki. „Pojeżdżę trochę po mieście, schronię się przed deszczem – myślałam. – Do pętli na Miłostowie będę jechać z godzinę, z powrotem drugie tyle albo i więcej, a później może jeszcze raz... Bo co ja w tej rodzinnej trumnie zastanę? Dom, mój dom? Czy ja w ogóle mam dom?” Coraz bardziej popadałam w udrękę.

Jeżdżąc tak po burzowym Poznaniu, zupełnie straciłam rachubę, gdzie jestem i jak długo już tkwię w tym tramwaju. Spojrzałam za oplakatowane okno, wyteżyłam wzrok. Plac Wielkopolski. Knajpa, kiedyś Świtezianka. Aha. Czyli centrum miasta. To jest to! Wsiadłam w ostatniej chwili, wpadając wprost w zawieruchę pogodową, deszcz, grzmoty i błyskawice razem wzięte. Gorączkowo zaczęłam szukać w torbie parasola. Zawsze nosiłam go ze sobą, odkąd kupiłam taki malutki i płaski, żeby wszędzie się zmieścił. Był czarny, jak wizja przyszłości, która się przede mną rysowała! Znalazłam go wreszcie, rozpięłam nad głową i po dwudziestu metrach kałuż i chlapy wpadłam w drzwi dawnej Świtezianki. To w tej spelunie kilka razy spotkałam się ze swoją licealną miłością. Nie chciał mnie. Wolał inną. A jakże! To był Zbyszek, długo przed Bogusiem. Kochałam go jeszcze wtedy, gdy wychodziłam za męża. Duszę bym mu zaprzedała! Jak ja go wtedy kochałam...!

Usiadłam przy wolnym stoliku, wzięłam do ręki kartę, otworzyłam na pierwszej stronie i próbowałam czytać. Ech. Jednak nic z tego. Z moich włosów kapały na stół krople wody, a w parcianych sandałach zamokło wszystko. Wymoczona wielka moja stopa wysuwała się przodem. To nic. W kółko zadawałam sobie w myślach pytanie, co dalej. I mimo że nie zamierzałam szukać perwersyjnej przyjemności w pesymizmie, niestety, stało się – nie mogłam znaleźć żadnej sensownej drogi w przyszłość. Nie dam sobie rady, nie mam już siły – to wiedziałam na pewno. Tato, gdybyś ty żył! Ja wiem, że mnie ochraniaasz! Że czuwasz... Że sprzyjasz... Wiem.

Niemłoda kelnerka o twarzy zmęczonej lisicy postawiła przede mną wielki kielich czerwonego wina. Co to? Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc. Pomyłka! Nie ten adres! Nie ten stół!

– Nie zamawiałam...

Popatrzyła na mnie, jakbym próbowała namówić ją na islam. Wzruszyła ramionami i ręką machnęła w przestrzeń gdzieś za moimi plecami. Że coś (a może ktoś), co się za moimi zgarbionymi barami znajduje, jest moderatorem tego poczęstunku. Nie odwróciłam się. Bałam się. Co zobaczę? I jak mam się zachować? Połknęłam kij od mopa. Siedziałam wyprostowana jak podczas rehabilitacji statycznej stawu barkowego i odcinka szyjnego kręgosłupa jednocześnie, ze wzrokiem utkwionym w czerwień wina w kielichu. Coś zadudniło. Przez okno spostrzegłam przejeżdżającą „czwórkę”.

– Młodziutka, czy mogę się tak do pani zwracać? Proszę wypić swoje i moje zdrowie – nieco ochrypli, acz melodyjny męski głos, dochodzący ze stolika za mną, ubiegł jakąkolwiek moją reakcję.

– Młodziutka? – wydukałam zaskoczona.

– Bo ja nie znam pani imienia i zastanawiam się, jak to jest możliwe. Niedopatrzenie?

Powoli odwracałam głowę. Zobaczyłam, że szpakowaty, dobrze zbudowany, elegancki mężczyzna w topowych okularach uśmiecha się do mnie. Podrywacz! Też coś! Mimo że przystojny i męski jak sam

Jurand ze Spychowa sprzed utraty oka! I w szaro-granatowej bluzie, jaką chętnie widziałabym na Bogusiu. Był silny, pewny siebie, męski i wysportowany! Czyli jak Jurand! Żadne inne skojarzenie po lekturze *Krzyżaków* nie przychodziło mi do głowy. Mężczyzna wyciągnął w moim kierunku paczkę z papierowymi chusteczkami. Jedna wysunięta była na zewnątrz. Wzięłam ją i wytarłam nos.

– To chyba przez ten ogólnonarodowy hałas. Ludzie mają coraz większy problem z nawiązywaniem znajomości. – Dlaczego to powiedziałam? Może chciałam być uznana za oryginalną. Czy za mądrą? A może za stukniętą... Jednak na pewno nie chciałam go kokietować. A może chciałam, ale nie potrafiłam?

– Chwileczkę, pani mnie zna? Jeszcze nie? To jakieś niewybaczalne niedopatrzenie! No tak, ktoś zaniedbał sprawę i wyszło nasze niepoznanie. Odważną tezę pani postawiła. – Śmiał się swobodnie, rozsiadając się na krześle. Wpatrywałam się w jego nierówne, ale białe, wyczyszczone zęby.

O jasne z ciemnym!, zupełnie go nie rozumiałam. Ostatnio w ten sposób rozmawiał ze mną Boguś, zresztą ze dwadzieścia kilka lat temu! Też porównanie! Ale przyznać muszę, że wtedy Boguś zaintrygował mnie tym, czego nie znalazłam u Zbyszka. Humanistycznym spojrzeniem na świat.

„Koniec wspomnień! No cóż. Spokój, długie ruchy i wnikliwy namysł” – nakazałam sobie w duchu.

– Ależ nie znamy się! Zupełnie nie! Ale... No tak, obawiam się, że znam sprawców – podjęłam rozmowę. A co? Nie potrafię? Wystarczy, że przywołam w myślach zawile teksty Bogusia!

Rozejrzałam się po knajpie. Nie była nowoczesna. Czas się w niej niewątpliwie zatrzymał. Przy stolikach siedziały same podstarzałe pary i stare męskie trutnie. Żeby nie powiedzieć, że bardzo stare. Niejeden przy kieliszku. Czyli, jak ja teraz! Było tak, jakby wierni bywalcy sprzed dwudziestu paru lat nigdy stamtąd nie wyszli i starzeli się wraz z knajpą. „Dziwny przybytek” – pomyślałam. Wciągnęła mnie ta abstrakcja. No cóż. Zaczęło się zabawnie. Przechylając się w stronę podrywacza, upiłam łyk wina. Śmiałam się. Patrzyłam bezczelnie na jego, nawet nie bardzo siwe, wcale nowoczesnie ścięte włosy i na opaloną twarz. Nie pasował do tego przybytku, zupełnie.

– Czyli jest sprawa... Mogę się dosiąść? – Mój rozmówca bardzo szybko pochwycił komunikat mojego ciała. I nie czekając na zgodę, klapnął na krzesło przy stoliku. – No to jesteśmy współnikami – zawyrokował.

– Tak? – zdziwiłam się. Krępowała mnie ta sytuacja.

– Bardzo dobrze, bo myślałem już, że strzeliłem kulą w płot. Często w życiu strzelamy niecelnie, prawda? Jaka to sprawa? – zapytał z zaciekawieniem. Przypatrywał mi się, jakbym pochodziła z Milo. Zmieszałam się. Kurde, jak ja się wtedy zmieszałam! Ale przecież spodobało mi się, że siedzę w ciepłe, piję wino, mam męską opiekę, przystojną nawet. Rozmawiamy. I schnę, bo wreszcie nic już na mnie nie pada.

– Umie pan słuchać? Bo to było tak! Dostałam e-maila, a raczej ohydne dane w tym e-mailu, takie bezlitosne, hmmm..., ujawniające drugie dno. Początkowo myślałam, że to było raczej niedopatrzenie, ale teraz jednak dochodzę do przekonania, że mogło być odwrotnie. To szokująca informacja. Zmieniająca wszystko, co dotyczy mnie, na gorsze. Tak to wygląda w skrócie. – Mówiąc to, szukałam w mojej przepastnej torbie czegoś do pisania. Na stoliku obok leżała darmowa gazeta, sięgnęłam po nią i od razu zaczęłam nerwowo wertować ogłoszenia. Grałam. Zaaplikowany do mojego mózgu straszak Krysty: „Zostawię cię, i tak zostawię cię wszyscy, wspomnisz moje słowa” działał. Chciałam stworzyć wrażenie (żeby nie myślał, że na niego leczę), iż na pewno nie jestem nim, a nawet więcej: nikim zainteresowana. Że weszłam do tej speluny, by w suchym miejscu przejrzeć prasę. Że to jest bardziej zajmujące. Bardziej niż on, bardziej niż moje kłopoty. Kłamałam!

Prawdopodobnie byłam tylko co do jednego. Że jestem nieobytą, szarą, byle jaką Becią, bez poczucia przynależności do świata innego niż mój.

– Chyba coś bredzę, przepraszam. Zmęczona jestem, czasem w pracy tkwię do dwudziestej drugiej – usprawiedliwiałam się.

– Nie szkodzi. Zresztą zależy, jaka to praca – zażartował.

– Praca jak praca. – Upiłam wino. W zasadzie wypiałam. On patrzył na mnie, nic nie mówił.

– No tak. A może tę sprawę poprowadzimy razem... – zaproponował po chwili milczenia. – Tylko we dwoje? Ustalimy, że nie może ona wyjść poza nas, niech dotyczy tylko nas! Co pani na to? – Po czym, widząc moje zasmucenie i zwykłą dla mnie melancholię, dodał: – Może na coś się przyda nasza spółka? Życiowa konieczność czasem wymusza różne, nawet egzotyczne związki. Wszystko ma swoją funkcję. – Odwrócił się w stronę kelnerki i zamówił kolejne wino. Całą butlę. Zmęczona lisica uśmiechnęła się do niego i z mety wyładniała.

– Oj, nie mogę. – Patrzyłam na wino przerażona.

– Żeby tylko pani nie zapomniała o naszej spółce! Proszę używać do woli mojej pamięci – podał mi notatnik oprawiony w gładką, brązową skórę, pewnie cielęcą. I pióro.

„Jakież to wszystko musi być drogie” – pomyślałam natychmiast. On, to znaczy ten Jurand, nie znałam przecież jego imienia ani nazwiska, wyglądał na klienta wyłącznie dobrych sklepów. Użytkownika wyłącznie dobrych proszków. Towarzysza wyłącznie ekskluzywnych kobiet. I tak dalej, i tak dalej. I ja, szara, pomigana Becia mam obcować z takimi luksusami?! Zwyczajna księgowa, bez jakiegokolwiek nadziei na kreację, uciekająca w te swoje cyfry jak za zasłonę prysznicową podczas kąpieli! Byleby nie pokazać swoich nagich myśli!

– Co pan rozumie przez to: „tylko nas”? Piękny ten notatnik, nie mogę go przyjąć... – westchnęłam, gdy nalewał mi wino.

– Ależ to jest tylko papier! A my dwoje jesteśmy głównymi graczami w grze, rozdającymi karty. My. Proszę o tym nigdy nie zapominać. Dobrze, że nie wybrałam się dzisiaj do centrum samochodem. – Roześmiał się, chwytając za kieliszek.

„Kurczę – pomyślałam – ależ on jeszcze nie wypił nawet połowy tego, co ja!”

– Tak... Sami sobie rozdajemy karty? – Wino zawsze rozszerzało moje szare komórki. I jednocześnie sprawiało, że stawałam się swobodniejsza. Także bardziej elokwentna. Nadal trzymałam w ręce ten notes. Wygodnie opierałam się na krześle. Zdawało mi się, że znalazłam się w zupełnie innym świecie. W świecie prawdy błędzącej, wiedzy poszukującej jakichś objawień, doktryn, myśli. W którym jest inaczej, nie tak, jak w moim życiu, gdzie dominują czarno-białe cyfry, czerwone storna, strzępy rozmów o niczym. Mój trywialny świat jest jednowymiarowy, nudny, przewidywalny. A poza tym? Poza tym wino już działało...

– Nie tyle karty, to złe określenie. Raczej kule o różnych barwach i wielkościach.

– Dlaczego kule? – Figury bez kątów nie składały się na moje życie. Zupełnie. Wszystko było ostre, raniące, tworzące sińce.

– Chodzi o to, że są okrągłe i się toczą. Można je kulać od siebie i do siebie. Albo ustawić w jednej pozycji i przytrzymać, żeby się nie poruszały.

– Na pewno są ciężkie... – pociągnęłam myśl. Temat bardzo mnie zaniepokoił. I w jakiś dziwny sposób uspokajał mnie.

– O tak. Zdarzają się lekkie. Albo średnie, jeśli idzie o wagę. Ale ciężkie, owszem, takie również bywają. I to wcale nie tak rzadko. – Popatrzył na mnie uważniej. Tym razem wypił do końca swoje wino. I od razu dolał sobie nieco.

Roześmiałam się i potrząsnęłam głową.

– Nie lubię kul. Są i śnieżne, i metalowe, i armatnie. Są takie... nieprzewidywalne, a przez to groźne. Mogą też być kule ogniste... – Te ostatnie mnie wystraszyły. Wzdrygnęłam się.

– Ale w bowlingu wszystkie są jednakowe, każdy z graczy ma równe szanse...

– Na co? – Przechyliłam się w jego stronę.

– Na wygraną, trzeba sobie tylko odpowiedzieć na pytanie, czy tego chcemy. Czy na pewno chcemy wygrywać?

– Taaak... – Zastanowiłam się i jednym haustem wypiałam do końca wino ze swojego wielkiego kielicha. O obłym kształcie.

Mamusia powiedziała

Kilka dni później czekały mnie odwiedziny. Krzysiek i Kaśka mieli zawitać w nasze skromne, wydeptane progi. Przy okazji, zaskoczyli mnie. Ponoć Kaśka znalazła w Poznaniu taniego fryzjera, który robi najlepsze dredy. Dredy to ja mam, gdy rano wstaję z łóżka, fryzjer mi nie jest do tego potrzebny, ale cóż... Kaśka młoda jest. A ja tolerancyjna.

Tym razem nie miałam przymusu urządzania przyjęcia na miarę kolacji w Windsorze. Zresztą Kaśka i tak nic u nas nie jadła. A Krzysiek najchętniej żywił się chlebem. Błąkałam się więc bez celu po domu, czekając na gości. Boguś w ogrodzie grzebał widłami w kompoście, a Szaki na niego warczał, bo wygrzebał z tej zatęchłej kupy coś śmierdzącego i koniecznie chciał to zjeść, tyle że później. Krysta cerowała majty w swoim centrum. Od czasu do czasu wyglądała oknem. W żeliwnym kaloryferze, między żeberkami, leżało mnóstwo zużytych papierowych chusteczek. Znowu płakała!

– Mamo, można podkręcić ogrzewanie? – zapytał Krzysiek od razu, gdy tylko razem z Kaśką ulokowali się w kanciapie Marcina. W ogóle miał taki zwyczaj, gdy przyjeżdżał w odwiedziny, że najpierw kuczał i dmuchał na dywan. Zawsze był kurz, zawsze. Potem dotykał kaloryfera, w końcu sprawdzał stan łazienki. Kiedyś, w obawie przed jego krytyką, polałam ten ohydny przybytek jakimś mocnym detergentem. Rękawice gumowe mi zżarło, palce poparzyło, a z płytek i fug nawet w minimalnym stopniu nie zszedł wżarty brud. A kiedyś, gdy Krzysiek jeszcze z nami mieszkał, chcąc mi pokazać, że jestem flejtuchem, wstał w nocy i umył białe panele, którymi wtedy oklejony był korytarz. Ale nie do końca je wypucował. O nie! Zostawił na górze nieumyty pasek, żeby mnie upokorzyć. I żeby pokazać światu, jak bardzo były brudne!

– W czerwcu? Śmieszne. W górę czy w dół? – spytałam złośliwie, bardzo złośliwie, bo oczywiście znałam odpowiedź. Jakżeby nie... Jakiż oni przewidywalny trywializm reprezentują! Ogrzewanie. Teraz?! Żeby grzać i grzać te pełne brzuszyska! Niezatroskane. Egoistyczne. Nie wystarczyłoby samo ciepło rodzinne? Jurand ze Świtezianki uzmysłowił mi, że świat nie zawsze musi opierać się na walce o dobra materialne i wyposażenie, o ogrzewanie i inne rzeczy. Że to nie jest najważniejsze. Poza tym chyba lekko rozbudził mój uśpiony intelekt...

– No, mamo, przyjechaliśmy, a tutaj pioruńsko zimno jest w domu! Generalnie w tym roku pogoda nas nie rozpieszcza. Z własnymi kocami mamy się przemieszczać? Pies dostał? Bo tak łązi.

– Dostał. To wiecznie głodny pies. Krzysiek, przecież jesteś w cienkiej koszulce, to jak może ci być ciepło? Coś mi niestety nie gra. – Mierzyłam go wzrokiem jak prokurator opozycjonistę w stanie wojennym.

– Czy ty zawsze musisz doszukiwać się drugiego dna? Kasi jest zimno. Nie mnie. Mamo, możesz czy nie? Bo jeśli nie ma takiej możliwości, to powiedz i będzie koniec tematu.

– Pfff. A czy ja coś mówię? – prychnęłam i wzruszyłam ramionami.

Z wielką niechęcią podreptałam do piwnicy, by odkręcić to cholerne ogrzewanie. Z mety usłyszałam, jak z sykiem uciekają z mojego poszarpanego portfela ostatnie złotówki. Posiedziałam trochę na krzeselku przy tych wszystkich urządzeniach pomiarowych. W ciemności, tak samo jak Krysta. O zgrozo! Geny nie dają się oszukać i nic na to nie poradzę. Zapałką podświetliłam licznik. O nie, przez te piętnaście minut, kiedy tu tkwiłam, nabiło już więcej niż ćwiartkę dzuła. A jeden dzuł to prawie pięćdziesiąt złotych!

Zaczęło mi się z nerwów i rozżalenia zbierać na wymioty. Czy ja rzeczywiście muszę udawać, że wszystko jest OK? No cholera, czy aby na pewno muszę?! Nie wiem. A oni, czy nie widzą, że sama

pracuję? Że sama opłacam? Że stres mi się odkłada? Emocjonalne rodeo rozpoczęło się po raz wtóry. Czarne myśli właśnie zarzucały na mnie lasso. Nie! Nie dam się im. Podeszłam do półki z zaprawami Krysty. Otwarłam mały słoik. Na pewno nie ma policzonych! Zaczęłam nerwowo wyjadać gruszki w syropie, z goździkami. W ustach eksplodowało mi smakiem. Słodki sok ciekł po palcach, ale nie zwracałam na to uwagi. Po chwili poczułam się dużo lepiej. Nie ma co! Na smutek najlepszy jest cukier! Ogarnęłam się, rękawem wytarłam oczy, oblizałam palce i powróciłam na pięterko.

Krzysiek, Boguś i Marcin rozmawiali w dużym pokoju, Kaśka spała już w wysprzątej na błysk stróżówce Marcina. Nie czekała na mnie, wcale jeszcze ze mną nie rozmawiała. Bo o czym można rozmawiać z nieciekawą teściową? I to z takim pochodzeniem? Też coś! Zupełnie nie zauważyli, że mnie nie ma. Ani też, że wróciłam. Nieważne, w końcu jestem do tego przyzwyczajona. Podeszłam do półki ze zdjęciami synów i z flakonami z perfumami. Zdjęcie Krzyśka odsunęłam od Mademoiselle Coco, a przysunęłam bliżej portret Marcinka. Roszada. Westchnęłam. Krzysiek zasłużył na gorszą lokalizację, bo po co reklamację od Kaśki przyjmuje?!

„Porobię może coś w kuchni” – pomyślałam i poszłam.

– Nie szykuj nic, mamka, my już dziś nie będziemy jeść – powiedział Krzysiek, zaglądając do kuchni.

– Jak to? Nawet nie zjemy razem kolacji?

– Kaśka już śpi, a ja nie jestem głodny. Poza tym rano chcielibyśmy wcześniej wyjechać, więc nie będziemy robić ci kłopotu.

– O nie! Na to nie wyrażam zgody. Spotkamy się rano i wszystko uzgodnimy.

Wczesnie rano wstałam, pobiegłam po chrupiącą bagietkę, bułki dyniowe, zbożowe i paluszki z serem. I rożki francuskie ze śliwką. Poprosiłam też o masło osełkowe.

– Z panią mąż ma bardzo dobrze – usłyszałam komplement z ust Malutkiego Sklepikarza. Tak wczesnie rano w jego sklepie nie było jeszcze klientów.

– A pana sklep jest znakomicie zaopatrzony, to przyjemność robić tutaj zakupy – komplementowałam i ja.

Malutki Sklepikarz. Wszyscy tak o nim mówili. To fakt, że był niewysokiego wzrostu, to fakt, że był handlowcem, ale określenie „Malutki Sklepikarz” nie pasowało do niego. Im bardziej go poznawałam, tym mniej mi się wydawało stosowne. Tego dnia szepnął mi, że wreszcie powiedziała, że zastanowi się, czy się do niego przeprowadzić. Doskonale wiedziałam, o kim mówi. Opowiadał mi o niej już nieraz. Ta młodsza od niego o kilkanaście lat kobieta niewątpliwie była mu bardzo bliska. Ale on twierdził, że wstydu czy z nieśmiałości, że po śmierci żony patrzy na kobiety jak na zbytek. Boi się rozstań. Z obecną, prawniczką, matką dwóch nastoletnich córek, też spotyka się dla zbytku wyłącznie. Nie wierzyłam mu, oponowałam, wątpiłam, bo widziałam przecież jego twarz, gdy o niej mówił, błyszczała wtedy wewnętrznym ogniem. Zazdrościłam mu. I jednocześnie rozumiałam jego strach bardzo dobrze.

Gdy wróciłam do domu, natychmiast zaparzyłam kawę w dzbanku z chodzieskiej porcelany. Stare filiżanki bawarskie poustawiałam. Każda była inna. Dla synowej najstarsza i najdroższa, z koronkowymi ornamentami na brzeżku. W kobalcie. Pierwszy wychylił się z pokoju Krzysiek, zajrzał do Marcina, który w przedpokoju półnagi leżał pod cienkim, bawełnianym kocem na łóżku polowym.

– Młody! Nie zmarłeś?

– Nie! – odpowiedzieliśmy jednocześnie.

– Skąd – dodał Marcin – przecież mamusia powiedziała, że nie jest mi zimno.

– He, he. Zobaczcie Młodego, jakie dowcipy się go trzymają od rana. – Krzysiek śmiał się głośno.

Kaśka, opatulona w polar, przemknęła chyłkiem do łazienki, nawet na mnie nie patrząc. No cóż, ponoć mąż z uwagi na brak więzów krwi jest obcą osobą, a co dopiero teściowa...

– Mamo, jakieś cienkie masz te kołdry. Kasia w polarze spała. Poza tym zróbcie wreszcie coś z tą łazienką. Kaśkanie mogła się wieczorem umyć, bo z kranu leciała rdzawa woda, a z sitka w wannie

pająki wylaziły – ubolewał Krzysiek ze skrzywioną miną.

– To są normalne kołdry, z pierza – rzuciłam rozdrażnionym tonem.

„Niechże przestaną już o tym zimnie rozprawiać, bo zaraz mnie zemdli – pomyślałam. – Albo wybuchnę”. Pająk z sitka wylazł?! Może jeszcze nie jeden, tylko od razu całe stadko? Przecież jeśli się kąpała, to by się niechybnie utopił. Całkowity brak logiki! Całkowity! Wyższe wykształcenie, a brak prawidłowego wnioskowania! Niech nie myślą, że są tacy doskonali. Choć nie, mój Krzysiek jest najlepszy na świecie, a Marcina też mi wszyscy zazdroszczą. I też jest na pierwszym miejscu – ex aequo z Krzyśkiem.

– Bardzo zimno mi było – obwieściła Kasia, wynurzając się z łazienki.

– Słuchajcie, przestańcie wreszcie mówić o tym zimnie, bo tak jak u was rok temu, w grudniu, to ja jeszcze nigdy w życiu nie zmarłam. A czy kogoś to w ogóle interesowało?! Z okien dmuchało, do przykrycia daliście mi chyba samą powłoczkę, a kaloryfer był ledwie letni – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

I zaraz tego pożałowałam!

Krzysiek i Kasia siedzieli z kwaśnymi minami, dziobiąc niemrawo widelcem w jajecznicę, Marcin podśmiewał się pod nosem, tylko mina Bogusia zdawała się wyrażać, że stoi po mojej stronie. W jego wypadku nie miałam się jednak z czego cieszyć, bo on miał zawsze zdanie inne niż wszyscy. Dzięki temu czasem był za mną. O ironio!

– No właśnie – sekundował mi. – Bacia potem tydzień z gorączką w łóżku leżała. U lekarzy musisz grzecznie czekać na zero diagnozy, ładnie podziękować, bo gdyby z nimi walczyć, domagać się, to ta cała mafia wsadzi cię do wariatkowa. Poza tym złodzieje za czas choroby nie płacą już teraz stu procent. To nie to samo, co za komuny. Tam człowiek pracy mógł chorować. Należało mu się. Teraz ma harować. I już się ponoć nic nie należy. Ale do czasu! Rewolucje są kołem zamachowym rozwoju społecznego. Oni się jeszcze doigrają! Zasadniczo nie wiem, na kogo padnie, ale sobie spokojnie czekam! I obserwuję.

– Tam opowiadasz, leżała! – wtrąciła Krysta. – Bo jej się robić nie chciało. Kto to widział tak dom zapuścić, żeby nie grzać, jak się należy? Pewnie pieniędzy nie ma, bieda aż piszczy. Ale przecież nie będę im wiecznie pomagać! Zresztą nawet dzieci w przedszkolu już wiedzą, że należy dać jedynie wędkę, a nie całą rybę – pomstowała niezmiennie w trzeciej osobie, wchodząc w wyraźną koalicję z moją synową. Minę miała przy tym jak mały Krzysiek, kiedy zobaczył kleszcza.

„Pieniądzy nie ma!” Faj, obrzydliwość, niedojda jedna! – toż to najgorsza obelga w jej ustach. I na dodatek ta wędka! „Milczeć!” – nakazałam sobie. Bo przecież nie rzucę teraz, przy obcej w końcu Kasi, o tym dokładaniu się do opłat. A raczej niedokładaniu się odwiecznym. Paskarska rodzinka! „Po co ja im to wygarnęłam?” – wyrzucałam sobie. Łamałam się, bo znów okazywało się, że dużo łatwiej jest nie mieć prawa głosu. „Nie muszę niczego udawać, już nie muszę. Naprawdę!” – powtarzałam sobie w myślach jak mantrę.

Wyszłam do kuchni, żeby nie kontynuować tej bezsensownej utarczki. Chciałam pokroić pomidora – Krzysiek nie znosi, kiedy podaję samą wędlinę. Próbowałam wyciągnąć koszyk z warzywami, który ktoś wsunął pod ławkę. Na niej stała wielka butla wina. Z dziesięć dni temu je nastawiliśmy. Z pierwszych czereśni było. Takich prawie czarnych. Już zaczęło się klarować. Wspaniale. Przesunęłam ławkę z butlą, żeby mieć łatwiejszy dostęp do kosza. I wtedy stała się rzecz straszna! Szkło klapnęło o ścianę i z wielkiej dziury zaczęła sikać na podłogę rdzawa, czereśniowa breja.

– Matko Boska! Boguś! – zaczęłam krzyczeć i ręcznikiem lnianym tamować umykające wino. Ręce miałam ubabrane winem, spodnie zresztą też. W dodatku na bluzce zauważyłam wielką brunatną plamę. Chciałam zapaść się pod ziemię. Tymczasem na mój wrzask wszyscy zbiegli się do kuchni.

– Psiakrew! No i coś ty znowu zrobiła! Cholera! Nie mogłaś uważać?! – Boguś z „kwachem” na twarzy nie musiał w zasadzie już nic więcej mówić!

– To było niechcący! – tłumaczyłam się płaczliwie. Żałowałam tego wina. Takie już klarowne

było... Bukiet miało. Ale jak zwykle nic więcej już nie dodałam, bo w końcu ja nigdy nie mam racji. Mogłam przecież uważać... Zaczęłam płakać z nerwów, żalu i bezsilności.

– O ludzie! Jak tu wygląda?! Jak u jakichś moczymord! – krzyczała Krysta. No, to jej pasowało! Mogła się popisać przed większą widownią swym talentem do karczemnych burd.

Krzysiek przy wyjściu musiał dodać swoje trzy grosze, żeby całkiem mnie zdołować:

– Mamo, co wy tutaj wyprawiacie?! Kasia nigdy, ale to nigdy nie miała w swojej rodzinie nawet tak poniżających sytuacji. Mogę cię prosić, żebyś w końcu się postarała i zaczęła tworzyć normalny dom? Możesz? Jeśli nie dla siebie, bo rozumiem, że masz prawo nie chcieć, to chociaż pomyśl o nas. Aha, i jeszcze jedno! Jeśli chcesz czasem wypić kieliszek, to kup w sklepie. Po prostu. Kup i tyle, nie musisz się krępować i chować po kątach.

Malinowa trufla pisze:

Lubię śliczne przedmioty. Mam kilka filizanek z misternym ornamentem. Każda jest inna. Mam też kilka mosiężnych świeczników. Świece tworzą magiczny klimat, dają ciepło i światło, dzięki któremu mogę trafić do domu. One same w sobie są domem. Siedzę i wącham. Mogę tak trwać godzinami. Cieszę się, gdy świecznik jest oblepiony stopionym woskiem, nie odklejam parafinowych nacieków od mosiądzu. Wcale. Uwielbiam zapach świec. One są mną.

Myślę, że dobrze jest, gdy otaczamy się niepowtarzalnymi przedmiotami. Niedawno trzymałam w dłoni notatnik delikatny jak muśnięcie skrzydełkiem motyla. Niby nic takiego, ale gdy oprawisz go w elegancką, cielęcą skórkę, od razu przechodzi zapachem tego, co w nim notujesz. Pachnie naszymi myślami. Zawsze lubiłam śliczne przedmioty.

Komentarze: 1

A jak wśród tych martwych przedmiotów czuje się rzecz najbardziej pożądana – bogaty i zapracowany mąż? Pozdrowienia. Jurek

Nie ma to jak podejście asertywne!

Następnego dnia osłupiałym wzrokiem wpatrywałam się w komentarz pod moim blogowym wpisem, a rzecz najbardziej pożądana – bogaty i zapracowany mąż (czyli Boguś) – siedział przy biurku i robił notatki z gazet. Na niektóre naklejał karteczki, wsadzał papierowe zakładki, podkreślał, przepisywał na kartkę. Zza okna dobiegał dźwięk rąbania drewna, z drugiej strony odgłos zgrzewarki do papy. Prawdziwi mężczyźni nie marnowali czasu. Ech, nie mnie dana normalność, już dawno zło – czające się w każdym zakamarku rodzinnego kotła – zepchnęłam do najciemniejszego kąta swojego umysłu.

– Po co ci to? – zapytałam jednak.

– Ojciec zatrzymał się w rozwoju – rzucił Marcin. – Na etapie prasówki z podstawówki.

Zaczęliśmy się śmiać. Wówczas zadzwonił telefon.

– Mamo, musiałaś takie złośliwości wygłaszać?

To był niewątpliwie głos mojego Krzyśka.

– O czym ty mówisz? – nie zrozumiałam.

– Musiałaś Kaśce wytykać, że tak zimno jest w naszym domu?

– No wiesz co?! To była moja najbardziej błyskotliwa riposta wygłoszona w ostatnim czasie – próbowałam zażartować.

– A ja później muszę się od niej nasłuchać. Mogłabyś uważać, co mówisz.

– Ale przecież prawdę powiedziałam – odparłam płacząco. Zaskoczył mnie. Dlaczego Krzysiek, mój synek idealny, dokłada mi jeszcze zmartwień? On też przeciwko mnie?

– Ale, Krzysztofie, sam powiedz, ja coś źle zrobiłam? Ja?

– No przecież, że nie ja. Ani Kaśka. Zimno u was było, to powiedziałem, żebyś odkręciła kurek. I co? Stworzyłaś z tego wszystkiego sytuację mocno psychodeliczną, jak kiedyś, przed laty. Ja jeszcze pamiętam te dziwne rodzinne klimaty z młodości.

– Krzysiek, przestań!

– Tak, wyobraź sobie, że jest mi strasznie trudno je wymazać. Ale Kaśka wiodła zupełnie inne życie. Inne miała wzorce. Normalne. Nie takie... jakby to powiedzieć, spaczone, byle jakie. Mamo... czy ty mnie w ogóle słuchasz...?

– Słucham... Chociaż właściwie już nie. Wiesz co? Nie chcę już na ten temat nic słyszeć – powiedziałam, pośpiesznie przerywając połączenie. Bo przecież nie będę teraz ryczeć w słuchawkę! Uspokoję się, a potem napiszę do niego e-maila. Bo gdybym teraz dorwała się do klawiatury, to... mogłabym zabrzmieć zbyt dramatycznie. Wstałam gwałtownie. O nie! Znowu poczułam ostre ukłucie w pośladek. Syknęłam głośno. Potem zakłęłam. Z dziury w kanapie wystawała ta wstrętna, złamana sprężyna. Wstyd. Nakryłam ją ozdobną poduchą. Spojrzałam na Bogusia, nawet nie drgnął. Skanował komputer.

– Myślisz, że na wyniki twojego rozmemłania będziesz miał atak z Internetu? – Nie ma co, robiłam się złośliwa.

Wyszłam z pokoju dla nizin. Kilka minut potem, gdy byłam w kuchni, dotarło do mnie głośne pukanie do drzwi wejściowych z dykty. Szaki wariował. Nikt się nie ruszył, więc wyszłam z kuchni z upaprzanymi mąką rękoma. Nigdy nie wychodziło mi ciasto na pierogi, ale miałam taką ochotę... Taką ochotę, że znowu zaryzykowałam.

Za drzwiami stała kobieta w czerni. Nie znałam jej, była mi zupełnie obca, ale z jakichś powodów pomyślałam, że pewnie znowu zmarł ktoś z dalszych sąsiadów. I znowu w zbiorze osiedlowych wdów

pojawi się nowicjuszka. Na mojej ulicy w zasadzie przy życiu tylko kobiety pozostały. Z wyjątkiem Kędziorów, gdzie żyli wszyscy mężowie, tych młodych sąsiadów z drugiej strony naszego domu i nas.

– Zbieram składki roczne od matek różańcowych. Dołoży się pani? – zapytała pięknym, melodyjnym głosem.

– Ale ja nie... Proszę zaczekać, zapytam mamę.

W centrum zarządzania parobkami (i bezbożnikami jednocześnie) słychać było poruszenie. Upaprana ciastem dłonią chwyciłam klamkę, uchyliłam drzwi. Krysta czesała swoje szare rzadkie włosy i malowała usta pomadką. O rany! Przecież to była moja szminka! Zginęła mi rok temu, a tak ładnie ożywiła moje posiniałe wargi! Gdzie ja jej szukałam... Udałam jednak, że niczego nie zauważyłam, i mruknęłam:

– Składki na matki różańcowe pani zbiera.

– Masz tu dziesięć złotych, daj jej i niech idzie. Niech natychmiast stąd idzie! Widziałam ją przez okno. Trzech chłopów wykończyła, to teraz nasze koło matek wykończy! Kto ją w ogóle wybrał?! To jest Kilkakrotna Wdowa! Wszyscy na osiedlu o niej mówią. Że trupi jad sieje. Niech idzie! Niech zaraz stąd idzie!

– Ciiii, przecież to słychać!

Zastanowiła mnie owa wdowa. Kilkakrotna ponoć. Przecież była młodsza ode mnie. Na oko. Ładna, zgrabna, czerń nieco skryła jej wyrazistą (tak czułam) osobowość. Jasne włosy miała spięte w węzeł, a jej szyję ozdobił sznur z wielkich onyksowych kamieni. Jakaż ona była pewna siebie, widać to w każdym jej ruchu.

– Zapomniałam! – wykrzyknęła tym swoim niesłychanie kobiecym głosem, stawiając akcent na trzecią sylabę. – Zostawię dla mamy broszurkę z tajemnicami różańcowymi dla niewiast. A może i pani się do nas przyłączy?

– Nie, ja jakoś nie...

Patrzyłam, jak kieruje się w stronę drzwi. Byłam pewna, że słyszała szept Krysty, a nawet gorzej – miałam przekonanie, że z trudem skrywa śmiech. Zastanawiałam się, co ją tak mogło rozbawić. Poczułam, że ta myśl będzie do mnie nieraz wracać, jak piłeczka tenisowa rzucona o ścianę. W przestrzeń – i do mnie. W górę – i znowu do mnie.

Jak postanowiłam w sprawie Krzyśka i Kaśki, tak zrobiłam. Wieczorem zasiadłam przed komputerem, włączyłam pocztę, nastawiłam głośno ostrego rocka i zaczęłam:

„Wydaje mi się, że jesteś niesprawiedliwy w kwestii oceny mojego stosunku do Kasi. Ale też jej relacji do mnie. Wykazałam i wykazuję nadal bardzo dużo dobrej woli, żeby nasze relacje układały się dobrze. Ale... w życiu nic na siłę, przekonałam się o tym już wiele razy. Niemniej jednak uściskaj ją serdecznie – bo to chyba lepiej, że zauważyła, iż zdesperowana popełniłam mały akcik złościwości:))) względem Was (bo przecież nie o Kasię tylko chodziło), niżby miała nie zauważyć tego w ogóle. No i jeszcze... są zdecydowanie gorsze teściowe niż ja. Matki zresztą też... To by było wszystko, co chciałam teraz napisać...”

Odetchnęłam z ulgą. Myślałam, że udało mi się podejść do sprawy asertywnie. Chociaż lekko się przyznałam do nietaktu towarzyskiego, ale całkowicie nie odpuściłam swojego pola. Bo żeby na mój teren, już i tak wystarczająco obłązony, próbowały wdrzeć się nawet obce jednostki?! Co to, to nie!

Odpowiedź przyszła natychmiast:

„Mamo! Weź wyluzuj i nie bierz wszystkiego tak bardzo do siebie. Mam po prostu dosyć sytuacji, w której i z Kasią, i z Tobą muszę rozmawiać o tym samym. Nie chcę, żeby temat Ty – Kasia w ogóle był tematem. Przepraszam, jeśli Cię uraziłem”.

Dom bez skrzydełek

To był traumatyczny letni ranek. Dlaczego? Bo dzień się zaczął wyższą temperaturą na zewnątrz (wreszcie!) i równie gorącą wewnątrz domu. Z tym, że to drugie akurat nie było miłe. Krysta znów zaczęła dzień od wrzasków:

– Przez te klepki bym się dzisiaj roztrzaskała i zabiła. Cała podłoga zniszczona jest przez wasze ciężkie chodzenie. Proszę mi natychmiast zrobić nową! Tak psuć i psuć wszystko, to nie do pomyślenia!

– Zrobić... Teraz nie mam za co, nie widzisz, że Boguś nie pracuje? – krzyknęłam.

„I nikt nie wie, co ze mną będzie” – dodałam w duchu.

Rzeczywiście, choć Krysta o Bogusiu wyrażała się – delikatnie mówiąc – dosadnie, to jednak miała rację. To już trwało tyle lat. „Dlaczego nie wykorzystał tego okresu na własny rozwój?” – myślałam. Bo nie pozbierał się do końca z porażki, jaką była dla niego utrata pracy? Czy może to moja wina, bo nie dawałam mu impulsu do działania, nie dostarczałam tak zwanego kopa? A może... Zośka i Kinga miały rację? W końcu nie zawsze był taki pasywny. Poznałam go, gdy zainkasował nagrodę rektorską. Była zima, a on zadawał szyku w wielkim kożuchu i miał szeroki gest. Zaprosił mnie na deser ambrozja do Kociaka, a potem odwiózł taksówką do domu. Czarujący był...

Z odrętwiającego myślenia o własnej traumie wyrwał mnie dzwonek do drzwi.

– Co tu znowu za hołota się pakuje? Schodzą się jak do taniej jatki. Spokoju za grosz nie ma! – usłyszałam głos z szuflady. A może z centrum zarządzania. Nie miałam pewności co do obecnego statusu pokoju Babci. Chrząkałam i kaszlałam, żeby zagłuszyć te nieprzyjemne pomruki. A potem podeszłam do drzwi i zawołałam głośno:

– Dzień dobry, proszę wejść!

Przodem wpuściłam człowieka, z którym umówiłam się na rozmowę o drobnych przeróbkach instalacji elektrycznej na zewnątrz domu.

– Czyli co miałbym tutaj do roboty? – spytał od wejścia fachowiec. Młody, uśmiechnięty chłopak z mety wzbudził moje zaufanie.

– Tak jak mówiłam przez telefon. Chodzi o pociągnięcie kawałka instalacji na zewnątrz, żebym mogła podłączyć światła na choince rosnącej przed domem. I chciałabym, żeby zainstalował pan kinkiety zewnętrzne nad drzwiami wejściowymi i nad numerem domu.

Już jakiś czas temu kupiłam na aukcji ciężkie, stylizowane na stare, mosiężne kinkiety. Do tego można będzie dokupić podobne lampy do oświetlenia dróżki kamiennej w ogrodzie. Wiodła ona na tyły ogrodu, do kącika wypoczynkowego. Latem można by było zrobić tam miejsce do pracy. Instalacja musiałaby iść pod ziemią.

– We wtorek będzie ktoś w domu? Chodzi tylko o to, żeby mi ktoś drzwi otworzył. I dał dostęp do licznika.

O tak. Też chciałabym mieć dostęp do czegokolwiek w tym domu. Miałabym znowu skrzydła. Nawet mogłyby to być małe skrzydełka. Fruwałabym. Wybudowałabym sobie gniazdko przy kominku. Zawsze po pracy sfrunęłabym na skórzany fotel. Fruuu i już bym była... w cieple. A potem... przytuliłabym policzek do ciepłej ściany. Na dworze mogłaby być nawet zamieć... a mnie wreszcie byłoby ciepło.

Elektryk wyszedł, gdy w radiowej Jedynce zagrali hejnał z Wieży Mariackiej. Zawsze zastanawiały mnie kroki słyszalne podczas hejnału. Już jako dziecko bałam się, że skończy się gra, wyobrażałam sobie, że trębacz zejdzie z wieży i nigdy więcej nie usłyszę dźwięku trąbki. Jednak nie, usłyszałam! To może ktoś go na wieży odwiedził! A może trębaczy jest dwóch. Tą drugą osobą mogłaby być kobieta. Żona?

Po południu zapragnęłam obejrzeć kilka filmów. Gdy jest mi ciężko na sercu, robię sobie filmowe maratony. To sterydy dla mojej duszy. Zdarza mi się obejrzeć kilka pod rząd. Biorę lniany worek, portfel i zasuwam do osiedlowej wypożyczalni ze Znaczą Arcydzieł za kontuarem. To ja tak go nazwałam, bo to mi opowiedział swoją życiową drogę. Że dawno temu skończył łódzką filmówkę, potem wiele lat pracował w kinie Apollo, skąd przeszedł do Kinopolis. Aż w końcu wziął sprawy w swoje ręce i stanął za ladą swojej wypożyczalni. Poza tym nieraz doradził w kwestii filmu, nakierował na dzieła, zamiast na badziew. Byłam mu wdzięczna, w zasadzie każdy polecany przez niego film wypożyczałam bez zastanawiania się. No chyba że miałam kilka do wyboru.

A wybór zawsze sprawiał mi trudność. Zawsze.

Nie wyrażałam zgody

Nerwy związane z Mieteksem zrobiły sobie w mojej duszy postój. Czyli chwilowo nie grasowały po mojej psychy. Nie to, że przestałam się bać, iż mnie wyrzucą; nie to, że uznałam, iż źle odczytałam tabelę. Po prostu – obserwowałam zachowanie Jęchorka, które nie potwierdzało tabelkowych rewelacji. Uśmiechał się do mnie ciepło, cieszył na mój widok. Rafał może i chciał, ale Jęchorek na pewno nie! Tak czułam.

Z tego wszystkiego prawie bym zapomniała, że Krysta pod koniec czerwca będzie kończyć siedemdziesiąt lat. W popłochu, bo zostało bardzo mało czasu, zaczęłam myśleć o prezencie. W końcu to jednak moja matka. Krysta od Antychrysta. Basta! Nieważne jaka! A może ja na starość będę jeszcze gorsza? Poza tym zgoda, niezgoda, miłość czy nienawiść, w Poznaniu o prezencie na urodziny się przecież nie zapomina. Nie wypada, jak to tak?

Myślałam i myślałam. Wreszcie wpadłam na pomysł, żeby zlecić namalowanie obrazu z fotografii ślubnej moich rodziców. Znajoma – wypróbowana już malarka – zadeklarowała, że machnie mi taki obrazek w jeden wieczór. Zaproponowała pastele z szarozłotym obramowaniem. Poprosiłam, żeby dała dużo złocień. Ramę zbije w dwa dni. Bardzo dobrze się składało, bo właśnie wtedy wypadał Ten Dzień. Portrecistka okazała się słowna. Byłam z siebie bardzo dumna. Lubiłam obrastać w pamiątki rodzinne. Te bibeloty miały duszę. A nawet serce.

Wniosłam obrazek (niemały zresztą) do domu i od razu weszłam do szuflady, żeby go dać Babci. Prychnęła. Nie była wcale zainteresowana kolorowym, przewiązany złotą wstążką pakunkiem. Rzuciła obraz na kanapę. Coś trzasnęło. Nie zwróciła na to uwagi, wstała z krzesła i podeszła do okna. Wystraszyłam się, bo pastele wymagały szyby. A szyba to szyba. Krucha jest.

Oschłe zachowanie Krysty bynajmniej nie było niczym nowym, ale nie popuściłam. Sama obraz zaczęłam rozpakowywać, a cieszyłam się przy tym jak dziecko. Podeszłam do okna, pokazałam Babci, ale ona uparcie wpatrywała się w widok za szybą. Pomyślałam, że złocenia będą idealnie pasować do bordowych kap w jej salonie. Ten obrazek mógłby wisieć nad kanapą. Obok wielkiego drewnianego krzyża z Jezusem. Przymierzyłam. Nic nie powiedziała. Bo nadal nie spojrzała w moją stronę. Wzruszyłam ramionami. E tam, trudno, nie chce, to nie. W takim razie powieszę go w neutralnym miejscu.

Wyszłam na korytarz, stanęłam na taborecie, tłuczkiem do mięsa wbiłam gwóźdź, który nosiłam w kieszeni, i zawiesiłam portret na głównej ścianie, na wprost wejścia. Nad moim nieżyjącym już teściem.

– Ustanawiam tę ścianę miejscem składania czci moim i Bogusia przodkom – powiedziałam na głos, chociaż i tak nikt mnie nie słuchał.

Nie mogłam się nacieszyć. Jednak nie miałam z kim tej radości dzielić. Ale czułam się kustoszem własnych obrazów. Krysta była jak żywa: dużo młodsza wprawdzie, ale śliczna, uśmiechnięta, stała w muślinowym welonie na gładkich, lśniących włosach. Ojciec był jakby nieobecny – całkowicie go przyćmiła swoją osobą. Stałam przed nimi i cmokałam z zachwyty jak Niemiec przed świętymi na obrazach w poznańskiej farze.

– Ładny, prawda? – rzuciłam znowu w przestrzeń.

– O Jezu, kto to jest?! – krzyknął Boguś, zachęcony do przyjścia moimi zachwyty. – I czemu ten obraz wisi nad moim ojcem, a nie pod? Teścia poznaję. Ale z kim on tam stoi? Niesamowite! – Miła i subtelna twarz Krysty wyłaniała się z obrazu, przysłaniając nawet złote obramowanie.

– Ojciec i Krysta – bąknęłam dla jasności, bo Boguś zdawał się nie dowierzać własnym oczom.

I w tej samej chwili usłyszałam skrzekliwy głos:

– Nie wyrażałam na to zgody! Tylko tak trwonić pieniądze umieją, zamiast dom ogarnąć. Wszyscy samochodami jeżdżą, Aga znakomicie prowadzi, człowiek od razu lepiej się u nich czuje, a nie tak jak tu. Moje zdjęcia mi brać i jakiejs hołocie dawać, żeby z nich bazgroły robiła! A potem się z człowieka śmiać będą!

To Krysta. Babcia Krysta! Wyszła wreszcie z centrum zarządzania gamoniami. Zadarła wysoko głowę, a potem zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem. Mnie – ofiarodawczynię, opiekunkę, sponsorkę i nie wiem, co jeszcze. Kurde, co za podziękowanie!

I podreptała z powrotem do pokoju. Zaraz też zamknęła drzwi. Spojrzałam na Bogusia, pokazałam na drzwi i popukałam się po głowie. On machnął ręką.

– Wiesz co? A może by tak... No wiesz... Bo na gderanie i czepianie się jest tylko jedna niezawodna technika: wyskakujemy zza drzwi, łapiemy za klapy albo zaciskamy apaszkę na szyi. I pytamy, o co właściwie chodzi... – Boguś przeszedł na tryb wyciszony.

Próbowałam udawać, że nic się nie stało. „To nic, naprawdę, to nic. Kiedyś na pewno będziesz ze mnie dumna. Na pewno przyjdzie taki dzień” – pocieszałam się rozpaczliwie, walcząc ze wszystkich sił, żeby nie wybuchnąć płaczem. Obraz był piękny, najpiękniejszy na naszej ścianie przodków.

Europejczyk

Był ostatni dzień czerwca. Marcin wpadł do naszej pełnej substancji gnilnych nory przed dwudziestą drugą, co dla niego było zadziwiająco wczesną porą. Czyżby zrobił sobie przerwę w ucieczkach?

– Dostałem stypendium do miasta oddalonego od tego domu o dwa tysiące kilometrów! – zakomunikował od progu.

– Jakie stypendium?! – wykrzyknęłam.

– Sokratesa!

– Tak? Ale kiedy wyjeżdżasz? I dokąd? – zapytałam, krztusząc się kluchą we własnym gardle. Z nerwów. Z żalu. I z nieco przedwczesnej tęsknoty.

Z jednej strony rozpieła mnie duma, że mój synecek jest takim Europejczykiem, ale z drugiej ogarnęła mnie trwoga, jak damy sobie w tej sytuacji radę. To znaczy, on beze mnie, a ja sama wśród wrogich cenzorów i krytyków mojej osoby. Wyłączyłam oczywiście z tego zbioru psa. Tylko on nic nie mówił. Chociaż bardzo często bez powodu warczał...

– W połowie lipca. Do Amsterdamu – rzucił beztrąsko Marcin.

– Jak to? Za kilkanaście dni?! – przeraziłam się. – Tak szybko?! Co ja tu sama z ojcem i Babcią Krystą będę robić? Szaki nie jest dla mnie żadną pociechą. A może zrobię jakąś podyplomówkę? Zawsze to dodatkowy atut w cefalce – zastanawiałam się na głos.

– Daj spokój, mam! Po co ci podyplomówka? Przecież już jesteś na boczniccy! Na bo-czni-cy! Lepiej sobie z ojcem przy piecu przypominajcie dawne czasy – wyśmiał mnie Marcin.

„Pfff” – prychnęłam w myślach. Muszę zacząć panować nad tym bezwarunkowym odruchem, bo coś ostatnio pryham i pryham.

– Ty tak matce nie mów o tej boczniccy, bo coś wymyśli, żeby nam udowodnić, że nadal jest na topie – wtrącił Boguś.

Znowu prychnęłam. I wzruszyłam ramionami na dokładkę.

– Wiem, kupię sobie drugiego psa. Tym razem schludnego – powiedziałam. – I pod żadnym pozorem nie pozwolę go nikomu wychowywać.

– Zwariowałaś! Po co nam drugi pies? Ten rudy flejtuch już wystarczająco kłaczy – zaprotestował Boguś.

– Jako antidotum.

– Antidotum? Na co?

– Na samotność w rodzinie, samotność w związku i takie tam... – zawiesiłam znacząco głos, ale Boguś nie podchwycił aluzji.

– A co mają powiedzieć te kobiety w twoim wieku, które są naprawdę same?

– To nie znaczy jeszcze, że samotne – ciągnęłam smutno.

Boguś i Krysta (która jak duch pojawiła się w drzwiach swojego pokoju) patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczyma. Jak na heretyczkę, bez odrobiny aprobaty. I nic zupełnie nie mówili! Zaskoczyli mnie. Stali przede mną jak jedna, bezimienna istota, zbiorowa dusza, wyrażająca te same emocje, odczucia. Przywodzili mi na myśl wyczytaną kiedyś definicję psychologicznego tłumy. Sojusz między nimi był tylko chwilowy! Za moment wrócą do swojej zwykłej odrębności i znów będą sobie skakać do gardeł.

Poczułam ogólne zniechęcenie. Machnęłam ręką. Szaki oparł głowę o moje kolano i patrzył mi w oczy migdałowymi ślepiami. Tym razem pełnymi uwielbienia. Potem ziewnął i natychmiast zasmrodził powietrze wokół. Zaczęłam się od niego opędać, wygrażać mu pięścią. W jednej chwili przypomniła

o sobie zwykła, szara rzeczywistość.

– No nic. Trzeba by coś zjeść, bo cóż nam innego zostało do roboty... – Boguś wycofywał się w stronę lodówki.

– Ojciec, robisz się szerszy niż dłuższy! O psie pomyśl – rzucił Marcin.

– Pies dostał. Już mnie drażni ta troska o psa większa niż... Aaa, szkoda gadać – ponownie włączyłam się w dialog.

– Mama, nie martw się. W najgorszym wypadku możesz zawsze do mnie wpaść na weekend. U Krzyśka też dawno nie byłaś. Tam jest wprawdzie Kaśka, ale mogłabyś na czas wizyty zawiesić broń... Albo... Ty założysz lateksowe body, w rękę weźmiesz pejczyk, ojciec schowa twarz za maseczką świnki i będzie chrumkał... Tak też można się zabawiać w opuszczonym gnieździe – zażartował Marcin.

– Przestań! – krzyknęłam zawstydzona. – A właściwie, dlaczego jedziesz już teraz, skoro rok akademicki zaczyna się dopiero w październiku? Coś mi tutaj nie gra. – Patrzyłam na Marcina podejrzliwie. Skąd on zna takie pornograficzne obrazki?! Dlaczego ucieka ode mnie?

– Do października bym tutaj zdziwaczał. Jak ojciec. Albo jak babcia. Zresztą wy wszyscy macie w sobie niepełnosprawny gen. Matka, ty mnie raczej powinnaś wypędzać z tej chaty! Chyba że chcesz mieć następnego czubka w rodzinie! – warknął Marcin i poszedł do swojego pokoju. Szczelnie zamknął drzwi.

Z kim mam w końcu tworzyć ten dom?! Tę rodzinę?! Dla kogo? Czy tworzyć? Podeszłam do półki z fotografiami synów. Portret Krzyśka znów przysunęłam bliżej zdjęcia Marcina, a między nimi postawiłam butelkę Mademoiselle Coco. Wyjęłam flakon, psiknęłam sobie za ucho. Ta cudowność. Luksus. Uwielbiam ten zapach. Uwielbiam moich synów! To dla nich żyję! To dla nich remontuję! To dla nich marzę. Krzysiek i Marcin byli dla mnie niczym miód na obolałą duszę. O tak, o to mi zawsze szło. Chciałam wytworzyć takie relacje między nami, aby Krzysiek i Marcin nie musieli przez pół życia naprawiać tego, co im w psychice spieprzyłam ja i inni członkowie tej nienormalnej rodziny. (A co mogłabym – jako matka – nazwać wychowaniem.)

Malinowa trufla pisze:

No tak. Będę kontynuować. Rzeczywiście, nigdy nie miałam nic przeciwko obrastaniu w przedmioty. O porcelanie już wspominałam. I o mosiądzu. Ale najwięcej przyjemności daje mi obcowanie z obrazami. Na razie mam tylko dwa. Wielkie płótno nieznanego malarza – abstrakcję na temat rewolucji. I portret. To za mało, bo chciałabym móc obwiesić pięknosciami na płótnie wszystkie ściany. Nie dla mnie powściągliwa nowoczesność w urządzaniu domu. Albo minimalizm. Te dwa nurty są dla ludzi znudzonych sztuką, dla tych, co nacieszyli się już wszystkim. Ja zaś nadal mam wielkie zapotrzebowanie na zachwywanie się życiem!

Trupy w szafie

Już czwarty raz tego dnia wracałam ze sklepu objuczona kilkoma torbami pełnymi żarła. Dobrobyt! Dla synka mogę zawsze wydać ostatnie pieniądze. To akurat nie były puste słowa, bo na karcie kredytowej zostało mi jedenaście złotych. Wczoraj dotarła wreszcie przesyłka z wielką walizą, oczywiście wylicytowaną na aukcji internetowej.

Do wyjazdu Marcinka zostały jeszcze cztery dni, a ja już miałam całą lodówkę jedzenia. I co ciekawe, mimo że dźwigałam takie ciężary, czułam się lekko. Nic innego wieczorami nie zajmowało mi czasu tak, jak przygotowania do wyjazdu Marcina. W księgarni nabyłam olbrzymią mapę Holandii, przewodnik po całych Niderlandach i kilkutomowy słownik polsko-holenderski.

Całą drogę z pracy myślałam, jak to wszystko zapakować, żeby było dla Marcina jak najlepiej. Tak się zamyśliłam, że zapomniałam wysiąść na swoim przystanku. Kiedy w końcu dotarłam do domu, od razu wstawiłam wodę na herbatę i zaczęłam układać na kupki odzież, którą według mnie powinien ze sobą zabrać. Wielka sterta majtek, inna, nie mniejsza – koszul. Oprócz tego kilkanaście swetrów, dzinsy, krawaty, garnitury, podkoszulki. Kto mu tam będzie to wszystko prał? Skąd weźmie żelazko? Mogłabym mu dać nasze, ale ono ma popsuty regulator temperatury. Jeszcze coś przypali. W tym momencie przypomniało mi się, że powinnam kupić jeszcze przybory krawieckie. A nuż coś mu się tam rozpruje?

Porządkowałam rzeczy syna już dobrą godzinę. Podczas tych czynności od czasu do czasu zerkałam przez okno na dom Kędziorów. Denerwowałam się, że się spóźnię na ich kolację.

Tak mnie zastał Marcin. Zrobił oburzoną minę i misternie poukładane przeze mnie stopy odzieży wrzucił w nieładzie do szafy.

– Mamo, ja tam będę mieszkał czy ty? – warknął.

– Zobaczysz, matka w noc poślubną wejdzie ci pod łóżko, żeby stamtąd instruować, co masz robić. A może nawet będzie chciała cię zastąpić! – Boguś zarechotał. – Zostaw chłopaka, nie rób z niego maminsynka.

A któż to w ogóle jest „maminsynek”? Czy to może ktoś odrzucony przez ojca? Czy może wychowywany tylko przez matkę? Dlaczego? I czy prawdziwy maminsynek zniszczyłby trud połowy dnia swojej matki, tak bez zastanowienia się? Nie, na taką definicję maminsynka ja się nie zgadzam!

Szaki wariował przy drzwiach. Z ulicy dochodził jazgot podwórkowych kundli. „Co za wieś!” – pomyślałam. I krzyknęłam:

– Spokój! Nie wolno! Jesteś rasowy!

Pies kłapnął przy drzwiach. Ten ostatni argument musiał do niego przemówić. Popatrzyłam w jego migdałowe oczy i mrugnęłam porozumiewawczo. „Dobry pies, grzeczny” – pomyślałam. Ale ten się nagle znowu poderwał, bo z pokoju wyparowała Krysta z okrzykiem:

– Na psy! Na psy!

Specjalistka od zarządzania zwierzyną. Żwawo dopadła drzwi i otworzyła je na oścież. Powiało letnim wieczorem. Szaki wypadł na dwór, aż wzbil się kurz z jego rudej sierści. Jak zwykle. Przy okazji odpadły dwie klepki. Też nic nowego. Schyliłam się, żeby je wsunąć na miejsce, choć nie miało to większego sensu. Za chwilę i tak sytuacja się powtórzy.

„Śmierdzi jak skunks, muszę go wreszcie wykapać” – postanowiłam, mając na myśli psa, rzecz jasna (choć, gwoli ścisłości, Boguś też nie grzeszył zamiłowaniem do kąpieli). Była to bardzo trudna operacja. Szaki nigdy nie był czyścioszkiem. Przed kąpielą przemieniał się w wilkołaka, zrzucał kaganiec. A potem biegał po domu i wycierał sierść o kanapy.

W końcu znowu zabrałam się za porządki w pokoju Marcina, korzystając z tego, że wyskoczył na chwilę do kolegi. Ale nie były to już porządki „ubraniowe”. Jego papiery powpinałam do segregatora, różne szpargały włożyłam do wielkiego kolorowego pudła. Część ubrań (których nie wrzucił z powrotem do szafy) już była spakowana w walizie, więc w szafie zrobiło się miejsce. Pomyślałam, że po jego wyjeździe poprzenoszę tu swoje rzeczy. Potem poszłam do przedpokoju, gdzie zabrałam się za swoją szafę. Zaczęłam przeglądać kostiumy i bluzki. A potem torebki. Wielką czarną powinnam odnowić, a na razie przetrąłam ją kremem. Chciałam też wytrzepać wnętrze torby. Odwróciłam ją do góry nogami. I wtedy na podłogę wypadł ten brązowy, dobrze znany mi notatnik. Ojej! Poczułam się jak złodziej.

Od razu sobie przypomniałam. Przystojny Jurand ze Spychowa spotkany w restauracji! Gdy życie nas uczuciowo zaszuszy, gdy zapełni nasz byt wyłącznie obowiązkami i ogołoci z przyjemności, nawet tak epizodyczna znajomość staje się ważna, potrafi zająć myśli. W sumie było bardzo miło. Zastanawiałam się, ile też mógł mieć lat. Pięćdziesiąt? A może pięćdziesiąt pięć? No cóż, nie był w końcu najmłodszy. Przyłapałam się na tym, że myślę o jego wieku w taki sam sposób jak Krysta o moim.

Natychmiast chciałam do niego zadzwonić. Zaczęłam szukać wizytówki, doskonale pamiętałam, że wkładałam ją razem z długopisem do wewnętrznej kieszonki w notatniku. Ufff, znalazłam. Spojrzałam na zegar – była dwudziesta trzecia. Za późno na telefon.

Włączyłam komputer i napisałam e-maila:

„Niekomfortowo się dzisiaj poczułam. Przekazał mi Pan na chwilę swój strasznie fajny notatnik, a ja go zakosiłam, jakbym była przedstawicielką społeczeństwa, które »potrafiło wszystko załatwić«. W jaki sposób mogę go zwrócić i zrekompensować swój nietakt? Przemoknięta znajoma z restauracji, Elżbieta”

Właścicielka

Nienawidzę takich rozmów, nie mam ochoty zapoznawać się z jakimkolwiek tak zwanym fachowcem. Ale muszę, naprawdę muszę! Znam już wszystkie sztuczki, żeby klienta pozbawić kasy, wiem, jak to się kończy. Wiem też, jak opłakany jest stan mojego konta!

– To ile wyniesie całkowity koszt tego remontu? – zapytałam kolejnego, tym razem glazurnika. Boguś po ekscesach z rynnami całkowicie stracił moje zaufanie, więc trzymałam go z dala od tych spraw.

– Wie pani, jestem bardzo drogi, ale za to mam bardzo krótkie terminy. – Błysnął zębami w uśmiechu spec od glazury.

– Hm, proszę mi podać koszt całkowity. Ile by kosztowało położenie glazury?

Kiedy po chwili padła kwota, myślałam, że się przesłyszałam.

– Ile?! – krzyknęłam.

Do diabła! Facet podał mi cenę z dokładnością co do jednego parszywego zera! Jakoś nie wychodziły mi negocjacje z bezkompromisowym, jak się okazało, glazurnikiem. Miałam poczucie krzywdy finansowej, ale głównie przekonanie, że nie wiem, na czym w końcu stanęło. Poczulałam się zmęczona, machnęłam ręką i zrezygnowałam z usług fachowca. Wiedziałam jednak, że to chwilowe i muszę się przeprogramować na pozytywne myślenie. Malarz i glazurnik, czyli molestator finansowy i naciągacz cenowy w jednej osobie, wyrwał mnie z pewnego odrętwienia, rzucając na koniec, że gdybym zmieniła zdanie, to wiem, gdzie go szukać. Kiedy wyszedł, drzwi od pokoju Krysty otworzyły się gwałtownie, jak zawsze.

– Ciągłe ta hołota się tu kręci, jak po peronie! Nie spraszać mi tu więcej nikogo! Nie życzę sobie! Psa byście lepiej w tym czasie nakarmili!

– Dobrze, dobrze, nie denerwuj się tak. Pies dostał. Babciu! Musimy pogadać. – Skierowałam się za nią do centrum zarządzania.

Chciałam namówić ją, żeby poszła ze mną do banku i podpisała się pod kredytem hipotecznym. Wtedy mogłabym wreszcie dokończyć te wszystkie remonty i modernizacje. Bo za chwilę nie będę miała dla kogo ich robić! Krzysiek miał swój dom, a Marcinowi może się znudzić to czekanie. Sapnęłam ciężko. Jak to jest, że tak panicznie się jej boję? Krysta się odwróciła. Złą miną dała mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce. I jakimi emocjami skończy się nasza rozmowa!

– Nie jestem dla ciebie żadną babcią! – burknęła. – Jestem twoją matką! Proszę mi mówić: „mamo”. Dlaczego Aga może się do mnie tak zwracać, a ty nie?

Przyjęłam tę deklarację ze skrajną podejrzliwością. Słowo „proszę” było niewątpliwie niezwykajne.

– No niby tak...

– Nawet zięć do mnie tak mówi. A nie jak tutaj, jakąś babcią ze mnie robią!

No i fajnie, klimatu do rozmowy już nie było. Skończył się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. W istocie, Babcia Krysta miała rację. Nie była nią dla mnie. Ale ja naprawdę nie potrafiłam zwracać się do niej w inny sposób. „Ma-ma, ma-ma” – próbowałam kiedyś przed lustrem. Nijak mi to nie wychodziło. Nie potrafiłam do swojej matki powiedzieć tak najzwyczajniej w świecie: „mamo”. Moja mamo! Najzwyczajniej i najpiękniej – mamo! A ona? Przecież też mówiła do mnie w trzeciej osobie, od lat bezimiennie.

– To co tam chciałaś? – mruknęła. Jakoś łagodniej czy tylko mi się zdawało?

– Bo wiesz... Wzięłabym kredyt hipoteczny, żeby dokończyć wreszcie ten remont.

– To po co mi o tym mówisz? Weź i dokończ.

– Ale potrzebny jest twój podpis. Współwłaściciel też musi się podpisać.

I wtedy rozpętała się burza. Ostatnie zdanie wyraźnie ją rozjuszyło.

– Ja jestem jedyną właścicielką! A nie jakąś, jak ty to nazywasz, współwłaścicielką! O tej części po ojcu pewnie myślisz? To ja ją powinnam dostać! Żeby takie prawo w tym państwie wymyślić i całości majątku żonie nie przyznać, tylko dzieciakom. Nie myśl, że uda ci się tę część zgarnąć! Adze ją przekażę w testamencie, nie tobie. Za ten pysk? Podpis pod kredytem?! Ja nie potrzebuję brać żadnego kredytu! Jakbym chciała, to remont bym zrobiła bez pożyczki. Bo ja zawsze mam pieniądze. Nie to, co wy – prychnęła pogardliwie.

I tak dalej w podobnym tonie. Chciałam zatkać uszy. Ale ona mówiła tak, że musiałam usłyszeć. A ja nie chciałam już nic więcej mówić. Ani tym bardziej słuchać. Teraz na pewno wolałabym płakać. „Za co mnie tak karzesz, za co?” – pytałam bezgłośnie.

– Aga nie będzie tutaj mieszkać, mają przecież swój dom. Uzgadnialiśmy... – wyszeptałam po chwili, połykając łzy.

– Jeszcze ja tu rządę. Jak będę chciała, to wszystko jej dam. Masz tylko jedną siostrę, a tak jej nienawidzisz! Ty jej wszystkiego zazdrościsz.

– Czego jej mogę zazdrościć?

– Czego?? – Zaśmiała się szyderczo. – Urody, wdzięku, gustu, męża, tego, że potrafi jeździć samochodem... Nawet mojej miłości jej zazdrościsz...

Uderzyła w czuły punkt! Precyzyjnie! Wiedziałam, że nie powinnam brać tych wszystkich słów na serio, wiedziałam, że to, co mówiła, nie powinno boleć. Powtarzałam sobie w duchu, że wcale mnie nie boli. Nic mnie już nie boli. Nie mam poczucia krzywdy. Nie zazdroścę Adze. Po prostu lepsza jest, zdarza się. Ona jest warta miłości. Ja nie. Wiedziałam o tym! Krysta mi to zawsze powtarzała. Krysta od...

Matką trzeba się opiekować. Matkę ma się jedną. Powinnam ją kochać, bo przecież jest moją matką. Nawet jeśli nazywam ją Babcią. Czy Krystą. Odetchnęłam głęboko. Może i mam mniej pieniędzy. Może to prawda. Ale gdybym nie musiała za nich wszystkich płacić, też bym była bogatsza. Gdybym nie robiła tych remontów, wszystkich koniecznych wymian podziurawionych rur, to i ja spałabym spokojnie. A nie tak jak teraz, że budzę się co godzinę. Ostatnio nawet po tabletkach uspokajających, głogu i melisie.

Wysłałam, żeby uniknąć awantury. Z nerwów trzasnęłam drzwiami. Gdy tylko znalazłam się w stróżówce, usiadłam przy komputerze i z przyzwyczajenia kliknęłam myszką. Okazało się, że był włączony. W skrzynce dostrzegłam kilka e-maili. Nieważne były. Z wyjątkiem jednego.

Jurand ze Spychowa napisał tylko dwa zdania:

„Czy po to prowadziliśmy filozoficzny dialog w to dżdżyste popołudnie, by teraz dyskutować o socjologii? Czy po to doszliśmy do kul, żeby teraz stanąć przed powierzchnią gładką? Proszę, daj mi swój numer telefonu. Nie ma mnie teraz w kraju, ale gdy wrócę za kilka dni, zadzwonię. Julian”.

Ufff. Aż zrobiło mi się gorąco. Od razu skoczyło mi ciśnienie. Miał refleks – przy drugim kontakcie bez skrępowania przeszedł na „ty”. Mnie to chyba tylko gwałtem trzeba brać!

Nie zawahałam się ani minuty. W odpowiedzi wystukałam numer swojej komórki i prędko wyłączyłam komputer. Potem to samo zrobiłam z telefonem komórkowym. Zamknęłam oczy, a za chwilę wysłałam na korytarz. Żadnego Krzyżaka w pobliżu nie było, kiedy ja – szara Becia – odważyłam się podnieść różę rzuconą przez Juranda ze Spychowa.

Małorolny osadnik zza Odry

Ostatnie odliczanie. Już dwie godziny Marcin i ja pakowaliśmy walizki na jego wyjazd do Amsterdamu. Tę olbrzymią udało nam się w końcu zamknąć. Chwyciłam ją za rączkę, chciałam postawić na kółkach. O rany, według mnie ważyła chyba z osiemdziesiąt kilo! Było to całkiem prawdopodobne, bo to w niej umieściliśmy wszystkie wiktuały, znoszone do domu przez dwa dni. Żeby biedaczek nie musiał tam wydawać euro. I żeby nie musiał głodować.

Czego w tej walizie nie było? Chyba tylko palety przypraw, bo w ostatniej chwili dokupiłam nawet kilka paczek makaronu i jeszcze ze cztery sosy w słoikach. Pies kręcił się wokół, wszystko obwąchiwał i merdał ogonem. Potem podszedł do mnie i szeroko rozdziawił pysk. Ziewnął. I wytrzepał kłaki.

Znowu zaśmierdziało psimi bobkami.

Boguś z papierosem w ręce stał w korytarzu, tuż przy drzwiach, i z zaczepnym uśmiechem przyglądał się całej akcji. Krysta siedziała w drzwiach kuchni na zydelku i co chwilę pukała się w czoło. Przez te miny wyglądali jak matka z synem. Zresztą Boguś, gdy utył, rzeczywiście się do niej upodobił. A mało wtajemniczona w moje koligacje rodzinne Kinga niedawno przekazywała mi pozdrowienia dla teściowej. I współczuła, że muszę mieszkać z matką Bogusia, bo lepiej byłoby mi z własną. Tego dnia między Krystą i Bogdanem znów zadzierzgnęła się tymczasowa więź oparta na wspólnym poglądzie na temat mojej domniemanej głupoty. No cóż, życie świadome ludzkich umysłów jest tylko ułamkiem w porównaniu z ich błogą nieświadomością.

– No, powiedzmy, że większość rzeczy już mam... – stwierdził Marcin, stawiając obok drzwi drugą walizę, tę nieco mniejszą.

– Żartujecie sobie chyba obydwójce. Nie mogliście po prostu do tej wielkiej szafy ubraniowej doprowadzić u stolarza kółek i rączki? – Boguś rechotał z korytarza. Odwrócił się w stronę Krysty, szukając w jej oczach dalszej zachęty. Na tylnej, górnej części jego spodni dresowych dostrzegłam kilkanaście dowodów na tryb życia, jaki zwykł wieść. Siedzący, rzecz jasna, zwłaszcza kanapowy. Z jego punktu widzenia dziury od zepsutej sprężyny miały dowodzić martyrologii w rodzinie. I w ogóle w tym domu.

– Tyle mu tam naładować! Też coś. Będzie chłopak wyglądał jak małorolny osadnik zza Bugu – wtórowała mu Krysta.

– Nie słuchaj ich, Marcin. Dobrze, że jedziesz autobusem, bo gdybyś leciał samolotem, to trzeba by było pewnie dopłacić olbrzymią kwotę za nadbagaż. A tutaj zakończy się to jakimiś dwudziestoma złotymi, mam nadzieję.

– Jedziemy, taryfa stoi! – krzyknął Marcin, spojrzawszy za okno.

Wytaszczyliśmy wszystkie pakunki i nastąpiło szybkie pożegnanie z Bogusiem i Babcią. Musiałam syneczka osobiście odwieźć, co tu dużo ukrywać – chciałam z nim pobyc. Długo, najdłużej!

Chwila pożegnania była dla mnie bardzo ciężka. Zalałam łzami siebie i Marcina. Po czterech godzinach wróciłam do domu jak wdowa w najcięższej żałobie. Ścieżką wzdłuż domu przeszłam na tyły ogrodu. Uszczknęłam truskawkę z krzaczka, potem dwie maliny, kilka czereśni prosto z drzewa, w końcu późną papierówkę spod drzewa podniosłam.

Powietrze przesycone było zapachem piwonii, róż i maciejki. Słońce odbijało się od tafli oczka, kończyło swój codzienny bieg, umykając przed nocą. Ze ściętej trawy Boguś utworzył całkiem spory kopiec. Tego roku tatarak wyrósł dłuższy niż średnica oczka. Urzekająca sceneria. Mnie jednak było wyjątkowo źle na duszy... Siedziałam na ławce pod pergolą. Nieco później gwiazdy utworzyły na niebie delikatny deseń, a księżyc śmiał się kpiąco, drażniąc mnie jeszcze bardziej swoim blaskiem. Na następny

dzień zapowiadał się niezły upał.

Wciąż nie miałam ochoty wejść do domu. Położyłam się na kopcu trawy, która nie miała już w sobie wilgoci, z wysuszonego siana z czubka kopca utworzyłam wałek i włożyłam go sobie pod głowę. Plusk rybek i pomruk nagłej samotności kołysały mnie jednostajnie...

Nagle obudził mnie straszliwy, koci wrzask. Ujrzałam ciemność, wśród której dominowała para świecących oczu. Czy to sumienie zastawia na mnie sidła? Że źle traktuję swoją matkę! Że myślę o niej „Krysta od Antychrysta”! Że ona płacze przeze mnie! A może i umiera! Teraz! Zerwałam się z kupy trawy i prędko pognałam do domu, pchana nagłym, nieskrępowanym przestraczem. O matkę! Jak zawsze, o matkę!

Klucz wszedł do zamka zadziwiająco lekko. Oparłam się plecami o drzwi. A w domu? Cisza, ciemność i pustka. Słysząc było tylko pochrapywanie Bogusia i gwizdy Babci. Z ulgą klapnęłam na kanapie. Na TEJ kanapie!

Malinowa trufla pisze:

Na moich sosnach postanowiły uwić gniazdo dwie sroki. Ona i on. Dzisiaj obserwowałam, w jaki sposób transportują budulec. Drobne, krótkie gałązki, potem w misterny sposób tkane, tworzą fundamenty pod ciepły ptasi dom na zimę. Zachwyciły mnie te ptaki. On był bardzo pracowity, a ona pomagała mu, jak mogła, ale nie była w żaden sposób dominująca. Ot, harmonijna współpraca. Widać, że ptasi świat ma swoje własne prawa, nie tak zreformowane jak ludzkie. Ptasi kodeks rodzinny i opiekuńczy. Bardzo tradycyjny. Ale może to dobrze?

Tak. Zazdrościłam jej. Prawdziwe życie dzieje się w parach.

Komentarze: 1

Na temat kodeksu rodzinnego i opiekuńczego ze mną można gadać w nieskończoność. Jurek P.S. Ten sam, co jakiś czas temu wsadził tutaj swoje trzy grosze:)

Mam ogon

Przez kilka dni opłakiwałam wyjazd Marcina. W zasadzie brak kontaktu ze strony Juliana także. Było popołudnie. Dwie godziny gapiłam się na sroki, które na mojej sośnie nadal wiją sobie gniazdo. Potem przeliczałam rybki, od dawna nie widziałam małych z tego sezonu, widać pożarły je większe okazy. Zwierzęce maniery przeniosły się z domu do ogrodu. Wrrr.

Dręczyłam się myślą, że wisi nade mną czarna chmura samotności. Próbowałam skleić tę rodzinną materię... i nic. Kłapa. Brakowało na szew, obręb i pasek. Czy mogłabym sobie wymierzyć większą chłostę, niż próba naruszenia ustalonego bezprawia tego domu? Ech.

Drewniany dziad siedzący nad oczkiem zdawał się przysłuchiwać moim myślom. „Jakiś szary jest, zlewa się z kamieniami” – pomyślałam o wystruganym starcu. I zamotałam mu na szyi czerwoną apaszkę. Wprawdzie był to tylko skrawek czerwonego nylonu, ale od razu taką cudowność poczułam. I tę intensywną barwę.

Oparłam się wygodniej na leżaku, ptaki śpiewały, sosny pachniały (po deszczu akurat było) swoimi aromatycznymi cieczami. Za płotem dziadek Kędziora chodził z konewką po ogrodzie i nucił balladę indiańską: „Wędrowną jedną życie jest człowieka, idzie wciąż, dalej wciąż, dokąd, skąd, dokąd, skąd...”. „Jakież odkrywcze treści, nie tylko dla Indian!” – myślałam bez ironii. Odetchnęłam pełną piersią. Od tej czerwonej apaszki na szyi dziada i słów ballady, a także jej sentymentalnej melodii, mój świat nabrał jaśniejszych kolorów. Mój świat, moja wędrownka...

Nieco później wróciłam do domu, żeby się przekonać, że wielki wrzód w postaci wiecznie niezadowolonej Krysty i bezrobotnego Bogusia nadal ropieje. Zasmucona zamknęłam się w pustej stróżówce. I wtedy przysłała Zośka.

Nie znoszę jej najazdów na mój dom. Nie toleruję, że się nie zapowiada. Słyszę pukanie, myślę: „listonosz”, otwieram, patrzę – a tu Zośka. Zarówno na listonosza, jak i na nią pies reaguje równie zajadle. Na listonoszu ma prawo czuć zapach innych zwierząt i ludzi, ale na niej...?

Jadłam właśnie jogurt z płatkami. Łyzeczką wyskrobywałam resztki.

– Coś taka łakoma? Bo zedrzesz całą politurę! – parsknęła. – No i co? Jeszcze nieprzyklejone? – Zośka przyglądała się ohydnej, potwornie zdewastowanej podłodze w naszym przedpokoju. Zamknęła wygryzione psimi kłami drzwi z dykty. Szpicem swojej czerwonej szpilki kopnęła luźną klepeczkę.

Po co znowu przysłała?! Po co? Czyżby przestała się wreszcie skupiać na żalostnej pogoni za własnym orgazmem?

– Wzięłabyś niewielki kredyt hipoteczny – ciągnęła, nie zważając na moją minę jak z ceremonii ostatniego pożegnania. – One są nadal tanie. Nie wierzę w te wszystkie kryzysy i bankructwa banków. Mogłabyś zrobić wszystko za jednym zamachem. Ja tak zrobiłam i mam teraz spokój.

– Masz inną sytuację prawną niż ja. Nie widzisz, że mam hamulec czy też, jak by to najlepiej określić, ogon? Sama już nie wiem, co to za twór... I nic nie mogę z tym zrobić.

– Krysta od Antychrysta? – szepnęła konspiracyjnie Zośka.

– Aha. – Pokiwałam twierdząco głową.

– Boguś jest?

– Jest. Boguś!!! Chodź tu do nas. Zośka przysłała.

– Poczekaj, nie wołaj go. Przyleciałam, bo wiesz, co się stało? Rysiek zapił i spalił nasze mieszkanie na Starym Rynku! Siedem wozów strażackich je gasiło, wszystkie gazety o tym piszą. Dobrze, że się pijaka na czas pozbyłam, bo z czym bym została, gdyby to mój dom spalił...? Nie wiem, czy straż

miałaby tyle wozów. Teraz niech mu brat załatwi schronisko dla bezdomnych!

– Szkoda mieszkania, ładne parkiety tam miałaś. Taki pijus to też dla ciebie nie lada ogon... – zrewanżowałam się.

Boguś stanął nagle w drzwiach. Zwiastował nadciągającą burzę. Uśmiechu na jego licu nie można się było dopatrzeć, Zośka też wyglądała, jakby nie potrafiła się rozluźnić. Siedziała wyprostowana jak podczas zajęć z wojskowości na studiach. A miała się wtedy czym martwić. Była najmniejsza – gdy ją położyć, mieściła się na biurku – toteż bardzo często służyła jako model do pokazywania metody ratowania w trybie usta-usta.

Zapadła cisza. Boguś dostał kaprawych oczu. Zbrzydł. Pogłębiła się pionowa bruzda między czarnymi, ciągle krzaczastymi brwiami. Dyszał ciężko. Gorzej – był naprawdę wkurzony.

– Idiotki! Żebyście mnie od ogona wyzywały?! Dalej tak buntuj Betę! Ciekawe, że zawsze po twoim wyjściu zaczyna się mnie czepiać, nie wiadomo o co. Tyyy... a zresztą! Pilnij lepiej swojego jurnego kochanka!

– O co ci chodzi? – zaczęłam, gdy wróciła mi jasność postrzegania.

Zośka zaniemówiła. Nadal siedziała nieruchomo. Do tego jeszcze poczerwieniała, ale tak jakoś nierównomiernie. Na szyi i twarzy miała wielkie, czerwone place, prawie jak ten w Moskwie. Zaczęła się zawzięcie drapać.

Oczywiście wiedziałam, co myślała. „Mówiłam ci, znajdź sobie młodszego kochanka” – to teraz myślała. Na pewno! A ja w tym momencie zaczęłam jej nieśmiało przyznawać rację. Co do tego kochanka, rzecz jasna. Ale czy młodszego? To nie, raczej nie. Wręcz przeciwnie. Od starszego mogłabym spokojnie czerpać wiedzę z jego doświadczeń życiowych. Byłby mądry i wrażliwy... Szarmancki i opiekuńczy. O tak, właśnie taki.

– Słuchaj jej dalej, to daleko nie zajdziesz. We własnym domu będzie mi żonę toto buntować! – Boguś stał nade mną i Zośką jak kat. Celował w nas swoim nienarobionym paluchem.

Zośka poderwała się z fotela jak oparzona i wycedziła do mnie nadzwyczaj – jak na gwałtowność sytuacji – spokojnie:

– Przyjdę, ale wtedy, gdy go stąd wypieprzysz!

I ona na mnie naskakuje?! A co ja jestem temu wszystkiemu winna? Zanim zdążyłam odpowiedzieć, trzasnęła drzwiami, nawet się nie pożegnała. Słyszałam stukot jej czerwonych czółenek na chodniku przed domem. Szaki pognał za nią. I zawył zza furtki jak kojot przy pełni księżyca. Najpierw drze pysk, że ktoś przychodzi, potem jeszcze głośniej, że wychodzi! A ja? Odczekałam, aż narwany kłótliwiec zajmie swoje zwykłe miejsce przy komputerze. Aż znów zapragnie gadać ze swoimi kolesiami, z których absolutnie każdy mógłby bez charakteryzacji zagrać w *Walce o ogień*! Chciałam się zaszyć i w towarzystwie Kędziorów kolację zjeść. Głodna byłam! Oczywiście ja w charakterze biernego obserwatora. Jednak nie dane mi było zaznać spokoju w tym domu.

Drzwi od centrum zapiszczały, Krysta wyszła z kubkiem herbaty w ręce. Na twarzy miała wypisane: „Wiem wszystko!”. Tylko, kurczę, niby co?!

– Same suki masz za znajome! Jak ona może malutkie niewinne dzieci uczyć? I czego? Wstyd przed ludźmi! – zasyczała.

– Jak ty mówisz! A u nas niby co jest? Myślisz, że ktoś normalny zrozumie nasz dom?

– Ten, który ją ostatnio przywozi, mógłby być jej synem. Wytatuowany cały, z łańcuchami na szyi. Widziałam, jak na niego patrzyła. Jak suka od Pawlaków, którą kiedyś musiałam od naszego psa odrywać. Myślisz, że jestem ślepa?

Odetchnęłam głęboko. Wzruszyłam ramionami i przymknęłam drzwi od stróżówki. Kędziorów już dawno nie było przy stole. Nie tańczyli też sąsiedzi z drugiej strony płotu. Poczulałam się rozczarowana. Potem wyciągnęłam z drewnianej szkatuły piękny, złoty łańcuszek z maleńką cyrkonią. Raczej nie lubiłam

złota, ale niedawno nadarzyła się okazja, więc kupiłam. Nie był drogi. I jakoś go polubiłam. A dzień przed swoimi imieninami zaniiosłam go Bogusiowi, żeby na niby mi go ofiarował. No i wręczył mi ów łańcuszek z miną, jakby się bardzo wykosztował. Nawet Krysta nie mrugnęła okiem. Uwierzyła, i Marcin też. Krzysiek powątpiewał, ale w końcu i on spasował.

Powiesiłam nabytek na szyi. Przejrzałam się w lusterku. Na mojej opalonej skórze złoto ładnie się prezentowało. Sama nie wiem, dlaczego wcześniej tak bardzo uczepliłam się srebra. Posiedziałam jeszcze chwilę w fotelu, a potem na Skypie wywołałam Marcina. Był. I nawet chciał rozmawiać. Moja kochana deska ratunku!

– Co tam? – mruknął.

– Ech, bo wiesz... Mam bardzo zły nastrój. Właściwie odkąd wyjechałeś, nie jest ze mną najlepiej.

– Czyli po staremu...

„No tak, po staremu. Nikogo już nie dziwi, a tym bardziej nie martwi moja trauma” – pomyślałam. Ma rację. Zatopiłam się w swoich niewesołych myślach. Westchnęłam. On też. Potem mechanicznie zaczęłam się bawić łańcuszkiem. Nakręcałam go na palec i przyglądałam się mu z upodobaniem – tak ślicznie błyszczał w świetle. Miał delikatny, subtelny wzór – sama szlachetność.

– Nooo, niby tak. Babcia Krysta, twój ojciec, pies, te rzeczy... Szkoda mówić, nie wiem, czy chcę cię tym wszystkim obciążać. Bo jednak taką, a nie inną rodzinę daję ci w spadku. To zło za wami pójdzie, do dwóch następnych pokoleń włącznie... Zmieńmy temat.

– Mamo, damy radę. Przestań. Gorzej by było, gdybyście byli Filipińczykami i paśli mnie zapłodnionym kaczym jajem. Co porabiasz?

– W sumie nic szczególnego. A wiesz, co wisi teraz na mojej szyi? Chyba nie zgadniesz... – Staralam się brzmieć radośnie. Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze.

– Pfff... Pewnie, że wiem...

– Co? – zapytałam, gdy przedłużało się milczenie.

– Ojciec.

Zaczęliśmy się śmiać. Marcin rżał w słuchawkę zupełnie bez skrępowania i jakiegokolwiek umiaru. Ja też się śmiałam, ale usta zasłaniałam ręką, żeby nikt nie słyszał. Bo w moim domu przecież strach się śmiać.

I do dzisiaj zastanawiam się, jak to się stało, że Boguś słyszał konspiracyjny szept Zośki, a nie zareagował na mój spontaniczny śmiech – w rzeczy samej dużo głośniejszy od szeptu.

O przelewie rozmawiam!

Następnego dnia po tym, jak Boguś przegonił Zośkę, czyli w sobotę rano, zadzwonił mój telefon komórkowy. Ojej. Z mety poczułam szarpaninę w klatce piersiowej. Bo to był On – Julian, czyli Jurand! Rycerz w zbroi ze stali herceńskiej! Czy zechciałabym zjeść niedzielne śniadanie w jego ramionach...? To znaczy w towarzystwie. Niekoniecznie jednodaniowe.

– Panom doświadczonym wiekiem należy się znacznie więcej – negocjował. – Wróciłem, jestem Julian, by formalności stało się zadość.

– A ja Be..., to znaczy Elżbieta.

Śniadanie poza domem z odpadającymi klepkami, w niedzielny, uroczysty dzień, z dala od moich dalekich bliskich! Spożywane w towarzystwie mężczyzny, nieznanego przecież, może być bardziej intymne niż seks. Zaraz tam seks! Najważniejsze, że będzie bez toksyn unoszących się nad kubkiem kakao, nad kanapką z jajkiem i nad sałatką grecką. Mogłabym nie robić obiadu, a tym samym nie dowiadywać się, że znowu był bardzo niesmaczny. Potem nie musiałabym (jak zawsze w takiej sytuacji) gotować drugiego, żeby się jednak przypodobać. A przynajmniej mieć taką nadzieję.

Umknęłabym tyranii.

Zrobiło mi się gorąco, bo ten głos w słuchawce, te zawieszenia tonu, niedopowiedzenia... Skończę, nie będę dalej wymieniać. Zresztą, skoro Boguś słyszał szept o ogonie, to tym bardziej usłyszy o śniadanku. Potem wprawdzie nie słyszał śmiechu, ale teraz... Kurczę, poczułam, że bezczelnie cudzołożę, w dodatku niemal na jego oczach. Niewątpliwie dobrze, że nie na naszej wulgarnej kanapie.

Wybiegłam, a raczej wyprysłam, na klatkę schodową ze słuchawką w spoczonej ręce. Niezdarnie usiłowałam ukryć zmieszanie i pośpiech. Obejrzałam się. O zgrozo! Za mną biegł Szaki i wesoło merdał ogonem, a tuż za nim toczył się Boguś. I on niczym nie sygnalizował radości. W żadnym wypadku. Szaki szedł za mną! Niebywałe. Nienawykły do takiej degradacji, niekwestionowany przewodnik stada. Bo tak gwałtownie wpakowałam się w drzwi wyjściowe. Przed nim. No jak mogłam! – myślał zapewne swoim psim rozumkiem.

– Ciii, szef dzwoni – szepnęłam do Bogusia.

Zastanawiające było jego ożywienie, jakby właśnie teraz wyszedł z kilkunastoletniego marazmu. Na złodzieju robią się z jego czapką dziwne rzeczy!

– W wolną sobotę? – Boguś stał się rzeczowy.

– Z trasy dzwoni, przelewu potrzebuje. Padło mu auto. Mam skasować połączenie? Nie rozmawiać?

Wraz z pierwszym kłamstwem przysłała mi ochota na kolejne. Czuję przymus, żeby podbarwić tę, jakoby dramatyczną dla Rafała, sytuację na drodze. Nie miałam doświadczenia w małych kłamstewkach (ani tym bardziej w większych matactwach), oprócz rozmów z kontrahentami, rzecz jasna. Toteż mieszałam się bardzo, w głowie mi się poplątało... I jeszcze ten zdradzający mnie napad gorąca! Nie, nie i jeszcze raz nie! Zupełnie nie nadaję się na niewierną żonę. Jednak ta ewentualna niewierność wydała mi się dziwnie pociągająca. Nawet bardzo pociągająca. I była jakimś rozwiązaniem!

Zgubiłam wreszcie Bogusia. W ogrodzie odzyskałam polot.

– Przepraszam, już jestem. Mam rozumieć, że chodzi ci o bardziej osobistą rozmowę? – zachrypiałam w telefon nieco bardziej kokieteryjnie.

Zawsze w przypadku stresu albo onieśmielenia miałam potrzebę, a może konieczność, odchrząknięcia. Coś mi się w gardle tworzyło. Teraz w zasadzie droczyłam się z nadzieją, że Julian nie ma w zwyczaju szybko odpuszczać. Nie. Pewnie, że nie! Beztróska zachichotał. I to była jego jedyna

odpowiedź. Zaraził mnie. Też zaśmiałam się pod nosem. Właściwie nie wiem, z jakiego powodu. I potem raz jeszcze zachichotałam. Jednak dalej było już tylko gorzej. Dałam wyraz swojej zwykłej niepewności. Zaczęłam się wycofywać. Moje czyny postanowiły unicestwić chęci. Też moje.

– Będzie mi miło. Ale nie mogę jutro, mam gości. Zatem może w poniedziałek po południu...? A jeśli nie, to być może nawet we wtorek. Jeżeli będzie to możliwe... Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że raczej ten wtorek byłby prawdopodobny. Jak mi się uda... – plątałam się niezgrabnie.

– Wtorek, bo nie znoszę czekać! Umawiamy się na śniadanie na siedemnastą. Czuję, że muszę przejąć ster – oświadczył stanowczo mój rycerz.

Malinowa trufla pisze:

Kiedy byłam mała, dziadek śpiewał mi pieśni legionistów, a babcia recytowała wiersze o miłości. Wokół domu rósł czarny bez, pachniało lipą, pod wielkim drzewem miał legowisko szary pies podwórzowy. Bałam się go. Nawet nie pamiętam, jak go nazywano. Rodzina mieszkająca dwa domy dalej codziennie piekła chleb, jego zapach unosił się nad całym miasteczkiem. W każdą niedzielę we wszystkich domach na obiad podawano rosół z kury, piękny, żółty, z wielkimi oczkami tłuszczu i koniecznie z domowym makaronem. To były piękne czasy.

Cudownie jest jeść pieczony chleb z chrupiącą skórką i obiad zaczynać rosółem. Dzisiaj chciałabym choć przez chwilę poczuć szczęście. Jest to trudne, bo wiem przecież, że szczęście trwa za krótko. Że zawsze się kończy. Niech mnie ktoś przekona, że tak nie jest. Chcę tego.

Komentarz: 1

Wysłałem e-maila na blogową skrzynkę, proszę, przeczytaj. J.

Śniadanko o 17.00

No i dożyłam do tego wtorku. W pracy siedziałam jak na rozżarzonych węglach, a gdy wreszcie dotarłam do Starego Rynku, kilka razy obeszałam plac, zanim odważyłam się wejść do restauracji. Kiedy ostatnio byłam w jakimś lokalu? Nie pamiętam nawet. A potem te róże! Nigdy, przenigdy nie dostałam tak wielkiego bukietu. Musiałam czekać przeszło czterdzieści lat, żeby ktoś zechciał wydać na mnie fortunę! Julian ujął mnie już na wstępie. Widziałam go zaledwie raz, a witał mnie tak, jak wita się wiosnę po długiej i mroźnej zimie! Poczułam się szarą Becią z wielkim bukietem wiśniowych róż. Skąd wiedział, że akurat takie lubię? Dlaczego nie rozumiał, że będę musiała je potem gdzieś porzucić...? Były przepiękne, akurat do zasuszenia!

Międliłam w ręce paczkę, którą mi wcisnął. Złoty papier opinał ją, jakby był szyty na miarę. W pewnej chwili spadła mi torebka. Nie zdążyłam go ubiec. Przewróciłam krzeselko, schylając się po dziadówkę. W końcu dałam za wygraną i pozwoliłam się obsłużyć. Siadłam na krześle i patrzyłam, jak lekko falowane włosy spadają mu na oczy przy każdym, najdrobniejszym nawet ruchu, jak przeczesuje je palcami. I przypatrywałam się, jak jedwabna, czarno-biała gawroszka, ciasno zawiązana na jabłku Adama, podskakuje na szyi przy każdym wypowiedzianym słowie. Pięknie modulował głos. Trzymałam złocisty pakunek, przesuwając dłoń po aksamicie delikatnego papieru. Jurand! Mój Jurand, widząc, że jestem zakłopotana, wyjął mi paczkę z rąk i zaczął ją gorączkowo rozpakowywać.

– Zanim byś przełamała swą niepewność, mnie rozsadziłaby moja, też wrodzona, niecierpliwość – powiedział, przysuwając swoje krzeselko bliżej mojego.

W sali klubowej Browarii było niewielu gości. Kelner podał karty, a Julian położył przede mną książkę z wygrawerowanym tytułem: *Dzieje Sobkowiaków*.

– Ze względu na to, że wszyscy moi przodkowie wymarli, a nie chciałbym, żebyś pomyślała sobie, że się urwałem spod jakiegoś ogona... Mam wprawdzie syna, dwie córki, jedną synową i wnuczki, ale z nimi bałbym się ciebie zapoznać. Mam też dwie byłe żony, żyjące, bo trzecia umarła... Z nimi też nie chciałbym absolutnie nikogo zapoznawać. – Julian zrobił minę skruszonego dzieciaka i zaczął się śmiać.

Rozśmieszył mnie. Miną, a wcześniej – wspominając o tym ogonie. Swoją drogą, jakimś dziwnym trafem ten wyraz stał się popularny w moim otoczeniu. Zabawne. Nawet bardzo. Bezwiednie parsknęłam śmiechem, a potem zaczęłam wertować książkę. Strona tytułowa, autor opracowania – Julian Sobkowiak. Cóż to za rodzina była! Opracowanie zawierało mnóstwo fotografii. Wśród Sobkowiaków było wielu uczestników powstań, w tym dwóch powstańców wielkopolskich – ojciec i dziadek ze strony ojca.

– Czasem myślę, że każdy z nas zostawia po sobie jakieś pamiątki, zwłaszcza zdjęcia. Ze zdjęć poznajemy czyjąś historię, jakby nie można było poznać jej za życia człowieka. Często wyobraźnia podpowiada nam historię dużo bardziej intrygującą, niż gdyby ten ktoś sam nam ją opowiedział... – stwierdziłam.

– Wiesz, Elżuniu, gdy spojrzysz na to szerzej, to cała historia ludzkości jawi się jako jeden wielki horror. Natomiast znam wiele pięknych historii pojedynczego człowieka...

Nie miałam poczucia straty czasu, wręcz przeciwnie. Pamiętał o wszystkim, co kiedyś powiedziałam, podrzucał tematy do dyskusji, interesował się mną, adorował... Tak, to też.

– A jak się ma nasza sprawa? – zapytał przy deserze.

– Chwilowo niebezpieczeństwo jest zażegnane, ale stałam się nieufna. Czuję, że to nie jest koniec. Chodziło o utratę pracy. Ponad dziesięć lat w tej firmie pracuję... Dwanaście nawet chyba...

– Nie czas na zmianę? To strasznie długo! Może zaryzykuj...

Nawet nie wiem, kiedy upłynęły trzy godziny. Julian uparł się, że mnie podwiezie do domu. I co ja teraz miałam zrobić?! Broniałam się, opędzałam przed jego grzecznością. Czekają na mnie przecież tyle przeszkód: Boguś, Babcia Krysta, Kędziorowie, a po drodze wstrętne babiszony, w tym jeden na wózku inwalidzkim, Kilkakrotna Wdowa. Wdowy z ulicy. W każdym domu jakaś. Poza tym dobre znajome Krysty, czyli matki z kółka rózańcowego. Czułam te wszystkie zagrożenia daleko bardziej niż anonimowa, zdradzająca żona – niestety już po czterdziestce. W końcu wynegocjowałam, że owszem, ale wysiądę na sąsiedniej ulicy. „Zaryzykuj! Zaryzykuj wreszcie” – brzmiało mi w uszach!

– Spokojnie, przecież wiem, że masz męża. Poza tym starsi faceci bardzo się podobają mężom młodszych kobiet. Ryzyko jest więc niewielkie. – Julian mrugnął do mnie. – Liczę, że nie zarobię od twojego pana w mordę. Ale przysięgnij mi, że dostaniesz się do swojego domu bezpiecznie. – Chwycił mnie za rękę i mocno uściśnął. Lubiłam jego mocne dłonie z krótko obciętymi paznokciami o kształcie łopatek. Opalone, z siatką żył.

Po piętnastu minutach jazdy wjechaliśmy w moją dzielnicę. Julian zaparkował przed zamkniętym sklepem spożywczym. Ze czterdzieści metrów dalej, w drugim domu na mojej ulicy, za siatką z kolczastego drutu, czatowały na przechodniów dwa wielkie psie bydlaki, którym śmierdziało z mord na kilometr. Chodnikiem toczył się miejscowy pijaczek, robiąc jeden krok w przód i dwa do tyłu. Spacerowały nieznanne mi kobiety ze swoimi kundlami. Czy psy z całej okolicy muszą wypróżniać się akurat obok mojego domu?! Obserwowałam ten folklor. Julian z całą swoją pięknnością trafił na moje nędzne włości. Taki światowiec! Podróżnik! Próbowałam niezręcznie odwrócić jego uwagę. Ale czym? Uśmiechnęłam się nieśmiało. Julian pocałował mnie w policzek. Zaczerwieniłam się, ale z samochodu wysiadłam już prawie jako Elżunia! Jednak nie kierowałam się w stronę swojego domu. Stałam obok auta i patrzyłam, jak Julian uruchamia silnik. Nie chciało mi się wracać. On też się odwrócił w moją stronę.

– Może mógłbym cię zaprosić na kolację do siebie? Pokażę ci hodowlę kaktusów. Obraz przodka powstańca i parę innych, ciekawych rzeczy. Co? No dobrze, klepię takie farmazony, bo wiem, że potrzebujesz pretekstu... – Mówił to, wychylając się z okna samochodu. Biała, lniana koszula rozpięła się na jego opalonej piersi.

Poczułam jakąś dziką siłę. Czyżby popęd? Coś takiego!

– Taaak. – Mrugnął po łobuzersku. – Z tymi kaktusami tak do końca nie żartowałem, uzbierało się ich trochę przez lata. Może poczujesz się u mnie jak w tropikach?

– W tropikach? Dlaczego nie – wyszeptałam tak cicho, żeby nie dotarło do mojego ucha.

– Co byś powiedziała na piątek po południu...? Mężatki z obcymi facetami tak zwaną kolację muszą jadać, niestety, w porze obiadowej – zawołał, ruszając.

Już szłam, ale zatrzymałam się, znowu mnie rozśmieszył. A może powinnam się obrazić? Nie, nie powinnam. Na pewno nie! Dobrze się bawiłam, po co wszystko roztrząsać w kategoriach: „wypada – nie wypada”?

– Julian, wiesz co? Dziękuję.

Chwilę później dwa wilkołaki narobiły rabanu na całą ulicę, chociaż chciałam przemknąć niezauważona. Wydawało mi się, że zza firanek obserwują mnie (i mój wielki bukiet) wszystkie głodne intrygujących nowin wdowy. Jedna z nich miała nawet nadprzyrodzone zdolności, ze swojego okna widziała, co się dzieje w najbardziej oddalonych domach. W schowanych za krzakami też. Relację mogła zdać ze szczegółami. Krysta nieraz opowiadała różne smaczne historyjki. Głównie o tym, kto się najbardziej puszcza i z iloma naraz. Śmieszne, na wdowiej ulicy?! Chociaż, kto wie? Słyszałam kiedyś, że jedna matka rózańcowa nie rozmawia z drugą już czterdzieści lat z powodu domniemanego romansu z mężem którejś. Nieważne której, bo przecież panowie dawno już pomarli. Ale wdowy nadal czuły do siebie urazę, mimo że na pogrzebach stały w orszaku obok siebie, a raz nawet jeden sztandar niosły.

Na dworze kwiecie pachniało. Już byłam blisko... Przed furką dogonił mnie dzwonek telefonu.

W tym momencie przypomniałam sobie, że natychmiast powinnam coś zrobić z pękiem kwiatów „dla Elżuni”. Wpakowałam go do pojemnika na śmieci. Wpadły na dół, wydając głuchy dźwięk o plastikowe dno. Podjęłam rozmowę.

– Aaaaa! – usłyszałam piskliwy głos Kingi. – Przyłapałam cię w restauracji na gorącym uczynku! Przechodziłam i widziałam przez okno. Aż się cofnęłam i zajrzałam do środka! To sobie cichaczem absztyfikanta znalazłaś. Boski! A jaka nonszalancja w ubiorze i prezencja! Wygląda jak Redford! No, no, a taką zawsze udawałaś świętą Bogusiową!

Ona zawsze musi się szwendać tam, gdzie ja? Naprawdę musi? Przecież nie jest już taka młoda, żeby po mieście wieczorami chodzić! Ładna i zgrabna jest, to fakt, więc może ją nawet ktoś zgwałcić! Że też się nie boi! Wkurzyłam się. Nie, nie dam jej satysfakcji! Za te pretensje o symulacje, za pomiatanie i zwłokę w opłacaniu mojej roboty?! Za figurę wydrenowaną i włosy od Lucjusza? Za usta napchane jakimś specyfikiem i postrzykiwane wszystkie bruzdy? Aż kilka fiolek kwasu hialuronowego mogli jej zaaplikować! A jedna kosztuje od ośmiuset złotych wzwyż. Nawet się ostatnio zastanawiałam, czy w górną wargę jej osa nie użądliła! No cóż. Nie zapłaciła mi jeszcze za moje usługi, to i myśleć o niej zaczęłam cierpko. Takiej to naprawdę nie chce się mówić całej prawdy!

– Coś ty, to był starszy brat mojej koleżanki. Takiej Zośki. Robię dla jego firmy rozliczenia – rzuciłam i szybko zakończyłam rozmowę.

Romanse na starość

Było późne popołudnie w środę. Znowu musiałam ugościć Agę i jej przejaskrawioną miłość do Krysty. I przy okazji wytrzymać swoją zazdrość. Ha! Sama przyjechała! Nie z Anglii! Z Zielonej Góry tym razem! Poza tym tłukła się pociągiem jak przeciętni ludzie! Na TLK się zaliła. Wkurzające są te wszystkie jej odwiedziny, te szeptki w pokoju Krysty, półsłówka. Przyłączam się do nich, gdy normalnie, głośno rozmawiają. Kiedyś podsłuchiwałam, przyznaję się. I co? Tylko mi się smutno zrobiło! „Mamusiu – wdzięczyła się Aga – tak mi przykro, że cię źle traktują. Ale życie na pewno kiedyś obróci się przeciwko nim. Zobacz, jak to jest!”

Nie warto podsłuchiwać! Naprawdę! Dużo lepiej jest żyć w nieświadomości! Nie warto też ani z Krystą, ani z Agą rozmawiać!

Tymczasem tak bardzo chciałam napisać e-maila do Juliana. Przez chwilę zabłyszczeć jak sztaba złota. Pobyć Elżunią. Zaimponować tym wszystkim, co mam, i tym, czego mieć nie będę. Przeszukiwałam pocztę. Cofnęłam się do początku naszej korespondencji, żeby nadać swoim słowom odpowiedni sens, a może nie zgubić wcześniejszego? Szukałam w myślach czegoś dowcipnego. Nieważne.

– Co ty tam robisz w tym komputerze? – Podskoczyłam na krześle. Aga była mną zaintrygowana! Krysta zaś częstowała ją sałatką jarzynową utopioną w majonezie. Fúj. Obrzydliwość. Aga mlaskała z przejęciem. I chwaliła. Jednak stanowczo odmówiła dokładki.

– Ona zupełnie nic nie robi całymi dniami, tylko w tego laptopa patrzy. – Krysta nie dawała za wygraną. Musiało stanąć na jej tezie. Na jej półprawdzie. No koniecznie.

Tak, nic nie robi. Rzeczywiście. Tylko chodzi do roboty jednej, drugiej, szuka w Internecie ofert zatrudnienia nawet za granicą – gdyby dobrze płacili, to czemu nie? Poza tym remontuje dom, pielęgnuje ogród. Opłaca wszystko, utrzymuje domowego żigolo. Ta bezimienna „ona”. Tylko to robi. To jest, do cholery, drobiazg?!

– Nic takiego – powiedziałam po chwili, ignorując uwagę.

„Nie dać się sprowokować – myślałam. – I nie tłumaczyć się z patrzenia w laptop. O nie”.

– Książki jakieś piszesz czy co? Bo tak przewijasz te strony i przewijasz.

– Chyba że romanse na starość. – Krysta chichotała.

„Niech chichocze” – pomyślałam. Wolałam, że się tak chichrała.

Dziwne. Przeglądałam statystyki na moim blogu. Niewiele zdarzeń tam było, kilka czytań zaledwie, ale był komentarz pod ostatnim wpisem. Przeczytałam pobieżnie, nie zainteresował mnie. Że e-mail jakiś... gdzieś... Potem zajrzę do skrzynki e-mailowej, którą otworzyłam wyłącznie na potrzeby bloga. Odpiszę, owszem, ale później. Weszłam w blogowe ustawienia. Pomyślałam, że będę musiała zablokować możliwość dodawania komentarzy. Nie dla nich piszę. O nie. Dla siebie. Dla pamięci. Czuję, że pewne rzeczy stają się dla mnie nieważne, jakby odległe. Cały ten dom. Właśnie otwierałam e-maila od Juliana. Ucieszyłam się. Płowy i piękny Redford. Silny, waleczny Jurand! Walczy o mnie z całym tym wrogim i popieprzonym światem! Rzuca mu wyzwanie, wyciąga miecz. Nie boi się przegraney.

Zerknęłam na Krystę i Agę z wyższością.

„Myślałam o Tobie, Elżuniu. Masz tak wiele na głowie, ale pamiętaj, kto dużo obejmuje, słabo ściska. Musi zatem więcej odpoczywać. Co byś powiedziała, gdybym Cię zaprosił na krótki wypad wypoczynkowo-kulturalny do Rzymu? W Termach Caracalli pod koniec lipca mają dawać *Toscę*. Na otwartym powietrzu! Wiem, że teraz doznałaś szoku, a może nawet zakłętaś siarczyście, ale przeczytaj

uważnie mojego e-maila i zgódź się, proszę. Możemy o tym pogadać w piątek, podczas naszej kolacji”.

Zmieszałam się. Kurczę. Wprawdzie potrzebowałam innego punktu odniesienia, miejsca, gdzie mogłabym uciec, i w ogóle. Ale nie tak szybko! Ledwie się znamy! Emocje! Tyle się dzieje w ostatnim czasie, niedawno pożegnałam Marcina, a teraz... Za kilka dni?!

Jednak już za chwilę jakiś chochlik podszeptał mi do ucha: „A właściwie dlaczego miałyby być wolniej? He? Że uczuciem w pierwszej fazie można zarządzać? Na przykład je sobie odradzić? No niby można. Tylko po co?”.

Spojrzałam na rozbawioną swoim dowcipem Krystę. Chichocząc, śmiesznie podrygiwała. Wielkie piersi, duży brzuch, policzki – wszystko się trzęsło. Tym razem popatrzyłam na nią z okolicznościową życzliwością. Uświadomiłam sobie jednak, że przecież ona śmieje się ze mnie. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, w związku z Julianem, że w swoim cholernym życiu pobiłam wszystkie możliwe rekordy bierności. Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na Agę. Przerzucała kartki jakiegoś kobiecego miesięcznika. Zatrzymała się na modzie. Chcę być podobna! Też chcę mieć takie same troski! Mnie też się coś od życia należy! Ciekawe, czy wie o ekscesach swego męża. Uśmiechnęłam się do tej myśli. To się kiedyś może zdziwi! I wtedy wreszcie zejdzie ze swojego piedestału!

Bogusia nadal nie było w pokoju. Szaki biegał pomiędzy Agą i mną, merdając ogonem. Potem stanął i popatrzył na Krystę pytająco.

– No, nawet pies się dziwi, co ona tam robi. Najbliższa rodzina przyjechała, a ta siedzi z nosem w komputerze. No chodź, chodź, dobry piesek.

Szaki oparł się o kolana Krysty i zaczął lizać jej rękę. Pogłaskała go. Wtedy zaczął z zawrotną prędkością wachlować swoim ogonem. Jeszcze nie widziałam tak rozpędzonego kawałka psiego cielska z rozczochranymi włosami na końcu. À la pędzel. Niestety, psisko puściło bąka. Krysta i Aga zaczęły się śmiać!

– Reaguje zupełnie jak człowiek – przypochlebiała się Aga.

„Zwłaszcza gdy jest nażarty” – pomyślałam z niesmaczona.

Te okoliczności, a może nagły impuls, kto to wie... dość, że nagle podjęłam decyzję. Bardzo odważną. Wybór miałam bardzo ograniczony: krótka piłka. „Tak” i Rzym. „Nie” i rodzinne gówno.

Rzym! Pomimo lęku przed lataniem, lęku przed nieznanymi de facto mężczyznami, przed dużym skupiskiem ludzi, lęku przed jazdą samochodem na miejscu pasażera. Na miejscu kierowcy zresztą też... Rzym!

„Zdaje się, że mnie – subtelnie, bo subtelnie, ale jednak – opieprzyłeś. No cóż, jestem do tego nawykła, chociaż nie z Twojego powodu. W ilu pokojach będziemy mieszkać? I tak się zgadzam! I boję się. Elżbieta”.

– No, siostra, naprawdę jakoś dziwnie wyglądasz. A może gołych facetów sobie ściągasz? Pokaż, no pokaz! – Aga próbowała zajrzeć mi w ekran.

A kysz! Przesunęłam laptop w drugą stronę. Wszystko inne było teraz nieważne, przecież przed chwilą coś postanowiłam! A to już było COŚ.

– Też pomysły! Golizna zresztą nie jest przestępstwem. E-maila do mojego Krzyśka pisałam – warknęłam, gdy wysłałam wiadomość. Wyłączyłam laptop.

– Aha. To pozdrów go od nas. – Aga znowu zatopiła wzrok w gazecie.

Ufff. Pewnie nikomu nie przyszło nawet do głowy, że ja, szara i zahukana Becia, mogłabym się wdać w tak bliskie towarzyskie zażyłości. A zresztą, w tej rodzinie, jak się okazuje, wszystko jest możliwe!

Skóra Elżbiety przestawała mnie cisnąć.

Brzmi dochodowo

– Cały świat się boi świńskiej grypy, maseczki wszyscy noszą, Japończycy głównie dają przykład, a pan prosto na mnie kaszle! – strofowałam Bernarda, który, prychając, rozsiadł się przy biurku naprzeciw mnie.

W Mieteksie poniedziałek bywał dniem na otrząśnięcie się z weekendowego lenistwa. Czyli odbywało się wielkie markowanie pracy. Przy czym ja kiedyś tego nie praktykowałam, zaszywałam się w świecie cyfr i przepisów, praktycznie niewiele się do innych odzywając. Jednak odkąd odebrano mi ukochane zajęcia, i mnie zdarzało się udawać wielce zapracowaną. Żeby móc zapewniać, że się w Mieteksie przepracowuję, musiałabym zmyślać. Moje udawanie nie zawsze wyglądało przekonująco, bo do mojego pokoju zaczęli zaglądać różni firmowi bumelanci.

– Ależ ustalmy, pani Beciu. Są bakterie i wirusy, tak? No więc ja mam bakterie! – filozofował Bernard.

– Tak pan usilnie przekonuje, że to bakterie, ale ja mimo wszystko nabieram coraz większej pewności, że jednak rozsiewa pan wirusy. A nie chciałabym lecieć do Rzymu ze świńską gripą.

– Do Rzymu! Sama musi pani tyrać na rodzinę i starcza pani na Rzym?!

O matko! A skąd on to wie? Wstydlivy wrzód i rodzinne brudy przedarły się do normalnego świata i bezczelnie podskakują! Zaczerwieniłam się kilkakrotnie. Za siebie najbardziej, jak zawsze. Ale i za najbardziej wyraziste „domowe” brudy też.

– No, wystarcza... – szepnęłam.

– Tak bywa! U mnie też nie lepiej. Szkoda gadać, ale wie pani co? Gośka mogłaby wreszcie spojrzeć na siebie bardziej krytycznie, zanim coś na temat innych osób powie.

Czyli to młode gówno chodzi i rozsiewa ploty! Tylko skąd ona to wie?! Zaczęłam inwentaryzować rozmowy na swój temat toczące się w firmie.

– Włożyła dzisiaj spodnie w pionowe pasy, buty na koturnie, ale jej nogi nadal wyglądają jak żabie odnogi – kontynuował Bernard, głośno smarkając w pomietą chusteczkę.

Zawsze starałam się inteligencją nadrobić brak rodowodu, przez co sprawiałam wrażenie osoby mającej w sobie coś, co skłaniało do oficjalności. Milczałam. Bernard zakaszłał.

– Ojejku, to na pewno jest świńska gripa! – krzyknęłam.

– Nie! – burknął Bernard, już wyraźnie poirytowany. – Niech mnie pani nie wkurza, to zwyczajne przeziębienie.

W tym momencie do pokoju zajrzał Rafał. Skąd on się tutaj wziął, do licha?!

– Idźcie do piaskownicy, dajcie sobie po główkach grabkami, to się problem zaraz rozwiąże! – parsknął.

Rafał i łagodzenie konfliktów! Też coś! To głównie on łamał wszelkie kanony. Tego dnia rano, kiedy się u niego zameldowałam, jak co dzień, żeby potrząsnąć jego miękką łapką (ewentualnie dostać jeszcze opieprz), usłyszałam: „Kochanie, połącz się szybciotko z bankiem. Bardzo mi pomożesz w ten sposób, słoneczko”. Nie wytrzymałam:

– Już działałam. A mogę o coś zapytać?

– Pytaj dziewczeczko, pytaj!

– Dlaczego jest pan dla mnie dzisiaj taki miły?

– Bo mi od rana, kurwa, tak łeb napieprza...

Tak było kilka godzin wcześniej.

Po uwadze Rafała Bernard czmychnął z pokoju, kaszlnąwszy na odchodnym. Wcale nie było słyhać, żeby odkrztuszał flegmę, czyli nie wiadomo, co mu się wykluje. Wstałam, żeby przewietrzyć pokój (na szczęście byłam zasłonięta golfem).

A potem dalej leczyłam swą poharataną domem duszę, uciekając w pracę, aż nagle dobiegła mnie następująca wymiana zdań:

– Będzie pan miał szerokie spektrum obowiązków. Z pana doświadczeniem i referencjami! Cieszę się, że decyzja zapadła tak szybko.

– Oferta brzmi dochodowo.

Wyjrzałam na korytarz. To Rafał oprowadzał po firmie kołesia w czerni, ale przede wszystkim w butach, które stuknęły o posadzkę podobnie jak lakierki Freda Astaire'a. Stepowanie kołesia w żalobnym odzieniu rozbrzmiewało na pewno w każdym zakamarku firmy. To nie były zwykłe dźwięki. W Mieteksie do tej pory słyshałam tylko charakterystyczne stukanie butów Czesi i... to wszystko, bo pozostali przemieszczali się cicho, jakby tyrali w podziemiu gospodarczym. A Jęchorek i Rafał to nawet bardzo cicho, bo ciągle się skradali. Pojawiali się zazwyczaj w najmniej oczekiwanym momencie. Gośka mawiała zawsze, że podsłuchują. Podobno całkiem niedawno widziała Jęchorka skrywającego się za filarem, czyli blisko działu sprzedaży.

Rafał szarpnął drzwiami. Podał mi tę swoją mdłą łapę (zapomniał, żeśmy się już dziś witali?). Wysoki facet o jasnych, przeredzonych włosach i cerze, jakby osiadł na niej deszcz meteorytów, stąpał zaraz za nim. A raczej wybijał rytm o posadzkę swoimi czarnymi lakierkami. Czarny garnitur z błyszczącej wełny, w który był ubrany, wyglądał na nowy. Po chwili wahania podał mi rękę jeszcze bardziej mdłą niż Rafała. Próbowaliśmy ją ścisnąć, jednostronnie, niestety.

– Pani Beciu, właśnie przyjęliśmy do pracy pana Krzysia, będzie panią wspomagał. Od jutra rana.

– Czy coś mam panu przekazać? – wyszeptalam.

– Nie, pan Krzyś już wszystko wie. Może pani z nim szczerze o sprawach firmy rozmawiać.

Też coś! A mieli ponoć oszczędzać. Ha! Pewnie tylko na kobietach. To jest dopiero dyskryminacja! Cwaniaczki! Męscy szowiniści! Ale co tam, nie będę sobie teraz zawracać głowy wyblakłym Krzysiem, po Rzymie będę się martwić!

– Prezesie, widziałam, jak pracownik Bernarda sikał w kwiaty przed biurowcem! – obwieściła Czesia, wsadzając głowę przez niedomknięte drzwi od mojej kajuty. Wcale się nie siliła na dyskrecję.

– A może się obnażał? – Rafał podszedł do nowiny fachowo i precyzyjnie.

– Nie, sikał!

– To co pani widziała tak dokładnie?

– Widziałam bardzo dokładnie strumień!

Na takich i siakich bzdetach przeleciało mi osiem godzin. A po pracy pojechałam do Kingi. Ucieszyłam się, gdy zadzwoniła któregoś dnia i zaprosiła mnie na obiad. Nastawiłam się wprowadzić znowu na jej zwierzenia, ale miałam nadzieję, że wyrwę choć część długu.

– Dobrze, przyjadę, ale musisz mi w końcu uregulować rachunki – powiedziałam z grubej rury. Ależ to zabrzmiało, prawda?

– Czy ja ci kiedyś nie zapłaciłam? Skoro jesteś taka napastliwa, dobrze, zapłacę, ale przyjedź zaraz po pracy!

Zasiadłyśmy w głównym pokoju jej mieszkania, notabene zastawionym antykami. Bufet, witryna i szafa były z ciemnego drewna, a ława oraz fotele z jasnego, i te ostatnie były raczej nowoczesne. Swoją drogą, nie bardzo wyobrażałam sobie w tej scenerii kochanka z kolejnego pokolenia. Ja wiem, antyki są w cenie, ale te, które były u Kingi, zdecydowanie przytłaczały każdego, jak sądzę. Kinga tymczasem podała zapieczony na maśle bób i bitki z kurczaka. Przesmaczne. Wcinałam, zachęcana ginem z tonikiem. Po dwóch szklankach ginu nie czułam się już przytłoczona meblami. Cohen snuł się znowu między nami,

ale ja odbierałam go tym razem jak Chór Czejanda. Po prostu mi obrzydł! Kinga potrafiła zadbać o mój żołądek, oj, potrafiła, ale o stronę muzyczną już niestety nie bardzo!

Jakoś nie wróciła do tematu pod tytułem „Julian”. Widać zaczęłam robić postępy w kłamstwie. Przyznać muszę, że bardzo chętnie z kimś bym o sobie porozmawiała. Nawet dość długo. Zawsze to ja musiałam wysłuchiwać ludzi. Teraz zaś, kiedy pojawiła mi się wreszcie taka okazja (to znaczy, Julian mi się właśnie zdarzał), podzieliłabym się ze światem swoją radością. W pobliżu jednak nie widziałam nikogo. Pustynia totalna. Zresztą ani Zośka (niestety nadal nie odzywała się do mnie, bo nie wyrzuciłam Bogusia), ani Kinga na powierniczki się nie nadawały. Tym bardziej gdybym chciała im opowiedzieć o Julianie. Niemniej każdy człowiek odczuwa czasem wielką potrzebę wywalenia z siebie nawet najbardziej strzeżonej tajemnicy. Tego dnia w pewnym momencie byłam już o krok od zwierzenia się Kindze, ale coś mi mówiło: „Stop, bo jeszcze ci nie zapłaci!”. A miała półroczne zaległości. Poza tym Julian nie był przed czterdziestką, a taki wiek preferowała. No, z pewnością nie był!

– Mirek też wcina moje obiady, aż talerz chce wylizać. Wczoraj się napasł i przedwczoraj. Podwójne porcje zawsze dla niego gotuję. – Uśmiechała się, widząc, jak szybko pochłonęłam jedzenie.

– Mirek? A co z poprzednikiem?

– A...! Teraz jest Mirek. Umówiliśmy się na przyjaźń erotyczną, ale czuję, że u niego przeradza się to w coś więcej.

– A u ciebie nie?

– Też, niestety też.

– Tak trudno jest o wzajemność, a ty się martwisz!

– On nie ma jeszcze trzydziestki! Ale wiesz co? Pokazywał mi zdjęcia swojej matki. Też ma rude włosy i sportową sylwetkę, jest do mnie bardzo podobna. Od kilku lat leczą ją w szpitalu dla psychicznie chorych. Ma chłopak za sobą dzieciństwo nie do pozazdroszczenia...

– Ile ma lat?! – wykrzyknęłam z niedowierzaniem, kiedy dotarło do mnie to, co przed chwilą usłyszałam. – Gdzieś go poznała?!

– Skończył dwadzieścia dziewięć. Poznaliśmy się u znajomych, to ich biznesowy partner. Przy czym znaliśmy się już wcześniej. To śmieszne! Najpierw odnalazły się nasze ręce, a potem było trochę alkoholu, no i wiesz, jak to jest... Zasiadzieliśmy się, on zaproponował, że mnie odprowadzi, to dwie przecznice dalej. No i został na noc... Wiesz co, Beciu? Ja z nim zgodziłam się robić wszystko! Absolutnie wszystko! Tylko że rano wpadł syn, nadal ma swój klucz, i nas zastał...

– Coś ty?!

– Zadzwoił do swojej siostry i razem skrzyknęli się mnie umoralniać! Kazali mi wybierać... Oni albo żigolak.

– Dziwisz się?

– Nieważne, ale wybrałam. On! To jasne, że on!

Potem Kinga się rozkręciła, paliła jednego papierosa za drugim, opowiadała, że z Mirkiem mają (jak się okazuje) wspólne plany. Pojechali na przykład do jakiegoś urzędu miasta i gminy i udawali zainteresowanych zakupem pałacu w okolicy. (Udawali, bo jakżeby inaczej!) I wszyscy urzędnicy się zbiegli, plany zagospodarowania pokazywali, o przetargach informowali. Bo ona i Mirek tak dochodowo wyglądali!

– A jaki on biznes prowadzi? – zapytałam, ziewając.

– Ma firmę dorabiającą klucze.

Klucze dorabia! – jak to zabrzmiało! I wokół pałacu się kręca! No chyba że i do tego przybytku klucze cichaczem dorobił! Poczułam, że staję się jędzą! Wierciłam się w fotelu, przestałam się godzić na dolewanie ginu, w końcu szklankę postawiłam do góry dnem. Zrobiła się dwudziesta druga, dym tytoniowy mnie odurzył. Kręciło mi się w głowie. Głodnym pieniądzy wzrokiem patrzyłam na – wystające spod półmiska po kurzych bitkach – zielonkawe banknoty.

– To możemy się teraz rozliczyć? Bo późno się zrobiło.

Kinga podniosła półmisek i chwyciła cztery setki w dwa palce, po czym zrobiła ruch, jakby się nimi wachlowała.

– Chcesz kasę, to siedź! – burknęła.

A ja uśmiechnęłam się głupawo i usiadłam. Cztery setki to zaledwie trzecia część długu Kingi. Milczałam. Chciało mi się płakać. I śmiać jednocześnie. Poczułam się jak dziwka do towarzystwa. Bardziej niemoralnie, niż gdybym miała w planach seks z Julianem. A miałam! I to ostry seks!

Malinowa trufla pisze:

Chciałabym nie myśleć o strachu. Chciałabym nie wiedzieć, co to paniczny lęk. Gdy będę bogata, kupię sobie piękną batystową pościel, włożę ją na białym, rzeźbionym łóżku. Błękitna tkanina będzie na wierzchu haftowana. Skropię ją perfumami, założę lekką koszulę i wtedy nie będę musiała się bać. W takiej pościeli, gdy się jest półnagim, na pewno przychodzą tylko optymistyczne i bardzo zmysłowe myśli!

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu

Była niedziela około południa. A ja dreptałam wśród półek z filmami w osiedlowej wypożyczalni, trzymając *Nagi instynkt* w ręce. W razie czego dobrałam jeszcze *Wątpliwość*. A Znamca Arcydziel proponował mi trzeci film gratis. Opowiadał fabułę, starsza już właścicielka kina zakochuje się w kimś młodszym. Gra ją Judi Dench – zachęcał. Czy świat zwariował z tymi niezwykłymi różnicami wiekowymi między kochasiami?!

– Niedawno oglądałam coś podobnego, *Lawendowe wzgórze*. Z tą samą aktorką. E, nie chcę chyba nic o miłości ludzi w podeszłym wieku – zaproponowałam. Czułam się tak młodo, tak młodo, że...

– Każdy pragnie miłości... każdy... To może coś wesołego?

Kiedy kilka dni temu wróciłam od Kingi, cztery śmierdzące fajkami setki od razu schowałam pod okłaczony dywan w nizinnej norze. Po powrocie z wypożyczalni zajrzałam, czy tam jeszcze są. Tak pro forma. Były.

Kiedy się trochę naoglądałam i nasłuchałam opowieści moich koleżanek, poluzowałam swój kodeks moralny. Czyli Bóg nie musiał się domyślać. Wiedział, co zrobię w kwestii romansu! Bóg nie musiał! Jednak ja jak zawsze miałam mnóstwo wątpliwości. A było tak: kusilo mnie, ale bałam się, nie kusilo i czułam ulgę, a potem pomyślałam o domowej nizinie i znowu kusilo. W razie czego do okłamania pozostał mi Boguś. Och, gdyby tak stać się perfekcjonistką w tym zakresie! Od teraz! Poczułam uderzenie gorąca.

– Wyobraź sobie – zaczęłam, gdy wszedł z kubkiem grochówki w ręce – że w dzisiejszych czasach można absolutnie tanio wyjechać na weekend, na przykład do Rzymu. Mówiła mi o tym dzisiaj znajoma, która już kiedyś, wyobraź sobie, była sama w Szanghaju, a teraz planuje wyjazd do Rzymu właśnie. Namawia mnie na ten wypad, zarezerwowała już nawet hotel w centrum miasta za dwadzieścia pięć euro od osoby za dobę. To przecież jest bardzo tanio! I, co najważniejsze, nie jest tak, jak w przypadku większości wycieczek, że hotel leży na peryferiach albo w dzielnicach ńędzy. W cenie śniadanie, jak wszędzie w Europie. Lot byśmy miały z Wrocławia za sto złotych od osoby w dwie strony. No, do Wrocławia trzeba jednak z Poznania dojechać, ale w końcu to też nie tak daleko. Świat stał się mały i teraz... Tak sobie myślę, że się skuszę, chyba że masz coś przeciwko... To by było za tydzień.

Jakież to było proste! Gadać, gadać, ile się da! Mówić, nie milknąć! Potok słów umożliwia ukrycie prawdziwego sensu wypowiedzi.

– Wiesz co, Becia? Ja nie wiem, o czym ty do mnie mówisz. Jakoś tak szybko klepiesz, a w ogóle coś dzisiaj taka wesoła? Może wreszcie optymistką zostaniesz.

– Mówię, że polecę z koleżanką na weekend do Rzymu. Ale przecież my razem też moglibyśmy gdzieś wyjechać. Nawet na wakacje.

Wakacje! Nie byliśmy do tej pory razem nigdzie. Chociaż nie... Raz się zdarzyło. Zaraz po ślubie pojechaliśmy na wczasy do Krynicy Morskiej. Cały czas lało, ziąb przenikał nasze świeżo zmatrymonializowane ciała. W takim pogodowym stanie nie było możliwości, żeby się cieszyć. Drugiego dnia pobytu się rozchorowałam. Bogusia moja choroba bardzo zdenerwowała. Dla ukojenia nerwów i dla urozmaicenia jednocześnie znalazł sobie parę w naszym wieku i z nimi chodził na piwo. A ja leżałam w łóżku i się nudziłam. Toteż nic dziwnego, że nie najlepiej tę kanikule zniosłam. Któregoś dnia, kiedy z tego „piwa” wrócił, zaczęłam krzyczeć, że parszywą podróż poślubną mi funduje, że wracam do domu. Po czym w szale zdjęłam obrączkę i wrzuciłam ją do ubikacji. Niestety, socjalistyczna muszla klozetowa zarosła kamieniem, zresztą generalnie niewielki spadek miała, może i nierówną gładź, koniec

końców, gruba obrączka z ruskiego złota się zatrzymała. I absolutnie nie udało mi się zepchnąć jej dalej. Mimo że byłam tak zdeterminowana, że cały czas lałam wodę. Boguś w końcu wsadził do klopa łapę i obrączkę uratował. Potem już zajmował się tylko mną.

Długo nie chciałam obsranego złota na palcu nosić, ale kiedyś Babcia zaczęła brzęczeć, że co ja sobie wyobrażam. Jestem mężatką i mają to wszyscy wiedzieć, zwłaszcza chłopcy niewyżyte, a ja mam nie dawać nikomu pretekstu do myślenia o mnie w innych kategoriach niż „poważna zameżna kobieta”. Nałożyłam tę obrączkę i stałam się poważna, jak chciała. Choć nie dla wszystkich było to oczywiste. To straszne, że moje życie zawsze toczyło się pod dyktando własnej matki! Potem obrączka mi gdzieś zginęła i – co ciekawe – Bogusiowi też. Znak jakiś czy co?

Teraz tamte upomnienia o powadze stanu małżeńskiego były mi obojętne. Nie chciałam być poważną kobietą zameżną. Zdałam sobie sprawę, że nadszedł czas na zmiany i nareszcie mam jakąś szansę przestać być cierpienicą. Bądź owe cierpienia sobie wreszcie zrównoważyć.

Tak. Chciałam myśleć o swoich przyjemnościach!

– Mam nadzieję, że nie chodzi o „toto małe coś” – prychnął Boguś, mając zapewne Zośkę na myśli. – Dla niej niech się spełni kufereczek stóweczek, a co! I duży dystans od naszego domu. Ale wiesz co? Ty lepiej na moją kanapę przyleć tym samolotem. Taniej będzie.

Prychnęłam.

– Ciekawe, skąd ty nagle dysponujesz takimi finansowymi nadwyżkami?

Już chciałam skłamać, że premia, trzynastka, totek, multi lotek, ale... w sumie milczałam. Co było najlepszą odpowiedzią.

Babcia zawsze miała znakomity słuch, mimo dwóch klekoczących telewizorów, oczywiście ustawionych na maksymalną głośność. Na hasło: „Rzym” część jej sylwetki pojawiła się w szparze między drzwiami i ościeżnicą do naszego apartamentu nędzy. Gdy chciała wejść do pokoju, rozwalony na naszym dywanie Szaki zaczął na nią warczeć. Cofnęła się wystraszona za drzwi. Ale usłyszeliśmy jej prześmiewczy ton.

– Do Rzymu! Przecież nad Watykanem burza się rozpełta, gdy się tam pojawisz. Kiedy ostatnio byliście w kościele? Ja sama za was wymodlić się nie dam rady. Cała ulica chodzi do kościoła, a ci tu wystrzegają się go jak diabeł święconej wody. Jedynie Kędziory to masoni. Stary mógłby już zacząć pacierze odmawiać... Ma przeszło osiemdziesiąt lat, a nic nie widać, żeby się szykował... – zaświszczała za drzwiami. Boguś uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

– Ciekawe, dlaczego teściowa zawsze po kościele robi nam największe awantury? Co, ksiądz z ambony tak każe? Czy brak prawdziwej religijności u teściowej...?

Gdy Boguś coś powiedział, to wiadomo było, że awanturka rodzinna wisi na włosku. A zresztą – kiedy ja coś powiedziałam, to ta awantura również wymykała się nam spod kontroli. Babci było w to graj. Bo negatywne emocje to też emocje!

– Oj, Boguś, przestań, nie możesz tak mówić! – zaprotestowałam. Choć właściwie dlaczego nie może? Nie potrafiłabym odpowiedzieć na to pytanie. Z naszymi synami wiedliśmy zawsze równorzędne rozmowy, co wydawało mi się jak najbardziej naturalne, ale Krysta nie znosiła jakiegokolwiek krytyki. Toteż od razu przeszła do kontrataku:

– Głupole jedni! A potem, jak zapragniecie iść, jak będziecie chcieli dla siebie coś wymodlić, to ksiądz was wywali głównymi drzwiami. Dzisiaj właśnie od komunii odgonił tę rozwódkę, co ją chłop zostawił, jak mu niepełnosprawne dzieci urodziła! W grzechu żyła, to ją wyrzucił!

I trzasnęła drzwiami do swojego pokoju.

Jaką znowu rozwódkę z niepełnosprawnymi dziećmi?! A zresztą, mniejsza z tym. Nie było to w ogóle ważne, bo miałam przecież w planach Rzym!

Schroniłam się w stróżówce, włączyłam komputer, rozsiadłam się wygodnie w fotelu i od razu zaczęłam przeglądać turystyczne witryny. Potem otworzyłam szafę i starałam się skompletować odzież na

wyjazd. Miałam wielki problem, bo wszystkie rzeczy były sprane i nieeleganckie. Poza tym na pewno powinnam kupić klapki pod prysznic i coś na noc. Podliczyłam koszty i wyszło, że na nic wyrafinowanego mnie nie stać. „Ale to nic – pomyślałam – może coś w ciucholandzie wpadnie mi w oko. W środę rano będzie dostawa”. Zasmuciłam się, ale nie wyłączyłam komputera. Coś mnie podkuśliło i kliknęłam na kończące się licytacje.

Bo tak mnie ta Krysta znowu zdenerwowała!

*

Aukcja 12657896 i 12669780

Ciężki, mosiężny uchwyt do starego biurka i wiklinowy koszyk na kwiaty – licytacja dobiegała końca. Wszłam ze swoimi ofertami, gdy do końca pozostała niecała minuta. Jak zwykle. To moja stała metoda – włączyć się w ostatniej chwili. OK. Mam to! No to co, że będę musiała wysłać przeszło pięćdziesiąt złotych? Przecież to nie jest dużo! Trafiła się okazja i spróbuję swą bylejąkość zatopić w rustykalnym sosie. A Babcia... Pokażę jej, że stać mnie na ładne rzeczy!

*

„Wędrówką jedną życie jest człowieka; idzie tam, idzie tu, brak mu tchu? Brak mu tchu!”

Malinowa trufla pisze:

Nie miałam już w planach siadania przed komputerem. Ale było mi przez chwilę tak ciężko, że nawet zaczęłam nucić moją ulubioną balladę indiańską. I coś mnie tutaj skierowało. Co? Wątpliwość. Bo otwieram nową życiową kartę i od razu zastanawiam się nad sprawami, o których w ciągu dnia nie mam śmiałości myśleć. Na przykład – co zrobić z rzemykiem, na który nanizalam długie wieczory spędzane w samotności? Czy nosić go nadal na sobie? Jako trofeum? Czy porzucić wewnętrzne zawirowania i odnaleźć tłum? Hałas i zgiełk oddalą mnie od głuchej, wewnętrznej ciszy. Ubiorą moją duszę w pancerz. Czego chcesz więcej?

Komentarze: 1

Piszesz dokładnie to samo, co ja czuję. Dostałaś mojego e-maila? Bo nie mam wiadomości zwrotnej. Ani na tak, ani na nie. Jurek

Poradnik Blogera

Nie, następnego wieczoru nie miałam zapotrzebowania na czytanie e-maili od nieznanymych mężczyzn. Przeżywałam razem z Malutkim Sklepikarzem ciężką chorobę jego partnerki.

– Załamala się zupełnie – opowiadał. – Nic już nie mówi, że się do mnie przeprowadzi. Jestem u niej codziennie, aż do nocy. Straciła energię, chociaż profesor gwarantuje stuprocentową szansę wyleczenia. Nie ma dnia, żeby nie płakała, całkiem rzuciła pracę, nie odpowiada na telefony klientów, na rozprawy śle swoje koleżanki w zastępstwie. A to jest maleńki guzek, nie trzeba usuwać całej piersi. Gdyby miała takie raczysko jak moja żona nieboszczka, to co by z nią było? Boję się myśleć. Zupełnie inna konstrukcja psychiczna, w ogóle nie potrafi walczyć. A podjęcie walki to już jest zwycięstwo. Tak sobie myśle, że mi chyba kobieta już nie jest pisana...

Tamtego wieczoru nie miałam siły czytać owego e-maila. Ale zrobiłam to zaraz następnego ranka.

„Witaj. Pozwolisz, że się przedstawię. Pracuję na etacie, a także wykonuję wolny zawód. Czas mam znakomicie wypełniony, ale na przyjemności zawsze jeszcze trochę go znajduję. Czytam Twoje zapiski, a trudno mi sobie wyobrazić, jak wyglądasz. Napisz, proszę, jakie masz oczy, włosy, jakie uczucia malują się na Twojej twarzy. Ja mam niebieskie oczy i jestem blondynem. W ogóle to normalny ze mnie facet, zdecydowanie nie zamknięty w sobie. Wręcz przeciwnie – bardzo otwarty. Jurek”

Zamyśliłam się. Czy na mojej twarzy malują się uczucia? Czy mam maskę? A może po moich oczach każdy pozna, że jestem frajerką? Po uśmiechu... Czy zgorzkniałam? Chyba nie. Ludzie raczej uważają mnie za bladą i smutną. Czy mailowanie ze mną może być przyjemne? Nie wiem. Pewnie niezbyt, ale przecież ten facet w moich wpisach blogowych znalazł coś, co kazało mu ten kontakt nawiązać. A może każdemu się wpisuje? Czy dlatego, że nie ma z kim rozmawiać? Może jest samotny? A może nawet sam?

Tak jak ten przysłowiowy złodziej upatruje w każdym złodzieja, tak i ja, samotna w rodzinie, zawsze znajdę tę cechę w drugim człowieku. Tym bardziej że ów wirtualny znajomy napisał o jakiejś wspólnocie myśli. Też bym chciała móc ją z kimś odnaleźć. Chciałam od razu odpisać, że też mam jasne włosy i niebieskie oczy i że przecież (podobnie jak on) jestem normalna i zapracowana! Już zaczynałam pisać..., ale akurat Krzysiek znowu nas odwiedził (przy okazji, rzecz jasna) i zaczął robić inwentaryzację. Mojego domu. Mojego biurka. Mojej biblioteczki. I mojego sumienia przy okazji...

– Mamo, czy to jest prawda? Powiedz mi szczerze – zagadnął, rozglądając się uważnie po pokoju. Podszedł do regału.

– Ale co?

– Powiedz mi, że ojciec kłamie. On zresztą zawsze kłamał...

– Co masz na myśli, tak konkretnie? Mówi, że wychodzę z domu? Czy co?

– Nie, to mu nie przeszkadza, bo cieszy się, że masz pracę. A on spokoj. Mamo! – krzyknął, celując palcem w swoje zdjęcie w złotej ramce obok Mademoiselle Coco. – To jest chore!

– Mamusie, które kochają swoich synków, z reguły trzymają ich zdjęcia w ramkach na regałach! O co ci chodzi?

– Powiedz mi, czy ty rzeczywiście kupiłaś sobie *Poradnik blogera*?

– E tam. – Machnęłam ręką zażenowana, bo myślałam, że Boguś nie znalazł mojego nabytku. – Nie marudź, Krzysiek.

– Bo skąd by się to, kurde, w waszym domu znalazło? Ojciec mówi, że widział. Mamo, jeśli coś w necie napiszesz, to wiedz, że na ich serwerach przetrwa to dłużej, niż ty będziesz żyła, czy nawet ja... A tak w ogóle, wczoraj rozmawiałem o tobie z Kaśką. I wiesz co? Ona mi zwróciła uwagę, że możesz

w tym strasznym domu nie czuć się zbyt dobrze. To nie jest możliwe, żebyś czuła się samotna, prawda?

– Krzysiek, błagam, pogadajmy kiedy indziej – burknęłam. – A Kaśka niech się lepiej swoją rodziną zajmie, a nie naszą. Gdy przyjedzie, to niby z boczku się przygląda, od razu chce wracać, a okazuje się, że bystrzejsza jest niż twój ojciec razem z Babcią.

Powiedziałam „z Babcią”? Bez wątpienia tak. Toteż drzwi się otworzyły i pojawiła się wspomniana, bardzo ważna osoba. Mer domu!

– Nie wiem, co ona ciągle robi w tym komputerze! Aga tak nie siedzi, z nią można porozmawiać. – Krysta wymownie przewróciła oczyma. Najwyraźniej szukała w moim Krzyśku współwyznawcy swoich obsesji. Albo miękkiego podbrzusza naszej rodziny. Do podbuntowania. Patrzyła na niego porozumiewawczo, przynajmniej takie miałam wrażenie.

– Pracuję. – Wzruszyłam ramionami.

– Tak długo?

Podniosłam głowę znad komputera.

– A widzisz, nareszcie dostrzegłaś, że długo!

– Musisz tak głośno mówić? Przecież słyszę. Całe dni w komputerze siedzieć!

– Tak chyba wychodzi... – bąknęłam, uśmiechając się do Krzyśka.

– Wiesz co? Ty jesteś albo tępa, albo zbyt powolna!

Boguś zwabiony rozmowami też zajrzał do stróżówki. Trzymał w wielkiej łapie kromkę chleba. Znowu bez talerzyka! Cebula spadała na podłogę, a tłuszcz oblepiał mu palce.

– Co tak, ojciec, łykasz ten chleb? Zupełnie jak młody pelikan. – Krzysiek zaśmiał się.

– Bo głodny byłem. – Boguś wzruszył ramionami i wyszedł. Fochmen. Cebula została. Zapach smalcu też.

Byłam gotowa dać setki tysięcy za jakikolwiek kąk z dala od nich. Z tym, że tej kwoty, niestety, nie miałam!

Julian bardzo dbał o wygląd... Na szyi nosił muślinową apaszkę. Miał piękne spodnie z czerpanego lnu. I na pewno nie jadał smalcu! Wszystkie posiłki celebrował. Chleb kroił nożem. Jadł powoli i z elegancją.

Krzysiek wreszcie pożegnał się i wyszedł. *Poradnika blogera* nie znalazł. Potem trzasnął drzwiami od swojej skody. Ucieszyłam się. I zaraz za nim zatęskniłam. Zwykła kobieca niedorzeczność. Kiedy nareszcie zostałam sama, znowu siadłam przed komputerem. Grzeczność nakazywała mi natychmiast odpowiedzieć na e-maila od niejakiego Jurka. A co tam!

„No cóż, też mam jasne włosy, lekko kręcone. Jakie są moje oczy? Mówią, że niebieskie. Mam opaloną twarz i trochę piegów. Czasem jestem refleksyjna, jednak w większości pragmatyczna i zorganizowana. Bywam też towarzyska, właśnie wylatuję ze znajomymi do Rzymu. Uwielbiam podróże. Elżbieta”

Dwa tysiące kilometrów odległości

Ten Rzym nie był wcale pewnikiem. To znaczy, tak sobie mówiłam. Ciągle się miotałam. Nie byłam ostatecznie zdecydowana na udział w bardzo ryzykownej eskapadzie. W przeciwieństwie do Juliana – on nie miał żadnych wątpliwości. Ale przecież mój dom nadal mnie straszył! Czemu miałabym nie skorzystać z okazji i nie wyrwać się, choć na chwilę?

Po południu wzięłam rower i pojechałam na cmentarz. Co chciałam tam przeforsować? A może przypieczętować...? Uzgodnić...? Nie wiem. I z kim właściwie? Z ojcem? Może...

Z łąk pachniało młeczami, z lasu sosną. Cisza i szum drzew podziały na mnie relaksacyjnie. Mogłabym tak stać, słuchać i wąchać zapach lasu w nieskończoność, ale usłyszałam głucho pomruki. Do czarnego żeliwnego płotu cmentarnego dotarłam wraz z chmurą burzową. Oto znak! Niebo wymusza na mnie pokorę. I siłę woli. „Nadal jesteś na tak”? – zdawało się chichotać prosto w mój nos. Skoro zawahałam się znowu...

Schowałam się w budce z kwiatami i zniczami. Przy okazji dokonałam zakupów: dwa znicze i cztery dale... Wystarczy. Wielkie krople deszczu dudniły o dach prowizorycznej budy. Nie było w ogóle wiatru, toteż deszcz padał idealnie prostopadle do ziemi, żłobiąc w piaszczystej drodze dziury jak po wbiciu obcasa. Po piętnastu minutach ulewy ucieszyłam się, że skoro nie spadło na moją głowę (pełną robaczywych myśli) żadne drzewo ani nie uderzył we mnie piorun, to planowany czyn nie był tak godny kary boskiej, jak sądziłam. Po chwili przestało padać, wyjrzało słońce, a znicze na grobowcu zapłonęły jasnym prostym ogniem. Czyli nawet Ojciec śpiący pod wielką brzozą dał mi rozgrzeszenie!

Wieczorem uradowana zadzwoniłam do Marcinka do Amsterdamu. On zawsze był jęczyzkiem u wagi.

– Gdzie jesteś? – zapytałam.

– U Chinek, częstują mnie pierogami ze zgniłym mięsem. Pijemy holenderskie piwo.

– Nie siedź za długo! Pamiętaj, że jutro masz szkołę! – upomniałam go.

– Mamo, mnie nie ma w Poznaniu! – wycedził. – Jestem o dwa tysiące kilometrów od twojego matkowania. Rozumiesz? Przeszło dwa tysiące kilometrów od ciebie!

– Wiesz co? – wpadłam mu w słowo. – Planuję wyjazd na kilka dni do Rzymu. Watykan zobaczę, papieskie grobowce, grosik wrzucę do fontanny, na Schodach Hiszpańskich też posiedzimy...

Uppps! Ale mi się wyrwało! Zakazana liczba mnoga!

– Masz kasę, żeby opłacić dwie osoby? Ojciec po powrocie dopiero będzie się wymądrzał. Już go słyszę: „Proszę sobie wyobrazić, jest takie miasto, co się Rzym nazywa, i tam w tym mieście jest olbrzymia fontanna, gdzie wszyscy wrzucają pieniądze, żeby powrócić. Di Trevi ją zwa, jest śliczna, cała w rzeźbach...”

– Bez ojca jadę... Z koleżanką.

– No proszę, widzę, że na coś mój wyjazd się przydaje. Nareszcie, nie trzymaj się tak kurczowo tej chaty! My z Krzyżkiem i tak tam nie zamieszkamy.

– Ale chociaż nie będziecie się domu rodzinnego wstydzić. Sama nie wiem, czy jechać, bo to zawsze parę groszy w plecy i zamiast tego mogłabym na przykład nowe drzwi do domu kupić.

– Jedź. A ten dom najlepiej zburzyć i nowy postawić. Jedź.

Malinowa trufla pisze:

Jak daleko można odjechać, żeby nic nie stracić? Jak blisko trzeba się znaleźć, żeby poczuć

oddech drugiego człowieka? Kiedy wcale nie warto zachowywać odległości? Co mamy, a co mieć możemy? Czy chwila niewypełniona działaniem, pasją albo myślą mieści się jeszcze w definicji słowa „czas”? Czy uda mi się „mój” czas? A może to będzie tylko chwila?

Duże i ładne gniazdeczko

Następnego dnia Julian zadzwonił zaraz z rana:

– Czas, żebyś przyjechała do mnie. Mam duże i ładne mieszkanie, a jestem w nim sam. Samiutki...

– Po naszym drugim spotkaniu? – Usztyniłam się jak na cmentarzysku.

I w zasadzie zaraz zdałam sobie sprawę z absurdalności tego pytania. Byłam znowu na tak, a jednocześnie przecież nieustająco na nie. Byłam Becią.

– Masz jakiś harmonogram? Jeśli tak, to chciałbym, żeby to od razu była nasza piąta randka. Chcesz to przełożyć? Przerzucić na Rzym? Musimy uzgodnić szczegóły.

– No dobrze, przyjadę.

Po pracy wsiadłam do „dziewiątki”. Sołacz zawsze mi się kojarzył wyłącznie z dobrobytem. Chociaż nie, z piękną przyrodą też, ze starym drzewostanem.

Długo szukałam czterorodzinnego domu z betonowym płotem i lwimi łbami na cokołach przed wejściem. Domu ukrytego (jak opowiadał Julian) wśród starych, rozłożystych drzew. Wreszcie znalazłam. Szerokie schody wiodły do drzwi wejściowych, dwa razy szerszych niż moje. Błyszczące poręcze ze stali kwasoodpornej zadawały szyku. Okienko ze złoceniami w drzwiach było czyste i eleganckie, a złota klamka ciężka jak moja, wypchana najbardziej niezbędnymi rzeczami, torebka. Domofon w podobnym stylu. Głaskałam złotą, wypolerowaną tabliczkę z guzikami. Szukałam nazwiska. Ale kiedy znalazłam, nie zdążyłam nawet przycisnąć dzwonka.

Julian w krótkich, bawełnianych spodniach i czarnej koszulce poło pojawił się w drzwiach.

– Tak się cieszę... – zawołał.

Jak to? Przecież nie było między nami jeszcze żadnej zażyłości, widzieliśmy się raptem dwa razy, a znów witał mnie, jak wita się powracającą do domu po długiej nieobecności kochaną osobę.

W mieszkaniu na piętrze od razu poczułam się jak u siebie. Coś w nim było takiego, za czym podświadomie całe życie tęskniłam. Wielkie skórzane fotele, rzeźbione meble. Czyste, niezakurzone. Bez wystających sprężyn. Telewizor na pół ściany, kino domowe nie mniejsze. Cicha egzotyczna muzyka i te podłogi... Wielkie dechy z drewna o żółtawym zabarwieniu widziałam pierwszy raz w życiu. Rozglądałam się uważnie. Na ścianach dostrzegłam mnóstwo fotografii, jednak nie chciałam się im na razie przyglądać. Najpiękniejsze były okna – ze złotymi szprosami, wielkie, wychodzące na dwie strony świata, bez firanek, dzięki czemu w oczy wciskały się kwitnące na bladoróżowo gałęzie wielkiego drzewa, rosnącego tuż za nimi.

Nie czułam ani zaduchu, ani zapachu gotowanej psiej kaszy z podrobami, ani petów. Była to bardzo przyjemna odmiana. Usiadłam w wielkim fotelu i ręką pieściłam delikatne jak aksamit skórzane obicie. Skóra przyjemnie chłodziła moje emocje. Po co przyszłam? Dlaczego tak łatwo przystałam na zaproszenie tutaj, do tego mieszkania, a później do Rzymu? Dlaczego tutaj jestem? Żeby co? No właśnie, rozmawiać? Też coś! Poczułam się większą hipokrytką niż Boguś wespół ze swoją rodzinką. Waliło mi serce. Jak zawsze podczas emocji. To nic. Nic się przecież nie stanie! Nie może zresztą. Teraz?! Chciałam być najzdrowszą i najbardziej sprawną czterdziestoparolatką w Poznaniu!

Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy Julian wrócił z kuchni z butelką wina w ręce. Na stoliku stały dwa kieliszki. Wino postawił na podstawce z angielskiej porcelany. Razem to raczej nie pasowało, ale małeńka podstawka była przeurocza. Przyglądałam się jej kwiatkom na białym tle. Złotym ornamentom. I wtedy na szafie przy fotelu zauważyłam kilka kompletów papeterii. Najbardziej spodobała mi się typowo damska, w angielskie, drobne różyczki.

– Zbieram je od jakiegoś czasu. – Julian otwierał wino, ale zauważył, jakie wrażenie wywołały na mnie te staroświeckie papeterie. – Kiedyś listy do znajomych pisałem wyłącznie ręcznie. Ale dzisiaj wszystko się zmieniło. Nie ma już najważniejszych z nich, tych, dla których chciałbym tych papeterii użyć.

– Dla mnie troszeczkę poproszę. – Siedziałam na fotelu niepewnie, z nienaturalnie wyprostowanymi kolanami. Julian popatrzył na nie i się uśmiechnął. Podał mi kieliszek z purpurowym trunkiem, spojrzeliśmy na siebie i upiliśmy łyczek. Od razu pomyślałam, że barwa naszego domowego wina bardziej przypomina sierść Szakiego niż kolor światowej marki z najlepszych winogronowych szczepów. Zresztą podobne myśli miałam o tych dwóch domach – Juliana był prawdziwym azylem przed huczącym światem, a mój to nora dla agresywnych szczurów.

– Pomożesz mi? Ja wezmę półmisek i salaterki z jedzeniem, a ty talerze...

W kuchni było jeszcze ładniej. Na szafkach z oliwkowymi szybami tańczyły wesołe świetlne refleksy. W jednej stał dżem żurawinowy, różne rodzaje oliw, mnóstwo herbat i kaw. Kilkanaście paczuszek z ciastkami, zupełnie mi nieznanymi. I różne pasty. Ale prawdziwe frykasy dopiero na mnie czekały.

– Często się wszystkim. Nie martw się o powrót, zamówię ci taksówkę. Jeśli nie będzie ci u mnie dobrze... – Julian zaśmiał się. – Sam za kierownicę po alkoholu już nie siadam. Kiedyś w Hiszpanii po kielichu wina przeciągnąłem zderzakiem wynajętego auta po murze.

Zajadaliśmy polędwicę w grzybach, kroiliśmy ciepłe bułki, polewaliśmy je oliwą z borowikami. Zatopiłam zęby w chrupiącej delicji, oliwa ciekła mi po brodzie, ale jadłam dalej. Nic mi tak nie smakowało jak te delikatesy, miałam chęć wylizać tłusty talerz. Pachniało grzybami.

Pokusa pójścia na skróty stała się nieprzeparta. Patrzyłam, jak Julian je, jak bułką wyciera talerz, obserwowałam jego wąskie usta i mocno zarysowaną brodę. Wydaje się nam ciągle, że tęsknimy za wielką miłością, tymczasem życie pokazuje, że często jest to tylko tęsknota za kimś, kogo chciałoby się pogłaskać. Tak, ja do tej pory nie miałam kogo głaskać! A gdybym przeprowadziła się do Juliana, gdybym tylko... Takie mnie nachodziły desperackie i absolutnie nieproszone myśli. Nie za wcześnie?

Usiadłam swobodniej. Julian dolał nam wina, nie wypiął dużo, a już zaczęło mi się kręcić w głowie. I ten demaskujący mnie żar na policzkach! Odwróciłam twarz i ku swojemu zdumieniu na regale w pobliżu dostrzegłam babskie czytadła. Jedno z nich dopiero niedawno ukazało się na rynku.

– Czytasz takie książki? – zapytałam, wstając.

Książek było kilka, w jednej z nich była zakładka. O kurczę, ktoś musiał nie doczytać do końca! Zrobiłam zdziwioną minę.

– Nie.

– To dlaczego zdobiją półkę w twoim pokoju?

– Niektóre damy, którym pozwoliłem ze sobą mieszkać... Tak, to właściwe słowo, pozwoliłem. Otóż te damy czytały tanie romansidła. Niektóre. A potem szukały tego w naszym związku.

– Ależ te książki mają zakładki w środku! – wykrzyknęłam. Użyłam skrótu myślowego.

Bardzo mnie zastanowiła ta sytuacja. Wyobraziłam sobie kobietę siedzącą w ciężkim skórzanym fotelu, z wypiekami na twarzy czytającą romans. Że ona była biedna i zahukana, pojawił się on i jej życie z mety rozbłysło tysiącem świateł. A obok, na drugim skórzanym fotelu, Julian bez żadnej emocji obmyślający, jak ten romans zakończyć. No cóż. I tak bywa. A zresztą, wyglądało – takie miałam przekonanie – że i ja być może będę chciała tę kolekcję „dam” wzbogacić.

Była Beca, pojawił się On i ze smrodu psiej kaszy narodziła się wreszcie Elżbieta. A potem żyli długo i szczęśliwie! Nie, dzieci już nie mieli!

– Wszystkie chciały po jakimś czasie do mnie wrócić – rzucił wymownie Julian. Siedział wygodnie w fotelu, patrzył prosto w moje oczy. I niewątpliwie czekał, żebym zajęła jakieś stanowisko. Wystraszyła się i uciekła? Pożałowała tych kobiet albo obśmiała? Cokolwiek. Na pewno czekał. A ja wzruszyłam

jedynie ramionami i zaczęłam szukać swojej torebki.

*

Wieczorem długo zbierałam się do snu we własnej norze, w myślach mnożyłam książki z zakładkami w środku. „A co tam – pomyślałam w końcu. – Nie wiadomo, co z tej naszej znajomości w ogóle wyniknie. Poza tym, bardziej szczegółowe pytania pozostawię na Rzym!” Wstałam, wyjrzałam przez okno.

Wszystkie domy na mojej ulicy były ciemne i ponure. Co skrywają te mury? Miłość, nienawiść, dobro czy zło? Namiętność czy obojętność? Smutek czy radość? A może piękne sny o życiu innym niż własne? Albo nocne mary dużo straszniejsze niż zbrodnia?

Włączyłam komputer.

Malinowa trufla pisze:

Kiedyś okna mojego domu będą wychodziły na każdą stronę świata, bo dopiero wtedy będę mogła kontemplować wolność podobną do tej, którą odczuwa się prawdopodobnie na mostku kapitańskim statku tnącego ocean. Tak ma być. A czy jest? Nie! Mój dom nie jest oceanem z połyskującą w słońcu taflą i widokiem na wszystkie strony świata. W moim ponurym domu mury widziały niejedno. Seks, złość, nienawiść. Przeżyły też ciszę głuchą jak śmierć. I ciemność.

Bella, bella donna – wieczór taki piękny

Jakieś trzy dni przed wyjazdem, czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy z przedwczesnej chęci odkupienia swojej winy, stałam się domowym Aniołem Silnia! Anioł Silnia to bardzo duża wartość! Bogusiowi pozwalałam w domu palić pety, do Babci się uśmiechałam i konwersowałam z nią, na przykład o tym, co jej przywieźć. Spod dywanu wyciągnęłam stówkę i wręczyłam ją Bogusiowi, mimo że nie sygnalizował żadnych potrzeb. Kupiłam tonę jedzenia i karton papierosów, napiekłam sporo różnych mięs, a na kolację poprzedzającą wyjazd zamówiłam pizzę.

Potem spakowałam kraciastą walizkę. Zapakowałam swoje najlepsze ubrania, letnie buty, klapki złote, które udało mi się kupić na przecenie w Bacie. Najwięcej miejsca zajął nowy, wielki płaszcz kąpielowy.

A następnego ranka zostawiłam ich tak, jak koń zostawia śmierdzące łajno na środku pola. To mnie podniosło na duchu. Wiszący w powietrzu romans z Julianem podniecał mnie, zanim... W miłości dozwolone jest wszystko, podobnie jak w sztuce. Na pewno.

Do Wrocławia dojechaliśmy autem Juliana, Boguś nie miał absolutnie chęci odwożenia mnie gdziekolwiek. Niech żyje egoizm! I tumiwisizm. Niech żyją nam! Na lotnisku byłam jednym wielkim lękiem. Przed zamkniętym pomieszczeniem, przed wysokością, przed koniecznością oderwania własnych nóg od Matki Ziemi i tak dalej, i tak dalej. Na szczęście Julian w samolocie okazał się psychologiem, wybitnym specjalistą od ratowania dojrzałych, egzaltowanych, przestraszonych i nieobytych mężatek. Skierował na mnie swoje i moje dysze z powietrzem, a potem tłumaczył jak małej, zagubionej dziewczynce: „Teraz poczujesz, że jedziemy, jeszcze trochę i jeszcze, a teraz zobaczysz tych, co siedzą z przodu, wyżej od nas. Teraz, zobacz, zobacz, już jesteśmy w powietrzu, czy to nie jest piękne...?”. Patrzyłam na domy, coraz mniejsze i mniejsze, na nitki rzek, sieci dróg i poczułam się oblataną Europejką. Od razu polubiłam ten sposób przemieszczania się!

Wysiedliśmy na lotnisku Roma Ciampino. Dzień zapowiadał się upalnie. Pozostały jeszcze tylko bagaże do odebrania i przejazd do hotelu. Walizki oraz torby podróżne z naszego lotu wyjeżdżały na taśmie z gumowej kotary. Niektóre wypadały z impetem. Jedna nawet, niewielka, szara, wypadając, pękła i na taśmę wysypały się różne blaszane puszki i kartony z produktami spożywczymi. Julian chichotał.

Nieopodal nas krępy Włoch z widocznym brzuszkiem melodyjnym głosem mówił coś do przystojnej wysokiej kobiety w moim wieku. Oczy chroniła za ciemnymi okularami. Była taka piękna, wyniosła, a jednocześnie przyciągająca uwagę, magnetyczna. Słuchałam żywej, dynamicznej mowy, śledziłam wzrokiem, jak na siebie patrzy. Rozmowa to się wznosiła, to opadała w swojej melodyce. Uznając ich za kochanków, obserwowałam, czy szukają swoich dłoni. Julian podążył za moim wzrokiem.

– Zobacz, jeśli nie zna się języka, łatwo sobie wyobrazić, że on wyznaje jej miłość, a tymczasem być może ma do niej pretensje, że kupiła nie te „opcje bankowe”.

– No właśnie...

– Usiądź, to pewnie trochę potrwa. Czas na wyjazd co najmniej dwustu walizek, zakładając optymistycznie, że każdy z pasażerów miał tylko jedną.

Klapnęłam wygodnie w wielkim, skórzanym fotelu, poprawiłam zmarszczki na szarych lnianych spodniach, leniwie obserwowałam wyjeżdżające bagaże. Czułam się bardzo komfortowo, bo wszystkim zajmował się Julian. Absolutnie wszystkim! „Dobrze, że ta żalosna walizka, przedtem cała wypełniona produktami spożywczymi, a teraz pęknięta i przejeżdżająca w kółko, tam i z powrotem na taśmie, nie

należy do jakiegoś Polaka” – myślałam, obserwując obcojęzycznie brzmiące napisy na opakowaniach.

– Elżbieto! Spójrz tu, proszę. Czy to jest twój bagaż? – zawołał Julian.

– Nie, moja była w kratę. I czysta.

Zdziwiłam się, że pokazuje mi jakąś bardzo już wysłużoną. I potwornie brudną. Widziałam kiedyś film o tym, w jaki sposób bagażowi na lotniskach obchodzą się z walizkami podróżnych. Traktują je, jakby to były worki z używaną odzieżą, sprzedawaną potem na kilogramy, albo toboły wypchane gazetami. Podczas swojej powietrznej podróży każda walizka mogła stracić świeżość.

– Bo widzisz, już nie ma ich więcej z tego lotu. Poczekaj, zapytam w recepcji. Wiele razy latałem, ale jeszcze nigdy nie miałem takiej sytuacji. – Julian kręcił głową.

– I co teraz? – Zachciało mi się płakać. Momentalnie wróciła dawna, zahukana Becia. Poczułam się znów bardzo niepewnie.

– No nic, pojedziemy do hotelu i tam poczekamy. W końcu to ich obowiązek, żeby nam ją dostarczyć jak najszybciej!

Julian wyglądał, jakby czuł się winny, że to za jego sprawą spotkała mnie przykrość z bagażem. Bo walizka po prostu nie doleciała, nie została zapakowana do samolotu, co oznaczało, że dostanę ją najwcześniej następnego dnia.

– Ale ja nawet nie mam bielizny. Nie mówiąc o pozostałych rzeczach – ubolewałam.

Bardzo starannie doбираłam garderobę na ten wyjazd. Na dno wrzuciłam też pudełko z ulubioną biżuterią kupioną na Allegro. Perfumy i apaszki też tam były. I czółenka na bardzo wysokim obcasie, które kupiłam ze dwa lata temu, jednak jeszcze nigdy ich nie włożyłam. Obciskały mnie, ale może w Rzymie tak nie będzie...?

– Jest mi niezmiernie przykro, ale obiecano, że zaraz jak przyleci, dostarczą ją do hotelu.

– Jedźmy – westchnęłam z rezygnacją.

Byłam zdezorientowana i niemile zaskoczona bałaganem. A przez to wszystko bardziej nieśmiała i zagubiona niż zwykle. Julian zaś pogwizdywał wesoło.

– Tym samym będę mógł się tobą zaopiekować. – Zaśmiał się i odgarnął włosy z czoła.

Wsiadałam do taksówki milcząca i smutna. Za to Julian wręcz przeciwnie, uśmiechnięty, radosny, sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Przez okno taksówki obserwował drogę do hotelu.

Wezmę, ale potem się zrewanżuję

Od dwóch godzin byłam w Rzymie, w niezłym hotelu, w dobrym punkcie miasta, w swoim pokoju na przedostatnim piętrze. Moje zaskoczenie, gdy doń przyjechaliśmy, musiało być bardzo widoczne. To oczywiste, że spodziewałam się zamieszkać w jednym pokoju z Julianem. Balkon mieliśmy wspólny, na nim mnóstwo kwiatów, a wśród nich dwa wiklinowe fotele i wielki szezlong pełen kolorowych poduszek. Ukwiecone pnącza oplatały rzeźbione kolumny podtrzymujące balkon nad nami. Było kolorowo i intymnie. Upał w Rzymie zasiedziało się. Trochę trwało, zanim do niego przywykłam.

Brałam prysznic, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Okręciłam się wielkim łososiowym ręcznikiem ze znaczkiem hotelu. Nie miałam płaszcza kąpielowego, nadal czekałam na walizkę. Według zapewnień Juliana mieli ją dostarczyć do hotelu następnego dnia koło południa. „Najwidoczniej pośpieszyli się i właśnie teraz służba lotniskowa ją dowiozła” – pomyślałam zadowolona.

Lekko uchyliłam drzwi do pokoju.

To nie walizka! Za drzwiami stał Julian obładowany paczkami i pakunkami różnego rodzaju. Nie spodziewałam się go zupełnie. Mówił, że musi się zdrzemnąć.

– To ja, mogę wejść? – zapytał wesoło.

– Tak... Nie! No dobrze... – plątałam się, lekko zażenowana. – Wejdz, proszę... Usiądź. Zaraz się ubiorę.

Nie czułam się swobodnie. Zupełnie. Przykrywałam swą nagość jednym, jedynym hotelowym ręcznikiem. Nigdy wcześniej nie czułam się taka rozebrana. W zasadzie wystarczyłby jeden ruch ręką, żeby łososiowa kurtyna opadła i... Generalnie zawsze niechętnie się rozbiebrałam, nie lubiłam swojej nagości. Dzisiaj w wielkim, włoskim, łazienkowym lustrze błyskawicznie wymieniłam spojrzenie ze zdziwioną swoim ciałem Becią.

Ciało. Moje ciało. Onieśmiewało mnie. Tam wszystkiego było za dużo, zwłaszcza tego, czego nie powinno być, a za mało tego, co na pewno należało mieć. O ironio! Co ja tu właściwie robię? Z obcym facetem, za jego pieniądze, skazana na uległość wobec jego – niesprecyzowanych w końcu – planów. O tak! Julian potrafił być nieprzewidywalny! Cóż za niedorzeczność z mojej strony!

Stał w drzwiach i bawił się sytuacją. Znowu totalnie mnie zaskoczył. Kobieta nieobyta, domowa raczej niż światowa, jest zaskakiwana bardzo często. W sumie, na razie, na plus!

– Pozwoliłem sobie na zakupy. Żebyś nie czuła się skrupowana i uwięziona w pokoju jak ta branka wzięta w jasyr. – Mrugnął szelmowsko. W jasyr! To do mnie dotarło najpierw. Przestraszyłam się.

– Ale co to? – Przełknęłam głośno ślinę i pokazałam trzęsącym się palcem na pakunki.

– A takie tam... Wszystko, co kobiecie potrzebne. Tak sądzę. Naturalnie, jeśli coś ci się nie spodoba, oddam do sklepu.

– Julian, ja nie mogę tego przyjąć! Chyba że się z tobą rozliczę... – Nie chciałam wejść w tak oczywistą zależność. Ale na zwrot za wszystkie sprawunki niestety pieniędzy nie miałam.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony. Postawił torby na podłodze. Zrobił minę jak rozczarowane, nieśmiałe dziecko.

– Dlaczego?! Choćby z tego powodu, że to, co trzymasz w rękach, kosztowało majątek! – wykrzyknęłam.

– Jeszcze nawet nie zajrzałaś do żadnej torby.

– Nie muszę, widzę, w jakich salonach kupowałaś! – Nadruki na torbach biły w oczy.

– Nie przesadzaj. Nie wiadomo, kiedy przywiozą twoje rzeczy, poza tym nie ma zmartwienia, rozliczę je w swojej firmie. – Nie przerywał negocjacji. Znowu pochwycił torby w ręce.

– To nie tak. Jednak wydałeś na mnie majątek i to jest bardzo krępujące.

– Wieczorem idziemy na koncert, a potem chciałbym cię zabrać na kolację. Znam taką małą elegancką knajpkę, będzie miło. Nie przyjechaliśmy, żeby siedzieć w hotelu... – Kusił tym swoim łobuzerskim uśmiechem. Zachęcał! – Naturalnie zrobisz, jak zechcesz. Nie chcę cię do niczego zmuszać.

– No nie wiem jeszcze. Muszę zadzwonić do domu, że doleciałam.

„Brrrr – pomyślałam. – Co ja mówię?! Do domu? Teraz?!” Kurczę! Jakąż jestem prostytutką! Nic dowcipu, nic finezji, jakiegokolwiek kokieterii, przyjęcia wszystkiego za dobrą monetę! Zero zadowolenia, że facet się postarał! Tylko negacja, a raczej irracjonalny upór! Owszem, mogłam się tak bronić! Ale przed wyjazdem! Poczulałam się hipokrytką! Megazakłamaną Becią!

Jeszcze miałam wątpliwości, to fakt. Ale dialog wewnętrzny sprawił, że rezygnacja z opery w Termach i perspektywa siedzenia w hotelu w ręczniku kąpielowym albo w szarych spodniach z podróży zaczęła mnie śmieszyć. Nigdy nie byłam na TAKIM przedstawieniu, w TAKIM miejscu, z TAKIM mężczyzną! Nigdy jeszcze nie byłam w Rzymie, a słyszałam wiele pochlebnych opinii o tym mieście. To tutaj w końcu wszystko się zaczęło. Nasz świat. I teraz z powodu darowanych mi markowych szmat mam drzeć swoje stare łachy?!

Znikaj, Beciu! Bo ja, Elżbieta, czuję, że nie potrafię mu się oprzeć. Mężczyźnie, który poprosił mnie o towarzystwo w tej eskapadzie. A ja się zgodziłam! Już nie widziałam w tym nic złego. Skoro rozliczy te zakupy w swojej firmie, to prawie tak, jakby firma poniosła koszty. Czyli analogicznie jak bilety lotnicze, hotel czy posiłki. Pochwyciłam kilka toreb i wyszłam na ukwiecony balkon, trzymając je w ręce. Ciepłe powietrze oblepiało mnie ze wszystkich stron.

„Dlaczego nie?” – pomyślałam, otwierając pierwszą, tę najmniejszą paczuszkę.

– Mogę zostać? – Julian stanął za mną. Poczulałam jego oddech na swoim policzku.

– Tak, proszę – powiedziałam ochrypłym głosem.

Złota bransoleta błyszczała jak kłamka w kamienicy Juliana. Odchrząknęłam. Julian sprawnie zapiął ją na moim nadgarstku, podniósł udekorowaną złotem rękę wyżej. Oczy na pewno mi błyszczały co najmniej, tak jak ten kruszec!

A potem hotelowy ręcznik spadł na ziemię. Julian odwrócił mnie w swoją stronę. Stałam bezwstydnie z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma, patrząc, jak zrzuca ubranie. Najpierw koszulę, potem spodnie. Jak zrzucał czarne majty, już nie patrzyłam. Klamra od paska uderzyła o ceramiczną płytkę, a ja poczułam brzuch Juliana na swoim. Moje nieznanne czułości piersi poddawały się jego palcom jak glina. Nieważne, że nie byłam ich fanką. Co tam! Istniała tylko namiętność i pożądanie. Namiętność taka, która każe zapomnieć o wszystkim, włącznie z wątpliwościami, co do przaiśności własnego ciała. Palce Juliana wystukiwały na mojej wyposzczonej łechtaczce pieśń o Capulettich. Szezlong w kwiatkach schronił naszą bezczelną i całkiem nagą intymność. Fale gorąca wędrowały po moim mokrym ciełe.

Ach, jaka ja byłam niemoralna! Jęczałam z rozkoszy. I co z tego? To przecież jest normalne. W końcu miałam swój pierwszy od kilku lat orgazm. A potem jeszcze kilka. I Julian to samo. Choć przypuszczam, że jednak miał ich nieco mniej niż ja...

– No! Ze mnie jest jeszcze kawał draba! – Julian opadł na plecy, dysząc ciężko.

Mój kochanek! Jak to cudnie brzmi!

– Dlaczego tak mówisz? – Podniosłam się i zaczęłam sunąć językiem po jego szczupłej piersi. Wielka fioletowa poducha między moimi nogami tłumiła akordy najbardziej miłosnej i wzniosłej pieśni. Jak z opery Verdiego.

– Tyle orgazmów w jedno popołudnie... Nieźle wygnietliśmy te włoskie poduchy. Chcesz grappy? – Julian śmiał się.

Wieczorem pokazałam atrakcyjne strony swojej natury, byłam dowcipna, wesoła i rozleniwiona.

Ściągnęłam swe wypłowiałe włosy za uszy, twarz zdobiąc delikatnym makijażem i wielkimi złotosrebrnymi klipsami. Czuję się bardzo piękna w czerwonej, połyskującej kiecce. Idąc ulicą w stronę Term, myślałam, że dorównałam Julianowi. On, wysoki, wysmukły, w czarnym smokingu z atłasowymi wyłogami i śnieżnobiałej koszuli, był najwytworniejszym facetem w tej części Rzymu. Byłam dumna. Wsparta na jego ramieniu, pachnąca i nareszcie zaciekawiona życiem innym, niż do tej pory wiodłam.

– Słońce nadaje wszystkiemu inną wartość, prawda? – zauważył Julian, gdy siadaliśmy w fotelach w Termach Caracalla.

– Słońce, to miasto... też... – Byłam oszołomiona podniosłym wydarzeniem, atmosferą sztuki. Oszołomiona popołudniem. I zaskoczona swoją fizycznością. – I miłość... – dodałam.

Spojrzałam na Juliana, a on delikatnie się uśmiechnął i ścisnął moją zmęczoną, bezwładnie opierającą się na jego kolanie, dłoń.

Życie to barter

Następnego dnia od rana brzmiała mi w głowie finałowa aria Mario Cavaradossiego z *Toski*. I jednocześnie czułam się rozedrgana emocjonalnie z powodu skoku w przepaść tytułowej bohaterki. Miłość zawsze rodzi emocje. „Mnie wystarczyłaby sama namiętność” – myślałam. Bałam się miłości. Przez ostatnie dziesięciolecie panicznie przed nią uciekałam. To nie ulega wątpliwości. Miłość odebrała mi wiele. Namiętność zaś była darem. Miałam prawo do takich myśli po nocy spędzonej w moim pokoju, w moim łóżku. Z Julianem u swego boku.

Nie wiem, co się we mnie odezwało. Ukryte, niespełnione pragnienia, które towarzyszyły mi od zawsze? Czy namiętność do tego konkretnie mężczyzny, do jego ciała i tych dłoni pianisty pięknie grających na klawiaturze moich zmysłów?

Kiedy po lekkim śniadaniu udaliśmy się do centrum, ja nadal byłam zaskoczona. Sobą, tym wszystkim, co się stało... Ale zrozumiałam, że przecież nic wielkiego się nie wydarzyło, że te stare mury i jeszcze bardziej stare kamienie musiały widzieć niejedno. Na pewno były świadkami dużo bardziej niemoralnych wydarzeń.

W Koloseum słońce prażyło niemiłosiernie, ale było mi z tym dobrze. Czułam, że to ciepło przenika do mojego serca. Że jest mi ze sobą dobrze. Z podziwem patrzyłam na Juliana. W takich samych słomkowych kapeluszach na głowach siedzieliśmy na kamieniu i wsłuchiwaliliśmy się w rytm historii. W komplecie z białej, batystowej tkaniny czułam się zabójczo. Głęboki dekolt zdobił sznur drewnianych, wielkich kul. W ubraniach wybieranych przez Juliana musiałam mu się bardzo podobać. Nie było innej możliwości. Czułam się przy nim piękna, niesamowicie kobieca. I ponętna!

W pewnej chwili Julian objął mnie za ramiona.

– Chciałbym cię o coś poprosić.

– Tak? – Włożyłam rękę pod jego lnianą koszulę. I zaczęłam robić esy-floresy. Bawiłam się jego sutkami, chociaż wiedziałam, że go drażnię. Gwałtownie zabrał moją rękę i przesunął ją sobie na brzuch. Tym lepiej dla mnie.

– Chciałbym, żebyś zaakceptowała układ, który chcę ci zaproponować.

– Układ? – zdziwiłam się. Moja dłoń znieruchomiała na jego brzuchu.

– Tobie od życia należy się zdecydowanie więcej, niż dostajesz. Także w sensie materialnym.

– Oj, przestań! – Wyciągnęłam rękę spod jego koszuli i położyłam ją na torebce.

– Masz całą masę fajnych cech. Elżuniu, posłuchaj... – mówił cicho. – Tylko się nie denerwuj! – dodał, widząc, że będę się palcami o torebkę.

– Nie lubię, gdy się mnie tak nachalnie chwali...

To była prawda. Najprawdziwsza. Jeśli całe życie słyszy się tylko słowa pogardy, każda inna opinia brzmi niesamowicie fałszywie. Albo podejrzenie. Nie wiem, ile czasu będę potrzebowała, żeby zapomnieć raniące słowa własnej matki. Chciałabym móc wierzyć takim miłym zapewnieniom, ale kiedy mi się to uda? Tego, niestety, nie wiedziałam.

– Mam trochę pieniędzy do wydania i chciałbym to zrobić razem z tobą. Co ty na to?

– Wybacz! Na to na pewno nie pozwolę! – Wstałam i zaczęłam spacerować, ale wśród tłumów zwiedzających ruiny nie było to możliwe. Klapnęłam znowu obok Juliana. Od razu chwycił mnie za rękę i przytrzymał ją w swojej.

– Elżbieto, pomyśl, nie wkurzaj się od razu. W życiu spotykamy całą masę niezrównoważonych układów. Nie bylibyśmy jedyjni. Nie jest ci ze mną dobrze?

– Jest, i dlatego teraz zrobiło mi się przykro.

– Egzaltacja? Wiele kobiet by na to przystało.

Oczywiście wiedziałam, że ma rację, sama znałam mnóstwo takich. Ale chciałabym, żeby między nami było inaczej, lepiej. Miałam przecież wrażenie, że to coś jest ładne. Że nigdy jeszcze nie przeżyłam tak spontanicznej i namiętnej bliskości.

Było Koloseum. Były mury. Z nieba lał się żar. Ja zaś poczułam ziąb. Tak! Pomyślałam, że jestem galerianką. Najbardziej klasyczną. I te opowieści Juliana o wstrętnych babach, z uporem drepczących za facetem ostatniej szansy. Ciągłe z ręką na komputerowej myszce! Mógłby się zastanowić i tego ekshibicjonizmu mi oszczędzić! Było nam ze sobą tak dobrze...

– Nie, dla mnie to nie jest atrakcyjne położenie. – Mój głos nabrzmiał oschłością.

– Zastanów się, nie odpowiadaj od razu. Ja mam jakieś pieniądze, ty tęsknisz za światem. Masz dość szarości. Zabierałbym cię w swoje podróże, także te zawodowe. A poza tym lubimy się... Nie, nie chcę od ciebie wyłącznie erotyki. Ale przyznaję, zaskoczyłaś mnie. Przepraszam, że może mnie źle zrozumiałaś... – Julian uśmiechnął się łobuzersko.

– Jak to brzmi... – powiedziałam po chwili milczenia. Nie mogłam się na niego gniewać. Na pewno był szczery. Na pewno bardziej niż Boguś, a ja na wykorzystywanie finansowe i emocjonalne Bogdana godziłam się wiele długich lat, nie otrzymując niczego w zamian. „Ile dasz, tyle weźmiesz”. Ta, może mało przystająca do życia myśl mogła się z Julianem sprawdzić.

– Ależ, Elżbietko, obydwójce wiemy, że welon się nie zapowiada. Wypróbujmy ten układ przez jakiś czas, proszę.

– Musiałeś to spieprzyć? – powiedziałam z sarkazmem. – Naprawdę sądziłam, że między nami może być tylko ładnie.

Moje myśli mnie sponiewierały. Jeszcze wszystko we mnie krzyczało, wołało o czystość naszej relacji. O kierunek znajomości wedle moich życzeń. A jakie one były? Nie wiedziałam.

– Życie to barter. Sama do tego wniosku niebawem dojdiesz – powiedział cicho Julian i podał mi rękę. Wstałam z kamienia.

Po kilku godzinach zwiedzania, kiedy wróciliśmy do hotelu, poczułam znowu, że cała jestem żądzą. Wbrew logice, wbrew rozsądkowi. Puls znów galopował mi jak szalony. A niech tam, te kilkadziesiąt minut fizycznej rozkoszy warte było wysokiej ceny! Nawet najwyższej! W myślach tkwiłam już w naszym układzie. A co tam, na odpokutowanie tego kontraktu pozostanie mi jeszcze kilkadziesiąt lat życia. Chwilo trwaj! Błagam!

Wylęga

Z Rzymu wróciłam wymuszkana słońcem i jakąś może irracjonalną, ale jednak nadzieją. Nabrałam przekonania, że nie jestem najgorsza, całość życia obudził, a może przywrócił moją próżność. Weszłam w życie towarzyskie, więc zaczęłam wierzyć we własne siły. Paradoksalnie. Poczułam się nowoczesna i światowa. Bardzo łatwo było mi przeskoczyć w ciągu trzech dni kilka szczebli w drabinie społecznej. Tak wyszło. Świat nie kocha biednych, schowanych w norach, szarych myszy. Uwolniłam samą siebie ze skorupy, jaką się kiedyś opakowałam. Chciałam być widzialna. Nareszcie. Nie mogłam wiecznie przemykać przy murze, tak jakby miał mnie przewrócić najmniejszy nawet wiatr. Przewrócić bądź skierować na inne, boczne, bagienne wertepy.

Tak, drzemały we mnie ukryte, złe emocje. Od czasu do czasu warknęły. Szybko przyzwyczaiałam się do złego, wiedziałam, że grzeszę, ale jednocześnie nabrałam jakiejś dziwnej pewności, że wolno mi tak postępować. Ranić własną rodzinę, układać się z kochankiem, nie dbać o matkę, nurzać się w egoizmie i pławić w zbytkach. Tak, życie z Julianem nie zakładało materialnych wyrzeczeń. A to mnie ogłuszyło na dobre. I jednocześnie osłabiło hamulce. Zastanawiałam się jednak, dlaczego Bogdan niczego jeszcze nie podejrzewa.

Był początek weekendu, letnie popołudnie drzemało w najlepsze. Z wielką niechęcią zabrałam się za gruntowne domowe porządki. W ich efekcie klepki wprawdzie nadal odpadały, ale przynajmniej były błyszczące. Kanapa kłuła w pośladki, ale nie było w niej kurzu. Firanki co prawda nadal były stare, ale mniej. W domu od razu zrobiło się więcej powietrza. Pranie suszyło się w ogrodzie, na sznurze rozpiętym pomiędzy jabłónką rodzącą martwe jabłka a cherlawym modrzewiem. Z kolei owcza, gdzieśgdzie wyliniała skóra, która chłonoła błoto z łap Szakiego przez dobrych kilka miesięcy, od godziny czekała na wytrzepanie na ławce z socjalistycznego parku. Notabene, skąd się taki ogrodowy mebel u nas wziął? Nie miałam zielonego pojęcia. Odkurzałam, co się dostało w moje ręce. I tak dalej, i tak dalej. Chciałam w ten sposób wytrzepać biedę. Dobrze mi zrobił wysiłek fizyczny, zapomniałam o rozdrożach, po których bezczelnie kroczyłam. O rozdwojeniu osobowości też.

Za pieniądze Juliana kupiłam sobie w Rzymie biały lniany zestaw, bluzkę z falbanami na rękawach i spodnie. A do kompletu jedwabny szal w waniliowym kolorze, długi, fruujący za mną przy najmniejszym ruchu. Dotykałam ręką delikatnej, nabłyszczonej nieco materii, bardziej jednak podobał mi się jedwabny szantung niż żorzeta. Potem zapragnęłam te cuda włożyć i przejrzeć się w lustrze. Niestety, w takich norach jak nasza intymność była najbardziej deficytowym towarem! Krysta prędko spostrzegła, jak się kryguję, kręcę w kółko przed małym lustrem, w którym nie widać całego ciała, jak wchodzę na krzesło, żeby zobaczyć dół sylwetki. „Ślicznie” – pomyślałam. No cóż, byłam niewątpliwie na etapie przywracania sobie utraconej dawno temu kobiecości. A może dopiero na etapie jej odkrywania. Byłam również w takim momencie życia, kiedy nieważne stawały się rodzinne spazmy i sarkazmy.

– Aga ładniej by w tym wyglądała. Gdzie to w takim wieku nosić falbaniaste i białe rzeczy! Nie masz w ogóle wyczucia. – Sarkazm w głosie Krysty był bardzo czytelny. Zaśmiałam się w duchu, bo przyszło mi na myśl, że spotykając się z Julianem, robię im ładnego psikusa. Tak, w tych kategoriach, na moim podłym miejscu, też można romans rozważać.

W nowym butik w centrum miasta rzucili dzień wcześniej atrakcyjny towar, nawet niedrogi. Za kilka rzeczy zapłaciłam jakieś dwieście złotych. Wszystko, co kupiłam, było w tonacji liliowofioletowej. Zośce zbledną oczy, gdy się spotkamy na mieście. O ile się kiedykolwiek jeszcze zobaczymy, bo po ekscesie z ogonem numer dwa najwyraźniej nie miała już ochoty się ze mną spotykać. Ani na najazdy na

mój dom. I dobrze, bo była uciążliwa. Kinga zaś znajdzie powód, żeby już w ogóle wynagradzać moich usług.

Jednym cięciem wzięłam rozwód z ciuchbudami. Nieważne były pieniądze, miałam ich dość do swojej dyspozycji. Julian zdecydowanie nie był skąpcem. Może w ten sposób tworzył dla siebie kobietę według swoich wyobrażeń i upodobań? Kupował ją. Nie, to chyba niemożliwa kombinacja. Mężczyźni tak nie postępują. Co innego kobiety. Skrót myślowy, czy też schemat: „Umyję go, ogolę, potem ubiorę i wreszcie nie będę już samotna” sprawdzał się wśród większości moich rówieśniczek i ich partnerów z łapanki.

Wracając do Juliana. A może miał to być rodzaj ubezwłasnowolnienia mnie? Zasugerował kiedyś, żebym przyciemniła włosy. W zasadzie wszystko, co płynęło do mnie z jego inspiracji, przyjmowałam bezkrytycznie. Co do włosów, to nie, na razie nie. Bałam się, a może nie czułam tego klimatu, jednak wolałam być nadal delikatną blondynką. Subtelna. Tym bardziej, jeśli przez czterdzieści lat wszyscy oponenti tłoczyli mi do głowy, jaka jestem niekobieca... Że żandarm! I chłop! To wiecznie szukałam zaprzeczenia. Choćby w postaci rozjaśnionych włosów. Choćby – to właściwe słowo.

Julian podśmiewał się z moich wątpliwości. Lubiłam jego szelmowski uśmiech. Dołki w policzkach. I w brodzie. Takiej samej wielkości jak u Michaela Douglasa. Mniejsza z tym. Generalnie uważał, że temperament mam typowy dla brunetki, i to o włosach w odcieniu smoły. Najprecyzyjniej mówiąc, nie do zaspokojenia. Mnie samą też te namiętne uniesienia zaskoczyły. Ilekroć myślałam o parnych rzymskich nocach i popołudniach na tarasie, w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca, a zdarzało się, że i wschodzącego – zawsze czułam to samo. Podniecenie tak duże, że musiałam dłońmi przyciskać podbrzusze, żeby uciszyć wyrrywającą się bez mojej woli wewnętrzną siłę. Albo lepiej: ujarzmić. Moje nerwy były na wyczerpaniu już po zaledwie kilku satysfakcjonujących seksualnych aktach! Nie, nie odgrywałam roli kochanki, byłam namiętą kochanką. To pewne. Jakakolwiek gra i wcielanie się w kogokolwiek zawsze były mi obce. Chociaż Julianowi nie przeszkadzałyby zapewne, gdybym poaktorzyła. Myślę, że mężczyźni nie wierzą w istnienie kobiecych kłamstewek. Nie widzą gry. A może wszyscy po trosze nie wierzymy... W kłamstwa generalnie. Nie wierzymy, bo nie chcemy wierzyć. Nie przyjmujemy do wiadomości nieprawdy, bo bardzo często jest niewygodna. Albo przyjmujemy zanadto, również z powodu wygody. Konfabulowanie rzeczywistości sprawia, że przemieszczamy swoje wyobrażenia do innego świata. Że tylko na chwilę?! To co?! Babci nie przeszkadzałyby, gdybym grała córkę Agopodobną, Bogdanowi – gdybym zawsze odgrywała idiotkę. Jęchorkowi – gdybym udawała, że pieniądze nie są mi absolutnie potrzebne. Role w życiu odgrywamy dla kogoś, nie dla siebie. Sami na dłuższą chwilę najlepiej czujemy się we własnej – jednak lepiej, gdy w luksusowej – skórze.

Zamyśliłam się, odjechałam. Było dziwnie spokojnie. Czasem nawet w zespole nor dla agresywnych szczurów zapanuje cisza. Kątem oka dostrzegałam jednak, że Boguś zerka na eleganckie ciuchy, które wieszałam w wielkiej domowej szafie, kręci nosem, interesuje się. I wścieka, tak dokładnie.

– Coś ty, Beta, znowu nakupiła?! Ruska szafa pęka w szwach, nawet nie mogę swojego garnituru wcisnąć. Od dwudziestu lat nie była aż tak eksploatowana! Aż mosiężne ozdoby się na niej powyginały!

– Musimy się rozwieść, wtedy będzie luźniej – warknęłam.

– Co tam mówisz bez ładu i składu?

– No, że jak po rozwodzie się wyprowadzisz, to będziemy mieli w szafie luźniej – zawołałam już z kuchni.

Nakładałam sobie na talerz pieczoną świńską wątrobę. Pomyślałam, że tym rozwodem mogłabym go nie drażnić w dniu, kiedy zaskoczył mnie ciepłym obiadem. Nie było to smaczne żarło. Nie. Bez cebuli, bez papryki. Chyba na smalcu. Wąskie, ciemne, gąbczaste paski. Sama przypalona wątroba. „Ale jest i nie mam absolutnie żadnego powodu, żeby tym razem domorosłego kucharzynę zrażać” – myślałam, międląc w ustach drugi zeschnięty ochłap. Szybko popiłam herbatą żurawinową. Resztę z patelni rzuciłam

do psiej miski. Niech zwierzak ma święto. Dobroć jest w cenie! Może zacznie mnie wreszcie słuchać?! I może nawet kochać...!? A wtedy wytworzy się wzajemność. W sumie miło być wspaniałomyślną właścicielką rozpieszczającą swojego czworonoga.

Szaki rzucił się na żarcie, łypiąc na mnie łaskawszym niż zwykle wzrokiem. A ja podeszłam do stojącego w przedpokoju staromodnego biurka z moich szkolnych czasów. Stary rupieć z płyty dopraszał się o eksmisję. Już jako dziewczyna w wieku licealnym lakierowałam go i szlifowałam, żeby wyglądał chociaż ciut lepiej. Mało to dało, lakier obłaził i jeszcze pogorszył sprawę. Na nowe meble nie było mnie stać. Ale kiedyś... Kiedyś meble będę wyłącznie w antykwariatach kupować! Schyliłam się, żeby z dolnej części grata wyciągnąć mapy. Julian rozpalił moje zaciekawienie światem, aż byłam gorąca jak blat kuchenki indukcyjnej. Przede mną jeszcze było tyle do zwiedzania! Otwarłam szafę i zaczęłam wertować dawno nieużywane opracowania. Stary kurz pufnął mi w nos. Kilka dobrych lat nie otwierałam tej części grata. Jedynie do opuszczanej kłapy w górnej części Bogdan niedawno zamontował wylicytowany na aukcji mosiężny uchwyt.

Ile w tym biurku było śmiecia! Mapy stare jak wanna w naszej łazience, to akurat mnie ucieszyło, bo nabywały wartości antykwarycznej. Jednak wycinki z gazet na temat atrakcyjnych turystycznie miejsc na świecie to były śmieci. Kiedyś interesujące, nie równały się z teraz interesującymi. Bo kogo ciągnie, żeby zwiedzić Rugię albo pojechać do Bratysławy czy do Rimini? Warna i Balaton też straciły potencjał.

Trzymałam w ręce okazałą stertę wycinków. Już wstawałam, ale wtedy stało się! Kłapa z mosiężnym uchwytem spadła mi na głowę! Jak łupnęło! Jak błysnęło! W mojej głowie zaczęły bić katedralne dzwony. A chwilę później usłyszałam pieśń: „Boże, Stwórco nasz, Panie, przed tobą padamy, usłysz nasze wołanie, pokornie błagamy”.

Kilka zwrotek zamarudziłam na podłodze. Potem się ocknęłam. Chór starych kobiet śpiewających pieśń umilkł. A ja powoli zaczynałam rozumieć, że brązowa plama, którą ledwo widziałam, stawała się coraz bardziej wyraźna, i że były to pocerowane skarpety Krysty, opakowane w poruszające się, filcowe kapcie. Również brązowe. Nie, głosu nie słyszałam. Za to poczułam, że ktoś podaje mi rękę i pomaga się podnieść. Boguś był silny. A Krysta prychnęła, jak to ona, aż mnie opluła. Po czym zniknęła za drzwiami do swojej rezydencji.

– Ale cię walnęło! Łeb masz z metalu? Hałas narobiłaś jak dwie wielkie terenówki na Polskiej, gdy zrobiły sobie kuku! – Boguś, jak coś powie, to...

– To nie jest śmieszne! – Pocierałam głowę. Pod włosami czułam wielką śliwę, a przed oczyma miałam mgłę jak z *Psa Baskerville’ów*.

– Słuchaj – Boguś zaszeptał – czy ty wiesz, kto w tym całym zamieszaniu zżarł naszą wątrobę?

– Ja swoją mam – zażartowałam. – To było przed, nie w zamieszaniu. Ja i pies – uściśliłam, domyślając się, że Bogdan nie mógł zrozumieć mojego dowcipu. Widząc jego nieme oczy, wzruszyłam ramionami.

Cóż za egzotyczne podejrzenia?! Krysta nigdy, przenigdy nie zjadła bez pozwolenia naszego jedzenia. A nawet częstowana, zawsze manifestowała pogardę, w skrócie rzecz ujmując. Pogardę dla źle usmażonego świńskiego cycka. A co ta upieczona świnia winna, że nigdy jej nie smakuje? I dlaczego winna, że Krysta się jej brzydzi?!

– Nie żartuj. Ale mnie teraz rozśmieszyłaś! To było dla psa! – Boguś rechotał tak głośno, że z pewnością słyhać go było na ulicy. Wąchał mu się ruszał, jakby był zwierzątkiem futerkowym. Nawet prostowane szlafmycą od lat czarne kłaki wszczęły taniec wokół jego twarzy. Mniej więcej tak, jak robiliby to indiańscy szamani dookoła ogniska, na którym te dwa domowe potwory smażyłyby moje ciało. Dla kogo? Założmy, że dla Szakiego.

– Tylko mi nie mów, że ta wątroba była przeterminowana! A może ją w taniej jatce kupiłeś?! – Poczułam, że mnie mdli. Po chwili odbiło mi się jakby starym kapciem. I jeszcze raz. Tylko tego brakuje, żebym dostała wzdęcia. I co wówczas będzie z seksem?

Czy ja muszę wszystko sprowadzać do erotyki?! Kiedyś tak przecież nie było!

– Tak. Była. – Boguś nie przestawał chichotać. Nie powiedziałabym, żeby mój mąż, to znaczy utrzymanek, o którego już kilkanaście lat wykazywałam dbałość wbrew wszelkiemu rozsądkowi, się zmartwił.

– Kurczę. To ja miałam świadomość, że nakarmiłam psa, a okazuje się, że to nie tak. To rude bydlę mnie poczęstowało!

No właśnie. Psa! No tak! Przecież pozostał mi jeszcze pies. W sensie, że do wypucowania. Znalazłam kaganiec, tylko mu założę i sio! Do wanny. Odkręcony psi szampon trzymałam w dłoni. Co to dla mnie! Krótka piłka. Moment i następne zadanie niecierpiące zwłoki było wszczęte. I prawie natychmiast zakończone sukcesem. Praca niewątpliwie zawsze bardzo mnie kochała.

– Szaki! Do mnie! Natychmiast!

Niestety. Rutyna w moim wykonaniu bardzo często prowadziła do niekorzystnego zakończenia. Jak to się stało? Dokładnie nie wiem. Może zignorowałam psie fafle? Czy wyprężony do ataku grzbiet? Ale jakie to może mieć znaczenie, kiedy następuje cios, który wymierza nam precyzyjnie mały, niezgrabny, rudy śmierduch?! I jesteśmy w szoku!

Skoczył! Chapsnął! Piesek miły?! Wilkołak! A potem się skulił i uciekł do centrum ochrony i tresury wściekłych psów, które gryzą swoich żywicieli! Czyli do pokoju Krysty. Zaczęłam krzyczeć, skakać po tych odpadających klepkach. Drzeć się na psa. Na Krystę. Na świat cały. W końcu płakać. Mnie! Dlaczego akurat mnie?! Bolało.

Krew tryskała, ale nie tak, jakby z tętnicy. Zaciskałam psią smycz na ręce, a mimo to kapało w szczeliny między klepkami. W korytarzu zrobiło się czerwono jak w miejskiej rzeźni.

No cóż! To było bardzo poniżające wydarzenie! Zrobili ze mnie ofiarę! Rozpłakałam się na dobre. Użaliłam nad sobą.

– Tak biednego psa przestraszyć! Co to się człowiek tutaj nadenerwuje! – Krysta wsadziła swoje trzy „znowu do dupy” grosze! Głaskała Szakiego. Nie mogła choć raz mi współczuć?! Nie musi robić tego zawsze. Ale chociaż ten jeden jedyny raz?!

Zaczęłam krzyczeć:

– Ty zawsze chciałaś, żebym była bita i poniewierana! Chciałaś mnie wychować na niedojdę! Dla siebie to robiłaś, bo uwielbiasz ludźmi pomiatać! Tak, nie śmieć się teraz. Zawsze musisz mieć wroga i być najmądrzejsza! Chciałaś, żebym była mniej warta niż ty, a w sumie wychowałaś mnie na taką dla wszystkich! Nawet dla swojego ohydneho psa też!

Zsunęłam się na podłogę i z wściekłości uderzyłam głową w ścianę. Moja sieroca choroba znów wylazła! Kiwałam się w tę i z powrotem. W tę i znowu z powrotem. W tę cholerną sierocą stronę i w tamten równie parszywy sierocy kierunek!

– Do własnej matki z krzykiem! Przecież z nerwów mogę dostać zawału! Nie drzyj się! – (A czy i ona może nie krzyczeć?!) – Zadzwońię do Agi, niech mnie w końcu przed wami ratuje! We własnym domu staremu człowiekowi krzywdę robią. Wylęga jedna! We własnej, bardzo zacnej rodzinie taka podła wylęga się wyrodziła!

Zabandażowałam przedramię. Zaczęłam się ubierać. Krew przestawała lecieć. W apteczce szukałam dodatkowej gazy.

– I co? Po co dotykałaś wilkołaka? Jeśli Babci pasuje, żeby śmierdział, to niech śmierdzi na całą ulicę. – Boguś przypatrywał się całej sytuacji, jakby był widzem teatru dwóch aktorów plus pies. No nie! Jeszcze ten! Teraz, kiedy drażniła mnie każda głośna i fałszem szyta tonacja. Będzie się wymądrzał!

– Zawiń sobie. Zawołałem taksówkę. Jedź do szpitala, bo to naprawdę niedobrze wygląda. Jechać z tobą? – Mina Bogusia była w sporze ze słowami, jakie wypowiadał. Umówmy się, nic tak nie mogło poprawić mu humoru jak widok mnie zapłakanej, cierpiącej, z przeciekającą krwią, grubą gazą na ręce.

Z pokoju Krysty dobiegało pochlipywanie i burczenie: „Taka wylęga może człowieka wykończyć na

amen!”). Brzmiało to jak głos wzywającego na modły islamskiego muezina.

– Nie! Zostawcie mnie! Odczepcie się ode mnie wszyscy. Pożałujecie. Jeszcze mnie będziecie szukać! Do... – Od dwóch ostatnich niecenzuralnych wyrazów jednak znowu się powstrzymałam.

Ode mnie zależy, że Boguś ma co zjeść. Że Krysta nie musi ze swojej emerytury opłacać kosztów życia. Że Aga może wpaść od czasu do czasu jedynie po to, by pokazać, że kocha. Tylko ode mnie! To ja dbam o remonty, o ogród, o bibeloty, duszy tej norze dodaję! To ja tworzę dom dla nich wszystkich! Tylko ja. A kto szykuje spadek dla Marcina i Krzyśka?! Też ja! A wilkołak?! Czy pomyślał, kto znosi dla niego do domu ścinki z wędzonki od Malutkiego Sklepikarza?! Ja! Też ja! Ja nawet o kasę Jęchorka i Rafała dbam! To wszystko, ta świadomość nieodwzajemnienia przygniatała mnie do ziemi i zrównywała z asfaltem! Próbowałam się podnieść, ale nie miałam siły!

Wydarzenia dnia zdjęły ze mnie ciężar decyzji. Mogłam w jednej chwili dmuchnąć w ten domek z kart. Mogłam obcasem wcisnąć potem te karty w glebę. Byłam gotowa na wszystko. Na absolutnie wszystko! Nic nie mogło mnie powstrzymać. Wtedy tak właśnie myślałam, dokładnie tak.

Taksówka podjechała bardzo szybko, zabandażowaną rękę nakryłam swetrem. To wstyd być ofiarą własnego psa! Nawet sierściuch miał mnie za nic. Trzęsłam się, mimo że popołudnie było ciepłe i słoneczne. Narzuciłam na siebie stare poncho z indiańskimi wzorami.

– Co się stało? – padło pytanie w przyszpitalnej izbie przyjęć.

– Najpierw pokłóciłam się z matką, ale to nie jest akurat dziwne. Potem na moją psychikę usiadł mąż, to też nie jest niezwykle. No i stało się, zjadłam naszemu psu smażoną wątrobę! Co się nigdy nie zdarzało. I się odwdzięczył! To znaczy ten pies. Nasz pies... – plotłam nieskładnie, zdając sobie sprawę, jak głupio to wszystko brzmi.

– Zupełnie pani rozszarpał to przedramię. O głupi kawałek wątroby? A skąd ten siniak nad okiem?

– Zapomniałam, jeszcze kłapa od biurka na głowę mi spadła...

Taaa... nie zdziwiłabym się, gdyby uznali mnie za wariatkę, ewentualnie ofiarę przemocy domowej (w jakimś aspekcie niestety nią byłam), ale szczerze mówiąc, wtedy było mi już wszystko jedno.

Dwie godziny później, kiedy wychodziłam ze szpitala, wiedziałam, co zrobię. Postanowiłam uciec. Z tego domu, od takiej matki, z ramion pazernego na dobrobyt kolesia zwanego mężem. I pojechać do Juliana. Ukryć się w jego pachnącym mieszkaniu. W jego ramionach. Doświadczyć jego troski.

Uciec jak najszybciej.

Przypomniały mi się moje nastoletnie lata. Był czerwiec. Nareszcie dostałam swoją pierwszą miesięczkę, wszystkie moje koleżanki już dużo wcześniej mogły się tym faktem szczycić. A ja niestety nie. Właśnie skończyłam pierwszą klasę licealną. Krysta tego dnia nieustająco wysuwała żądania. A to przynieś mi ze sklepu margarynę, potem z piwnicy ziemniaki, idź z Agą na spacer, umyj naczynia. Wytrzymaj podłogę. Nie! Przy tym ostatnim żądaniu powiedziałam głośno i wyraźnie:

– Brzuch mnie bardzo boli! Nie mogę się schylać.

– Natychmiast zrób to, co ci kazałam! Będiesz w moim wieku, zobaczysz, jakim wtedy jest się chorym – usłyszałam.

– Nie mogę, bardzo źle się czuję – powtórzyłam.

– Taaak? Matce własnej kontrę?! To poczekaj. Zobaczysz, przyjedzie ojciec z pracy, to ci przyłoży. Skuje ci tę leniwą dupę. Osobiście tego dopilnuję.

Krysta od Antychrysta. Byłam pewna, że mówi prawdę. Na sto procent. Ojciec bał się jej podobnie jak ja. Zawsze jej ulegał. „Będzie tak, jak postanowiła żona” – mawiał.

Najpierw pobiegłam do przyjaciółki, potem do drugiej nieco dalej, w końcu zrobiło się ciemno. Nie wypadało się gościć. I, kryjąc się za krzakami, zacząłam się blisko domu. Ojciec jednak stał w drzwiach. Czekał. Spostrzegł mnie, zanim zdążyłam się schować.

– Jak ty traktujesz własną matkę?! Przyjeżdżam zmęczony po pracy do domu i słyszę, że moja córka źle traktuje moją żonę! Wejdz do pokoju i połóż się na krześle!

Odwróciłam się na pięcie i uciekłam! Uciekłam od własnego kochanego ojca, bo ten najukochańszy ojciec posłuchał swojej rozkapryszonej żony i miał zamiar mnie tłuc jak zwierzaka. A ja kobietą wreszcie byłam, z udami pokrwawionymi pierwszą obfitą miesiączką. Cała paczka waty w kroku pod letnią sukienką mi się zmieściła! Pokręciłam się po ciemnej ulicy, przy której mieszkaliśmy, a gdy drzwi do mojego domu się zamknęły, wbiegłam szybko do ogrodu, wczołgałam w gęstą płataninę krzewów malin przy płocie. I tam z desek i trawy ułożyłam sobie łożo do spania i jednocześnie (a raczej przede wszystkim) kryjówkę przed własną rodziną. Schron jak w czasie wojny. Było to po raz pierwszy.

Kilka razy tej nocy wychodzili mnie szukać, a ja się cieszyłam. Aga oczywiście im towarzyszyła, żeby mogła nabrać jedyne właściwego stosunku do starszej siostry. Ja zaś zwijałam się ze śmiechu. Szum i nocne dźwięki ogrodu nie dały mi zasnąć. Następnego dnia, kiedy złość ojca przekształciła się w lęk o dziecko, pojawiłam się w domu. Milcząca. Tajemnicza. I smutna. Kilka dni później odkryto, gdzie się skryłam tamtej nocy. Jeszcze przez wiele następnych lat historia ta krążyła jako rodzinna anegdota. Aga swoim dzieciom przypomina, że ich nastoletnia ciotka była tak bardzo niegrzeczna, że uciekła z domu, jednak stchórzyła, więc jedynie w domowych malinach się schowała.

Teraz moją płataninę krzewów malin był dom Juliana, do którego dotarłam wprawdzie dość szybko, ale w smrodliwej gablocie. Taryfiarz miał tępy wyraz twarzy, niedosłyszał i cuchnął miesięcznym potem. Jego auto zaś wyglądało gorzej niż zardzewiały ciągnik marki Ursus mojego dziadka po zderzeniu ze snopowiązałką. Silnik też brzmiał jak perkotanie traktora. Tylna kanapa przypominała naszą. Przed domem Juliana wypadłam z taksówki bez sił, szybko dotarłam do drzwi i swoim rozbujanym od smrodu nosem wycelowałam w przycisk domofonu. Gdy usłyszałam głos Juliana, nie mogłam nic wykrztusić, tylko jakieś charchoty. Oparłam się o głowę betonowego lwa na schodach, potem osunęłam na stopień. Po chwili straciłam przytomność. Kiedy ocknęłam się po raz drugi tego dnia, zobaczyłam nad sobą Juliana, który wachlował mnie czarno-białą, jakby żałobną wstążką. Kir? O nie! Jeszcze nie! Przepraszam. Źle widziałam. I dobrze. Gawroszką mnie cucił, moją ulubioną. Jedwabną, śliczną, w czarno-białe wzory. Czasem zakręcał ją sobie na szyi. Mina Juranda, Redforda, Kochanka wyrażała zaskoczenie i strach.

– Mocno mnie przytuł, miałam makabryczny dzień.

– Co się stało? Jak ty wyglądasz?! – Prowadził mnie na górę.

– Wszystko mi dzisiaj dało popalić! Cały parszywy dom na mnie napadł, jestem pozszywana i prześwietlona tysiącem lamp – gadałam jakieś bzdury.

– Jak oni mogą! Czy świat oszalał? Zostań. Wyślij SMS-a, wyłącz komórkę i zostań. Zaraz zrobię ci miejsce na kanapie. Połóżysz się.

– Będiesz przy mnie?

– Nie, ubiorę się i pojedę dać mu w mordę. Nie pozwolę, żeby cię zabili! – wykrzyknął poruszony.

– Błagam, nie możesz tam pojechać, nie możesz ich w ogóle nigdy zobaczyć! Nigdy! Proszę cię. –

I znowu się rozplakałam.

– Nie rozumiem. Dlaczego się jeszcze z nim nie rozwiodłaś?

– Ty nic nie wiesz. Nie rozumiesz. Jeśli ktoś ma takie życie, że tylko w łeb i w łeb dostaje, to jak może wyglądać ta egzystencja wśród bliskich? To się go uczepliłam, jakby mi rękę podawał. Bo gdybym nie miała jego, nie miałabym już zupełnie nikogo. – Mój płacz był niepohamowany. Niechcący wypowiedziałam samej sobie własną definicję „jak nie być samotną po czterdziestym piątym roku życia”.

„Skoro jest, to go umyję, ogolę, ubiorę, nakarmię, dam komputer i wtedy już na pewno nie będę samotna!”

– To bzdura!

– Nie jestem normalna. Sama to widzę. Zobacz, teraz powinnam się miotać, martwić, krzyczeć, wariować. A ja nie, w ogóle całe swoje życie przesiedziałam. Dzisiaj dopiero coś wykrztusiłam i teraz mam wyrzuty sumienia...

– Połóż się. Poczytam ci może coś... Nie masz chyba zamiaru chodzić do pracy? – zapytał Julian. Był smutny. Głaskał mnie po włosach. Mnie, pełną różnych pęknięć osobowości. I wad. A ja w tamtej chwili chciałam zwinąć się w kłębek, rękoma objąć kolana, wsadzić palec do buzi. I go ssać! Ten palec ssać! Makabra!

– Mam zwolnienie na siedem dni. Z pracy też mogą mnie wywalić, jeśli im powiem, że własny pies mnie pogryzł. Przecież moje zatrudnienie tam wisi na włosku! Zaraz skorzystają z sytuacji i zakwalifikują mnie do agresorów albo dewiantów. Albo cieniasów. Przecież potocznie każdy uważa, że psy potrafią uszanować ludzi. A nasz mnie pogryzł jak słabą zwierzynę. Do eliminacji. Ech.

Julian nic nie mówił. Milczał.

– A masz może coś o Kajmanach? – zmieniałam temat.

– Ależ to pies źle prowadzony! – wykrzyknął po chwili. – Lubisz Kajmany... – Uśmiechnął się. – Już się robi, madame, kiedyś mój przyjaciel coś fajnego napisał.

– No, oglądałam taki film i pomyślałam sobie, że chętnie bym tam akurat zamieszkała. Zawsze jest ciepło, nie trzeba wydawać olbrzymich sum na ogrzewanie. Nie ma podatków, jest woda, ogólnie nastrój kanikuły, ponoć wielu Anglików się tam przeprowadziło. Wiem! Sprzedam dom razem z Krystą i też się przeprowadzę! – Zawsze, gdy mówiłam o mojej matni z domem, gestykułowałam nerwowo. Tym razem też wykonałam kilka niezbornych ruchów rękoma, aż ta pozszywana mnie zaboląła. Poza tym poczułam, że z nerwów pocę się pod pachami.

– Ale na klimatyzację trzeba zarezerwować nieco grosza. To nie jest bardzo dobre miejsce do życia, bo od wczesnej wiosny do jesieni na wyspach hulają huragany. Ostatni zmiotł z Wielkiego Kajmana olbrzymią część domów...

Zbierałam błakające się kawałki duszy. Serce moje też wyruszało w podróż. Mimo że działał jeszcze lek znoszący strach, jakaś odmiana „głupiego Jasia”, to pełna świadomość zaczynała do mnie docierać. Ta makabra mogłaby przecież się powtórzyć! Wysłałam jednak SMS-a do Bogusia: „Nie mam siły dzisiaj wracać, nie mogłabym nawet, muszę się pozbierać. Idę spać”. Nic nie odpisał. Ciekawostka. Bo albo ma wyrzuty sumienia, albo w jego głowie grasują tak dramatyczne podejrzenia, że aż boi się je wypowiedzieć. A potem ze swojej komórki wysłałam tekst na bloga. Moja dusza płakała. Czułam się życiowym rozbitkiem. Czyli tutaj i teraz natychmiast musiałam napisać coś, co stworzyła moja zmęczona dniem głowa. Dla siebie głównie, dla pamięci, ale także dla tych czytelników, którzy chcieliby się do moich myśli z jakichś powodów dobrać.

Malinowa trufla pisze:

Dzisiaj zbankrutowałam. Częściowo, na szczęście nie całkowicie. Nie jest to stan zbawczy, ale może pozwoli mi na odbicie się od pełnej drzazg, rozchybotanej, drewnianej deski... Na ponowny skok w dal? Nie wiem. Spoglądać na świat z góry to móc przewycięzać swoją przyziemność. Bliżej nieba, bliżej siebie. Moja jasna, skąpana w słońcu polana niech przetrwa każdą burzę i wszystkie niszczące wiatry.

Mikstura z afrykańskiego masła

Niebiosa postanowiły wynagrodzić mi przeżycia sprzed dwóch dni. Czym? Kolejnymi dwoma fajnymi dniami. W powietrzu było czuć, że zbliża się koniec lata. Nie kalendarzowy, ale meteorologiczny na pewno. Już od końca lipca płakałam z żalu za upływającym czasem. Powietrzem kręcił mały wiatr, dawno nie padało, trawa przed domem Juliana wyschła, ale niskie już słońce dawało znać, że zbliżają się chłodniejsze dni, a tym bardziej wieczory.

Nie lubiłam jesieni, zawsze kojarzyła mi się ze śmiercią i chorobami. Jednak tym razem miałam Juliana. Jego obecność delikatnie i czule drażniła moje zmysły, muskała mą próżność. Poza tym nareszcie miałam swój ką. Tak czułam. Julian przyjął mnie wraz z całym, przez długie lata zbieranym obciążeniem. Bogdanem, Krystą, Szakim, a nawet z Agą. Myślałam o nich często i w różnych kategoriach. Czy Bogdan ma pieniądze na jedzenie? Czy wszystkie rachunki domowe na pewno są opłacone, bo Krysta fatalnie znosi wszelkie monity? Wreszcie, co oni sobie teraz o mnie pomyślą?

Ale mieszkałam. Wreszcie gdzieś mieszkałam. Jeśli ktoś by mnie zapytał, co to znaczy, powiedziałabym, że niech najpierw sprawdzi w kilku miejscach. Wtedy na pewno będzie wiedział, gdzie jest jego dom. Co dla niego jest najlepsze. Nie można się zamykać w jednym świecie i myśleć, że innych nie ma. To już wiedziałam.

Odkrywałam różne zakamarki mieszkania Juliana, bibeloty zwiezione z podróży, ceramiczne płytki azulejo, wielkie kosze na różne drobiazgi, ceramiczne, ręcznie malowane talerze i dzbany. Mnóstwo okolicznościowych kubków. Uśmiechnęłam się, gdy w łazienkowej wnęce odkryłam wielkiego, drewnianego koguta z czerwonym grzebieniem i kolorowym ogonem.

Tymczasem Julian pisał.

Jego mieszkanie było dużym apartamentem. Z pokoju, który odwiedziłam miesiąc temu, przechodziło się do pracowni drzwiami schowanymi w czymś, co bardzo przypominało szafę. Może było nawet jakąś formą garderoby. Z kolei pracownia to była istna kryjówka. Tak można pracować, tak można pisać! Tam można się skupić. I w ten sposób łatwo jest uciec. Nie dosłownie, oczywiście.

Mojemu wspaniałemu Jurandowi (i jednocześnie Redfordowi) nie przeszkadzałam w niczym. Spałam, trochę czytałam i spędzałam czas na odpoczynku. Przemyślałam i smarowałam rękę, kurowałam się. (Najtrudniej było mi ranę oglądać. Zawsze bałam się widoku krwi.) Albo z okna po zachodniej stronie obserwowałam okolicę. „Sowiłam” – jakby powiedział Marcin. Albo, co się zdarzało najczęściej, zerkałam na Juliana, gdy pisał. Podobało mi się, że potrafi się całkowicie wyłączyć. Mnie to się rzadko udawało, może z wyjątkiem czasu, kiedy bywałam w Mieteksie. Podobało mi się również jego zajęcie. Odkąd zaczęłam pisać blog, i ja polubiłam pisaninę. Jednak mojej nie powinnam porównywać z tym, czym zawodowo trudnił się Julian. „Kończę Islandię” – mówił mi w Rzymie. Jeszcze musi (potem się poprawił, że musimy razem) pojechać do Lizbony, bo fotografie, które już miał, to za mało. No i poczuć to miasto by chciał raz jeszcze... A może to jedynie pretekst, żeby powtórzyć seksualną eskapadę...? A niech tam! Miałam nadzieję. Chciałabym, żeby tak było. Tylko co będzie, jeśli takie życie spodoba mi się bardziej niż jemu? Przecież to jest facet, który miał wiele kobiet! I wcale tego nie krył. W Portugalii nie był sam. W Islandii także. A jeśli w którymś momencie powie: „pas”? Co wtedy zrobić? Będę cierpieć! Zwłaszcza jeśli moja miłość nie będzie chciała umrzeć na hasło: „to koniec”.

Miłość? Tak?! Coś było narzeczy. Coś powstawało. A u Juliana? No cóż, na razie snuł plany bardziej dalekosiężne, że w zanadrzu ma dla nas Australię, potem może Peru (choć to miał być bardziej

sentymentalny wyjazd). Cieszyłam się. Ale lęk mnie nie opuszczał. Że zechce wrócić do przeszłości. Że nie jest długodystansowcem. Że w końcu jakiś inny diaboliczny kobieton go zwabi na bardziej egzotyczne niż moje walory. Poza tym zazdrościłam. Tym, co były przede mną. Z którymi wyjeżdżał. A nawet, o pokrętny paradoksie, tym, które w nieprzeczytanych książkach pozostawiły zakładki. Te ostatnie wydały mi się najbardziej niebezpieczne.

W porze popołudniowej drugiego dnia przegoniłam w końcu niedobre myśli i wygrzebałam się spod koca. Potem powlokłam się do łazienki. Ostrożnie, żeby nie zamoczyć opatrunku, wzięłam prysznic. Później napaćkałam się tłustą miksturą z afrykańskiego masła karite. Julian wspominał, że śmiało można go użyć do masażu. W naszym przypadku na miłość wypielegnowaną było jeszcze za wcześnie. To, co między nami aktualnie się działo, to był czysty spontan. Ale nie jakieś szaleństwo czy sport. Miłość powolna, nieśpieszna, bez zadyszki. I bez poganiania. Gdy wyszłam świeża i pachnąca i zamknęłam za sobą drzwi do łazienki, Julian wyjrzał zza parawanu zasłaniającego biurko.

– Posmutniałaś. – Przyjrzał mi się uważnie. – Poczekaj, rozweselę cię. Zobacz, jak skaczą!

Jego głowa śmiesznie podskakiwała za parawanem z laki, policzki ruszały się w górę i w dół, a miny przy tym robił przezabawne. Jak niemowlak chlapiący łapkami wodę w wanience. Zaśmiałam się głośno i szybko zajrzałam za parawan.

– O nie! Ty oszuście! – Julian kucnął na biurku i jak narciarz to podnosił się, to opadał.

– Ty śpisz, a ja już dwa rozdziały zredagowałem. Było ci wygodnie na tej skórzanej kanapie? Nie lepiej w łóżku? Jeszcze chwila mi zejdzie. Przepraszam, ale muszę się spać i pojutrze oddać materiał wydawcy. Ostatnio dostałem lenia... – Julian przechylił się na krześle do tyłu i patrzył na mnie. Długo. Inaczej niż wcześniej. W jego wzroku było coś bardzo miękkiego. Coś, co kazało mi natychmiast podejść blisko i podotykać go tu i ówdzie. Zamknął oczy. Nie, o nic więcej mi nie chodziło. Tylko być blisko i przytulić go mocno do siebie. Od razu się wzruszyłam.

– Wydrukujesz mi kilka stron? Chętnie poczytam. Rwie mnie ta ręka jednak... Wskoczę do łóżka – powiedziałam, szybko odwracając twarz, żeby na pewno nie zobaczył moich łez. Pośpiesznie skryłam je w sypialni.

Na szerokim, dwuosobowym łóżu panoszyły się dwie niewielkie, ale mocno wypchane poduszki i dwie kołdry, całe w biało-zielone stokrotki. Bielutkie prześcieradła były z miękkiej satyny, czułam się miło, dotykając tej połyskującej materii. Pościel była dużo bardziej elegancka i strojna niż moje dotychczasowe marzenie – z łóżka walniętej Kingi.

– O, nie ma wertepów, prześcieradła naciągnięte... Normalnie jak kobieca pościel! Zawsze sam sobie ścielisz łóżka? Tak fachowo? – zachwyciłam się, gdy Julian pojawił się w drzwiach.

– Nie, sąsiadka. Pyta tylko, na ile osób przygotować. – Julian zaśmiał się głośno. Prowokator! A ja się denerwuję!

– Nie mogłeś mnie obudzić? – rzuciłam z wyrzutem. – I co jej powiedziałaś?

– Że na dwie. – Chichotał.

– Po co z nią na nasz temat rozmawiasz? Możesz skłamać. Powiedz dlaczego? – zdenerwowałam się. A może zabrakło mi poczucia humoru... Bo czy ja wiem, kto mieszka w tym budynku?

– Z uprzejmości. – Przewracał oczyma. Wzruszył ramionami w geście bezradności.

Do sypialni wchodziło się z przeciwnej niż do salonu strony korytarza. Nie była jakaś szczególna. Ściany pomalowano farbą w kolorze jaśminowej bieli, a wszystko wieńczyły ciemnobrązowe wykończenia. Szafy ciemnobrązowe i drewniane lampki. I na tym koniec. Rude taftowe zasłony sprawiały nocą, ale także w dzień, że o wszystkim, co działo się w tym miejscu, decydowała siła dotyku. W takiej ciemni niepewność, oczekiwanie i niecierpliwość wyrastały ponad przeciętność. To było jak miłość z zasłoniętymi oczyma. Przy zmysłach wyostrzonych do granic możliwości. Rana po psie mało dawała o sobie znać, gruby bandaż na ręce ją chronił, a poza tym delikatność i troska Juliana, by w ciemności ominąć to miejsce, też miały swój smak. Ciemność, cisza absolutna za zamkniętymi oknami i tylko

odgłosy naszych ciał, przyspieszone oddechy, a także dźwięki zachłannych pieszczot były afrodyzjakiem do potęgi n-tej.

Ciągle na niego czekałam. Mimo że był ze mną. Blisko. Bardzo blisko. Właściwie tuż obok. Pierwszy raz w życiu czułam, że zmysły moje stanęły na baczność i wyrażały pełną gotowość. Teraz. Już. Jak rekruci w wojsku. Że czuję każdy nerw, każde miejsce erogenne, że wiem, czego chcę. Moje ciało układało się w taki sposób, by przyjąć Juliana najpełniej. A nawet najdokładniej, jeśli to określenie nie jest zbyt perwersyjne. Pewnie jest, ale nieważne.

Życie moje! Rozpieszczaj mnie! Dotykaj. Mów.

Byłam całkowicie bezwstydną, co sprawiało, że uwolnione po wielu latach drzemki podniecenie podchodziło mi aż pod sutki. Chciałam brać. Tak, brać! A Julian znakomicie wiedział, co mi dać. I jak. Całował mnie, jakby chciał dotknąć ustami mojej duszy, a ja, mimo że zupełnie naga, chciałam rozebrać się jeszcze bardziej. A potem jeszcze zedrzeć z siebie kolejne lata, ubranie, a może przebranie... Otworzyć swoje ciało szerzej. Och! Jakie to wszystko było piękne!

Zaczynałam wierzyć, że nasz związek nie ma prawa istnieć jako układ. Porozumienie. Umowa. Że obowiązuje tylko od punktu „a” do punktu „b”. Chyba żeby dołączyć jeszcze „c”. I jeśli „to”, to „tamto”. Nie może być opisany. Ani krótkodystansowy. Nie! Tak w życiu nie bywa, że to, co ładnie się układa, jest piękne (a dla mnie na pewno takie było), stanowi tylko jakiś pokręcony związek ciał! A może to jest dużo? Nie! Czułam wielką tkliwość dla mojego Juliana, Juranda, Redforda, kochanka. I wiele dałabym, żeby to było wzajemne.

– Wiesz co? – Julian wkładał mi swój palec do ust. – Teraz jeszcze mniej mi się chce pisać. Potem fotografie muszę sformatować. I w świat! Przewodnik po Islandii ujrzy półki w księgarniach. Pomimo że podczas wyjazdu towarzyszyła mi wariatka, pseudomalarka, a potem tekst pisałem długo i z trudem, bo nie mogłem się jej pozbyć, do tego nadal mam innego rodzaju niedosyt w związku z tą książką, to jednak uważam, że ta wyspa jest znakomitym miejscem dla turystów szukających czegoś więcej niż tylko wygrzewania się w gejerze z kieliszkiem whisky w ręce.

Przełknęłam gładko tę informację. Aha. Wariatka. Pseudomalarka. Była. Długo się jej pozbywał. Dlaczego? I ciekawe, w jaki sposób...

Wieczorem byliśmy znowu zmęczeni. Ale nie sobą. Miłością, wysiłkiem, pożądaniem, erotyką, orgazmami. Wszystkim razem. Kolejność tej wyliczanki jest w zasadzie obojętna. Byłam prawdopodobnie najłatwiejszą kobietą na całym Sołaczcu, nie potrafiłam i nie chciałam stosować żadnych babskich sztuczek, żeby pokazać, że skoro on tak bardzo nalega... To ja coś dam i zaraz to z powrotem zabiorę. Nie. Chciałam fizycznej bliskości z Julianem i tej niemoralności, która mi się jakimś zrządzeniem losu przytrafiła. Polubiłam swoje ciało! Nareszcie! Teraz mogłam dotykać je bez zażenowania, a nawet więcej, dostrzegłam wreszcie, że skórę mam bardzo delikatną, napiętą, a piersi nabrzmiące i gorące. Sutki sterczały mi całe dni, dumnie głosząc bardzo wyraźny komunikat. Nawet brzuch po dwóch cesarkach też mi już nie wadził. I talia osiemdziesiąt plus. Lubiłam trzymać dłoń na podbrzuszu, które pulsowało w rytm skurczów miłości. Malowałam te drgania w myślach, jak elektrokardiogram maluje na papierze rytm serca. A Julianowi bardzo się to wszystko podobało. Że jestem siebie świadoma, że w pełni się akceptuję, że wiem, iż seksownym można być nawet z ułomnościami. Nasze zapachy mieszały się po raz kolejny. Niewątpliwie ciągnęło nas do siebie, a ze mnie schodziło seksualne napięcie kilku dziesięcioleci. Było mi nareszcie dobrze.

– To prześcieradło... Jestem z siebie taki dumny! – rzucił Julian z szelmowskim uśmiechem. Leżał na brzuchu, opierając głowę na moim podbrzuszu.

– Tak, zwiń je i idź, pokaż sąsiadce. – Byłam rozleniwiona, ale odchyliłam się do tyłu i zapaliłam małą lampkę. Ciepłe światło spłynęło na nasze nagie ciała, tworząc cienie i półcienie. Byliśmy bezwstydni, a przez to jeszcze bardziej zmysłowi i ułożeni jak z podręcznika Kamasutry.

– Tutaj wszyscy wiedzą, że strzelam w sam środek tarczy. – Spojrzał na mnie badawczo.

Prowokator! Znowu mnie straszysz!

– Może cały Poznań wie? – rzuciłam z przekąsem. – Jeszcze nie? To idź na Stary Rynek, wdrap się na wieżę i codziennie równo w południe pokazuj się razem z koziołkami!

– To jest dla mnie obraźliwa wizja, chociaż przyznaję, nie zawsze stawałem na wysokości zadania. To co? – zmienił temat. – Rzucisz pracę, zostawisz swojego żigolo i pojedziesz ze mną do Portugalii?

– Żigolo! Gdyby on to słyszał! Wiesz, tak się zastanawiam... Powiedziałaś kiedyś, jak byliśmy w Rzymie, że chcesz mi pomóc... Sam na pewno przyznasz, że nie jest to zwyczajne zachowanie. Myślę, że mi to zaproponowałaś, żeby zrównoważyć swoje kontrowersyjne, w kwestii uczuć, życie.

– Bajki! A dlaczego ty wróciłaś do matki? To, że wróciłaś, jest mniej ważne niż to, że w końcu z nią pozostałaś. Każdy coś równoważy. Jedni pomagając, inni szkodząc.

– Inne kobiety też finansowałaś? – zapytałam z niepokojem w głosie.

– Nie. – Odpowiedź była krótka.

Zastanowiłam się. Raczej nie kłamał. Poznałabym. A co do mojego powrotu do matki, to święta racja! Lubiłam nienachalny intelekt Juliana. Kontemplacyjny, jak seks z nim. Julian był taki... pociągający.

Potem usiadłam na łóżku i włączyłam komórkę. Oparłam łokcie na pupie Juliana i czytałam wiadomość od Marcina.

„Mamo, niedawno wyjechałem, a Ty już fiksujesz. Gdzie jesteś? Jak się czujesz? Pozbądźcie się wreszcie tego ohydneho psa! Babcia o Tobie mówi same złe rzeczy. I takie słowo na B, pewnie wiesz jakie...”

Uśmiechnęłam się. Tak, wiem. Bładź! Nieraz tak do mnie mówiła. Śmiałyśmy się potem z Zośką, w jak prostackich rodzinach musiałyśmy się wychowywać. Zośka dla swojej matki była z ukraińska sudyną, a ze mnie zrobiono wielkopolską bładź. Było mi bardzo przykro. Kiedyś. Ale potem już nie. Pierwszy raz czułam się żoną niedobłą. Występną i knującą. Zdradzającą. Tylko czy na pewno? Czyja zdrada była pierwsza? Czy zdrada w miłości jest gorsza niż oszustwo w kwestii innych małżeńskich umów? No cóż. Kłamstwo i wytłumaczenie samej siebie przychodziło mi z coraz większą łatwością. Zadzwoiłam do Marcina.

– Nie mogę teraz rozmawiać, czy możemy na jutro przenieść tę rozmowę? Wtedy będę w domu. Powiem ci, żebyś się nie martwił. Jestem w hotelu, ale błagam, nie mów o tym nikomu.

– Mój syn Piotr też próbował ingerować w moje sprawy po śmierci swojej matki. – Julian słyszał rozmowę z Marcinem, zresztą wcale się z nią nie kryłam.

– W końcu zrozumiał? A opowiedz mi o swoich dzieciach, przecież masz nie tylko jednego syna. Spotykacie się? Gdzie mieszkają?

– Jedna córka nawet niedaleko. Ale wiesz co? Może kiedy indziej o tym opowiem... Czy Piotr zrozumiał? Może. Trudno powiedzieć. Po śmierci matki wyjechał do RPA, ożenił się z Zuluską i od kilku lat nie rozmawiamy na takie tematy. Ślemy sobie tylko kartki na święta. Czasem zadzwoni albo ja do niego, dbam, żeby mieć jego numer pod ręką. Mam w komórce, ale też na kartce przyklejonej na lodówce. Spojrzę na numer i czuję, jakbym na Piotra patrzył. Czasami myślę o nim jak o sierocie, jego matka to jedyna moja żona, z którą się nie rozwiodłem. Piotr ma też mój ucieczkowy charakter. W razie czego, w ramach rekompensaty za niedogodności i niejako stratę obojga rodziców, to mieszkanie przeznaczyłem dla niego. On na razie o tym nie wie, ale... czy kiedyś to w ogóle doceni? – Julian zamyślił się i z melancholią w oczach popatrzył gdzieś w dal.

– Julianie, wydaje mi się, że ty się bardzo często tak dziwnie zamyślasz...

– Dziwnie? Zamyślałam się, bo jestem mężczyzną bardzo myślącym. – Julian znowu błysnął zębami w uśmiechu. I pocałował mnie w kark.

Testament

Po dwóch pięknych dniach musiałam wreszcie wrócić do domu, czego wcale mi się nie chciało czynić. Nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Byłam w takim momencie swojego życia, kiedy najbardziej zadowoliliby mnie zadawanie im bólu. Tak myślałam tamtego dnia. Przypominał mi o tym siniak nad okiem, wprawdzie mało widoczny, bo nieco przypudrowany. I rana na rękę, która jednak zaczęła się paprać. Chirurg w przychodni naciął ją i ponownie oczyścił. W gabinecie lekarskim śmierdziało ropą i zepsutą krwią. A ja złorzeczyłam. Według niego to nie był koniec zabiegów na nieżywej i żywej (niestety mojej) tkance. Wdało się zakażenie.

– Psy w swoich paszczach mają mnóstwo zarazków – zabawiał mnie rozmową, zadając jednocześnie ból. Skalpel jawił mi się jako urządzenie, którym i ja chciałabym móc się posłużyć. Oczywiście miałam swoich „pacjentów” do zoperowania. Dwoje. Najchętniej bez znieczulenia.

– To nie pies, to wilkołak – odpowiedziałam mu zbolałym głosem. Nie dla podtrzymania konwersacji. Raczej, żeby mniej czuć ból podczas chirurgicznego zabiegu.

– Człowiek ma w jamie ustnej zarazków zdecydowanie więcej – próbował mnie pocieszyć. – Gdyby któryś panią ugryzł, rana paprałaby się jeszcze bardziej.

O tak! Nieźle trafił. Rana od ukąszeń własnej rodziny paprze mi się już już któreś dziesięciolecie życia.

Wracając z przychodni, zajrzałam do agencji ubezpieczeniowej i kupiłam dwie polisy. Niewielkie. Ale jednak! Jedną w całości przeznaczyłam dla Juliana, drugą dla Bogusia i synów. Dlaczego to robiłam? W zasadzie zawsze byłam kolekcjonerką polis. W ten sposób objawiała się moja patologiczna dbałość o rodzinę. Do zakupu mógł mnie namówić nawet najgorszy agent ubezpieczeniowy. Niewykluczone, że także mógłby być niemy. Tylko dlaczego tym razem dokonałam tego zakupu? Tym konkretnym razem?! Impuls? Może... Wyrzuty sumienia? Niewykluczone. Na pewno w ten sposób chciałam się Julianowi odwdziaczyć. Za całokształt. Uwierało mnie jednak użytkowanie jego pieniędzy. A że dla Bogusia? Też mnie uwierało, tylko coś innego. Że w razie czego zostanie bez pieniędzy. Byłam jednak zażenowana swoją zapobiegliwością. A może głupotą?!

Na przystanku autobusowym szarzał tłum, choć nie była to jeszcze godzina szczytu. Pomyślałam, że muszę koniecznie wywalczyć miejsce siedzące, bo po zabiegach na ropiejącej ręce było mi słabo. I w ogóle. Przepelniony autobus podjechał nadspodziewanie szybko. Widocznie wcześniejsze wypadły z kursu. Byłam bardzo zadowolona z takiego obrotu spraw. To znaczy, że tak szybko przyjechał. Nie znosiłam korzystania z publicznej komunikacji, a jednocześnie całe swoje życie nie zrobiłam nic, żeby to zmienić. Chociaż nie, prawo jazdy kiedyś uzyskałam. I na tym się skończyło.

Drzwi autobusu otwarły się dosłownie przede mną, już przez okno wypatrzyłam, że zwalnia się miejsce siedzące blisko wejścia. Chciałam dać długiego susa, ale poczułam, że ktoś za mną beczelnie spycha mnie ze stopnia. Siła była tak wielka, że zachwiałam się na nogach. Wielka stopa w rozdeptanym, brązowym papciu była bliżej siedzenia niż moja. Nie! To moje miejsce! Wstąpił we mnie duch rywalizacji. Nie zważając na obolałą rękę, użyłam całej siły i dzięki sprytowi klapnęłam na wolnym miejscu szybciej niż opasły cham w wygnięcionym tanim garniturze i wielkim kapeluszu na łbie. Z daleka śmierdział ćmikami i cebulową bejcą do wieprzowiny. Zresztą tego dnia wszyscy pasażerowie mi cuchnęli!

– Co pani tak pcha dupę na to siedzenie?! Stratowałaby mnie! Co za niekulturalne babsko! Idiotka! – Cham łypał na mnie wściekłym okiem zza wielkich okularów ze śladami paluchów na szklach.

– Bardzo proszę się zastanowić, zanim użyje pan ponownie obelżywych słów! Jeśli wyjdzie mi jakiś

siniak, to się jeszcze spotkamy – zasyczałam. I bezczelnie odwróciłam twarz, ze śladem klapy z ciężkim mosiężnym uchwytem na powiece, w stronę agresora.

Usłyszałam, jak stukamy się zębami, podobnie do młodych wilków. Ale cham po chwili zamilkł!

„Drzwi zamykają. Się” – dobiegło z głośnika przy drzwiach charakterystyczne pouczenie, jak zawsze, z akcentem na „się”. I autobus ruszył.

Z radością umościłam się wygodnie na wywalczonym miejscu i z podobnie wielkim ukontentowaniem bawiłam się sytuacją. Że siedzę, a nie stoję w tłoku, bo jestem kobietą! Że wygrałam wyścig o miejsce z nieznaną zasadą *savoir-vivre*’u, bezczelnym typem. Że zwycięstwo odniosła norma zachowania, a przydał się siniak sprzed dwóch dni. Że musiałam tę oczywistość udowodniać, używając męskiej siły. Dosłownie! Pogryziona ręka rwała, ale to nic, bo ja spod oka obserwowałam wkurzonego do granic możliwości, choć już ugrzecznionego Kapelusznika z Dużym Łbem i Wielkim Dupskiem. Aż mi się lepiej zrobiło, gdy go tak nazwałam. Miło było patrzeć, jak stoi przyciśnięty przez tłum do okna, jak ociera pot z dużego łba, jak w końcu wyjmuje książkę owiniętą w porwaną gazetę i próbuje czytać! Kapelusznik, cham z wielkim łbem. I z dużym dupskiem! Ufff.

Wysiadłam z ulgą. Za płotem na skraju mojej ulicy nie zauważyłam tym razem dwóch wielkich psów, którym zawsze śmierdziało z paszcz. A mimo to wróciłam do domu i od razu zaatakowałam. Zabułgotałam podobnie jak te dwa wielkie psie agresory. Po pierwsze Boguś! Stało się! Byłam ogniwem w łańcuchu ludzkiej niewytłumaczonej niczym agresji. I ja też to potrafię! O razu naskoczyłam na niego z furią:

– Przed niczym mnie nie bronisz, nawet przed psem! Z uwagi na obronę własną muszę nocować poza domem jak bezdomna. Pieniądze niepotrzebnie wydaję.

– Miej pretensje do własnej matki, a nie do mnie. O co ci znowu chodzi? O drewniane pięć złotych?

„O co ci znowu chodzi?” tym razem nie obudziło tajfunu w mojej duszy! Zwróciłam uwagę na coś innego. Nie zapytał, gdzie byłam! Hurra! A może wcale nie „hurra”?!

– Są tacy, co twierdzą, że zwierzę trzeba by było natychmiast uspić! We wszystkich cywilizowanych krajach taki eksces w wykonaniu psa skutkowałby tym właśnie.

– Od razu uspić? Zgłupiałaś do reszty! No chyba że sama się tym morderstwem zajmiesz, bo ja na pewno nie będę robił krzywdy biednemu stworzeniu.

Szaki to bystre zwierzę, łąsił się do kolan Bogusia, na mnie łypał spod oka, ja na niego zresztą też, pokazując mu zabandażowaną rękę. Wywoływałam poczucie winy. Biedne zwierzątko! Też coś! Jaśnie pan Boguś nie będzie robił krzywdy biednemu zwierzęciu! A ja? Mnie co niby robi?! Może dobrze?! Hę?!

W tym domu były tak pokręcone relacje, że moje ciało na pewno gotowi byliby poświęcić na ołtarzu zbudowanym dla psiej ekstazy. Albo na przykład na karmę. Może wyolbrzymiałam wszystko, ale nie mieściło mi się w głowie, że dobro Szakiego jest ważniejsze niż moje.

– Toteż kupiłam dzisiaj polisę na życie, jakby co. Będzie w segregatorze z rachunkami – kontynuowałam poprzednią myśl. – W razie, gdyby mnie zagryzł na śmierć!

– Znowu jakimś krwiopijcom dajesz zarobić! O nas myśl, zamiast tracić kasę na korporacje. Tam utknie w niezidentyfikowanej kieszeni i tyle ją będziesz widzieć!

Boguś... ach, nieważne, co chciałam powiedzieć. Nie warto. A może warto wykrzyknąć, że mój mąż wypracował sobie taki komfort, iż może pod czarnymi przylizanymi kłakami całe wolne dni gromadzić szeroką wiedzę z różnorodnych dziedzin. Po czym nie robić z niej żadnego ekonomicznie korzystnego użytku!

– Krzysiek i Marcin są na niej uposażeni po równo, po czterdzieści procent. No, a dla ciebie jest reszta.

– Dwadzieścia procent dla męża?! Przy pełnej wspólnoty małżeńskiej? To nie jest sprawiedliwe! Co ja zrobię z taką lichą kwotą?!

– To już nie mój problem. Zresztą, w razie czego proszę mnie skremować i rozsypać z Giewontu, gdy już mnie doszczętnie wykończycie. Na trumnie zaoszczędzisz.

– Daj spokój! To żeś wymyśliła! Ja na pewno nie będę tak wysoko się wdrapywał. Poza tym jest coś takiego jak ochrona środowiska! Żeby w tak czystym, naturalnym środowisku jakieś popioły rozsypywać? Za to przecież można mandat zapłacić! Wybij to sobie z głowy!

– Ha! Czyli jednak rozważasz moje wcześniejsze odejście?

Czasem warto zainwestować! Jednak bardzo często taka inwestycja może nie przynieść pożądanego materialnego efektu. Niestety!

Mazurki Chopina

Po siedmiu dniach choroby przyszło mi zakończyć dni bez firmy, ale o tym wiedział tylko Julian. W okresie zwolnienia lekarskiego codziennie grzecznie wychodziłam z domu około ósmej, a Julian u siebie czekał na mnie ze śniadaniem. Zaczęłam się zastanawiać, że jeśli ktoś tak dba o drugą osobę, to musi to być jakiś kant. Lub... No właśnie, co? Szukałam symptomów głębszego uczucia. Bo że u mnie takowe się buduje, to wiedziałam od pierwszego seksu. Jednak kobieta, idąc z facetem do łóżka, tworzy jakiś zalążek gniazda, jak ta sroka na mojej sośnie. Ma nadzieję, że razem z samcem wybuduje coś na zimne dni, przeczuwa owo „coś więcej”. A on? Niezależnie od wszystkiego, ta dbałość o mnie, ofiarowywanie tego, co tylko bym chciała (a chciałam niewiele), wreszcie snucie wspólnych planów dawało mi wielką nadzieję. „Chociaż – myślałam często – jeśli się zachłannie i zaborczo oczekuje miłości, można zepsuć związek przyjacielski, który jest generalnie fajny i bardzo partnerski w większości aspektów”.

Marzyłam, by Julian się do mnie przywiązał, jeśli nie potrafił kochać... Żeby chociaż poczuł, że nie potrafi beze mnie żyć.

W Mieteksie wdepnęłam od razu w tak zwaną gęstą atmosferkę. Zaczynała mnie drażnić. Kiedy przeciwstawiałam Mieteksowi własny dom z Bogusiem i Krystą na czele, ten pierwszy jawił mi się jako azyl, miejsce pracy kulturalnych ludzi. Odkąd poznałam Juliana, zaczęłam zauważać coraz więcej wad tego przybytku. Rozmawialiśmy na ten temat kilka razy. W końcu poznaliśmy się w dniu, w którym pojawiła się możliwość wylania mnie z pracy... Juliana moja niechęć do firmy nie zmartwiła, wręcz przeciwnie, chyba nawet ucieszyła. Już planował, że będę czytać to, co pisze, że będziemy razem fotografować, przetwarzając zdjęcia. Wszystko wspólnie? Ależ to jest budowanie gniazda! Kiedy ktoś kogoś kocha, chce być zawsze w pobliżu, dotykać drugiej osoby, czuć jej zapach, podpatrywać. Zastanawiałam się, skąd u Juliana takie plany. Co go we mnie pociąga? W takiej szarej myszy, do tego w parze?

– Coś dzisiaj jest na rzeczy z Czesią, ma porządnie wąsa wygolonego – doniosła mi Gośka. – Za to Bernardowi kłaki z uszu i nawet z nosa wystają. – No cóż, Gośka była jak zwykle na bieżąco!

– O matko, czy to jest ważne?! – krzyknęłam. Ale się opanowałam, bo przemknęło mi przez głowę, że Rafał mógłby stać za drzwiami i podsłuchiwać. I wyszłoby, że jestem nie dość że „przez psa pożarta”, to jeszcze kłótniwa! Czyli nie nadaję się do pracy w zespole!

– Nie wiem, czy ważne, ale śmieszne. – Gośka wzruszyła ramionami.

Nie chciało mi się kontynuować tego dialogu. Czczej gadaniny! Bo jak ktoś może mieć tak błahe problemy, kiedy moje mnie przerastają!? Cała zgraja wypasionych świniaków wisi mi na plecach, nierozwiązany mam problem moralny z sierściuchem i do tego jeszcze trafił mi się romans!

Ponadto zbierałam się na naradę.

– Ładnie mamusia i niepracujący mąż wychowali pieska, co? – Gośka patrzyła na grubą bandaż na mojej ręce. W zasadzie wystawały mi tylko palce, a wyżej dopiero łokieć. Miała minę odkrywcy tuż przed upublicznieniem jego odkrycia. Amundsen mieteksowski, mały bzdet na żabich odnóżkach coś tam zamamrotał?! No, zamamrotał!

– Dam do uspienia, skoro głupi. I kupię sobie kota! – burknęłam.

– To piesek winien?! A mamusia i niepracujący mąż nadal będą beztrzesko hasać po świecie i ssać z pani krew bezkarnie?

– Oni się sami już dawno uspieli!

Po co to powiedziałam? Za późno, by się wycofać, za późno, by odkręcić... Zawstydziałam się. Tylko chwilę czułam się głupio. Bo czy to ja powinnam się wstydzić i tłumaczyć...? Nie. Włączyłam komputer, nie dbając, że Gośkę, która już szykowałą się do wyjścia, zatrzymały moje wynurzenia. „Stop. Basta. Sorry” – powiedziałam sobie w duchu. Nie chciałam już z nią rozmawiać, wolałam pobuszować w swojej skrzynce pocztowej. A tam znalazłam jękliwy e-mail od Jerzego:

„Elu. Zawiodłem się, gdy nie zastałem wiadomości w poczcie. Ale poczekam cierpliwie. Jutro będę do szesnastej pracował i wyglądał e-maila od Ciebie. Jurek”

Zrobiło mi się żal tego faceta. Czyjegoś męża. I ojca najprawdopodobniej. Tak bardzo błagał o kontakt ze mną. Tak prosił, niestrudzenie, konsekwentnie... Bez chwili zwątpienia. Pomyślałam, że na pewno musi być bardziej samotny niż ja, kiedy jeszcze nie znałam Juliana. Napiszę do niego na pewno, może wieczorem... Napiszę. Altruizm był moją największą wadą.

Po południu Jęchorek zaprosił Rafała i mnie do swojego gabinetu. Rafał znowu rozpoczął swoje narzekania, że musimy nadal obniżać koszty wynagrodzeń. Ciekawe, po co przyjął niejakiego Krzysia, który drugiego dnia pracy się rozchorował i od tamtej pory na oczy go już nie widziałam. Tego było za wiele. Byłam pewna, czułam wręcz, że zbliża się dzień, kiedy kolegialnie mnie wywalą. I z radością zatrą swoje mdłe łapki. A jeśli mnie teraz wywalają, to ja im powiem, co myślę o ich hipokryzji. Nie chciało mi się już tropić, komu bardziej na tym zależy, Rafałowi czy Jęchorkowi. Obaj byli siebie warci. Jęchorek z nieodłącznym uśmiechem na wyposzczonej twarzy konsekwentnie sugerował, że jeśli chodzi o niego, to moja osoba jest firmie niezwykle potrzebna. A ja przyjmowałam tę wersję. Rafał zaś dowodził, że to Jęchorkowi zależało na przekazaniu moich spraw na zewnątrz. I tę wersję także przełknęłam gładko. Niemożliwe? A jednak. Tyle że na krótko.

Koszty wynagrodzeń, oszczędności, srata tata. Wałkowali to przez pół godziny, aż w końcu mnie poniosło. „Powiem im! Tak! Wreszcie powiem, co myślę, bez cenzury” – postanowiłam. Skąd miałam odwagę? Czy do tego potrzebny mi był związek z Julianem? A może już na samym początku, godząc się na ten z nim „układ”, miałam na względzie pozbycie się obciążeń wynikających między innymi z prozy mojego spieprzonego życia. Że musiałam sama...? Wszystko sama.

Zwróciłam się w stronę Rafała, który zielonym, plastikowym długopisem jeździł sobie po zębach. I z języka robił rurkę. Żeby co? Wetknąć w nią ten obgryziony długopis? Ohyda!

– Myśli pan, że ja muszę tutaj pracować?! Wcale nie muszę. Naprawdę nie muszę. Chcę, to jest właściwe słowo – powiedziałam dość głośno.

– Pani Beciu, proszę ciszej, młodzieź słucha... – prawie wyszeptał Jęchorek. Wzruszyłam ramionami.

– Tych wszystkich młodych możecie nadal traktować jak głupków, bo się boją, że stracą pracę. A jeśli nie ma się doświadczenia, to o pracę trudno! Ale oni za chwilę będą je mieli, bo Mieteks im to właśnie daje! O paradoksie! Oni Mieteksu do tego właśnie używają! I za chwilę powiedzą „bye”, a może nawet coś gorszego – mówiłam coraz głośniej, nie odnosząc się wcale do prośby Jęchorka, który siedział nieruchomo i uśmiechał się jak Gioconda. Albo jak moja siostra Aga. Identycznie.

Jęchorek zawsze krył się za poglądami kogoś innego. Moja siostra za plecami matki. Gioconda za kim – nie wiem. Mogli się śmiać. Czy uśmiechać? Świat jest pełen ludzi znakomicie zarządzających sytuacją z drugiego szeregu. Ja niestety zawsze sterczałam w pierwszym. I dostawałam w łeb. Nieraz.

Rafał otworzył szerzej paszczę, jakby ziewał, ale nie. Wyjął z ust zielony długopis i wstał. Zaczął chodzić, a ja zastanawiałam się, czemu portki od garnituru wiszą na nim jak na wieszaku. Raczej nie schudł, pewnie za duże kupił. Może liczył, że się na tej prezesurze upasie!

– Proszę się uspokoić, pani Beciu. No już! Pani ma tylko te swoje sprawy organizacyjne i finansowe, a ja, kurwa, całą firmę! Stu ludzi czeka na wypłaty! – Rafał argumentował takim tonem, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Tak, tak, wypłaty bolą pana najbardziej...

– Może napije się pani wody – wtrącił się znowu Jęchorek. Do odtwarzacza włożył CD z mazurkami Chopina.

Bolała mnie ręka. Ale ja dalej... swoje... Gestykulowałam. Potem odwróciłam się w stronę Jęchorka. Staralam się w jego oczach odnaleźć isierki wzajemnej więzi. Wyczytać przyjaźń. Daremnie. Poczułam, że nie ma już między nami tej relacji, która kazała mi trwać w firmie całe dwanaście lat. Wiek. Jeśli oczy nie kłamią, to moje na pewno wyrażały to samo co jego.

– Nie chcę ani wody, ani herbaty! Chcę teraz powiedzieć to, co powinien pan już dawno ode mnie usłyszeć – oświadczyłam, patrząc Jęchorkowi prosto w twarz. Bezczelnie. – Tutaj, w tej firmie, nic nie działa. Oszczędności? Ktoś tutaj robi oszczędności? Ach, cofam to, zapomniałabym, pan razem z Rafałem oszczędzacie, zwalniając ludzi.

– Pani Beciu, proszę się napić... Dobrze się pani czuje... Woda jest dobra na nerwy. – Jęchorek wciskał mi w rękę szklankę z przezroczystą cieczą.

– Nie, dziękuję. Nie będę nic piła, bo się zachłysnę! – Po chwili wróciłam do poprzedniego wątku. A raczej do aktu oskarżenia, bo tak właśnie powinnam to nazwać! Formułowałam najnormalniejszy w świecie akt oskarżenia! Najpierw dla Jęchorka: – Oszczędzacie! Tak! Po czym, gdy zgłosi się do pana jakiś były pracownik i trochę lepiej się do pana uśmiechnie, a następnie powie, że ma trudną sytuację, to pan, oczywiście, nie patrząc na kondycję firmy, śpieszy mu z pomocą. Tylko że jednemu, co żebrze, pan pomoże, a w to miejsce dwóch innych zwolni! A wystarczy pomyśleć, że ci, których pan zwalnia, mogą mieć jeszcze trudniejszą sytuację! A są na przykład zbyt dumni, żeby się żalić.

– Pani Beciu, proszę się uspokoić. Pan Krzys przejmie wprawdzie część pani obowiązków, ale dla pani zawsze jest w naszej firmie miejsce.

Jęchorek z dużej butli jedną ręką znowu nalewał do szklanki wodę, tak jakby zapomniał, że na stole stoi druga, nietknięta. Nie patrzył na mnie. Drugą ręką nastawiał głośniej Chopina. Fortepianowe akordy wbijały się w mój mózg jak gwoździe w gipsową ścianę, Chopin niewątpliwie zmierzał do finału. A ja otrzymywałam zamiast dźwięku szpile. Rafał usiadł i swój zielony, poobgryzany długopis wsadził znów głęboko do ust. Wystawała tylko niewielka jego część. Gryzł go zawzięcie czy ssał? A jaka to właściwie różnica? Też na mnie nie patrzył. Ani na długopis. Zresztą, gdyby patrzył na długopis, który ledwo wystawał mu z ust, dostałby zęza. Zaczęłam się martwić, czy nie porysuje sobie migdałków. Znowu zrobił się czerwony na twarzy, więc może...

– Ty też się, Rafał, wody napij – poradził mu Jęchorek. – Chcemy, pani Beciu, żeby niektórzy nasi pracownicy przeszli na samozatrudnienie. Panią też braliśmy pod uwagę. Co pani o tym myśli?

– Ja myślę, że to świetny pomysł. – Siedziałam wyprostowana jak nigdy, pewna siebie, wyluzowana. Górowałam nad nimi. Choćby opalenizną. Byłam pewna, że to ja rozdaję karty. Że to ja zadecyduję o samej sobie. Nareszcie. Przecież dobry, zacny i kolorowy świat nie składa się wyłącznie z biurw! Nie ma też takiego pojęcia jak „międzynarodówka księgowych”!

– No widzi pani! Po co się od razu denerwować? – Na bladej twarzy Jęchorka pojawiło się ożywienie. I ślad niewielkiego rumieńca.

– Właśnie z uwagi na to, żeby się już nie denerwować i nie słuchać o kosztach mojego wynagrodzenia, sama się zatrudnię. Ale już nie w Mieteksie! – Wstałam, wyszłam i rąbnęłam drzwiami.

Coś głucho klapnęło, Czesia oberwała drzwiami w brzuch. Jak zawsze podsłuchiwała. Mieteks to wielka kraina podsłuchu. Kraina marzeń o wiedzy potajemnej. Ale tym razem nie było to ważne, bo zaintrygował mnie pakunek w ręce Czesi. Nieregularna paczka, owinięta w papier w serduszka. Czesia potrząsała moją łapą (po babci Antosi) i odciągała w stronę wyjścia z biurowca. Za drzwiami na parking podała mi zawiniątko. Rozerwałam papier i wtedy moim oczom ukazała się wielka Baba-Jaga z równie dużą miotłą! Skwaszona gęba kukły była podobna do mojej, blond rozdwojone kłaki wystające spod jej chusty też coś mi przypominały. Roześmiałam się, bo nigdy wcześniej nie utożsamiałam się z tą kukłą bardziej, niż tego właśnie dnia.

– To order, za wolę walki – szeptała. – Powiem pani w zaufaniu, że oni już dawno zamierzali panią zwolnić. Słyszałam kiedyś, jak Jęchorek opieprzał Rafała, że tego jeszcze nie zrobił. Że dupa jest, a nie prezes. Zresztą miał rację! Trzydziestego pierwszego sierpnia dadzą pani papier, już dzisiaj go pisałam. Niech pani się nie martwi, to są świnie! Hipokryci! Krętacze! Nie ma czego żałować. Mnie też pewnie niedługo wypieprzą na pysk, a tyle im służyłam.

Był dwudziesty dziewiąty sierpnia dwa tysiące dziewiątego roku.

Pożegnanie zasłużonej

Trzydziestego pierwszego sierpnia wstałam bardzo wcześnie. Noc w zespole nie przeleciała mi szybko, nawet nie wiem kiedy. W końcu połknęłam przed snem dwie tabletki uspokajające, oprócz tego wypijałam melisę i głóg. I na wszelki wypadek dołożyłam sobie jeszcze cztery wielkie tablety magnezu.

Na dworze świeciło słońce. Przeciągnęłam się, nic mnie nie bolało. Nie czułam się zdenerwowana. Ani też nie wkurzałam się podmuchem zbliżającej się jesieni. Nawet odczuwałam jakiś dziwny luz. Jedno się kończyło, a drugie zaczynało. Dosłownie. Juliana poznałam, gdy dotarły do mnie słuchy co do przyszłości (a raczej braku) mojej posady. Już nie zależało mi na niej tak jak kiedyś, w mojej głowie opadła jakaś zasłona. W zasadzie poddałam się biegowi wydarzeń. A może to była rezygnacja, wżarta w mój charakter jak brud w terakotę w naszej kuchni? Może pasywność? Pewnie tak, bo to było zawsze jedno z bliższych mi uczuć. Szczególnie jeśli szło o rodzinne powiązania, a zwłaszcza zobowiązania. Zastanawiałam się, jak przyjąłabym decyzję, że odchodzę z pracy, gdybym nie poznała Juliana. Prawdopodobnie kiepsko.

Na krześle obok mojego łóżka wisiała grafitowa garsonka i wrzosowa, koszulowa bluzka. Na siedzeniu krzesła leżały cieniutkie grafitowe rajstopy i liliowa, koronkowa bielizna. Na podłodze postawiłam jasnopopielate sandały na niewielkim obcasie. „Niech w końcu zobaczą, że zwalniają kobietę z klasą” – pomstowałam w myślach. Przesilenie niewątpliwie minęło. „Zresztą – myślałam – życie na pewno stworzyło tę sytuację w jakimś celu. Dla mnie. Żebym, kurde, wreszcie pomyślała”.

Krysta przyglądała mi się z wrodzoną arogancją.

– Wszystkie twoje garsonki są jak dla chłopca szyte – fuknęła. – Jedna sąsiadka mi ostatnio powiedziała, że ty nawet chodzisz jak muszkieter. Powiedziałam jej, że czasami aż się ciebie boję! Zresztą, ja stara, a niektórych twoich butów bym nigdy nie włożyła. – Temat ślicznej liliowej bluzki oczywiście pominęła.

– Ty się mnie boisz?! A to dobre! Chyba jednak jest odwrotnie. Jeszcze brakuje, żebyś głupoty sąsiadom opowiadała! Pies dostał? – zapytałam z przyzwyczajenia, bo rudzielec już mnie absolutnie nie interesował. Chyba że chodziłoby o maleńki zastrzyk, po którym...

Wyszłam za drzwi, nie czekając na kolejny paszkwil ze strony własnej matki. Zamówiłam taksówkę, choć zdawałam sobie sprawę, że ostatnio zbyt często korzystam z tego rodzaju luksusu. Ale co tam! Nie codziennie mnie zwalniają, więc przynajmniej podjadę z fasonem! A nie przyczłapię w błocku jak jakaś nizina!

Przed biurowiec przybyłam mocno spóźniona. Nie przejęłam się zbytnio – w końcu jakie to może mieć teraz znaczenie? Wsiadłam z taksówki i od razu wpadłam prosto na Jęchorka i Rafała. Stali przed biurowcem jak portierzy w Cegielskim. A ze trzy metry dalej, przed jedyną na terenie popielnicą, tłoczyli się wszyscy palacze firmy, nic sobie z Jęchorka i Rafała nie robiąc. Ha!

– No, nareszcie jest pani! Martwiliśmy się. Czy coś się stało? Już prosiłem Rafała, żeby do pani zadzwonił.

Czy ja na pewno dobrze Jęchorka usłyszałam? Hipokryta! A ja mu tak wierzyłam! Zrobią wszystko, żeby wyszło, że są cacy. Takie stworzą pozory, że nawet ja się pogubię! Ja, Beca, kobieta z ponadprzeciętną intuicją.

– Widać, że wszystko jest dobrze, szefie. W końcu, kurwa, tak eleganckiej Beci to ja jeszcze nie widziałem. – Rafał gwizdnął.

– Czasem trzeba – bąknęłam. I wzruszyłam ramionami. Weszłam do budynku, zostawiając ich lekko

oślupiałych.

„Cwaniaczki jedne – myślałam, wchodząc do swojego pokoju. – Rysie zarządzania zasobami ludzkimi! Specjaliści od szybkich i spektakularnych zwolnień! Nie dam im tej satysfakcji. Odejdę z fasonem. Nie jako jedyna żywicielka rodziny! Jako gazela! I na pewno nie wrócę błagać, żeby mnie znowu przyjęli!”

Usiadłam przy biurku, włączyłam komputer. Postanowiłam, że wykasuję rzeczy zbędne oraz przegram swoje prywatne zdjęcia i pliki. Po co mają się gapić na moich udanych syneczków i śliczną synową? Na płytkę wrzucę też wszystkie Power Pointy. Potem polatam po Internecie, jakoś dotrwam do końca tego dnia. I na pewno nie dotknę już niczego, co jest związane z Mieteksem!

Po chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi. W zasadzie skrobanie w drzwi. To Jęchorek wsunął się do pokoju.

– Pani Beciu, stało się coś? Rozmawialiśmy z Rafałem, że musieliśmy zapomnieć o pani imieninach, a może urodzinach? Tacy zabiegani jesteśmy. Ale Fredek przypomniał nam w końcu, że w tym roku już obchodziliśmy te uroczystości. – Jęchorek usiadł ostrożnie na brzeżku krzesła naprzeciwko mnie i omijał mnie wzrokiem. Mnie mdliło i piekło w dołku, a w gardle czułam zgagę.

– Nie, nic takiego. Wszystko w porządku.

– To dobrze! Cieszę się... Bo chcieliśmy pani pomóc. Firmę trzeba przeorganizować, a sama pani mówiła, że nie wiąże swej przyszłości z Mieteksem. Ale mamy nagrodę. Pani Beciu, to jest wielkie wyróżnienie! Otrzyma pani rekompensatę od firmy w postaci sześciomiesięcznego wynagrodzenia i ekwiwalent za niewykorzystane urlopy. Trochę się tego uzbierało. Będzie pani mogła sobie odpocząć! Po świecie pojeździć. To jest dla pani nowa szansa!

Mnie pomóc, tak, uwielbiam te nowoczesne, pokrętne, obłudne gadki. To się dopiero okaże, czy mi pomogli. Ode mnie to będzie zależało, tylko ode mnie! Szansa! Gdy znajdę dla siebie lepsze miejsce w życiu. Gdy się wreszcie pięknie umoszczę. Wtedy dopiero powiem, że mi pomogli.

Paradoksalnie poczułam wielki luz, wolność, z której miałam zamiar w pełni skorzystać. Dwanaście lat to bardzo długi okres, za długi, by poświęcić się dla jednego tylko środowiska. A jednak trochę było mi żal...

Nie dotrwałam do końca dnia roboczego. Po godzinie spakowałam swoje kubki, resztkę cukru, słoik z kawą, solniczkę w kształcie cebuli, potem pożegnałam się z mieteksiakami, odebrałam świadectwo pracy, a na końcu zamówiłam taksówkę.

I pojechałam na Sołacz. Z taksówki zapowiedziałam się bezczelnie.

Julian stał w drzwiach z dwoma kieliszkami szampana w ręce.

– Świętujemy finisz etatu! Jesteśmy teraz dwoma wolnymi strzelcami! Pasuje mi taka sytuacja, nareszcie będziesz miała więcej czasu dla mnie! – tymi słowami przywitał mnie mój Redford i nadal w jakimś stopniu Jurand, kiedy przekroczyłam próg jego domu z mocnym postanowieniem, że oto nadszedł czas, bym wreszcie odważyła się zmienić całe swoje życie.

– Szefowie zapomnieli się ze mną pożegnać. Mieli wrócić do firmy po piętnastu minutach, ale nie wrócili. Dali mi cmoka w nos. Zresztą wiedziałam, że tak właśnie będzie... Niedawno Jęchorek z pompą żegnał sprzątaczkę, woźnego, dozorczynię. A na pogrzeb największego firmowego pijaka po podstawówce pojechał z kwiatami. Swój wieniec w pierwszym szeregu niósł. Przemawiał. A Rafał? Nie lepszy! Firmowego złodzieja z powrotem przyjął, tak mu współczuł. Natomiast ze mną zapomnieli się pożegnać... Dwanaście lat dla nich pracowałam... I zapomnieli! Życie mi się jednak w ogóle nie udało... – ubolewałam nad sobą rozgoryczona.

– No masz! Widzę, że muszę cię wyciągnąć z pesymizmu! Marsz do sypialni!

Parsknęłam. Rozśmieszył mnie i skierował moje myśli do innego korytarza. Jakby szerszego. W zasadzie nie miałam cwaniaczkom z Mieteksu niczego za złe, jedynie to, że byli szefami, a ja szarą,

najemną siłą. Przecież... nie mogłam już dłużej patrzeć na anemiczną twarz Jęchorka ani czerwoną facjatę Rafała, zresztą ten ostatni często wyglądał, jakby przeżył samozapłon paliwa w maluchu. Teraz mogłam już i tak myśleć!

Wieczorem obwieściłam nowinę także w patologicznym domu. I to, że mam zamiar zacząć pracę na własny rachunek. Boguś spojrział na mnie przerażonym wzrokiem, jak mi się zdawało, a Krysta skwitowała to tonem jak zwykle:

– Ty? Szybko przesrasz ten biznes!

*

Jak porządki, to porządki! Jak przesrać, to przesrać! Kilka dni później postanowiłam zrobić czystkę na polu zleceń. Kinga. Niech sobie znajdzie kogoś innego do współpracy. Możemy zostać przyjaciółkami, ale wyciąganie od niej pieniędzy i zmuszanie mnie szantażem do wysłuchiwania jej obrzydliwie nudnych opowieści już mi nie pasowało. Przestała być dla mnie atrakcyjna. Wolałam spędzać czas z Julianem, tym bardziej że zapowiadało się sporo wspólnej pracy.

– Kingo, mogłybyśmy się rozliczyć? Nie mogę prowadzić już twoich spraw, bo sytuacja mi się zagmatwała. Nie będę miała czasu – palnęłam przez telefon.

– Jak ci się zagmatwała?! – pisnęła Kinga, wyraźnie niezadowolona.

– Z pracy mnie wywalili i muszę znaleźć coś nowego.

– Wywalili cię z pracy, a ty rezygnujesz z dodatkowej kasy? Porąbało cię? Jakich to grzybów trzeba się najeść, żeby tak odbiło?! Jak chcesz, ale nie myśl, że jesteś jedyna! Jutro będę u ciebie, to poproszę, żebyś przygotowała i przekazała mi wszystkie dokumenty. – Ton Kingi był mało przyjacielski. W zasadzie był to modelowy sposób na obwieszczanie takiemu gównu jak ja, która z nas dwóch moderuje listę płac.

Następnego dnia wpadła zaraz z samego rana.

– Ty mnie jednak zadziwiasz, ale w okresie klimakterium niejedna już sfiksowała. Niech będzie. Tylko żebyś mnie potem nie prosiła o powrót do współpracy, bo jeśli teraz przekazę swoje sprawy do biura podatkowego, to potem już żadnej rozmowy nie będzie.

– Zostało do zapłaty tysiąc dwieście złotych. Najlepiej, gdybyś przelała mi je na konto. Przelejesz? – zapytałam tonem jeszcze przyjacielskim, ale trochę już narzucającym moją wolę.

– Oczywiście, jutro rano – rzuciła mi Kinga już zza drzwi.

Jej głos brzmiał jak miauczenie kota. Z takim cienkim i załamującym się mezzosopranem nigdy nie mogłaby śpiewać bluesa. Odetchnęłam głęboko, poczułam się wolna i dotleniona, jakby mi ktoś podał grubą rurę z tlenem. Wyjrzałam oknem. W ogrodzie kwitły astry, ogromne krzaki prawie takiej samej wielkości, jak przeszło dziesięcioletnia trzmielina. Różowe, bordowe i pałowoczerwone. Choinki też podrosły przez to wilgotne lato, jeszcze rok i zasłonią mi widok na tańczących sąsiadów, a za dwa lata będą dotykać elektrycznej linii napowietrznej. Trzeba je koniecznie wyciąć. Może na gwiazdkę się uda, to już niebawem. „Naprawdę zbliża się jesień” – pomyślałam kolejny raz, gdy usłyszałam pierwszy w tym sezonie jazgot odlatujących gęsi. Zamknęłam okno. I schroniłam się przed światem, przed jesienią i przed histerycznymi odgłosami ptactwa jak zawsze w stróżówce po Marcinie.

I tam, a także u Juliana, upłynął mi kolejny miesiąc.

Świat jest taki piękny

Julian i ja siedzieliśmy przy stoliku w miłej kameralnej tawernie w starej części Lizbony. Był wieczór, ale tutaj dopiero zaczynało się życie, tym bardziej że rozpoczynał się też weekend. Było ciepło, bardzo przyjemnie ciepło jak na początek października. Ciemnowłosy kelner przyniósł kartę. Zapalił małą lampkę na stoliku. Dobrze się tutaj czułam. Patrzyłam miłośnie w zupełnie ciemne oczy Juliana. Zawsze lubiłam facetów z brązowymi oczyma.

– Odwlekasz decyzję zarówno co do psa, jak i co do Bogusia. Psem mogę się zająć – zaferował. – Schronisko albo fiolka, ostatecznie weterynarz, ale to droższa impreza. Uśpienie trochę kosztuje. Nie ma problemu. Nie mogę cię zrozumieć, jak można zajmować się zwierzęciem, które ma mordercze instynkty. Myślisz, że to jest humanitarne? A jak nie dopilnujesz i zagryzie jakieś dziecko?

– To nie jego wina. Krysta go psuje.

– Krysta, Krysta. Pozwoliłaś się od samego początku prowadzić na pasku. Stałaś się ofiarą tych wszystkich frustratów. Jak mogłaś?! – Kręcił głową z niedowierzaniem. A po chwili się uśmiechnął. – Dobrze. Pozwól, że zaproponuję ci specjał tutejszej kuchni. Myślę o *bacalhau á gomes de sá*. Do tego jasne *porto envelhecido*. Może też *café com leite*?

– Oj, przetłumacz mi to, proszę, od razu.

Wiedziałam, że Julianowi podoba się, gdy doceniam jego językowe umiejętności. Jak większość mężczyzn był łąsy na komplementy. A ja lubiłam podkreślać, że szanuję jego sugestie i porady.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnął się przekornie. – Chodzi mi o to, że nie tupnęłaś nogą swojemu przydupasowi, a z matką nigdy nie ustaliłaś prostych reguł. Że oto jesteś, masz zamiar zabić jej samotność, ale to nie znaczy utrzymywać. Ona ma robić coś, a ty drugie coś. I potem tylko to egzekwować.

– Julianie, mnie nie o to chodziło. Przetłumacz, co będziemy jedli.

– A więc chodzi o dorsza pieczonego w szklanym naczyniu z cienko pokrojonymi ziemniakami i cebulą. Do tego dodaje się jajka na twardo i czarne oliwki. Pycha. Do picia zamówiłem porto, jedno ze słabszych, jasne, i kawę z mlekiem. Z zupy zrezygnowałem, bo są za ciężkie jak na mój gust.

„Julian jest bardzo ujmujący, czarujący, stara się i w ogóle...” – myślałam, obserwując go dyskretnie. Minął kolejny miesiąc naszej znajomości, a ja wiedziałam z całą pewnością, że nadal bardzo lubię przebywać w jego towarzystwie. Gdyby nie on, nigdy nie wiedziałabym, że na świecie szyją piękne kiecki, że bielizna ma różne kolory i rozmiary, że małe koronkowe gateczki są prześwietne. I wcale mi się nie wrzynają w pupę. Poza tym nie jest w nich zimno.

Znakomicie czułam się w seledynowej sukni w drobny wzorek kwiatowy. To jedwabne portugalskie чудо było bardzo skromne w swojej konstrukcji. Delikatna, opływająca tkanina pozwalała, by dół falował przy najdrobniejszym nawet ruchu. Żył razem ze mną. Do kompletu włożyłam sandały z materiału imitującego jedwab w identycznym jak suknia kolorze. Podobna w tonacji była też torebka, którą sprezentował mi Julian. A szal! Delikatny, kremowy szal, także jedwabny, otulał moje ramiona jak ciepłe portugalskie powietrze za dnia.

Wiedziałam, że wyglądam świetnie. Tym razem nie spięłam swoich marchewkowych włosów, pozwoliłam im swobodnie opadać i kusić mojego towarzysza. Tak, zdecydowałam się na ten półśrodek i, co ważne, polubiłam kolor, który dominował. A w zasadzie krzyczał! O paradoksie. Bo nie miałam odwagi użyć kasztanowej farby. Zdecydowanie bardziej spokojnej niż marchew na mojej głowie!

Wszystko to razem sprawiało, że czułam się o co najmniej dziesięć lat młodziej. Kto by zresztą

myślał w takiej chwili o wieku? Jasne porto, intelektualista u boku, jednocześnie kochanek emanujący seksem, plus gwiazdzista noc powoli zaczęły robić swoje. I klimaty fado jako zapowiedź czegoś wytęsknionego i wzruszającego. Fado śpiewali wszyscy w tawernie. Z zaplecza wyszła zatrudniona tam kucharka, usiadła przy gitarzyście. Podobnie jak grupka portugalskich gości. Wszyscy śpiewali te pełne tęsknoty i smutku pieśni. Julian też zdawał się porwany przez rytm. Nucił. Nie spuszczałam z niego oczu, a raczej wędrowałam wzrokiem po jego ciele. Był ze mną. Taki piękny. Cieszył się. Śpiewał. Też zaczęłam nucić i wystukiwać obcasem rytm. Przy stoliku na środku sali siedziały dwie samotne kobiety. Zerkały na Juliana kokieteryjnie spod przymrużonych powiek. Nawet dość bezczelnie. Bezpruderyjne Niemki, a może Holenderki? Same. I bardzo dobrze! A ja nie byłam sama! Ani samotna! I niewątpliwie zaczynałam poznawać smak poczucia wyższości. Że jestem lepsza, ładniejsza, lepiej ubrana. I wreszcie mam Jego.

– Zatańczymy?!

Zaproszenie Juliana podjęłam skwapliwie.

Zawsze lubiłam taniec. Zapomnieć się w nim, zlepić z muzyką, przycisnąć do partnera. A w wolniejszym zarzucić mu ręce na ramiona. Stanować jedność. Wyrażać siebie, swoją zmysłowość. Kobiecość. „Jestem piękną kobietą, jestem zmysłowa, nie boję się niczego. Odejdźcie, zmory przeszłości!” – wystukiwały obcasy moich sandałów. Podobne hasła wyznawało moje podbrzusze. Zdawało się wtórować: „A kysz, a kysz! Idźcie stąd! Już was nie potrzebuję!”. Julian potrafił tańczyć, bez wątpienia. Było w nim coś bardzo szlachetnego, jego ruchy były śmiałe, ciało gibkie, ładnie się układające, nogi stawiały kroki jakby nonszalancko. Bez wysiłku. Nie musiałam się domyślać, w którą stronę dać następny krok. Umiejętność prowadzenia partnerki w tańcu wiele ułatwia. W życiu też. Fruwałam po parkiecie, a wokół mnie dół od jedwabnej kiecki i długi, jedwabny szal.

– Wiesz... gdybyś teraz siebie widziała... Chcę z tobą tańczyć, a jednocześnie usiąść w pobliżu i przyglądać się. Podziwiać – szepnął mi Julian do ucha.

– Onieśmiasz mnie! Jestem zwykłą gospodynią domową – droczyłam się zarumieniona.

– E tam... wyglądasz, jakbyś pozowała Tamarze Łempickiej do *Młodej dziewczyny w zielonej sukience*.

Siedliśmy przy stoliku i jednocześnie chwyciliśmy za kieliszek porto. Każdy za swój, oczywiście.

– Julian, a z kim byłeś poprzednio w Portugalii? – Nie mogłam się powstrzymać od zadania w końcu tego pytania.

– Wiesz co? Szkoda mówić. Ech. Tutaj to już był zupełny niewypał. Poznałem ją w necie, niby trochę wierszy popełniła, ogólnie niezborna życiowo, ale miała dużo wolnego czasu, bo jej mąż sporo zarabiał i praktycznie nie było go w domu. Ten wyjazd to była typowa randka w ciemno. Zażartowałem, czy odważyłaby się pojechać ze mną do Lizbony. A ona przystała. Mnie się zawsze podobały odważne i trochę bezczelne kobiety i to mnie zwiodło. W Lizbonie dowiedziałem się, dlaczego ten mąż omijał ją wielkim łukiem.

– Dlaczego?

– Bo nie miała nic do zaoferowania! Zupełnie nic.

– O mnie też kiedyś być może będziesz mógł tak powiedzieć jakiejś następczyni...

– Nie, bo żadnej następczyni już nie będzie. – Julian uśmiechnął się i spojrzał mi głęboko w oczy.

Takie kobiety jak ja na takie słowa mogą czekać nawet długie lata. By w końcu je kiedyś usłyszeć. By wreszcie je w swojej pamięci zakodować. Czułam, jak przez moje serce przepływa rzeka dużo cieplejszej krwi. Byłam szczęśliwa. Nie myślałam przed wyjazdem, że może być aż tak miło. Czułam się jak na wakacjach i miałam wrażenie, że spędzam je w najlepszym towarzystwie. Julian dawał mi takie poczucie. Mimo „tych kobiet” i mimo że pracowicie spędzał kilka godzin dziennie, nie czułam się zaniebawiana.

Lubiłam patrzeć, jak pracuje. Sama też robiłam notatki. Z ciekawością zaglądałam mu przez ramię.

Przewodnik po Lizbonie był też po części moim dzieckiem. Najlepiej czułam się na targu. Julian skwapliwie dokumentował różne kadry, razem wyszukiwaliśmy sceny do sfotografowania, pokazywałam mu palcem nadziewane bakłażany czy grillowane sardynki. Owoce najbardziej egzotyczne. Przez cały weekend zwiedzaliśmy Lizbonę, spacerowaliśmy po jej krętych, jasnopopielatych uliczkach. Przemierzyliśmy chyba wszystkie siedem wzgórz, na których jest zbudowana. Byliśmy na Miradouros, schowanych wśród platanów tarasach widokowych. To stamtąd jest najlepszy widok na Tag. Rzekę widzieliśmy zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Stamtąd też niezwykle malowniczo prezentowały się pomarańczowe dachy domów i budowli. Ciepłe przestrzenie na tle błękitnego nieba. Miasto przemierzaliśmy zarówno pieszo, jak i sławnym na cały świat tramwajem nr 28. A potem mniej znaną windą z Elevador da Bica wąską i bardzo stromą uliczką w górę, do Calçada do Combro. Mimowolnie zaglądaliśmy w okna okolicznych domów. Zmierzchało, lizbończycy gromadzili się przy swoich stołach. Inni – w małych tawernach. Zewsząd dochodziły dźwięki życia: stukanie sztućców o talerze, muzyka fado i rozmowy Portugalczyków. Starłam się zapamiętać Lizbonę poprzez dźwięk. Zapach. Zmysły.

Późnym wieczorem, wracając pieszo do hotelu, wdychaliśmy powietrze tętniącego witalnością miasta nad rzeką Tag. Było już po północy, kiedy doń dotarliśmy, mocno zmęczeni.

– Zostańmy jeszcze kilka dni – zaproponował Julian.

– Kilka dni? Wydawało mi się, że lot mamy zaplanowany na pojutrze. Nie mogę chyba...

– Właściwie dlaczego?

– Nie powiedziałam w domu.

– Na pewno musisz być tak odpowiedzialna w stosunku do tych ludzi?

Powiedział: „tych ludzi”. Nie „Bogusia i Krysty” na przykład, tylko użył formy bezosobowej. Odebrałam to jako zazdrość. Ale ponad wszystko czułam, że żal mi będzie wyjeżdżać. Uświadomiłam też sobie, że w jakimś stopniu Boguś, Krysta, Szaki i zespół nor rozplynęli się we mgle. Dzisiaj dostałam od Bogdana SMS-a „Co u Ciebie? Kiedy wracasz? U nas wszystko dobrze. To znaczy, Krysta fiksuje, jak zawsze”.

To, co napisał, było ode mnie zdumiewająco daleko. Jeszcze nie odpisałam. To dobrze, bo przedtem napisałabym, że wracam w środę, i byłby problem. A tak dowie się, że zostanę do końca tygodnia.

Musimy zostać obydwój. Ja i Julian. Byłam przepełniona marzeniami.

Powrót znad Tagu

Wróciliśmy w sobotę późnym wieczorem. Julian i ja. W kraju wiało i zacinało, środek października w naszym klimacie często bywa dżdżysty. W domu Boguś podgrzewał kalesony na żeliwnym kaloryferze, a Krysta na drugim suszyła swoje gacie. Kiedyś zastanawiałam się, skąd na ich bieliźnie (bo kto inny mógł ją prać, jak nie ja?) te rdzawe plamy. Teraz już wiedziałam.

Bogdan przyglądał mi się podejrzliwie. Na pewno przestał wierzyć, że jego czterdziestoparoletnia własność, która nigdy przedtem nie wyjeżdżała, teraz stała się nagle odważną globtroterką. Krysta wyczekiwała na jakiś podarek. Nie miałam nic dla nikogo. Obawiając się zarzucenia mnie niewygodnymi pytaniami na temat Portugalii po kilku monosylabach czmychnęłam do stróżówki i pod pretekstem udzielenia odpowiedzi na moje oferty zatrudnienia zalogowałam się w poczcie.

„Elżbieto. Teraz ja nie pisałem. Dopadły mnie terminy, a wczoraj kilka godzin grabiłem trawę w ogrodzie. Czyli rozumiem z Twego listu, że nie będziesz niechętna mojej pisaninie. Napisałaś ostatnio na blogu o bankructwie. Mam nadzieję, że nie jesteś w finansowych tarapatkach, ale gdybyś była, pytaj, bankructwami zajmuję się zawodowo. Wiesz, Elu, czekam na Twe listy i blogowe notatki, bo mimo że jesień i już nic nie powinno kwitnąć, nasz kontakt na przekór naturze ma szansę się rozwinąć, jak w maju. Jurek

PS. Jeśli nie znajdziesz w sobie dość chęci, żeby mi odpowiedzieć, daj znak, że przeczytałaś mojego e-maila, napisz coś choćby na blogu”.

Tak, znalazłam dość chęci. Na razie nie na blogu, bo co pisać, gdy jest się szczęśliwym... Wtedy nawet marzenia wydają się bzdurne. W zasadzie spodobało mi się, że nawiązuję znajomość z normalnym, ale może zagubionym życiowo, bo nie zawodowo, człowiekiem. Małym, biednym chłopczykiem, który pięknie pisze. Pięknie czeka. Cudownie się odwdzięcza. I jest w nim coś podobnego do mnie samej. W końcu Juliana i Jurka poznałam mniej więcej w tym samym czasie. Jeśli we własnym domu nie ma z kim rozmawiać, to najczęściej ucieka się w net, wirtualność. Za to u Juliana w ogóle nie zaglądałam do komputera.

„Witaj, Jerzy. Byłam kilka dni w Portugalii. Pisziesz, że dość długo grabiłeś trawnik. Czy ty mieszkasz w parku? Ja też mam ten problem z ogrodem, ale widocznie nie dbam o niego tak jak Ty, bo nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek był tak długo grabiony. W moim ogrodzie jest zaułek wśród olbrzymich świerków i brzoź, gdzie zaszywam się, gdy mam wolną chwilę. Tam powstaje większość moich pomysłów i planów. Tam też płaczę. Ale myślę, że Ty możesz być zdecydowanie bardziej ciekawą osobowością niż ja. Już zaczynam budować w myślach Twój wizerunek psychologiczny. Ciepły obraz. Pozdrawiam, Elżbieta”

Skoro nawiązaliśmy znajomość, a pisząc blog jest się przecież na to narażonym, i ten ktoś sprawia wrażenie otwartego, to co mi może przeszkadzać w takim przyjacielskim zbliżeniu? Generalnie lubię ludzi, lubię wiedzieć, kim jest adresat moich myśli, ktoś, z kim rozmawiam. W końcu do tej pory byłam zawsze odbiorcą czyichś przekazów. Kingi, Zośki, a nawet Juliana. Jeśli chodzi o Juliana, jego słuchałam zawsze z rozdziawionymi ustami. Podziwiałam go za inteligencję i klasę. Jest boski. Dlatego miałam kolejne wyrzuty sumienia. Dlaczego tak się przed tym Jurkiem otwieram? Czy dlatego, że nie umiem powiedzieć, nawet człowiekowi znanemu wyłącznie poprzez teksty, które wysyła w eter, żeby nie pisał, bo ja jestem w układzie z Julianem? Jakby to zabrzmiało... Nie wiem, czy to byłoby dla kogokolwiek zrozumiałe. A może z nim szczegółowiej o Bogdanie mogłabym porozmawiać? Bo z Julianem nie

chciałabym poruszać tego tematu. Julian zresztą też nie.

Tylko po co miałabym z kimkolwiek poruszać? Czy ja i Boguś to jest w ogóle związek?! Temat? Na nieszczęście jest. Mamy synów, wspólnie mieszkamy od lat. Między kobietą i mężczyzną zawsze występuje jakaś oferta, jakiś pakiet usług, czasem nadpłaconych, często niezapłaconych... A najczęściej konsumowanych z egoistycznych pobudek.

To co z tym Jerzym?

Inne światła

Było ze dwa tygodnie po portugalskiej eskapadzie. Zbliżało się Święto Zmarłych. Do domu wróciłam dopiero pod wieczór. Jak zawsze. „Spać, spać” – myślałam. Boguś nie wytrzymał. Zadał mi TO pytanie. TO, którego już od dawna się obawiałam.

– Gdzie byłaś tak długo? Bo chyba nie powiesz mi, że w pracy!

Rzeczywiście nie byłam tak długo w pracy. Byłam sobie tam. Ot co! Do czego miałabym wracać wcześniej?! W zdychającym domu było ciemno i ponuro. Energooszczędne żarówki dawały mdłe światło, a stare brązy i beże ścian nie zyskiwały przy tym świetle nic. A nawet na swojej barwie traciły. Pajęczyn nie było widać! To fuks. Jeszcze bardziej ponuro wyglądał pokój Krysty utrzymany w obrzydliwym bordo. Jak trumna. Wewnątrz niej jest zawsze ponuro. Poza tym trumna Krysty nie była poobszywana białymi koronkami.

Do tej pory udawało mi się wychodzić z domu bez pytań. Wracać i również ich nie usłyszeć. Czy mnie to dziwiło? Tak. Ale i ułatwiało byt. W razie czego miałam przygotowaną wymówkę, że na mieście wynajęłam biuro i zaczynam działać. Tym razem jednak, pod wpływem impulsu, powiedziałam coś zupełnie innego:

– U kochanka. Ładny dom ma, jasne światła. Pracuje, zarabia...

Obudziła się we mnie ta sama chęć sprzeciwu i prowokacji, jak przed nocą w malinach.

– Tak, ciekawostka przyrodnicza! I co takiego robiliście z tym kochankiem? – parsknął Boguś, pomijając moją uwagę o zarobkach. – Spróbuj tylko... – W takiej chwili Boguś zawsze ujawniał, jak prosty jest jego przewód myślowy. Mniej więcej taki jak kabel elektryczny idący od słupa w naszym ogrodzie do słupa u Kędziorów. Pod warunkiem, że nie siedziało na nim ptactwo.

– Opowiadał mi ciekawostki, ale z termodynamiki, a potem o kurczliwości stali rozmawialiśmy. I takie inne temaciki bzdecikowate też były poruszane... – mówiłam niemalże prawdę.

– Wiesz co? Możesz mieć nawet i z tuzin kochanków, bylebyś...

– Bylebym co? – brutalnie weszłam mu w słowo.

– Bylebyś i ze mną sypiała.

Oślupiałam! Jak on mnie potraktował! Trudno zdefiniować. To ja byłam dziwką czy on? Mógłby być trzynasty, bylebym z nim sypiała! Najpierw uspił moją seksualność. Przedłużył przerwy między moimi orgazmami. Następnie wyziębził całkowicie. Potem zabił miłość. Na końcu przyszał się do mojego portfela i ssie nadal... A teraz mu się nagle przypomniało! To ja pytam – co on ze swoją seksualnością robił przez ostatnie dziesięć lat? Przesypiał?

Tymczasem Julian był w siódmym niebie, po powrocie z Portugalii zakazał mi jakichkolwiek zajęć. Poza tym nieraz wspominał, żebym się do niego przeprowadziła. To drugie pomijałam milczeniem. Trochę nie byłam z takiego obrotu rzeczy zadowolona, bo skąd wezmę pieniądze, żeby opłacić byt Bogusia i rachunki za dom? Na razie miałam jeszcze sporą kwotę z mieteksowskiej odprawy. A potem? Nie mogłam przecież na te cele użyć pieniędzy Juliana. Wprawdzie byłam oszczędna i mogłabym pewną kwotę wykroić, ale... Nie jestem nieuczciwa. Przed nazwiskiem mam „von”, a nie jakiś złodziej.

Prawie całe dni bywałam u Juliana i spędzałam czas wyłącznie z nim. Byliśmy blisko i nie poruszaliśmy się bez siebie. Przeżywaliśmy chwile normalności, jak modelowe małżeństwo, czasem mączone rozmowami o przyszłości, czego nie znosiłam i co zaburzało harmonię naszych stosunków. Nigdy nie lubiłam radykalnych zmian. Wolałam tak, jak jest teraz, bez presji i przyśpieszenia. Natomiast, że mnie kocha, bardzo chciałam usłyszeć!

Więc było tak. Dzień u Juliana, noc w norach. Śniadanie w salonie, kolacja w stróżówce. Często jedzona razem z Kędziorami. Po kolacji otwierałam laptop. Gapiałam się ślepo w informacje z kraju. Czasem z zagranicy. Przeglądałam wpisy na blogu. Pisałam.

Malinowa trufla pisze:

Nie znoszę aranżowania wydarzeń. Nie akceptuję reżyserowania życia. To okropne... Nie wolno fałszować rzeczywistości. Kocham prawdę i chcę tylko prawdy, ale tkwię w kłamstwie, bo ono tym razem jest mniej okrutne. Gdyby było to możliwe, a raczej społecznie akceptowalne, rozebrałabym się do naga, by odrzucić nie tylko odzież, ale też absolutnie wszystkie woale.

I popychałam do przodu dialog z Jerzym, który stał się dla mnie takim „lepszym Bogusiem”, bez żadnych podtekstów. Zaintrygował mnie, bo zaczął pokazywać nieco inne niż dotychczas wirtualne oblicze.

„Witaj, Elżbieto. Dziękuję za list. I za pozytywną aurę. Wiesz, z różnych elementów można wyciągnąć większe wnioski. Jak na przykład w przypadku mojego e-maila, w którym pisałem o pracy i grabieniu ogrodu (co zresztą robię z wielką przyjemnością), po to byś na tej podstawie Ty – jako czytelnik – mogła zbudować coś, co mnie dotyczy także *poza grabieniem*. Jednakże wolałbym, żeby nie było to pretekstem do przeszukiwania zakamarków mej duszy. Choć czuję, że nie wypadłem źle. Też się lubię w ogródku czasem zaszyć, niestety jest on bardzo mały. Mam za to działkę w Konstancinie z lasem prawdziwym, dużym domem całorocznym i pięknymi, leśnymi widokami. W Warszawie wszystko pędzi, a tam mogę uciszyć swoją duszę. Przesyłam więc pozdrowienia piękniejsze niż konstancińskie widoczki. Jurek”

Cholera! Zrobiło się emocjonalnie. Muszę się mu zaraz wytłumaczyć! Tak, w ten właśnie sposób wtedy pomyślałam. Wyszło, że jestem wścibska. Poczułam się taka. Malutka Becia, która wypełzła ze swojej nory do wielkiego świata, podstarzała, głupiutka, ciekawska, zainteresowana szmalcowymi kolesiami! Ale mi dopiekł! W zasadzie powinnam skasować całą tę jego wymuszającą moje odpowiedzi pocztę i zapomnieć. Nic nie było! Basta! Koniec z pokręconymi życiowo osobnikami! Koniec! Ale jednak nie bez wytłumaczenia, bo niewątpliwie nie byłam taka, jak sądził! Usiadłam przed komputerem i po chwili namysłu napisałam:

„Witaj, Jurku! Tak na początku, chyba mnie źle zrozumiałeś. Choć na pewno jesteś intrygującym mężczyzną i może chciałabym o Tobie wiedzieć więcej, to jednak nie mam zamiaru wbrew Twojej woli przeszukiwać zakamarków Twojej duszy. Ani czyjejkolwiek duszy. Duchowość, aczkolwiek ważna, to jednak temat chyba dla psychologów, a mnie psychologia kręci w sytuacjach, które wymagają radzenia sobie z ludźmi i czasem, a także – a może przede wszystkim – z samą sobą. Dobrej nocy, Elżbieta”

„Staliśmy krok nad przepaścią”, czyli krótka definicja rodzinnego postępu

Było po Świącie Zmarłych. Wieczorem wracałam do domu. Padał mroźny deszcz, a o moją głowę ocierały się chmury niskie jak brezentowy dach w namiocie. Wietrzyśko rozwiewało opadłe liście, które wzbijały się w powietrze, by z szelestem opaść na ziemię. Miałam na sobie nowy szary płaszcz z wielkim kołnierzem z czarnego lisa, a mimo to ziąb przeszywał mnie na wylot. Zazwyczaj nie nosiłam czapki, ale tego dnia naciągnęłam głęboko na czoło czarny wełniany beret, lisim futrem osłoniłam szyję, a i tak trzęsałam się z zimna. Ścisnęłam mocno pod pachą torebkę, bo z banku podjęłam nieco gotówki. Krysta podczas rodzinnego spotkania przy grobie ojca awanturowała się, że nie opłaciłam jeszcze rachunku za wodę. No nie opłaciłam. Skrzeczała, nie zważając na rodziny innych zmarłych, głośno, jakby chciała zbudzić zmarłego ojca i wzorem dawnych lat włączyć go w sprawę. Żeby zrobił ze mną porządek. Niedoczekanie. Relacja „sprawca bierny a sprawca czynny” nie mogła przecież tym razem dojść do skutku. Zaczerwieniła się na twarzy, a raczej zbrunatniała. Byłam zażenowana i oczywiście wystraszona. Zawsze miała bardzo wysokie ciśnienie.

– Cicho bądź – szepnęłam do jej ucha.

Nie zareagowała, więc wzruszyłam ramionami i poczłapałam w stronę kaplicy. Ale nadal słyszałam, jak pohukuje, teraz do Bogusia. Jak mówi mu, że życzy sobie, żebym przedstawiała wszystkie pokwitowania opłat dotyczących jej domu. Takie słowa nie sprawiały, że wracałam do domu wiedziona tęsknotą. Odwlekałam powroty. Czulałam się rozdarta na dwie niedopasowane do siebie części.

Zawsze byłam prawdomówna. Tymczasem teraz... nie mogłam tego o sobie powiedzieć. Wszystko, co moje i co ważne, było w zawieszeniu. Byłoby inaczej, gdyby Bogdan zachował się jak prawdziwy facet. A raczej tak, jak postąpiłoby wielu w podobnej sytuacji. Kobiętę, żonę tkwiącą po uszy w romansie, szwendającą się diabli wiedzą gdzie, po czym spokojnie wracającą wieczorem do domu, bez specjalnej dbałości o pozory, każdy facet wywaliłby na bruk. Wtedy nie miałabym tak potwornych wyrzutów sumienia wobec każdego aktora sceny, którą graliśmy. Ale przecież nie mógł mnie wyrzucić z mojego domu! I za co miałby wówczas żyć?

Wlokłam się krok za krokiem, obserwując nieoświetlone, jakby wymarłe wdowie domy i centrum handlowe, także jakby zmarłe. U Znawcy Arcydzieł było ciemno, ale u Malutkiego Sklepiarza świeciło nikłe światło. Ten sklep z zewnątrz zawsze wyglądał, jakby oświetlano go za pomocą gromnicy. Ale to były tylko pozory, wewnątrz tętniło życie, to pooklejane reklamami szyby powodowały takie wrażenie. Na półkach aż po sufit zalegały różnorodne towary, co też sprawiało wrażenie ciemności. Już dawno nie widziałam Malutkiego Sklepiarza. Ucieszyłam się, że wreszcie znowu pogadamy, jak za dawnych czasów, i pomyślałam, że przy okazji miłej rozmowy wypadałoby zakupić kilka rzeczy. W sklepie było w zasadzie wszystko, nawet delikatesy. Tymczasem moja lodówka świeciła pustką jak w nieużywanym od lat szambie w naszym ogrodzie. Porównanie jej do szamba nie zawierało przesady – urządzenie było stare i zwykle pełne nieświeżych resztek jedzenia. Boguś i Krysta strzegli ich jak sztab złota w mennicy, solidarnie informując, gdy chciałam wyrzucić jakiś oślizgły ochłap: „To dla Szakiego! Dla Szakiego!”.

W sklepie za ladą nie było Malutkiego Sklepiarza. Przywitała mnie obca kobieta, szara myszka na pierwszy rzut oka. Miała pełne wargi i opuchnięte powieki, w ogóle wyglądała, jakby przed chwilą płakała. Albo tarła oczy. Może alergiczka? Nie, to niemożliwe, była jesień, a wtedy już na pewno nic nie pyli. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. To nie był zwyczajny obrazek, w tym sklepie klientów witał zawsze Malutki Sklepiarz.

– W szpitalu jest, nieprzytomny. Wczoraj miał bardzo rozległy zawał!

Kobieta chyba czytała w moich myślach. Wyrzuciła z siebie te słowa, jakby znalazła wreszcie kogoś, w czyją stronę mogła skierować swój żal. Przekazać nieco ze swojego smutku. Po czym zaszlochała. Zmartwiłam się. Czułam z tym facetem jakąś niesamowitą przyjacielską więź. Pomyślałam, czy to nie jest ta kobieta, o której opowiadał. Chociaż nie tak ją sobie wyobrażałam. Ta była niska i jasnowłosa, miała z pięćdziesiąt lat i zniszczone ręce. Ogólnie na pewno nie wyglądała na elegancką panią mecenas, którą wyobrażałam sobie szczupłą, wysoką, ciemnowłosą.

– A pani... – chciałam dokończyć: „kim jest?”, ale ona przerwała mi gwałtownie. Znowu, jakby na moim czole był zainstalowany wyświetlacz myśli. W charakterystyczny sposób odpowiadała szorstko, niepełnymi zdaniami, jakby rwanymi.

– Siostrą. Bo któżby inny tak się o niego martwił! Dają mu bardzo małe szanse. Lekarze. Przejął się... Niech pani zobaczy, jak to jest. Od kilku miesięcy dzień w dzień pocieszał tę swoją histeryczkę, o siebie wcale nie dbał. O niej tylko myślał! Że ma córki jeszcze niedorośle, mi mówił. Ale one przecież mają jakiegoś ojca! A jej co?! Tylko pięć dawek chemii wystarczyło, żeby guz zniknął. Całkowicie! Piersi jej nawet nie odjęli. Przesadzała! Mówiłam mu! Nic o sobie nie dbał. Ona też miała go gdzieś! Nic dla niej nie znaczył, o sobie tylko myślała. Jęczała mu codziennie, płakała, wpadła w depresję, a on to wszystko znosił. Ale do czasu. Jak widać, do czasu. I jeszcze ten sklep, codziennie o czwartej rano na giełdę jeździł. Ja się pytam: po co? Po co mu to wszystko było? Miał za co żyć! I dla kogo też. Dzieci swoje ma i wnuki. A teraz...

– Bardzo byliśmy zaprzyjaźnieni... to znaczy, jesteście...

Skubałam mankiet swoich turkusowych rękawiczek. W milczeniu patrzyłyśmy na siebie. Po czym przechyliłam się przez ladę i dotknęłam jej ręki. Spojrzała na mnie, a potem znowu zaczęła płakać. Pomyślałam: „Czy gdyby moje życie było zagrożone, Aga czułaby, choć w niewielkim stopniu, podobny smutek? Bogdan? A matka? Czy możliwe, by moja matka płakała, gdybym była chora? A w sytuacji zagrożenia życia?”.

Pożegnałam się i wyszłam ze sklepu, zapominając, że wstąpiłam tam także, by kupić kilka rzeczy. Zatrzymałam się i chciałam się cofnąć, ale zrezygnowałam w końcu. Przecież nie wrócę i nie powiem: „Poproszę danio i pasztet”, a potem „będzie dobrze”, jakbym chciała zamknąć temat czy, co gorsza, zaklepać sprawę.

Och, jak mi było smutno! Listopad zawsze jest miesiącem wrednym, budzą się kostuchy, demony i przychodzą nieszczęścia. Do domu człapałam przybita i rozedrgana. Poza tym od jakiegoś czasu bałam się tam wracać. Miałam przeczucie, że kiedyś w końcu musi się coś wydarzyć. Coś, co mnie rzuci w świat, w inne miejsce. Stamtąd. W inne. Do Juliana. A może na kolana...?

– Cóż za kłaczaste bydlę zdechło ci na szyi? – zapytał od progu Boguś. Oglądał mnie jak amebę pod mikroskopem. Ale wzrok miał, jakby dostrzegł trującą najeżkę.

– Gdzie ty łazisz całymi dniami? Skąd masz na te wszystkie szmaty pieniądze?! Jesteś zwykła bladź!
– zaświszczała Krysta, która jakby czekała, żeby zajrzeć w moją udręczoną twarz. Zajrzała, owszem. I napluła w moją stronę.

Widziałam, jak zadowolony ze słów Krysty jest Boguś. Czułam, jak pompuje swoje ego, jak podnosi w górę swój całokształt. Głównie w postaci łba. Stało się. Burda wytrąciła mnie z równowagi. Rozdraznili mnie oboje, wzburzyli, doprowadzili do apogeum nerwowości, a sprowokowana zawsze mówię prawdę. To znaczy generalnie jestem bardzo prawdomówna, jednak bardzo często milczę. Tym razem tak nie było! Tym razem się odważyłam.

– Wyjście na zawsze z tego obleśnego domu będzie dla mnie największym postępem. Zachowujesz się obrzydliwie, nie wiem, co takiego musiałby zrobić Krzysiek czy Marcin, żebym ja potrafiła postąpić względem nich aż tak ordynarnie! – mówiłam pozornie spokojnie, bardzo powoli, mocno akcentując słowa. Z naciskiem na: „obleśny”, „obrzydliwie” i „ordynarnie”.

– Twoje bachory mnie wcale nie interesują!

– Spokój już! – huknął Bogdan. – W sprawie postępu to jest tak: „staliśmy krok nad przepaścią”. Twoja matka ma rację. Dzięki, że spieprzyłaś nasze małżeństwo!

Wiedziałam! Wiedziałam, że w końcu dojdzie do takiego ekscesu! Czy oni się zmówili? Znaleźli winną rozkładu rodziny! Ja winna? Czy skazanemu na ścięcie głowy kat może dołożyć tortur tylko dlatego, że nieszczęśnik się wzbrania przed egzekucją? I opiera, bo walczy o życie?

– Ja?! O nie, tego mi nie przypiszesz! Wisisz na mnie od dawna, myślę o wyprowadzce stąd i boję się, że jeśli tego nie zrobię, to umrę z żalu, że odbieram sobie życie. Rozumiesz to? Dziękuję Bogu, że wreszcie coś mogę odmienić, że spotkałam kogoś, od kogo nie chce mi się wychodzić. Z łóżka przede wszystkim! A czym był nasz związek? Beznamiętny i bezzwrotny jak gotowe życzenia na kartkach świątecznych! – Po ostatnich słowach zaczęłam płakać. Dusza rwała się na strzępy, a potem jeszcze mocniej, na jeszcze mniejsze fragmenty. Ostre, raniące jak pośluczone kawałki lustra.

– Bóg na pewno nie wspiera dziwek! Zobaczysz, że zostaniesz zupełnie sama.

Krysta patrzyła na mnie jak inkwizytor. Jakby chciała oczyścić ten piękny świat pod tytułem „nasza nora” z obrzydliwego robala, jakim byłam ja. Ja byłam robalem! Takim samym jak te obrzydliwe pająki o grubych kłaczastych nogach. Najpierw je trzeba usztynić, by potem wyrzucić za okno! A potem potrzebę, pozacierać swoje okrutne rączki. Wytarłam oczy i spojrzałam na Krystę jak ofiara prześladowań na swojego ciemieżcę. Przy czym już po przewrocie klasowym.

– Ty wszystko wiesz najlepiej! A niby skąd? Z telewizji? Nie mieszaj się w moje sprawy z Bogdanem ani moje z niebiosami. To są nasze sprawy. Zresztą, w kwestii religii mam całkiem inne niż twoje zapatrywanie. Ciągłe się z Bogiem kłóczę. Że nie jest sprawiedliwy, że niech się postara o naprawdę uczciwy osąd, skoro na długie lata odebrał mi prawo do miłości!

Krysta trzasnęła drzwiami. Wiadomo! Najpierw trzeba zasiać zamęt, a potem schronić się za drzwiami z ruszającą się klamką, czyli w miejscu, do którego bez środków uspokajających nigdy nie odważyłam się wejść. Do kryjówki przed normalnymi ludźmi i jednocześnie centrum obmyślenia, jak własnej córce obrzydzić byt. Jak rzucić ją na kolana.

– „Beznamiętny” mówiłaś?! – Boguś popchnął mnie na ścianę.

– Przestań – warknęłam, gdy skrzyżował mi ręce i próbował wepchnąć do łazienki. Po krótkiej szamotaninie udało mu się. Zamknął drzwi. Zdarł ze mnie płaszcz i wrzucił na pralkę, a na to wszystko wepchnął mnie. Przycisnął brzuchem, a potem paluchem rozerwał wąski pasek koronki w kroku moich nowych czarnych stringów. Brutalnie rozszerzył mi nogi. Włożył palec.

– Od kiedy cipkę fryzujesz? Dla kogo stroisz się jak luksusowa zdzira? Mów! Jak on się nazywa?! Myślisz, że ja jestem głupi!? – Szybko rozpiął spodnie, a gdy opadły na ziemię, z granatowych gaci wyciągnął olbrzymiego członka i wepchnął mi go, aż poczułam ból. Sapał, a ja zasłaniałam mu usta. – Ruszaj się, ruszaj, dla mnie, tylko dla mnie!

Zasłaniałam mu usta. Wytrzymałam go w absolutnej ciszy. Słyszać było tylko rąbanie starej pralki o równie starą ścianę. I słyszałam bardzo dobrze, jak rozpaczliwie tłuką się w mojej głowie dwie myśli. Zostać i podjąć natychmiastową walkę, rezygnując z Juliana. Albo iść stąd natychmiast. I nigdy nie wracać!

– Co tam jest?! – Krysta kopała w drzwi. Bogdan wstrzymał oddech. Próbowałam mu się wyrwać, ale przyciskał mnie do ściany.

– Nic, ładujemy do tego zardzewiałego kłamota pranie – krzyknęłam. I zaczęłam się histerycznie śmiać. A potem płakać. I drapać Bogdana po czerwonym pysku.

– Co tam robicie?! To nie wygląda na pranie!

– Chcesz wiedzieć? Na pewno? Ty, taka święta? Pieprzemy się! – krzyknęłam łamiącym się głosem.

Boguś opadł na kolana, łeb schylił, na rękę z ran od moich paznokci zaczęła mu kapać krew, potem zaczął cicho płakać, a ja ubrałam się i mokrą gąbką zmyywałam z płaszczu spernę.

– Poczulałam się jak instrument! Przy tobie zawsze zresztą nim byłam! Jak mogłeś?! Za to, co mi zawdzięczasz? Powiem tylko jedno słowo. Żegnaj!

Wyszłam z łazienki, w absolutnej ciszy pakowałam swoje rzeczy, w absolutnej ciszy ruszyłam z tego domu w ciemność wdowiej ulicy. Nawet nasz pies nie szczeknął. Ani żadne okoliczne. Włącznie z dwoma bydłakami z początku ulicy. Na postoju wsiadłam w taksówkę.

Świat zamieszkują zwycięzcy i przegrani. Ja czułam się przegrana. Ale jednocześnie wiedziałam, że droga, którą właśnie obrałam, wieść musi w stronę zwycięstwa.

Julian wiedział, że tak będzie. Znał się na rzeczy. Nie opowiadałam mu szczegółów, ale gdy długo nie wychodziłam spod prysznic, musiał domyślić się całej prawdy. Czekał na mnie w pokoju. Wyszłam z łazienki roztrzęsiona.

– Czy ty na pewno nie zrobisz mi krzywdy?

Zakręciło mi się w głowie, usiadłam na brzegu fotela.

– A ty na pewno podjęłaś ostateczną decyzję? – Patrzył mi badawczo w oczy.

– Właściwie jest mi źle. Raczej nie mówmy teraz o takich rzeczach. Prawdopodobnie coś mnie łapie. – Oparłam głowę o dłonie. – Nie mam pewności. Może coś mi jest... A przynajmniej tak się teraz czuję, chyba potem będzie lepiej. Możliwe, że po herbacie mi przejdzie, jeśli przejdzie... Ale wydaje mi się, że tak. Zresztą... – Położyłam się na oparciu, ręce zwisały mi aż do podłogi.

– Zobacz, Elu! Ja wszystko rozumiem, ale tutaj wyszło. Czy ty jesteś czegoś pewna?! – Julian wstał i mówił podniesionym głosem. – W tych kilku zdaniach usłyszałam, że: „może”, „jeśli”, „prawdopodobnie”, „możliwe”, „nie mam pewności”, „wydaje mi się”, „raczej”, „właściwie”, „gdyby”. Kiedy będziesz używać dużo bardziej rzeczowych form? Jak myślisz? Nie denerwuj się, chcę cię wreszcie tego nauczyć! To będzie jak realizacja mojego dla ciebie testamentu.

Julian chodził po pokoju. Był taki mój, elegancki, kolorowy, w ciepłym islandzkim swetrze, który tak bardzo lubiłam. A wypowiadał tak krytyczne słowa. Teraz?

– Ty też jesteś dzisiaj gwałtowny, że zauważę konkretnie – zbuntowałam się.

– Gdybym był gwałtowny, dawno rzuciłbym znajomość z tobą w diabły. A ja już na dźwięk twojego głosu mam erekcję.

– Czy dla faceta zawsze wzwód prącia jest najważniejszy? Czy myślisz, że gdybyś nie miał erekcji, nie byłabym teraz z tobą?

– Nie próbuj robić ze mnie ofiermy!

– Bo może z Bogusia zrobiłam...?

– Sam z siebie zrobił. Mężczyzna musi na kobietę zarobić i ją dobrze wypieprzyć. Przepraszam...

Elu, nie będę ci serwował prawd życiowych przez gazetę. Facet, który żeruje na kobiecie, to pętał!

Dalsza część tego dnia nie była już seksualna, byłam obolała i nieszczęśliwa. Gdyby Bogdan potrafił wreszcie pokierować swoim życiem! Gdyby zadbał o siebie. Nie tak jak do tej pory, kiedy zadbał o siebie, a jakże, to znaczy wygodnie umiejscowił siebie w moim życiu. Siebie, nie nas. O nas powinien zadbać! Taka jest rola mężczyzny. To żadna odkrywczą prawdą! I czy gdyby tak było, siedziałabym teraz na Sołaczku? To jasne, nie byłabym wtedy z Julianem! To kto mnie w ten związek wepchnął? On i Krysta. I bardzo dobrze! W zasadzie była to najlepsza rzecz, jaką razem dla mnie wykombinowali.

– Nie potrafię ci nic doradzić, nie narażając się na zarzut podżegania. – Tym oświadczeniem Juliana zakończyliśmy rozmowę nie o nas. A jednak o nas bardzo.

Polokowałam swoje rzeczy w szafie, Julian uszykował mi miejsce na laptop, podciągnął kabel do netu. W końcu zgarnął wszystkie babskie książki z półki znanej mi od pierwszej wizyty, nawet te z zakładkami. Wrzucił do kartonu i wyniósł do pojemnika na makulaturę, który stał dwie kamienice dalej.

Potem zaparzył herbatę imbirową, na stoliku postawił filiżanki i dzbanek, usiadł naprzeciwko. Nic już do siebie nie mówiliśmy, patrzyliśmy na siebie tak, jak para nowożeńców po wypowiedzeniu przed ołtarzem sakramentalnego i nieodwołalnego słowa „tak”.

A za pół godziny każde z nas zajęło się czymś innym. Julian wrócił do swojej pisaniny, ja zaś otwarłam laptop.

Malinowa trufla pisze:

Kiedys było ze mną tak, że gdy mówiłam o swoich sprawach intymnych, malałam. Kurczyłam się. Najchętniej zamieniłabym się w mały kamyk, żeby tylko nie było widać, jak bardzo potrzebuję miłości zwrotnej. Nigdy nie potrafiłam jej wyrywać, ale i ona mnie omijała. Czy jest takie słowo, które dobrze opisze rytm takiego wygłodzonego serca? To słowo to „tachykardia”?

Jesienny pan

No i zaczęło się nasze krok po kroku. Wspólne życie. Bardzo chciałam tworzyć bliskość nieopartą wyłącznie na seksie. Wstawaliśmy z łóżka o siódmej trzydzieści, o ósmej Julian wybiegał do sklepu po bułki, potem ja przygotowywałam śniadanie. Chrupiące bułeczki smarowałam serkiem, okładałam polędwicą lub serem pleśniowym. Na wierzchu stroiłam papryką, oliwkami, pastą kawiorową i kaparami. Staralam się bardzo. O dziewiątej rano siadaliśmy do stołu, później każde z nas zajmowało się pracą. Oboje razem albo Julian sam, a wtedy ja wychodziłam do miasta, najczęściej tylko na rynek warzywny. Obiady jadaliśmy w restauracjach. Spróbowałam już wszystkich możliwych potraw. Zarówno naszej, polskiej kuchni, jak i europejskiej. A także bardziej egzotycznych.

Tak upłynęły kolejne dwa tygodnie.

Krzysiek i Marcin najpierw wyprali mi duszę, ale później dali jej spokój, a nawet czasem mailowali. Czyli przyzwyczaili się do innego wcielenia mamuśki. Ja zaś bombardowałam ich telefonami częściej, niż mieszkając z potworami, bo bardzo sobie ceniłam rozmowy z moimi tolerancyjnymi chłopcami. Potwór Bogdan zamilkł. Potworzyca Krysta zresztą też. Nawet Aga nie robiła mi żadnych przytyków. Zaczęłam kombinować, czy czegoś nie knują. Powiedziałam sobie na razie, że jeśli mnie nie przeproszą, a byłam pewna, że nie, moja noga w tym rozpieprzonym domu więcej nie postanie. Ale to postanowienie było głupsze niż lata wspólnego z nimi życia. To w końcu mój dom! Mój! Nie opuszczę go. I nie zostawię na zmarnowanie. Jednak jeszcze chwila, jeszcze moment, teraz nie mam odpowiedniego nastawienia. Zaciętości. Czy raczej pewności tego, czego naprawdę chcę. Nie potrafiłabym jeszcze wydobyć z siebie takiej stanowczości, żeby powtórnie rozpiścić role.

Zastanawiało mnie spokojne podejście Juliana do moich spraw rodzinnych. Nawet do mnie. Czasami. Miałam wrażenie, że czeka. Na co? Że stoi z boku. Dlaczego? Gdyby mu zależało, walczyłby o mnie. Dla mnie. Wiedziałałam, że mogłabym go konsumować bez musztardy. Co zresztą nie było w żadnym calu ekstrawagancją, jakże szybko zapomniałam o układzie, porozumieniu, welonie. „Po co mi welon, skoro nie mam rozvodu z Bogdanem?” – tak sobie powiedziałam na wstępie. Wiele upraszcza proste rozumowanie. Jesteśmy ze sobą, mieszkamy, bywa nam ze sobą znakomicie, wszystko gra! Voilà!

Ale ja kocham bardziej! Jednak tak naprawdę go nie obchodzę! Jestem, bo jestem! Bo chciałam być. Bo skorzystałam z sytuacji, a potem już się potoczyło! Tak się oto dręczyłam. Ale tym samym na pewno dręczyłam Juliana!

Pewnego dnia doznałam zaskoczenia. Dawno temu zapomniałam o Mieteksie, każde wspomnienie o czasie tam spędzonym, o życiu utraconym na mechanicznych czynnościach zwanych księgowaniem napawało mnie niesmakiem. Ja wymazałam Mieteks z pamięci, ale on nie zapomniał o mnie. Czesia zaterkotała na moją komórkę. W pierwszej minucie myślałam, że dzwoni, bo chce się zapisać do kółka byłych pracowników. Nie miałabym nic przeciwko temu. Ale nie. Nie po to zatelefonowała. Nawet specjalnie na Mieteks też nie narzekała, a po rutynowych grzecznościach wypaliła prosto jak z procy:

– Widziałam panią z „jesiennym panem” w Sushi Barze.

„O jasne z modrym! Co znaczy, że mnie widziała? I kim jest jesienny pan?” – to były zapytania pierwsze, jakie wystosowała moja głowa do mnie jako takiej osoby. Do mnie, absolutnie niezorientowanej!

– Co znaczy z „jesiennym panem”? – zapytałam, choć serce podeszło mi do gardła, bo sushi jadłam tylko raz. Z Julianem.

– Taki nick ma dziadziśko na portalu randkowym. Mnie też chciał nabrać!

Podczas kiedy moje od dawna rozbisurmanione serce chciało wyskoczyć nosem, ona konspiracyjnym szeptem zaczęła mnie instruować, żebym uważała na „jesiennego pana”, bo on od dawna tkwi na wszystkich randkowych portalach i zarzuca sieci w sieci. Dlaczego mówiła szeptem? Nieważne. Ja zamarłam. A potem, żeby zapełnić ciszę głuchą jak w najgęstszym borze, zaczęłam się tłumaczyć. Że to był brat takiej koleżanki Zośki. Że prowadzę jego sprawy finansowe. Pieprzyłam swoje stare farmazony. Żeby tylko nic się nie okazało! Nie wyszło, że ja... Ale zapytałam, kiedy to było. Gdy pracowałam w Mieteksie, odpowiedziała Czesia. A potem zaczęła relację. Że była z nim tylko na jednej randce, na której od razu i bez żadnej żenady zaproponował jej wspólny wyjazd do Rzymu. Do Rzymu! Chciało mi się zakrzyknąć: „O matko”, byle zagłuszyć tę durną, ale kolorową Czesię. Jednak niedawno własną matkę wyrzuciłam ze swej pamięci definitywnie!

– Przecież nie polecę z nieznanym tak daleko! Jeszcze by mi kazał za siebie płacić! I wymuszał seks! – Czesia kończyła swoje wymaginowane bzdury do czterdziestej siódmej potęgi! Seks. Seksu on na pewno od nikogo nie potrzebuje. Ma go. W najlepszym gatunku. Najbardziej satysfakcjonującym. Ze mną! To, co mówiła Czesia, było dla mnie uderzeniem w pysk. Tak, w pysk. Nie mam twarzy. Już nie mam. Rozpadła się. Nawet usłyszałam charakterystyczne klapnięcie. Wiedziałam, że Julian nie był nigdy kryształem, białą, niezapisaną kartką papieru. Ale nie spodziewałam się, że w tej grze piłka spadnie tak blisko mnie. Chciałam zawsze, by nasz związek był początkiem czegoś ładnego. Niepowtarzalnego. Bliskiego.

Poprosiłam Czesię, żeby poszukała w necie, czy jeszcze jest.

– Najwyżej – stwierdziłam – powiem o tym Zosi. Niech wie, jakiego ma brata.

Dwie godziny później odebrałam telefon. Z emocji trzęsłam się jak galaretowaty brzuch Bogusia.

– Nie ma, widocznie dziadziśko zmieniło nick. W ogóle zlikwiduję swój profil, bo ostatnio chodzę na randki za swoje pieniądze. Pierwszy raz stawiają mi herbatkę. Przecież nie będę pokazywać, że jestem zachłanna. Zawsze zamawiam coś najtańszego. Ale za drugim razem, gdy pytam, czy się dołożyć, tak pro forma, oni się zazwyczaj skwapliwie zgadzają. Beznadzieja. Frajerką na pewno nie mam zamiaru być.

– A pamięta pani takiego z Zielonej Góry, gdy jeszcze pracowałam w Mieteksie to było... – Odzyskałam spokój.

– Pewnie! O, to był bardzo kulturalny człowiek, od razu mi napisał, że jest w związku, trochę korespondowaliśmy, ale w końcu przeprosił. Znalazł jakąś młódkę i musiał uregulować swoją sytuację prawną, bo miał zamiar związać się na dobre. Taki gość to rzadkość.

To wszystko razem wprowadziło mnie w znakomity nastrój. Najpierw wyobraziłam sobie, że Julian dla mnie zrezygnował z tych wszystkich portali. Towarzyskich targów. Bo jestem ważna. Bo teraz liczę się tylko ja!

Potem zaczęłam się zastanawiać, z kim szwagier chce uregulować swoją sytuację prawną. Odpowiedź miałam jedną. W powietrzu poczułam jego rozwód z Agą! Zachciało mi się skakać, tańczyć, wbiegłam do pracowni Juliana i zaczęłam go przytulać, całować, dotykać.

– Nie gniewaj się na mnie, Słoneczko, że byłam po południu taka naburmuszona. Teraz już jestem kochana, prawda?

– Nie masz gorączki? Bo może dlatego tak radykalnie zmienił ci się nastrój. Mnie nazywać Słoneczkiem? Włączyć płytę Callas?

Arie Marii Callas stały się naszym miłosnym kodem. Skrótom myślowym. Czasem zaśpiewem. Kochaliśmy diwę za głos pełen wewnętrznego żaru, rozedrgania i melancholii tak wielkiej, że mogła ją zrodzić tylko wielka i niespełniona miłość. A ona odwdzięczała się nam, kopulującym przy tej muzyce w najlepsze. Aria za arię!

– Potem. Potem! Ale wiesz co? Generalnie nie jestem taka zła i czasem zdarza mi się wspaniałomyślność i tendencja do sprawiania dobrych uczynków. – Uśmiechnęłam się.

– Litość jest ostatnim uczuciem, jakie chciałbym budzić w kimkolwiek. Jako zwolennika eutanazji, jeśli będzie taka konieczność, proszę mnie koniecznie wyłączyć. Z litości. Zrobić ci broszkę? Mam trochę srebra z kiedyś.

Julian był smutny.

– Srebra? Jakiego srebra? Wspaniałomyślność nie zawsze powodowana jest litością. Zrób. I pokaż, jak to się robi. Chciałam powiedzieć: „Może zrób”, ale pomna, że nie trawisz stanów mojej małej dosadności, zrezygnowałam z tego „może”. – Zaśmiałam się sarkastycznie.

– Dosadność, dokładność, prawda. Jeśli powiesz, na przykład o swoim samopoczuciu: „raczej dobre”, to nawet ja to zrozumieję, pomyślawszy krótką chwilę. Dotąd jednak miałaś skłonność do sformułowań typu: „prawdopodobnie wydaje mi się, że chyba czuję się dobrze”.

Znakomicie o tym wiedziałam. Bardzo często i mnie denerwowało takie „rozmemłane gadanie”. Niekonkretne. Ale w moim przypadku długoletni nawyk sprawiał, że nie mogłam się od tej formy uwolnić.

– Swoją drogą ciekawe, dlaczego używam aż tylu osłabiaczy, co ty od razu wyłowileś. – Spoglądałam, jak zdejmuję zegarek, kładzie go na stole.

– Bo w ogóle nie jesteś pewna siebie.

– Ale poczekaj. Czy ja dobrze usłyszałam? Ty rzeźbisz w srebrze? Od dawna? Zawodowo? Jakie jeszcze tajemnice skrywasz?

– Trochę rzeźbiłem, dla siebie i dawno temu. W pawlaczu w przedpokoju mam jeszcze pełno narzędzi. Różne anki, kleszcze, polerki, kowadełka i masę innych rupieci. Więcej tajemnic na dzisiaj nie mam. – Julian usiadł, na dłonie wylał kilka kropli oliwki i zaczął masować mi stopy.

Rozparłam się na fotelu. Potrafić rzeźbić w srebrze! To było coś tak wielkiego, dla mnie niespotykanego! Mistycznego prawie. Nikt w moim otoczeniu nie był artystą! Sama też na to bym nie wpadła. Kochałam ludzi, którzy mają talent, bo to wielki dar, zawsze tak myślałam. Ale najbardziej ceniłam tych, którzy potrafią ze swoich zdolności zrobić użytek. Albo co najmniej próbują. Byłam zachwycona. Patrzyłam na Juliana jak na kogoś, kogo dopiero zaczynam odkrywać. Kto dla mnie odsłonił maleńki rąbek swej osobowości. I, co oczywiste, byłam tą „ludzką materią” zachwycona.

– Też bym chciała mieć jakieś zdolności...

– W tym moim rzeźbiarstwie więcej było improwizacji niż talentu. Poza tym z czasem nabyłem warsztatu. Skupiłem się na dużych formach. Różne brochy i wisiory. Pierścionków już bym nie potrafił zrobić, zresztą do tego trzeba mieć sporo narzędzi, bo gdy robisz pierścionki, to i obrączki potrzeba, więc potem dochodzi grawerstwo. Spróbuj sama, zobaczysz, że to fajna zabawa. Talent nie jest najważniejszy.

– Pokażesz mi? – Z wrażenia dostałam rumieńców.

– Czemu nie? Możemy zacząć od jutrzejszego południa.

Świetnie! Pomyślałam jednak, że na pewno nie wolno mi nabrać pewności, że już zawsze będzie tak miło, ciekawie i niezwykajnie. Rodzinnie. Artystycznie. Wszystko razem. I z osobna. Że nie tylko seks... nas łączy. Nie wolno myśleć, że jest mi dobrze, nic mi nie dolega, przeżywam najciekawszy moment w swoim życiu! Nie wolno, bo na pewno zaraz zdarzy się jakiś krach.

Te kobiety! Przecież były. Portale! Podobnie. Wyszukiwanie następczyń. W każdej chwili może do tego wrócić! Nie wolno mi mieć optymistycznych myśli. Zawsze, gdy tak się zdarzało, wszystko mi się wymykało. Wtedy z rumorem spadała gwiazda z mojego nieba. „Nie wolno mi, muszę o tym pamiętać” – wprowadzałam moim myślom surową dyscyplinę.

Dwie godziny później, w La Ramblí, kelner postawił przed nami deskę pełną hiszpańskiej szynki, chorizo, oliwek, papryczek nadziewanych dorszem lub serem i śliwek w boczku. Zamówiliśmy także butelkę czerwonego wina. *Perlat garnatxa* zawsze nam bardzo smakowało, było krzepkie, z posmakiem śliwki w czekoladzie, korzeni, pieprzu, beczkowej wanilii... i owoców.

– Bardziej smakuje mi szynka ze świń czarnonogich, jest wyrazista, pikantna, a na języku pozostaje

smak trawy spalonej słońcem. Białonogie, jak białołowe, dają delikatniejsze wrażenia. – Julian podłożył sobie pod plecy czerwoną poduchę. – Będąc w Hiszpanii, zwiedziłem Muzeum Szynki. To oczywiście jest sklep jednocześnie.

– Jak to brzmi! A gdyby nazwać gabinet stomatologiczny Muzeum Sztucznej Szczęki?

– Tak nazwali... Ale tylu gatunków szynki naraz nie widziałem nigdzie.

Po spałaszowaniu przystawek zabrałam się za moje ulubione *empanadillas de atun*. Pierwszy pierożek z tuńczykiem od razu rozpułnął się w moich ustach. Potem drugi i kolejne. A Julian jak zawsze pozostał przy *gambas al pil pil*. Krewetki jeszcze skwierczały w gorącej czosnkowej oliwie. Popijaliśmy wino, wcinaliśmy smakołyki. Rozmawialiśmy. Było bosko.

– Byłeś kiedyś na jakimś portalu randkowym? – zapytałam pewna, że odpowie, zgodnie z prawdą, iż kiedyś był...

– Temat zmieniłaś radykalnie... Skąd takie myśli? Byłem i nadal jestem!

– Nadal jesteś i tak lekko mi o tym mówisz? – Znowu ten wkurzający strach! Odstawiłam kielich z winem. To oczywiste, że spodziewałam się innej odpowiedzi. Że byłem, ale teraz jesteś ty. Że one wszystkie są straszne, ale „ty i tylko ty” uratowałaś mnie od tego złego świata! I kocham cię. A potem byśmy mogli sobie żyć... Potem, po rozwodzie z Bogdanem.

– No, ostatnio się pozawieszałem. W zasadzie teraz już mi się nie chce. Bo generalnie to jest zabawa, wszyscy tam się świetnie bawimy.

– Zabawa uczuciami?!

– Tak, zabawa. Dać ci poczytać, jakie niektóre panienki są naiwne? Gdy piszę, że zaproszę panią na narty, a przecież wiesz, że wcale nie potrafię jeździć, to wklejają swoje fotografie w strojach narciarskich. A jeśli wspominam o letnim wypadzie... to prawie nago się objawiają. Pełna sezonowość...

– Julian rozparł się wygodnie na siedzeniu. I dopiero jakby się rozkręcał. Przerwałam mu brutalnie. W ogóle chciałam wstać i wyjść.

– Duzi chłopcy nie mają już innych zabawek?! Jak można być aż tak okrutnym?! Przestań! Stop! Nie chcę nic więcej na ten temat słyszeć. Okropność. A nie pomyślałeś, by się wreszcie spod tych brzuszysk wydobyć? – Starałam się ściszyć głos, knajpka była nieduża, przy sąsiednich stolikach siedzieli goście.

– Za późno. Przy czym to nie brzuszyska mnie pociągają, raczej jestem chorobliwie uzależniony od zainteresowania moją osobą. A może uciekam w to, żeby się nie zakochać... Może ratuję swoją duszę? – Julian bawił się moim małym palcem, gniótł go i pocierał... Aż mnie zabolalo. Wyrwałam palec.

– Z mojej strony masz naprawdę wszystko, nawet za dużo.

– Nie ma zgiełku, jest zbyt cicho. A ja całe życie byłem obiektem zainteresowania, musisz mnie zrozumieć, umówiliśmy się. Z tobą jest inaczej, dobrze.

– Tak, najprościej jest powiedzieć, że się umówiliśmy. Palnąć i niech sobie myśli. Niech się zadręczy. Wtedy będzie zgiełk? Umowa... Tylko że wszystko się pozmieniało, cholernie pozmieniało. Gdybyś od początku pokazywał mi wszystkie swoje bebechy, to byłby uczciwy układ. A tymczasem co chwilę coś dochodzi. Brakuje, żebyś z wdowami z mojej ulicy flirtował!

Byłam rozżalona, coś we mnie zaczynało pękać, przestawałam się godzić, a przynajmniej nie bałam się wyrazić swojego zdania, tak jak kiedyś, panicznie. Bałam się zawsze. Że co? Że zostanę sama?

– Elu, nie zgodzę się. Tak mnie nie traktuj. Jednak orgazmy dają tylko tobie. – Julian mówił to do mojego ucha, z ustami w moich włosach, z rękoma na mojej bluzce. – Podoba mi się, że jesteś taka nienachalna. Między nami jest więź, ale nie możesz mnie zamknąć. Zabrać wolność. To byłoby barbarzyństwo!

– Też coś! Barbarzyństwo. – Odsunęłam się gwałtownie. – Pogotowie seksualne? Orgazmy to nie wszystko. Jakoś tak mnie zaślepiłeś, że uwierzyłam, że żyje się dla seksu. Ale mnie potrzeba miłości, zwyczajnej miłości, uczucia, że świata poza mną nie widzisz. Że jestem tylko ja!

– Wiem...

– Wiesz? I co?

– Wiem... – powtórzył cicho.

– W moim życiu nikt się nigdy mną nie zachwycał. Nikt mi nie zwrócił nawet milimetra uczuć, które ja oferowałam. Nigdy, nawet wtedy, gdy byłam dzieckiem i mówiłam: „łóża” albo „lowelek”. – Pomyślałam, że jeszcze chwila, a się rozplaczę. Pierzochy z tuńczykiem całkiem wystygły, a ja wiedziałam, że nie przełknę już ani jednego.

– Dlaczego poczułem się teraz jak zboczeniec...? – Julian długo milczał, zanim zadał to pytanie. Potem skinął na kelnera.

– Kiedy staram się stworzyć między nami nastrój bliskości nieoparty na seksie, ty się oddalasz. – Spojrzałam na niego z wyrzutem.

Chciałam z nim tworzyć. Zawsze, od początku, miałam nadzieję, że nasz związek będzie ewoluował. Bo miło mieć swoją „przysilankę”, ale potem przychodzi czas, że chciałoby się, żeby owa „przysilanka” dawała coś więcej niż dotyk. Niż radość z przysilania się.

Wściekła wyszłam z La Rambli. Julian mnie dogonił. Do samochodu szliśmy w milczeniu. Potem, podczas jazdy, też żadne z nas nie kontynuowało tematu. Ani też nie wszczęło innego. W domu od razu poszłam w swój kąt i włączyłam laptop. Julian też zniknął w pracowni. Miałam poczucie, że ten sen z Julianem w roli głównej nie jest prawdziwym życiem. Byłam jednak pewna, że następnego dnia zrobię kolejny krok do przodu w kwestii zwanej „tolerancja”. Także w kwestii akceptacji jakże innego korytarza myślowego. A co jest dalej, za tym przyzwoleniem? Zgoda na bycie jedną z kilku kobiet? Wystarczy jeden satysfakcjonujący akt seksualny, żebym, będąc wygłodniałą uczuć, stworzyła w swojej głowie, a w sercu też, uczucie przynależności, odrzucając gwałtownie wszystkie widoczne symptomy sprzeciwu.

Zawsze miałam poukładany obraz prawidłowego świata. Że jest on i ona, najważniejszy związek, a między nimi uczucie i tym samym przyzwolenie na wiele. Czyli na bliskość, cielesność, na tworzenie intymności. Ale to „wiele” nigdy na pewno nie znaczyło dla mnie „perwersja”. Tak. Gdy zrobię kolejny krok do przodu, to do tego stanu mogę się zbliżyć.

E-mail od Jerzego był możliwością ucieczki do jeszcze innego świata. Jerzy był „zapomnieniem”. Że jest gadułą, to wiedziałam, lubił pisać o sobie, o swoich zapracowanych dniach, mnie zbytnio nie wypytywał. A ja czytałam wiadomości od niego jak mało ekscytującą opowieść w odcinkach. Jednocześnie przebywałam w jego domu. Wraz z nim czy osobno – nieważne.

„Dzień dobry, Elżbieto! U nas zima, jest ślisko i nieprzyjemnie zimno. Moim nieszczęściem są prace terminowe, takie, których nie da się odłożyć, bo terminy sądowe są absolutnie bezwzględne. Jutro z samego rana jadę samochodem do Krakowa na rozprawę, którą mam w środę. Muszę jechać jutro, by przejrzeć jeszcze akta sprawy. Mam nadzieję, że zima nie da mi w kość. A także mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj, a potem po powrocie zostanę zasypyany – jak zima śniegiem – zwałami listów od Ciebie. A może TY czasem przyjeżdżasz do Warszawy? Jerzy”

„Jurku. Dziękuję Ci za list. To bardzo cenne – przeczytać miłe słowo od kogoś, kogo znam coraz lepiej. Czuję się tak, jakbyśmy mieszkali w tym samym bloku, na tej samej klatce i nawet na jednym piętrze. Drzwi w drzwi. Jeszcze chwila, a będę zwierzać się Tobie z moich najbardziej intymnych myśli, bo zapomnę, że dla siebie jesteśmy utkani tylko z tych e-maili, a nie z krwi i kości. Jedź ostrożnie. Elżbieta”

Malinowa trufla pisze:

Moje pierwsze „ja” powiada: W zasadzie uważam, że dobrze jest zawsze wszystko wiedzieć na pewno. To ułatwia. I skraca. Nie błądzi się wtedy. Nie traci czasu na zbędne przemyślenia. Dylematy. Mrzonki. Ot, jest plan i hajda do przodu.

Drugie „ja” ripostuje gwałtownie: Ależ to jest ograniczenie! Bo szukając, błądzimy tylko wtedy,

gdy nie wiemy, czego szukamy. To zdarza się niezwykle rzadko. A poza tym, co znaczy „błąd”? Bo czego najbardziej szukamy? To oczywiste. Chwili, czegoś zmieniającego wszystko na lepsze. Kogoś ważnego. Jednak najczęściej samego siebie, pogubionego bardzo. A dla siebie warto znieść wszystkie ograniczenia. I przemierzyć fałszywe drogi także.

Przeplatanka

Jerzemu współczułam. Podobnie szczerze jak sobie. U niego zdarzały się różne dni. Pracowite i mniej. Nerwowe i mniej. To wiedziałam z e-maili. W moim życiu było podobnie. Jeden dzień był dobry, drugi zły i znowu następny dobry, kolejny niestety fatalny. Nie uwierzyłam Julianowi. Korzystając z tego, że pochłonięty jest pracą, zaczęłam przeglądać portale randkowe. Nie mogłam przestać. Natychmiast i koniecznie chciałam zweryfikować, czy to, co mówił, jest prawdą. Szukając, czytałam różne anonse i z obrzydzeniem przeglądałam zdjęcia męskich „towarów”. Prężyły się w swoich cherlawych jestestwach te dusze zachłanne. Ustawiały do zdjęcia. Jednak było coś okropnego w tym, jak ci wszyscy faceci wydymają wargi, wypychają klaty, wciągają brzuszyska. Jak się silą na intelekt. Ale wśród nich mógł być mój Julian! A może byłam niesprawiedliwa, bo być może to były bardzo samotne i odrzucone osoby. Kto to wie... Niestety, nie znalazłam nic, co by mnie mogło naprowadzić na ślad bytności tam Juliana.

Przy okazji przeglądania netu częściej niż poprzednio mailowałam z Jerzym, co było mu bardzo na rękę. Pisał, pisał i jeszcze raz pisał. Ja czytałam i czytałam, a Julian też pisał i pisał, tyle że w pracowni, skąd od kilku dni nosa nie wychylał. Bałam się, co z nami będzie. Nie chciałam go stracić. Nie przeżyłabym. Byłam głodna uczuć nawet od kogoś o tak burzliwej historii. Serce sługą mym nie było. A Julian? Mógłby się dla mnie zmienić, nie byłoby tych chłodnych relacji, ciszy. Mógłby, jeszcze nie jest za późno! Zaczęłam myśleć, że wpadam w obsesję. Moja ucieczka w stronę Jerzego stawała się coraz bardziej histeryczna. I głębsza.

„Witaj, Elżbieto. Czyli co? Decyzję co do nas podjęło Twoje pierwsze *ja!* Znowu tylko zapowiadasz, a nie napisałaś nic osobistego. Rozumiem, że uznałaś, że nie warto, że po co? I masz zamiar naszą korespondencję wyciszyć. Obietnicami? Nie jestem wirtualny, jestem z krwi i kości! Jak najbardziej. Trochę się głupio poczułem. A może uważasz, że nie warto naszej znajomości kontynuować? No cóż, takie są też chyba zasady gry w necie.

A w Krakowie w środę po rozprawie miałem chwilę i udało mi się pójść do Kościoła Mariackiego. To było dla mnie wspaniałe przeżycie. Posiedziałem sobie trochę w ławie przy delikatnych, zaledwie przenikających przez szpary strugach światła dziennego. Piłem poezję w otoczeniu mocarzy kultury. I innych wielkich, których ducha tam w powietrzu czuje się nadzwyczaj silnie. Jazda samochodem to dla mnie wielka frajda, szczególnie jeśli na długiej trasie jadę sam przy dobrej muzyce. Piratem drogowym raczej nie jestem. Ale szybką jazdę uwielbiam. Teraz to już nie takie zwykłe pozdrowienia, ale cały kosz bardzo przyjacielskich fluidów. Żebyś godziła się na naszą znajomość. Jerzy”

Żebyś godziła się na naszą znajomość! Ależ tak jest. Akceptuję znajomość z Jerzym od dawna. Czy tego nie widać?

„Witaj, Podróżniku! Cieszę się, tak po przyjacielsku, że wróciłeś szczęśliwie do domu. To nie tak, jak piszesz. Muszę przyznać, że nasz korespondencyjny nawyk sprawia, że martwię się o Ciebie, gdy wyruszasz w długą trasę i gdy dłużej nie mam listu. Nauczyłeś mnie czekać na e-maile. Otwieram i czytam... i cieszę się z chwil, które mi darujesz. Ale nie lubię tonu nerwowego – to mówi, po namyśle, moje drugie *ja*. Zazdroszczę Ci tego pobytu w Krakowie, bo Kraków w Polsce to dla mnie jak Rzym w Europie. Uwielbiam to miasto, atmosferę sztuki i nauki unoszące się w powietrzu. Klimat prawdziwych wartości i duchy znakomitych unoszące się wszędzie. Teraz też słucham Piwnicy pod Baranami. *Dezyderata* to jest to. Co znaczy *zasady gry w necie*? Pozdrawiam, Elżbieta”

„Masz rację, Elżuniu, przepraszam. Do mojego e-maila wdarł się rzeczywiście styl nerwowy. Bo dyskusja w necie ma chyba to do siebie, że jest koślawa. Gdy się zaczyna odpowiedź na list, to jeszcze wiadomo, co pisać. Potem tematy nabierają trochę innych dróg, inne myśli wchodzą i tak to jest rozwichrzone, że rozmowy takiej jak bezpośrednia nie ma. Inaczej nie mogę chyba wytłumaczyć tego sformułowania. Prawdopodobnie wyszło tak, bo byłem rozżalony lakonicznością Twego listu. Ale złych myśli nie miałem. No i Cię całuję i życzę snów o pięknej soczystej trawie. A może pomyślimy, żeby korzystać z czatu? Co Ty na to?”

„Jerzy – dziękuję za trawę, to jest piękny obrazek, taki wiosenny. Chciałoby się w niej tarzać bez końca. Ale z czatu nie będę mogła korzystać, bardzo rzadko otwieram komputer. W moim zamysle przestrzeń wirtualna miała służyć do gromadzenia moich myśli. Zdań, które chronię przed całym życiowym balastem, czyli przed ludźmi, których bezwzględnie muszę zadowolić. Szkicuję swoją duszę, a może jedynie definiuję pewną przestrzeń. Nie wiem jeszcze. Elżbieta”

Rzemiosło to jest to

Zastanawiało mnie moje oddanie Julianowi. Czy to był rodzaj poświęcenia siebie, czy rzeczywiście graliśmy na podobnych skrzypcach? Raczej to drugie. Zawsze brakowało mi kogoś, kto rozpaliby we mnie rodzaj spontaniczności skierowanej na wspólne tworzenie. To znaczy, ja od dawna miałam takie chęci, ale pasowałam, gdyż nikt za mną nie podążał. Przed sobą zresztą też widziałam pustkę. Teraz podążałam za Julianem i było mi z tym bardzo dobrze.

Podobnie było ze srebrną biżuterią. Julian bardzo mnie zainspirował. Wystarczyło, że pokazał mi kilka tajemnic, a już siadłam i próbowałam własnych sił. Chciałam się pochwalić przed synami. W ogóle zauważyłam, że kochać nie znaczy być na wyciągnięcie ręki, na dotyk. Mnie wystarczyło, iż wiem, że dają sobie radę, że żyją, pracują. Nie tęskniłam, nie zabiegałam o spotkania. Ot, uznałam, że mój czas dla nich się skończył i mogę z boku obserwować ich sukcesy. Nie wiem, czy podobnie by było, gdybym nie miała Juliana. Nie wiem, jak w ogóle by było.

Po rozmowie o „jesiennym panu” miałam przemożną chęć odwetu. Nie dlatego, żeby coś przeżyć. Julian paradoksalnie był dla mnie naprawdę najbliższym człowiekiem. Najciekawszym. Najbardziej ekscytującym. Ale może dlatego, że posiadającym wiele zagadek. Nierozszyfrowanym do końca. Małomównym, ale jednocześnie bardzo odkrywającym się w łóżku. Oczywiście nie tylko dosłownie.

Tego dnia wyciągnął z tekturowego pudełka ciemnofioletowy, prześwitujący zupełnie gorset i poprosił, abym go włożyła, w zasadzie pomógł mi. Włożyłam, a jakże. A potem przejrzałam się w lustrze. I kogo tam zobaczyłam? Rozneglizowaną, nawet dość seksowną kobietę o absolutnie zawstydzonym spojrzeniu. Zdziwiłam się. Ona też. Włączyłam swoje ulubione *Bolero* Ravela. Przy tej muzyce można wszystko...

Najpierw nieśmiało zagrały skrzypce. I ja podobnie, w rytm muzyki, pierwsza zaczęłam mojego kochanka rozbierać. Staralam się być dominująca. Rozbierałam powoli, metodycznie. W rytm pierwszych skrzypiec. Potem drugich i trzecich. Szybciej. Pasek od spodni, koszula. Julian pocałował mnie w sutek i przeprosił na chwilę, kilka razy okręciwszy się wokół własnej osi, zainicjowałam samotny taniec. Muzyka zabrzmiała głośnie. Gdy wrócił, zdjęłam mu spodnie, pocałowałam w brzuch, dłońmi masowałam jego twarde pośladki. Głośna muzyka bardzo mi odpowiadała. Chowała moją nieporadność. Skryłam się za muzycznym arcydziełem. Nastawiłam się na podobny rytm. Niewątpliwie miłość fizyczna dzieje się w rytmie bolera. Julian patrzył na mnie, jakby chciał wyczytać, w jakim momencie zostawię go takim nagim na środku salonu. Nie wytrzymał.

– Pieść mnie jeszcze. Zajmij się tylko mną. Ten raz.

Nie musiał prosić. Ale to był mój pierwszy raz w ten sposób. Byłam niezdarna. Zawstydzona. Nie potrafiłam znaleźć metody, interesującej formy. Artyzmu. Od razu to zauważył. Poprowadził moją rękę. Głowę. Zapomniałam o ograniczeniach. Byliśmy znowu sami ze sobą. Sam na sam. Stawałam się coraz bardziej swobodna, spontaniczna, potem gwałtowna, jak *Bolero*. Ravel musiał je pisać po niezwykle satysfakcjonującym seksie! Byłam kotką. Byłam gejszą. Byłam młoda. I piękna. Kobieta zawsze jest piękna. Gdy bardzo tego chce. Julian lizał moje piersi, które już dawno znalazły się poza gorsetem. Rozpinał haftki w kroku.

– Proszę cię, nie przestawaj, całuj, kochaj wszystkim, czym chcesz – usłyszałam jego zduszony głos.

– Ale, widzisz, że chyba nie potrafię, nigdy tak nie...

– Rozbieraj mnie na najmniejsze nerwowe receptory, na neurony, mięśnie i ścięgna, na komórki...

Znajdź wszystko. Teraz możesz.

– Nie mogę, nie umiem, postaram się...

– Teraz masz mnie całego, nie chowam się.

– Tak, tak – szeptałam. Byłam podniecona, odurzona podnieceniem mojego mężczyzny. Sobą też. Muzyką. Ogólnie, naszymi pierwotnymi albo zwierzęcymi instynktami. Szybkością jak u zwierząt. Tak. Teraz, natychmiast. Julian zerwał ze mnie fioletowe tiule i pchnął na skórzany fotel. Po czym wszedł we mnie od tyłu jak zwierzak. Gwałtownie, pewnie i bez żadnej finezji. Współbrzmiał z Ravelem. Wiedział, że może. Bo takie są prawa miłości. Bo u mnie i tym razem było tuż, tuż...

– Przepraszam, jeśli cię zabolalo... Przepraszam... – Julian odgarniał mi z czoła sklezione od potu włosy.

Wybrzmiewaliśmy wraz z ostatnim szarpnięciem strun, z ostatnim akordem bębna. Julian głaskał mnie po ręce. A ja leżałam z nosem pod jego pachą i słuchałam, jak bębny w moim brzuchu kończą utwór na orkiestrę, chór, a nawet balet.

Potem każdy z nas zajął się swoją pracą. Wiedziałam, że na etapie drugiej redakcji nic Julianowi nie pomogę. Zbliżaliśmy się do finiszu, w styczniu książka miała ukazać się w księgarniach. Każdy zajął się sobą, czyli ja zajrzałam do poczty, a Julian znikł w pracowni.

Jeśli chodzi o Jerzego, czułam się w obowiązku pisać, odpisywać, nieco ujawnić, za wiele nie pytać, czyli nie przekraczać pewnego dystansu. Nasza korespondencja, patrząc na nią jako na całość, na pewno nie była elektryzująca. W ten sposób mogłyby do siebie pisać dwie heteroseksualne kobiety. W miarę szczerze względem siebie. Nieco zaprzyjaźnione. Odkryłam, że kontynuuję tę niezobowiązującą wymianę myśli, bo to jest układ bezpieczny. Przyjacielski. Na odległość. I zawsze mogę się z niego wycofać, bo nic między nami nie iskrzy. Byłoby mi przykro, gdyby jednym cięciem zakończył naszą znajomość, ale... mogłabym z tym dalej żyć. Bez Juliana nie potrafiłabym już funkcjonować! To wiedziałam.

Gdyby ktoś mnie zapytał, jaki jest Jerzy, powiedziałabym, że przeciętny, zamknięty w przestrzeni „od – do”, zacadzony magią paragrafu, beznamiętny, jak znani mi adwokaci. Zagrożony dyskopatią odcinka piersiowego kręgosłupa. W jakimś sensie samotna gaduła, wiecznie siedząca w papierach i prawdopodobnie z nudów poruszająca się po necie. Albo z wypalenia. Czegoś chce. Ale co by to miało być, pewnie się nigdy nie dowiem! Albo dowiem się stanowczo za późno.

Męki miłosne, ale i ekstazy przeżywałam tylko z Julianem. Tylko na myśl o nim. To o nim śniłam. Jego wyglądałam. Szczytowałam w każdym aspekcie. Gdyby ktoś zapytał, jaki jest Julian... No cóż, Julian był silny, intelektualny, zaskakujący. Myślał za mnie, działał za mnie. Elektryzował mnie. Pociągał. Kusił. Przez niego byłam rozedrgana. Cierpiałam. Męki znosiłam. Bo go kochałam! Kochałam! Do diabła! Nawet jeśli było to uczucie jednostronne, to i tak warto! Godzimy się na nieszczęśliwe życie ze strachu. Lata całe byłam niewidzialna. Nic nie czułam. Krzyczałam. A mimo to nikt mnie nie słyszał! Nie chcę już posłusznie gasnąć! Chcę być i czuć! I szaleć!

Wieczorem posprzątałam narzędzia jubilerskie, odłożyłam na półkę na w pół wykończoną broszkę. Miała kształt kilku sopli lodu. Ten kształt powstał absolutnie przypadkiem, kreacja w moim rzemiośle nie wchodziła w grę. Istniał tylko przypadek. Julian zajrzał mi przez ramię i cmoknął. Pewnie na mnie, bo broszka nie mogła go zachwycić. Przy okazji pochwalił się, że nabył wreszcie bilety lotnicze do Melbourne. Snuł wizję, że polecimy w pierwszy dzień po świętach. Czyli niedługo. Nie mogłam się doczekać! Tam będzie ciepło! A może upalnie. Hurra! „Super” – zdążyłam tylko wykrzyknąć, a Julian znowu zniknął w pracowni. Tym razem miał romans całkowicie przeze mnie akceptowalny. Z Portugalią. Zostałam sam na sam z rutynową opowiastką Jerzego o niczym, sama zrobiłam to samo. I od razu dostałam zwrotne „znowu o niczym”. W końcu wpisałam notkę na blogu.

„Dzień dobry, Elu. Soczyście zielona trawa to rzeczywiście widok i odczucie, że chce się, jak

piszesz, tarzać. Co do mego e-maila, to ogarnęła mnie przemożna chęć czytania Twych listów i korespondowania z Tobą. Czy pisałem Ci kiedyś, że jestem gadułą? Czy to też w pisaniu się uzewnętrznia? Tym razem będę monotematyczny. Czekam na Twe listy jak zawsze, bo chciałbym je czytać, czytać i jeszcze raz czytać... Napisz do mnie długi, piękny list. Proszę. Takie lubię najbardziej. Całuję. Jerzy”

„Jurku! Nie wiem, jak to się stało, ale mamy już za sobą dość długą wirtualną historię. Nigdy wcześniej z nikim nie e-mailowałam, co najwyżej w sprawach służbowych. I tak sobie myślę, że dobrze, że jest ktoś, kto te moje wycieczki wieczorne lubi czytać (a przynajmniej deklaruje, że lubi). Trochę o Tobie już wiem, a że jesteś spontaniczny i gaduła, to dla mnie oznacza wyłącznie same dobre rzeczy. Bo myślę, że nie manipulujesz, piszesz prawdę i nie przedstawiasz siebie w nieprawdziwym świetle. To same plusy w tym pełnym manipulacji i nieprawdziwych relacji międzyludzkich – świecie. Śpij dobrze. Elżbieta”

„Witaj raz jeszcze, Elu! Ciąg dalszy następuje. Dziękuję Ci za Twój obiecujący list. Całe popołudnie siedziałem przy piśmie i pracy *merytorycznej*, z którą ciągle gonię czas. To ta świąteczna gonitwa sprawia, że wszystko jest spiętrzone. Każdy z klientów chce swe interesy załatwić przez świątami, a w każdym razie w tym jeszcze roku. Z tego względu ja, skromny sługa, muszę służyć radą. Teraz zrobiłem sobie krótką przerwę, potem znów zabiorę się za robotę i tak zleci. Pozdrawiam Cię wtorkowo i całuję. Jerzy”

„Jerzy, miłe są takie spotkania w zasadzie w sytuacji przypadkowego wyboru. Też Cię pozdrawiam. Elżbieta”

Malinowa trufla pisze:

Od kilku dni próbuję rzeźbić w srebrze. Nawet ciekawie mi to wychodzi. Cieszę się. Bo może okaże się, że wreszcie znalazłam w sobie jakiś talent? Srebro to inne tworzywo niż życie. Ale podczas formowania jedno i drugie wymaga finezji. I talentu właśnie.

W końcu wyłączyłam laptop i przeciągnęłam się. Spojrzałam na zegar, była dwudziesta druga. Dzień powoli dobiegał końca.

Tanie romansidło

Od rana Julian wprawiał mnie w dobry humor. Z szafy wyciągnął torbę pełną marcepanów o różnych kształtach. Dlaczego miał je przede mną schowane? Wiadomo. Od razu się na nie rzuciłam jak wygłodniała wilczyca. Ale były takie pyszne. Na biurku położyłam kilka, na później, bo nie mogłam się oprzeć. Zapach czekolady i migdałów kusił mnie. W czekoladzie jest coś takiego, czemu nie mogę się oprzeć. Jem tak długo, aż się skończy. Sięgnęłam po następnego czekoladowego słodziaka. Czułam niebo. W ustach.

Tymczasem w poczcie zastałam fetor, jakby komuś się wymsknęło. Zimnego e-maila od Jerzego czytałam trzy razy. Godziłam się na wymówki, owszem, bywało, jednak tylko pozornie! I kiedyś. I nie tutaj.

„Witaj, Elżbieto! To *coś* między nami chyba rzeczywiście nadaje się na tanie romansidło. Ale takie jest życie, pełne niespodzianek, a w naszym wypadku chyba jednak przyjemnych. Pozdrawiam Cię zatem o poranku tak, jak Cię może pozdrowić tylko przyjaciel. Jerzy”

Bardzo się zdenerwowałam. Co znaczy „tanie romansidło”? Ze mną w jednej z ról? Dlaczego napisał w tak okropny sposób? Przecież wcale się nie znamy! Nerwus! Adwokacina! No tak, adwokacina, skoro nawet pisać dyplomatycznie nie potrafi. Dlaczego znowu mnie dotyczy ta wpychająca się wszędzie niesprawiedliwość? Przecież w żadnej mierze go nie uwodzę! A on, zamiast zastanowić się, a potem sformułować swoją myśl jakoś oględnie, od razu tnie jak skalpelem. Przedwcześnie pisze wyrok. Adwokacina, chociaż z tymi sprawami na pewno jest zakolegowany. Ale nie jest sędzią. Ani prokuratorem! Ja zaś na pewno nie będę tym razem oskarżoną! Zaczęłam przeglądać swoje poprzednie e-maile skierowane do niego, by znaleźć zdanie, słowo, które mogło jakoś prowokować. Pomyślałam, że w ten sposób zadaję sobie trud. Zajmuję się tym facetem dużo bardziej i częściej, niżbym chciała. Tym razem dlatego, że koniecznie chcę odeprzeć pomówienie. Po co? Czy muszę się wszystkim tłumaczyć? Nie. Czy powinnam godzić się na wymówki? Też nie. W wysłanej korespondencji znalazłam jedno podejrzaną zdanie. Prawdziwe, ale cóż... Od razu napisałam.

„Jerzy. Muszę Cię przeprosić za zwrot *sytuacja przypadkowego wyboru*. Chodziło mi o określenie impulsu, który kierował mną, gdy postanowiłam odpisać na Twój komentarz na moim blogu. Elżbieta”

Wdowi uścisk

Następnego dnia, od samego rana nie mogłam się doczekać, żeby zajrzeć do poczty. Interesowało mnie, jak tym razem się wytłumaczy. Nie wiem, skąd wzięło się moje zaciekawienie. Widocznie i w taki sposób można wywołać iskrzenie! Czułam w stosunku do siebie obrzydzenie. Bo sypiałam z Julianem, żyłam z jego pieniędzy, wprowadziłam mu trochę pomocy, ale jedynie „nieco”, mieszkaliśmy w jego domu, gdzie przygarnął mnie jak sierotę. A zadaję się z jakimś neurotycznym kolesiem, który usiłuje do mojej głowy przetrząsnąć część ze swoich chorych stanów emocjonalnych. Moje postępowanie w stosunku do Juliana na pewno nie było fair! Wprowadziłam z jego strony był eksces z randkami, ale potem już temat nie wrócił, a ja Juliana widziałam wyłącznie zajętego pracą.

W końcu nie wytrzymałam i przeczytałam ten list. Od Jerzego. Było koło południa. Długo wytrzymałam, bo laptop chciałam włączyć już przed śniadaniem. Ta sytuacja byłaby absolutnie niezwykła. Sama wprowadziłam swoją z Julianem śniadaniową intymność, potem dbałam, żeby stała się rytuałem, a teraz...

„Elżbieto. Przepraszam za to *tanie romansidło*. Napisałem tak prawdopodobnie dlatego, bo pomyślałem, że chcesz mnie odrzucić. I tak wyszło, ale złośliwej myśli nie miałem. Teraz pewnie jesteś zajęta, ale może dzisiaj wyjątkowo sobie o nas ciepło pomyślisz? O tym, co nas spotkało. Napisz, proszę. Jeżeli jednak takich myśli nie miałaś, to też napisz – coś wymyślając. Może to będzie nawet ciekawsze? Tak więc nie robiłbym dramatu wokół naszej znajomości. Zaczęła się z wielkim rozmachem (może i wzajemnym wyczuwaniem), może jakoś potrwa. Kto wie? Ja oczywiście jestem już w kancelarii, a wcześniej rano byłem w sądzie. Po południu przyjmuję klientów. Dzisiaj mam dzień zapełniony po brzegi – w zasadzie do wieczora, ale w przerwach spojrzę do poczty. Może w ciągu dnia coś miłego do mnie napiszesz? Całuję nadal. Jerzy”

Nie, nie napiszę niczego miłego! Nic teraz nie napiszę! Najwyższy czas pozbierać myśli. Przestać traktować wirtualną korespondencję jako ucieczkę od tematów, od których na pewno uciekać nie powinnam. Czyli jak sprawić, by Julian był tylko mój. I co się dzieje z moim domem? Jak go odzyskać dla siebie? Wyrwać ze szponów Krysty i Bogdana?!

Stało się. Poprosiłam Juliana, żeby mnie zawiózł na moje osiedle i żebyśmy mogli przejechać ulicą, którą ostatnio widziałam przeszło miesiąc temu, choćby dwa razy. W tę i z powrotem. Nie był zadowolony, ale po kilkunastu minutach trzymania mnie w niepewności w końcu usłyszałam:

– Wyjeżdżać? Jesteś gotowa?

Było po południu, w mieście panowała znaczna nerwowość, jak to przed świętami. Mijaliśmy oświetlone bożonarodzeniowymi iluminacjami ulice. Zawsze uwielbiałam atmosferę świąt. Jadąc, wcale nie rozmawialiśmy. Julian nie był zadowolony, a na wyjazd zdecydował się wyłącznie dla mnie, to wiedziałam. Tak postanowił, bo wiedział, że nie potrafię nad tym wszystkim zapanować. Mój kochany Julian! Ja miałam pretensje o kobiety w jego życiu, a sama namówiłam go, by mnie zawiózł do domu z mężem w środku. Czyli z facetem, którego utrzymywałam. Mimo że z Julianem naprawdę było mi dobrze i pod względem materialnym bezpiecznie, nie dawała mi spokoju myśl, że przecież mam prawo do swojego domu. Że muszę tak wyreżyserować sytuację, żeby całe życie nie korzystać z pieniędzy Juliana, gdy tymczasem Bogdan z Krystą żyli jak stare dobre małżeństwo. Ja zaś przesłałam im na życie

pięćset złotych. To nie było dużo, ale za nic. Za absolutne „nic”! Za to, że się urodzili! Pieniądze z odprawy kurczyły się szybko, a ja nie wiedziałam, co dalej. Jeśli nie wyślę kasy, to Bogdan, jak Rysiek Zośki, wejdzie w kloszardzi stan i spali moją chatę w mig. Miałam wyrzuty sumienia, ale nie wiedziałam, kiedy byłyby większe. Czy gdybym wróciła teraz do domu i akceptowała nadal to, co przedtem, czyli życie z Julianem i nocę w domu? Czy to, co mam teraz? Obecna sytuacja była dla mnie jednak bardziej moralna. Ale tylko połowicznie. Czyli było tak, że ja jestem na garnuszku Juliana, a na moim pustym – Boguś. W prostym rozumowaniu: Julian utrzymywał Bogusia! To nic innego niż poróbstwo i finansowe naciągactwo!

Wjechaliśmy w moją ulicę. Miałam plan, żeby Julianowi nie pokazywać mojego obrzydliwego domu. Ale pomyślałam, że nie będę uczciwa. Zbliżaliśmy się niechybnie. Już chciałam poprosić Juliana, żeby za kilkanaście metrów zwolnił, ale... Ale stało się! Zza zakrętu wyłonił się Bogdan, który chodnikiem maszerował dziarsko z... Co to? Na jego ramieniu uwieszona była Kilkakrotna Wdowa! I w najlepsze śmiali się do siebie, zajęci sobą wcale nas nie zauważyli. Bogdan paradował w nowej puchowej kurtce i białej czapie na głowie, a ona nie była już w żałobie.

Zrobiło mi się przykro. To ja mam okropne wyrzuty sumienia, gdy tymczasem oni po mojej ulicy bezczelnie paradują, zupełnie bez wstydu.

– Zatrzymaj! – krzyknęłam do Juliana.

– Nie – warknął i pojechał dalej.

Nie wracaliśmy już moją ulicą, z tego wszystkiego nie spojrzałam nawet na swoją rudę. Nie dostrzegłam, w jakim ją utrzymują stanie. Czy dbają? Czy nadal niszczeje beze mnie? Czy światło w pokoju Krysty jest zapalone? Wszystkie żarówki? Czy tylko mała lampka z bordowym kloszem? A może jest całkiem ciemno, jak w grobie? Nie wiedziałam, jak się Krysta miewa. Czy dobrze, czy nie jest chora... Zawsze niedomagala. Zawsze, gdy tam mieszkałam.

– Nigdy więcej mnie na taki eksces nie namówisz. Mnie gęba tego pętaka nie interesuje. W zasadzie powinnaś się cieszyć, że wreszcie zejdziesz ci z oczu. Ale radości na twojej twarzy jakoś nie widzę! – Julian był oburzony.

– Nie masz racji – powiedziałam, ale Julian znikł prędko w swojej pracowni. Ja zaś nie miałam odwagi za nim tam wejść. Myślałam o metamorfozie Bogdana, niewątpliwie był zadbany bardziej niż kiedyś. Poza tym wyglądali na naprawdę ładną i szczęśliwą parę.

Przeszło mi oburzenie na Jerzego. Napisałam krótko:

„OK, rozumiem, też myślę, że się źle wyraziłam. Wróciłam właśnie zmęczona i zziębnięta do domu. Idę spać. Elżbieta”

Ale nie zrobiłam tego. Nie było jeszcze dwudziestej. W końcu odważyłam się i poszłam do pracowni Juliana. Pracował, w komputerze przewijał strony, na biurku leżało kilka czytników kart pamięci. Otwartych miał kilka programów fotograficznych i edytorskich. Pogłaskałam go po zmęczonej twarzy. Wydawało mi się, że ostatnio schudł, ale może to tylko wrażenie. Zimą wyglądamy na bledszych i bardziej mizernych niż zwykle. Pomyślałam, że w Australii musimy koniecznie naładować akumulatory. Popływać, poleżeć na słońcu. Naszym myśлом dostarczyć słońca, ciała wygrzać i ogólnie dać się słońcu przeświecić. I wchłonąć nieco muzyki, gdyż w planach mieliśmy salę koncertową w Melbourne.

– On mnie naprawdę nie obchodzi – powiedziałam. – Teraz dopiero widzę, że nie chciał dla mnie być inny. Tylko dla mnie. To mnie denerwuje, to chciałam mu wykrzyczeć. Dlatego chciałam, byś zatrzymał samochód. Nie dlatego, żeby się do niego zbliżyć.

– Nie godzę się z takim prostym cynizmem. Czy męskim, czy damskim, nieważne. Cynizmem. Ale to temat rzeka... Podczas lotu do Melbourne będziemy mieli sporo czasu, żeby o tym pogadać. – Julian pocałował mnie w brzuch. I wrócił do pracy.

Ja pokręciłam się po kuchni, zadowolona, że chmura gradowa przeszła, że Julian się nie gniewa. Że rozumie. Że w zasadzie myślimy to samo. Zniosłam mu kubek herbaty z pokrzywy i tran. Sama też zjadłam. Sobie zaparzyłam herbatę malinową i z wielkim kubkiem usiadłam przed komputerem.

Malinowa trufla pisze:

Wiem, że teraz już idę własną drogą. Szerszą niż kiedyś. Spotkałam go, stał na poboczu, a ja zamknęłam na nim spojrzenie. Tylko na chwilę. Po czym poszłam dalej. Nie oglądałam się, ale wiem, że on na pewno tam nadal pozostał.

Chciałabym teraz usiąść przed starą maszyną do szycia i mocno deptać pedał. Raz jedną nogą, potem drugą. Do przodu. Deptać, deptać. Żeby wzmocnić w sobie przekonanie, że teraz na pewno wyruszyłam. Że uda mi się iść i iść. Do przodu. Swoją drogą.

Przeczytałam raz jeszcze swój wpis, a zamykając komputer, zauważyłam e-mail od Jerzego.

„Dziękuję, Elu, śpij ładnie, gdy to piszę, pewnie już to smacznie czynisz, więc się jeszcze pięknie obudź. Pa, Jurek”

Zasady dobra rzecz

Zawsze szczyliłam się, że posiadam zasady. Jak żyć, jak traktować rodzinę, jak świętować i jak podchodzić do pracy. Nawet jeśli miałyby to być byle jak. Normy postępowania, zwyczaje. Co do ubierania się, wychowania synów, a nawet, i jest to bardzo dziwne, co do współżycia z ludźmi bez zasad. Tak było kiedyś i te więzy mnie niewątpliwie krępowały. Po tych kilku miesiącach od ucieczki z krainy emocjonalnej nędzy poluzowałam swój kodeks. Kiedyś bym nie kontynuowała częściej znajomości z Jerzym. Żadnej znajomości z mężczyzną bym nie kontynuowała, jakakolwiek by była. A stało się i robię to w tajemnicy przed Julianem, w konflikcie ze swoim oglądem rzeczywistości. Przez kilka grudniowych dni moim udziałem stał się nawyk. Sprawdzania poczty, odpowiadania na e-maile. I wcale nie tak od niechcenia. O nie! Od niefortunnego sformułowania: „sytuacja przypadkowego wyboru” zaczęłam się nad treścią wiadomości do Jurka zastanawiać. Obmyśliwać, co napisać i jak!

Poranki moje były podobne. Śniadanie z Julianem, chrupiące bułeczki, kawa z mlekiem nalewana z dzbanka ze starej porcelany do równie starych, pięknych filiżanek. Fajna rozmowa, na przykład o lubrykantach. Umawiamy się na łózkowe popołudnie w sypialni obok. Julian czmycha do pracowni, ja wybieram się do Starego Browaru, bo powinnam skompletować rzeczy na wyjazd. Ale otwieram laptop. I czytam. A potem piszę!

„Witaj, Jerzy, nie od razu udałam się wczoraj spać, ale obudziłam się ładnie, tak jak mi życzyłeś, już jakiś czas temu. Mam zasady, że przed śniadaniem nie włączam komputera. Dbam o intymność. Zasady to dobra rzecz, zresztą Tobie, prawnikowi z zawodu, nie powinnam tego pisać. Generalnie droga według zasad wprawdzie utrudnia kreatywność, ale wiele ułatwia. Jak zapewne czujesz, jestem optymistycznie do życia nastawiona i zawsze we wszystkim znajdę coś pozytywnego. A jak to jest z Tobą? Pozdrawiam, Elżbieta”

Niepotrzebnie to napisałam, poza tym tak zachęcająco. Bo zaraz w moim laptopie odezwał się dzwonek informujący o nadejściu wiadomości. Czasem miałam wrażenie, że Jerzy nic innego nie robi, tylko gapi się w komputer i z mety odpowiada. Często zastanawiałam się, czy na pewno jest prawnikiem. W ogóle nie wiedziałam, ile ma lat, jaki jest jego status materialny, czy ma wielu klientów, czy nie. A może jest alkoholikiem. Albo narkomanem. I ma niecałe dwadzieścia lat. Nieważne. Poza tym wcale nie pisał o swojej żonie, o córkach wspominał. O żonie nie.

„Witaj, Kochanie (czyż to nie intymne?), dziękuję Ci za list. Pieścisz mnie w nim, nie mam nic przeciwko, spróbuję też nie nabierać dystansu. Pieszczot nigdy za wiele, szczególnie dobrego samopoczucia z pieszczotami związanego. Co do Twojej usystematyzowanej i skodyfikowanej drogi – też popieram. Zasady muszą być, jest tylko problem, czy zawsze i w każdej sytuacji ortodoksyjnie należy ich się trzymać, bez żadnej modyfikacji. Ja ortodoksem nie jestem, aczkolwiek ogólnie zarysowane zasady też posiadam – i to w gruncie rzeczy podobne do Twoich. Może się kiedyś spotkają? Tak myślę, że chciałbym Cię o wiele spraw zapytać. Jakie by Ci tu pytanie na początek zadać? Nie wiem, czy na ten temat już rozmawialiśmy, ale napisz, czy spotkanie się ze mną byłoby dla Ciebie przełamaniem określonej konwencji i czy w związku z tym masz jakieś plany – by się spotkać, czy też odwrotnie? Oczywiście i co dalej? Poprzednie zdanie jest brzydko napisane. Proszę Cię, byś potraktowała je życiowo i filozoficznie, a nie w kategoriach szantażu, bo tak mi się w gruncie rzeczy napisało. Innego

zdania jednak nie potrafiłem zbudować. A co do prozy dnia – po południu jadę do Opola do sądu. Jutro z rana mam rozprawę, po południu wrócę. Jadę oczywiście jak prawdziwy macho samochodem, oczywiście swoim, a nie z klientem. Nie ma bowiem nic gorszego niż ewentualna przegrana w sprawie, a potem kilkugodzinna jazda z klientem i wysłuchiwanie jego brzęczenia i narzekania. Całuję Cię, J.”

„Witaj, piszę szybko, żebyś przeczytał jeszcze przed wyjazdem. Generalnie korespondując w sposób jak my, można mieć obawy, czy rzeczywiście rozmawia się z tą osobą, którą sobie z tych strzępów informacji wyobraziłam. To jest pierwszy człon odpowiedzi na Twoje pytanie. A drugi – czemu nie? Jeśli będziesz w Poznaniu, zapraszam. Ja do Warszawy na razie się nie wybieram, niestety. E.”

„Elżbieto. Początek Twego listu mnie zmroził. Tak sobie pomyślałam, że te *obawy* oznaczają, że *obawiasz się, że czas kończyć naszą korespondencję*. Nie wiem, dlaczego tak czarno pomyślałam. Ale zaraz pięknie mnie rozchmurzyłaś. Dziękuję. Co do tego, z kim tak naprawdę się koresponduje, to mam nadzieję, że nam, a na pewno mnie, się utrwaliło, że korespondencja jest z właściwą osobą. Ty to Ty. A ja to ja i chyba razem jesteśmy otwarci na świat. Natomiast zgadzam się, że w wirtualu nie osiągnie się większego stopnia szczerości, a w każdym razie jej oceny. To chyba obiektywnie niemożliwe. Net nie ma takiego sposobu przenoszenia, który pozwalałby usłyszeć, przeczytać, zrozumieć czy dojrzeć to mrugnięcie, spłoszenie czy zadrżenie głosu. Na razie chyba niestety musimy w to jednak brnąć. Może odkryjemy nowe, nieznane powszechnie, a w każdym razie nam, pasma przenoszenia wszelkich emocji i rozszyfrowywania tych elementów niechcianych lub niepożądanych w osobach korespondujących. Całuję Cię, J.”

Jest coś takiego jak przyzwyczajenie. Właśnie tego doświadczałam. Jerzego nie znałam wcale, nawet nie wiedziałam, jak wygląda, to znaczy wiedziałam, że jest blondynem o niebieskich oczach. Czy to wszystko? Nigdy nie poprosiłam o zdjęcie. Nigdy nie miałam zamiaru poznać go bardziej. Ale był tak konsekwentny. Tak zdeterminowany. A to mnie łaskotało przyjemnie. Żyjąc wiele lat z przekonaniem o swojej nikłej wartości, od jakiegoś czasu żeglowałam na wodach dużo szerszych niż kiedyś. Tak czułam.

Nie chcę być instrumentem

Był tydzień przed Bożym Narodzeniem. Przez ostatnie tygodnie Julian bardzo się napracował, skończył książkę o Portugalii i przejrzał poprawki redaktorskie w tekście o Islandii. Wszystko miało zaplanowane jak w budżecie dobrze zorganizowanego państwa. Usiadł w fotelu i czytał Nietzschego. Ja od rana, nie doczekawszy się e-maila od Jerzego, na drewnianym szkieletniku próbowałam tworzyć własną wizję srebrnego wisiora. Nastawiłam płytę Salifa Keity, którego głos natychmiast poszybował po mieszkaniu. Ciepły, wypełniony tysiącem tęsknot. Ciary poszły mi po plecach. Wprawiłam się w dobry nastrój. Czułam, że mogę wszystko. Mogę pisać, skoro piszę bloga, mogę kochać, skoro kocham Juliana. Poznałam też Jerzego, czyli stać mnie na przyjaźń. Zawodowo mogę być finansistką czy nawet na powrót zasilić międzynarodówkę księgowych. Mogę nawet tworzyć biżuterię. Tak myślałam, mimo że planowanie własnego dzieła nie przyniosło efektów, jakie chciałabym uzyskać. Świadome tworzenie na pewno nie było łatwe, wymagało wizji, pomysłu i świadomości formy. Tego na pewno nie potrafiłam.

Julian podniósł głowę znad książki.

– Zjadłem viagrę i cialis. To co?

– Nie za dużo? Taka spontaniczność może ci zaszkodzić. Dużo ostatnio pracowałeś...

– Odrzucasz moje zaloty... – Stał za mną, lizał mnie po szyi. Potem włożył mi rękę w majtki.

Szukał, a ja byłam już gotowa, ręką naprowadziłam go na łechtaczkę wielką jak brzoskwinia.

– Muszę znaleźć sobie zajęcie, koniecznie muszę... – Wstałam z krzesła, odwróciłam się w jego stronę i przywarłam ciałem mocno, najmocniej. Wzdychałam jak przy rodzeniu Krzyśka.

– Ma ci być dobrze! Po to jestem. Rozchyl się bardziej, uwieś na mnie, nie bój się...

– Nie mogę, bardziej już nie mogę. – Wspinałam się na jego stopy. Byłam tak rozbita, rozgrzana emocjonalnie, chciałam wykrzyczeć całe to moje poszatkowanie. Poćwiartowanie duszy.

Usiadłam na podłodze i zaczęłam płakać. Wpadłam w żal i pesymizm osłabiające mnie jak złe dobrane antybiotyki na anginę. Płakałam i poprzez spazmy długo nie mogłam nic wykrztusić. Julian dyszał ciężko.

– Julian, nas wiążą nasze wady. One najbardziej ludzi do siebie przyciągają. To jest tylko seks. Boję się – powiedziałam szybko, gdy się uspokoiłam.

Julian usiadł w kucki naprzeciwko i nic nie mówił. Nawet na mnie nie patrzył, podparł głowę rękoma i tak siedział. Wyglądał jak jogin. A ja znowu płakałam.

– Hamletyzujesz. Nie zmuszaj mnie, żebym teraz z żalu nad brakiem człowieczeństwa u siebie pił wódkę w towarzystwie księżyca. – Podniósł głowę i popatrzył na mnie. A ja zaraz poczułam olbrzymie wyrzuty sumienia. Że skoro się godzę, że jeśli mieszkam, że przecież kocham... Akceptuję... Tak naprawdę. Po co to wszystko mu wypominam?

– Słuchaj. – Chwyciłam jego dłonie i zaczęłam je całować. – Ja nie mogę tak żyć. Nic nie jest wieczne. Nasza wzajemna fascynacja zaraz minie. Wyczerpiemy limit i będzie na pewno mniej emocjonalnie. I uciekniesz ode mnie. A ja nie wyobrażam już sobie życia bez ciebie, bez tego wszystkiego twojego. Przystopujmy, poszukam sobie pracy, będziemy się spotykać wieczorami, czasem gdzieś wyjedziemy.

– Jak chcesz. Ale jaką masz pewność, że nie zniszczymy pożądania? I, co najważniejsze, zaciekawienia?

– Niech nas łączy wspólne jądanie, poglądy, wychodzenie gdzieś, nawet taniec czy obcowanie ze sztuką...

– Ależ to wszystko zmierza w zasadzie do tego samego. Do bliskości. A kiedy, jeśli nie w takich momentach, dostajemy ją największą? Poza tym wychodzimy przecież...

– Nie chcę być instrumentem.

– Nie jesteś. Kiedy? Dbamy o siebie w równym stopniu. Posłuchaj, nasz związek zrodził się z samotności. Nie znałem wcześniej nikogo tak samotnego jak ty. Siedziałaś w tej mordowni, jakby wycięta z innego obrazka... Jak uciekiniarka od pętaka, który potrafi walczyć z przeważającymi wyimaginowanymi siłami, a nie targać się z życiem. To się wyczuwa. Chyba nie zaprzeczysz. Od samotności do seksu jest bardzo niedaleko. Też miałem już po dziurki w nosie związków na krótki czas, a nawet na jedną, zresztą bardzo często beznadziejną noc. Ale, żebyś mi nie wygarnęła, że zostawiałem kobiety po nocy: nie, większość z nich zgadzała się ze mną, że seks nam nie wyszedł. Ale jednocześnie większość z tych kobiet mimo to bardzo chciała ze mną być... Za cenę braku największej bliskości?

– W tej mordowni ty też byłeś. Też wyglądałeś jak z innego obrazka. Nie można oceniać tak jednostronnie, bo między płciami tworzą się płaszczyzny duchowe, oczarowanie, strzał Amora. U kobiety zawsze tak jest.

– Niech się tworzą, tym lepiej. Ale nie oszukujmy się, w łóżku musi być podniecająco. A w kuchni smacznie i bardzo często pikantnie, i tak dalej, i tak dalej. Coś mnie chyba gorączka łapie, zdrzemnę się. Obudź mnie za godzinę, pobiegaj po necie.

Kochałam Juliana, to było pewne, ale im więcej takich rozmów z nim odbywałam, tym bardziej wyglądałam listów od Jerzego. Julian dawał mi to, czego nie potrafił dać Bogdan, a Jerzy znakomicie uzupełniał Juliana. Zawsze było dla mnie ważne, żeby stworzyć czystą i dobrą relację z innym człowiekiem. Mimo to zagmatwałam się. I bałam. W życiu nie osiąga się tylko szczytów. Na wierzchołku góry trudno jest żyć. Ale nie ma też samych dolin. Ani świat nie jest tak zbudowany, ani też ukształtowane jest nasze życie. Ze szczytu na dół schodzimy stopniowo. Mając nadzieję na własne szczęście, nie dostrzegamy go, i dzieje się bardzo często, że już jesteśmy na drodze od szczęścia do nieszczęścia. Tak naprawdę to wszystko mnie bardzo dużo kosztowało. Dlatego z przyjemnością czytałam historię życia Jerzego. Wtedy moje myśli zaczynały podlegać dyscyplinie, znikła emocja, przychodził spokój.

„Elżuniu, dzisiaj krótko, bo rozpoczynam okres Wigilii. Najpierw podzielimy się opłatkiem w kameralnym gronie w kancelarii, potem z ulubionymi klientami, wreszcie wieczorem z przyjaciółmi na basenie, ze śledzikiem w roli głównej. Ale musisz wiedzieć, że ta ryba na basenie to był mój pomysł. Odebrałem właśnie dwa półmiski, część jest w śmietanie, druga po ukraińsku, bagietki i po jednym piwie na osobę. Rozłożymy to sobie na brzegu basenu i jak karpie w odpowiednich momentach będziemy pod pływać. Pewnie będzie fajnie, cebula niewątpliwie pociągnie po całym basenie. A jakie potem będą miłe życzenia ze śledzikiem zamiast opłatka... Całuję lekko śledzikowo.
Jerzy”

„Jerzy, było mi bardzo miło czytać o świątecznym śledziku, o Tobie i Twoich znajomych pluskających się w basenie, nawet to sobie wyobraziłam. Zawsze miałam marzenie o wielkim świątecznym stole i dużej rodzinie, szczęśliwej, zgodnej, takiej, jaką pamiętam z dzieciństwa. Ciocie, wujkowie, ich dzieci, rodzice, dziadkowie, my – wszyscy tam byliśmy. Stół był odświętnie nakryty, na obrusie nie mogło być żadnej zmarszczki. A tymczasem to, co ja mogę przekazać moim synom, to obraz samotności. I oddalenie. Brakuje mi respektowania zasad, poszanowania tradycji, miłości rodzinnej... Czuję, że jestem na przedświątecznych manowcach. Elżbieta”

Rytm wygłodzonego serca, czyli „tachykardia zdiagnozowana”

Co znaczy słowo „hipokryzja”? Obłuda, kłamliwość, dwulicowość? Julianowi wypominałam kobiety, tymczasem sama czyniłam to samo, wprawdzie wirtualnie, ale jednak. Moja rozmowa z Jerzym nabierała mocy. I, co gorsze, tempa. Nie potrafiłam skończyć tego dialogu. Nie potrafiłam tak samo, jak odejść od Bogdana. Czy od matki. Usprawiedliwiałam się przed samą sobą. Że nie wypada. Że to miły i samotny człowiek. A że przy okazji mężczyzna?! To nic. Zwyczajny kolega z netu. Tyle że coraz bardziej mi bliski. Wpadało? I to udawanie przed Julianem, że nie ma żadnego Jerzego. Okłamywanie samej siebie, że nic się nie dzieje. To mnie przerastało. Czułam się podle. Gdy, jak co rano, otwierałam e-maila, towarzyszyły temu takie emocje, aż zakręciło mi się w głowie. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Czułam się próżna, szpetna i przewrotna. Na rękach miałam gęsią skórę, a serce w mojej piersi waliło mimo bierności, w jakiej zawsze byłam mistrzynią.

„Witaj, Elu, Kochanie, właśnie wstałem i rozglądam się, co by tu pożytecznego zrobić. Po pierwsze, córki do szkoły odwiozę, potem chyba pojedę na wieś zobaczyć, co słychać, i kawy się z sąsiadami napić, potem już tylko robota merytoryczna. Pozwy, pozwy i jeszcze raz pozwy. Niestety, także jutro i w niedzielę najpewniej mnie to czeka. Twój wczorajszy list przeczytałem dwa razy. Najpierw wczoraj, jednak szybko, bo nie było warunków do wnikliwości i zastanawiania się. Potem drugi raz, ale porozmawiamy sobie później. To na razie tyle, na przebudzenie. Buziaki, Jurek”

Zawsze byłam słaba psychicznie, rozedrganie emocjonalne rozsądzało mnie od środka. Zaczynałam sobie nie radzić. Już poprzedniego wieczoru miałam napady gorąca, potem zimna, wreszcie znowu gorąca. Spałam na kołdrze, mimo że nie było najcieplej.

Po przeczytaniu e-maila wypiliśmy kawę i colę, a potem wyszłam do miasta. Jeśli chodzi o wigilię, byłam w tyle. Nie kupiłam jeszcze ryb, nie zamówiłam ciast ani w pobliskiej restauracji nie dokonałam przedpłaty na mięsa. Na myśl o mnogości spraw do załatwienia uruchomił się we mnie pośpiech. Przyśpieszyłam kroku, byłam na Rynku Jeżyckim. Ja i tłumy kupujących. Stałam w kolejce przy stoisku z suszonymi owocami. Kompot z suszu na stole wigilijnym u mnie musiał być. Już dochodziłam do stoiska, kiedy... zrobiło mi się znowu gorąco. A potem... w mojej piersi ktoś zmienił bieg! Poczułam historyczny galop wielu mechanicznych koni. I elektryczne spięcia. Usiadłam na skrzynce po owocach. Zawsze był we mnie strach przed tym najbardziej ostatecznym momentem. Nie przed umieraniem w szerokim tego słowa znaczeniu. Mój strach był bardziej konkretny. Bałam się zamknąć oczy. Tak jak dziecko wyobraża sobie, że gdy ono nic nie widzi, to i jego nie widzą, tak ja wyobrażałam sobie, że gdy zamknę oczy, mnie już nie będzie. Na przemian chciało mi się płakać i rezygnować albo walczyć i wziąć się w garść. Słyszałam różne głosy: „Co się stało?”, „Zobaczcie, jest biała jak kreda”, „Może to zawał”. I jeszcze: „Zawołać natychmiast lekarza, kobieta straciła przytomność!”

Nie wiem, ile czasu zamarudziłam w niebycie. Pełna świadomość wróciła, gdy karetka wiozła mnie do szpitala. Czułam, że w piersi tyka mi zepsuty zegar z kurantem. Przy czym kurant poza moim ciałem wydawał dźwięk, który oznaczał pogoń po życie. Uniosłam się na noszach. Karetka pędziła na złamanie resorów.

Nie! Nie powinnam jeszcze umierać. Nie teraz! Przecież nie ugotowałam Julianowi kompotu z suszu, nie ulepiłam pierogów ani nawet kulek maślanych z limonką! Nawet nie kupiłam nic, by go obdarować.

Co tam prezent – nie dałam mu jeszcze wszystkich dowodów mojego uczucia. I nie usłyszałam od niego, że mnie i tylko mnie kocha.

A chłopcy? Krzysiek i Marcin w ostatnim tygodniu nie dowiedzieli się, jak bardzo ich kocham. Nie usłyszeli jeszcze ode mnie, że zawsze najważniejsza jest miłość. Jeśli jej nie ma, to tak, jakby i siebie nie miało się w całości.

Jerzy. Biedny. Zapłacze się. Nie odpowiedziałam na jego e-maila! Bałam się przyznać, że stał mi się dużo bliższy.

Nie stworzyłam domu. Nigdzie. Ani z matką czy z Bogdanem, ani z Julianem. Nie, bo go nawet nie odzyskałam! Nie, bo do końca Julianowi nie zaufałam. I wreszcie – nie zabezpieczyłam Bogdana i nie będzie miał za co żyć! Pieniądze z polisy na długo mu nie wystarczą! Wtedy. Potem. Nie!

Nie mogę jeszcze umierać!

To nie jest sprawiedliwe. Nie mogę żegnać się ze światem, kiedy nie zrobiłam jeszcze mnóstwa rzeczy. Na przykład nigdy nie upiekłam pączków...

Kaszlałam, tak jak mi nakazał kardiolog, napinałam się jak do stolca, ale moje spięrzzone serce waliło, jakby wcale nie pompowało krwi. Nie godziłam się na śmierć, w ogóle nigdy na to nie wyrażałam zgody. Na wiele rzeczy nie wyrażałam zgody. Te lęki determinowały w jakimś sensie moje życie. Unikałam konfrontacji. Już będąc w szkole podstawowej, mdlałam przy zastrzykach. W kościele też, kilkanaście minut po wejściu zaczynałam o tym myśleć, ale finał następował podczas kazania. Albo podczas podniesienia. Wtedy musiałam uciekać z kościoła. Albo mnie wynosili. Poza murami od razu odzyskiwałam siły.

Wstydziałam się tych ekscesów, wydawało mi się, że wszyscy wiedzą, że nie kocham Boga. Jeśli się Boga kocha, to się go wielbi! A udział we mszy jest celebrowaniem miłości do Jego wielkości. Więc co to za słabości! A potem na studiach, gdy po imprezie wchodziłam na Wielką Kopę... Wszyscy weszli, tylko nie ja. Mnie znieśli z pierwszego postoj. „Tachykardia” – powiedzieli. To się zdarza. I wówczas musiałam się za siebie wstydzić! Że jestem słaba, niepełnosprawna.

Tym razem sanitariusze wnieśli mnie na noszach do izby przyjęć szpitala.

– Częstoskurcz nadkomorowy. Sto sześćdziesiąt na minutę, nie mogę ustalić ciśnienia, ale to możliwe przy tak szybkim tętnie.

Lekarz w izbie przyjęć jeździł mi po tętnicy szyjnej jakimś metalowym przedmiotem, kazał wziąć oddech i napinać się najmocniej, jak potrafię. Potem podłączyli mnie do kroplówki.

– Dam pani betaloc i elektrolity. Powinno przejść. Jeśli szybko przejdzie, nie będziemy trzymać pani w szpitalu, bo arytmia nie jest duża. To nerwy – powiedział, gdy serce się nareszcie uspokoiło. – Ale proszę leżeć, dopóki nie zaaplikują się elektrolity.

Zawiadomiłam Juliana, pojawił się w szpitalu po kilku minutach. Poczułam się bezpiecznie. Poprosiłam, żeby powiadomił moich synów. Ale on nie chciał, dał mi telefon.

– To nic takiego, nerwy, mówił mi lekarz – relacjonowałam Krzyśkowi. – Ma mnie kto odebrać. Nie martwcie się. Nie, nie chcę, żeby ojciec przyjeżdżał. Proszę.

Zaczęłam płakać. Wizja Bogdana w szpitalu poruszyła mnie. Czy może to, że Krzysiek tak to widział? Poruszałam się we mgle niezdecydowania. Lekarz przyglądał się, jak Julian wychodzi. Jak ja patrzę za nim. Jak kończę rozmowę z synami.

– To nie jest mój mąż – powiedziałam bez przekonania i spojrzałam na lekarza. A on zdziwiony patrzył na mnie. – Nie jest... bo ja jestem we wszystkim nieudacznicą. To i serce mam nieudane – wyszeptalam białymi wargami. Potem zaczęłam płakać. – Wylęglam się – dodałam i rozplakałam się dużo bardziej. A lekarz zaczął się śmiać. Chwycił mnie za rękę, sprawdzał puls.

– Proszę tak o sobie nie mówić. Szybciotko dała sobie pani radę. Grzeczna dziewczynka.

– Jeszcze niedawno powiedziałabym, że to jest pierwsza pochwała od wielu lat.

Lekarz, Anioł, uśmiechnął się. Poczulałam się małą, kochaną dziewczynką. Uśmiechnęłam się do Juliana, który przyszedł z kartą informacyjną. Będę żyć?

Kiedy wróciliśmy do domu, pomyślałam, że teraz mogę sobie pozwolić na ujawnienie uczuć. Publicznie okazane łyzy dobrze mi zrobiły. Słabość. Zaczęłam się z siebie śmiać. Ze swojego znerwicowanego serca też, z emocji na wyrost.

Wieczorem z Julianem rozmawialiśmy o harmonii, a ja zastanawiałam się, co najbardziej zakłóca moją. Otwierając laptop, oficjalnie przyznałam się Julianowi, że chcę sprawdzić pocztę. Jego to nie zainteresowało. A ja tego dnia byłam gotowa opowiedzieć mu o Jerzym. Tylko co? Że korespondujemy? Przecież w pracy często odbywałam z facetami podobne rozmowy! I nie wpadłabym na to, żeby ich treść przekazywać Bogdanowi. Usiadłam i zaczęłam czytać e-maile, mogłabym nawet na głos, ale Juliana duchowo już nie było. Wrócił do Nietzschego, zapomniał o nas. To znaczy, nie pamiętał ani o mnie, ani tym bardziej o Jerzym, z istnienia którego nie zdawał sobie nawet sprawy. Po chwili odłożył książkę.

– Generalnie wszystkiego się boję... – powiedziałam.

– Wezmę jednak Kierkegaarda *Bojaźń i drżenie*. – Julian wstał i zdjął z półki tomiszczę. Usiadł i zatopił się w lekturze. A ja oddaliłam się też, w stronę zwierzeń Jerzego. W bojaźni, w drżeniu, w dylematach, w zastanowieniu.

„Witaj, Elżbieto, wracając do Twojego e-maila, wiesz... już pewnie nieraz pisałem, jak jesteś mi bliska emocjonalnie. Czytam Twoje *między wierszami*, a czuję, jakbym słuchał własnej opowieści o niebycie. To smutne, gdy dwie osoby czują to samo, a mogą w zasadzie tylko tak pomyśleć. I napisać. *Pomyśleć i napisać* to zdecydowanie za mało. Nie wolno trwać w takim życiu. Bo nie mamy czasu, by coś zmienić? Bo się boimy? To za mało...

Wiesz, idzie dobre. Jutro około południa rozpoczyna się astronomiczna zima. A to oznacza, że zacznie się czas wydłużać i pomału można się przygotowywać do wakacji letnich, a wcześniej do dłuższych wiosennych dni. To mój pogląd życiowy na to zjawisko. Odwrotnie przeżywam pesymistyczne przesilenie letnie w czerwcu. Potem już tylko coraz krócej i można kupować prezenty gwiazdkowe. A co do świąt, to oczywiście rodzinie, cała rodzina mieszka w Warszawie, pobędę tu i ówdzie, trochę się podje i posiedzi przy stole. Tradycja. Powiedzmy, że tak jest. Pogodę zapowiadają paskudną, raczej nie na dalsze eskapady, chyba że wyjdzie coś spontanicznie. Teraz skończyłem wigilię w gronie kolegów z kancelarii, potem lecę coś jeszcze załatwiać, a później złożę życzenia kolejnym klientom. Czyli piękny przedsięwzięteczny czas. Pozdrawiam optymistycznie i całuję mocno. Jerzy”

A Julian i ja? Tej nocy spaliśmy długo i w objęciach. Z ramion, w których się uspokajam, nie ma wyjścia. Nigdy przedtem nie czułam się tak lekko. Spadły ze mnie kilogramy i napięcia kilku dziesięcioleci. Chciałam się następnego ranka obudzić jak nowa.

Oni by się ciągle żarli

Boże Narodzenie w swoim życiu przeżywałam na różne sposoby. Gdy byłam dzieckiem, stroiłam choinkę łańcuchami z kolorowego papieru i cukierkami. Zapalałam najprawdziwsze świece. Wieszłam pierniki. Dziadkowie dbali o świąteczną atmosferę. Zawsze był ogień w kaflowym piecu i wielka choinka wycięta z własnego lasu. I mnóstwo prezentów. O niewielkiej wartości, ale jakże pożądanych!

W ostatnich latach święta spędzaliśmy we troje bądź we czworo. Łamaliśmy się opłatkiem i składaliśmy sobie „dotykające do żywego” życzenia. To znaczy, od Krysty zawsze słyszałam to samo: „Żebyś wreszcie zmądrzała!”, a od Bogusia – „Byś w nadchodzącym roku skończyła z czarnymi myślami. Trzeba myśleć pozytywnie!”. Marcin niezmiennie życzył mi zdrowia i, w zależności od tego, na co w mijającym roku umarł ktoś z mieszkańców naszej ulicy, naciskał, żebym poszła się prześwietlić, gdy było zejście na raka, bądź żebym zdiagnozowała się holterem, gdy ktoś umarł na zawał. Ja odbijałam piłeczkę do Krysty, życząc jej, a raczej sobie: „Żebyś wreszcie nas pokochała”, a Bogusiowi – „Żeby w końcu praca znalazła ciebie i się z tego powodu bardzo ucieszyła!”. Kiedy dochodziło do życzeń dla Marcinka, wzruszenie odbierało mi mowę, toteż wieszłam się na jego szyi, pochlipując i szepcząc, że go tak kocham. Tak bardzo kocham! Grzybową i karpia zjadaliśmy w ciszy, a przy kompcie z niemieckiego suszu pozostawałam przy stole już sama z Bogusiem. Potem Marcin wyjeżdżał do swojej dziewczyny i razem szli na pasterkę. Krzysiek zaś dzwonił po dwudziestą pierwszą, mówił, że kocha i Kasia niby też, ale wpadał dopiero na obiad w drugi dzień świąt. I powtarzała się scena jak z Marcinem. Wisiłam mu na szyi długo, aż próbował mnie „strzepnąć”, co mu się zawsze udawało.

W tym roku Marcin oznajmił, że spędzi święta z kolesiami w Zakopanem. A Krzysiek zawiadomił, że wraz z Kasią pojedą do jej rodziny, w lubelskie. No cóż. Nie zanosilo się spotkanie w rodzinnym gronie. Oni nie byli zainteresowani znajomością z Julianem. A ja chciałam być z nim. Zawsze pozwalałam synom na kroczenie własną drogą. W moim domu zaś było inaczej, to mnie rodzice mówili, co mam robić. Jak żyć. Czyli, że tak samo jak oni. Buntowałam się, a jakże, ale niestety nieskutecznie. Gdy rano opowiedziałam moją historię Julianowi, usłyszałam:

- Ty w ogóle do swojej rodziny nie pasujesz! Oni najchętniej by się ciągle żarli.
- Nie mów tak. Krzyśka i Marcina nie znasz.
- Szybko stamtąd uciekli i wyratowali się od połknięcia bylejakości.
- To nie jest jeszcze takie pewne, wszystko zależy, co ja im dałam. W posagu... Samą nędzę, rozbitą i skonfliktowaną rodzinę.

Tego dnia pojeździliśmy po marketach i większość produktów świątecznych, gotowych, była już w lodówce. Te święta były dla nas próbą. Sami ze sobą, przed daleką eskapadą, ale tradycyjnie. Chociaż od Juliana wiedziałam, że do tej pory wyjeżdżał i wigilię spędzał pod palmami. Ja, zadowolona, że pierwszy raz nie muszę znosić do domu ton jedzenia, udałam się do fryzjera, już nie do osiedlowego, ale jeszcze też nie do Lucjusza!

Po dwóch godzinach wróciłam do domu z ciemnymi włosami i nową, krótszą fryzurą. I z puszystą grzywką. W ogóle czułam się w nowej skórce dużo lepiej. Kompleksy się przytłumiły, odkryłam swoją naturę, byłam wyspana i wypoczęta, a rozbudzona erotycznie okrywałam się rumieńcem na samą myśl o seksie.

- Ładnie ci tak. – Julian nie musiał tego mówić. Jedno jego spojrzenie wystarczało mi za lata bez męskich spojrzeń.

Kiedy godzinę później wniósł choinkę i pudło ze złotymi bombkami, poczułam się bezpieczna.

Spokojna i wreszcie bezpieczna. Choinkę postawił w stojaku, od razu zapachniało, zabrałam się za jej ubieranie. Włączyłam kolędy. A wieczorem siedzieliśmy przy drzewku, oświetleni nikiłym światłem z lampek choinkowych. Trzech tenorów śpiewało znaną kolędę.

– Czuję się teraz tak, jakby mi ktoś czytał książeczkę, którą znam przecież doskonale, bo sama czytałam ją moim małym synkom. To bajka. A oni w nią wierzyli... Tak jak ja teraz w coś wierzę...

– Pamiętasz początek tej bajki?

– A pewnie. „Leciały przez obłoki trzy smoki w świat szeroki. Wiatr wieje, noc zapada, do smoka smok powiada: *Są cuda na tym świecie, o których nic nie wiecie!*” I tak dalej, i tak dalej. Ja już też wiem dużo o cudach. Ty jesteś moim cudem, to, że się spotkaliśmy, jest cudem, my jesteśmy cudem...

– Życie, że trwa, że udaje się z niego wszystko wycisnąć, to jest cudem największym...

Malinowa trufla pisze:

Jeszcze pół roku temu nie wyobrażałam sobie, że tak szybko odrzucę wszystko, co mnie męczy. Że zapomnę. Że uwierzę, iż minęło. Zapomnieć jest najłatwiej, ale uporać się z wyrzutami sumienia już nie. Gdybym mogła jakoś pomóc tym wszystkim głupcom, którzy uważają siebie za mędrców! Wrócę kiedyś, ale teraz wolałabym pogłaskać kotka... Mimo że jestem bardzo uczulona na jego sierść...

Lody na patyku

To był mroźny dzień. Dzień przed Wigilią. Około dziewiątej rano, ledwie się obudziliśmy, zadzwoniła Kinga. Nareszcie. Chciałam, żeby tak było. Żeby zadzwoniła i się pokajała. Bo nie miała racji. Bo zachowała się nie fair. Bo w końcu długi trzeba regulować. Liczyłam na Kingę, bo łatwiej się żyje w harmonii. W zgodzie. Większość z nas przed świętami Bożego Narodzenia chce korzystnie pozamykać swoje sprawy. Ja też całe swoje życie tak postępowałam. Nie trzymałam długo urazy. Ale tym razem miałam wielki problem z przyjaznym wyciągnięciem dłoni. W stronę Krysty, Bogusia, czyli w stronę tych, których się bałam. Nie mogłabym na razie podać ręki ani jemu, ani jej. Co bym miała im powiedzieć? Że „pa, pa”?

Zawsze bałam się pogardy, wyśmiania, odrzucenia, kolejnego upokorzenia. Ale, jeśli chodzi o Kingę, ucieszyłam się. Z ochotą wybiegłam na umówione spotkanie. Siadłyśmy w kawiarni Gruszeckiego na Starym Rynku. To nijaka cukierenka, wąska kicha, ciemna, głównie przez brązowe, wyświechtane ściany, ale kiedyś jadłam tam bardzo dobry tort chałwowy.

– Wiesz co? – Kinga pojawiła się odstawiona jak nigdy przedtem. Wyglądała dużo młodziej. Kiwnęłam na nią ręką. Na wolne krzeselko rzuciła niedbale czarny długi płaszcz z haftowanej grubej tkaniny. Usiadła, zakładając dużo szczuplejszą niż kiedyś nogę na drugą, także dużo szczuplejszą. Spojrzała na mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

– Znakomicie wyglądasz, Becia, naprawdę. Słyszałam, że już nie mieszkasz z rodziną. Służy ci to, nie powiem. Seks? A nie mówiłam? Z trudem cię rozpoznałam. Czemu lata całe gubiłaś kolor w tej wypłowiałej słomie? W kasztanowych włosach jest ci rewelacyjnie! Znakomicie! – Poczułam się bardzo ukontentowana! O to mi chodziło! O moje na wierzchu! – Zakopmy topory. Tyle lat, po co się na siebie denerwować?! Miałam już wczoraj zadzwonić, ale się zwyczajnie bałam. No bo wiesz... te pieniądze... – Kinga, mówiąc to, skubała widelczykiem sernik.

– Tak jakby były najważniejsze... – zaoponowałam. Niestety, nie nauczyłam się jeszcze szczić tym, o czym naprawdę myślałam. A myślałam, że nie odpuszczę jej ani grosza.

– W każdym razie połowę ci dzisiaj wyślę, a drugą za jakiś czas...

– To dobrze, bo będę miała dla Bogdana...

– Ty go jeszcze utrzymujesz? Widziałam go jakiś miesiąc temu z jakimś takim małym i chudym stworzeniem w mini. Bezguście zupełne. Nogę na nogę zakładała jak w *Nagim instynkcie*, a wyglądała dużo starzej od nas. Boguś zaś całkiem zadowolony się wydawał. Swoją drogą, trafił na taką samą idiotkę jak ty. Nie obraż się, ale co ci będę mówić inaczej, niż myślę. Jak przyszło do płacenia, wtedy to małe coś portfel mu pod stołem podawało. Dlaczego? Żeby wyglądało, że to on zapłacił? Chyba tak... Ja już od dawna rozliczam się z samcami po połowie. Nie ma wtedy żadnego: „wybacz”, zobowiązań i innych rozliczeń..., fifty-fifty...

Potem Kinga opowiadała, że na dobre związała się z Mirkiem, że nieważne są dzieci, a w zasadzie „stare konie”, które już zaczęły dom dzielić. Że po jej śmierci syn chce mieć dół, a córka górę... Była najprawdziwiej oburzona.

– Ja już na Mirka przepisałam połowę firmy i jeszcze dom mu przepiszę. Może mi zresztą odbiło... Ale to z nim mi jest najlepiej, to on inicjuje wszystkie remonty, dba o mnie, o dom. Już nie muszę się tym wcale martwić – kończyła swoją opowieść.

W bardzo dobrym nastroju wracałam na Sołacz. Odczuwałam niewielki niepokój w związku z planami majątkowymi Kingi. Ale nie brałam ich poważnie. Ot, było to małe rozgoryczenie rodziną,

które zaraz pewnie jej minie. Według mnie. Po drodze kupiłam pomelo, kruche ciasteczka i calvados. Z myślą o wieczorze. Nie mogłam się jednak wyzwolić od myśli o tym, co mi powiedziała Kinga. Że Boguś spotkał się z Zośką. To było dla mnie okropne. Świadczyło o jego makabrycznej hipokryzji. A raczej potwierdzało ją. Nic nowego tym samym nie objawił, ale nie wyobrażałam go sobie z idiotyczną Zośką w parze. Co innego Kilkakrotna Wdowa. Ona mogła zawrócić mu w łepetynie, nawet będąc niezamożną. Ale Zośka?! Nie. Ona nie. Czy motto każdego żigolaka brzmi: „Kochanie, to prawda, że masz już mniej zarysowaną talię i haluksy na stopach, ale nadal jesteś, kochanie, atrakcyjna! Zarabiasz dobrze i masz dom!”?

Wreszcie dotarłam na Sołacz. W domu było cicho. Nieprawdopodobne, Julian zawsze słuchał jakiejś muzyki. Tym razem było głucho. Rozebrałam się i zajrzałam do wszystkich zakamarków. Także do sypialni. Julian leżał w łóżku pod dwiema kołdrami. Słabym głosem poprosił mnie, żebym kupiła lody na patyku. Dotknęłam jego czoła. Nie było gorące. Zeszłam na dół. Kupiłam te lody i przyniosłam. W sklepiku nieopodal były, nawet owocowe, które wydały mi się lepsze niż waniliowe bądź czekoladowe. Były bardziej odświeżające.

– Nie powinieneś chyba jeść zimnego – powątpiewałam, patrząc, jak kończy loda. Potem wyniosłam patyczek do kuchni. Gdy wróciłam, usłyszałam cichy głos:

– Proszę cię, wyłącz mnie...

– Coś ty powiedział?

Wydawało mi się, że się przesłyszałam. Na pewno się przesłyszałam! Zbliżyłam się do łóżka i jeszcze raz położyłam mu rękę na czole. Nie było gorące. Na pewno się nie myliłam! Ale Julian miał rumieńce, był spocony i mówił od rzeczy.

– Proszę cię, zrób to dla mnie... Tutaj jesteśmy tylko przechodniami.

– Co ty mówisz? Jesteśmy w domu. Zmierz gorączkę. – Sama włożyłam mu termometr pod pachę. – Jeśli nie masz, zadzwonię po pogotowie. Nie, od razu zadzwonię. – Zrobiłam to. Byłam przerażona. Julian robił się na przemian blady i czerwony, potem znów jakby tracił przytomność. – Będziesz nieśmiertelny. Uwierz! Nie wyobrażam sobie inaczej. Sama też chciałabym żyć sto lat albo i dłużej. Wysil się, proszę cię, Julianie. – Patrzyłam śmiertelnie przerażona, jak z trudem łapie powietrze.

Gdzie to pogotowie!?! Gdzie?!?

– We wszystkim jest przemijanie i trzeba się z tym pogodzić, a nie udawać, że końca nie ma... Jestem wściekły... Rozczarowałam cię... – wyszeptał i osunął się na poduszkę.

– Dlaczego?! – krzyczałam. Julian z trudem otworzył oczy, uśmiechnął się szelmowsko. Jak to on. A ja tymczasem traciłam siły, nerwy, zdrowie. Strach kierował moimi myślami.

– Bo nie zawsze miałem należyłą potencję. Miałaś trochę czasu między moimi wzwodami. – I znowu stracił siły.

Wreszcie usłyszałam dzwonek do drzwi. Lekarz był zdecydowany. Wyciągnął całą maszynę, zarejestrował rytm serca, osłuchał, podniósł Julianowi powieki i zadecydował:

– Szkolna, bierzemy męża na neurologię. Za jakąś godzinę może pani zadzwonić.

– Ale, panie doktorze, proszę mi powiedzieć, co się stało? Jaki jest stan? – Byłam przerażona, odprowadziłam nosze z Julianem do drzwi.

– Po badaniach będzie wiadomo. Proszę kontaktować się ze szpitalem.

Dzwoniłam kilkanaście razy, nic nie było wiadomo. Przedstawiałam się jako żona. Wtedy dotarło do mnie znowu, że Julian to znany podróżnik, autor kilku przewodników, a ja – zwyczajna kobieta, szara jak mundurki w Korei. Nawet nie konkubina! Nerwowo biegałam po Internecie, by nie łapać co piętnaście minut za słuchawkę. Nie miałam do kogo napisać, Jerzy od kilku dni milczał, Krzysiek i Marcin szusowali na stoku, Kinga zajęta była Mireczkiem i miała wyłączony telefon. Został mi tylko blog.

Malinowa trufla pisze:

Niewątpliwie zawsze była we mnie jedna bardzo ważna tęsknota. Za kobiecością według bardzo prostego scenariusza. Że jestem, używam wszystkich zmysłów, żyję, pracuję, posiadam zdolność do kochania, zainteresowania. Wady też mam. I jest On, któremu się jeszcze coś chce. Na przykład zaskoczyć mnie czymś pozytywnym. Wiedzą, nowoczesnym poglądem, myślą jasną, ciekawością świata. Wtedy Go podziwiam. I może najważniejsze, że chce jeszcze coś dla mnie zbudować albo chociaż w tym budowaniu wyręczyć. A ja mu na to pozwalam.

Znowu zadzwoniłam do szpitala. Była noc, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. I wtedy się dowiedziałam. Julian zgodził się na operację i właśnie leżał drugą godzinę na stole operacyjnym. Specjalnie posłano po profesora Ziomeckiego i to on właśnie przeprowadzał operację.

– Co się stało? – zapytałam.

– To pani nic nie wie? Mąż od lat miał tętniaka mózgu. Doskonale wiedział o zagrożeniach. Proszę zadzwonić nad ranem.

Byłam niepokojem, wielką bryłą zbitego strachu. Nie mogłam znaleźć miejsca na moje rozedrganie. Gdyby mi wyraźnie nie zakazano przyjazdu do szpitala, byłabym tam już dawno. Zawinięta w koc z australijskich merynosów czekałam na szóstą rano. Wraz ze świtem na pewno pojedę do szpitala. Będę czekać przed salą operacyjną. Będę niecierpliwie czekać. Bo kocham. Bo tęsknię. Bo się bardzo boję. Bo jestem paniką! Płakałam. Bardzo płakałam. Zawsze w życiu upatrywałam najgorszego. Są słowa czy zwroty zakazane, na przykład: „Teraz jestem szczęśliwa, nareszcie wszystko nam się ułożyło”. Tak byłam skłonna myśleć. Jeszcze niedawno. Nigdy nie wierzyłam w wieczne szczęście, jak również w trwałe dobrobyt. Przyzwyczajona do złego, wyłącznie złych momentów wyczekiwałam. Bałam się, że kiedyś nadejdą. Gorzej, byłam pewna. Moja podświadomość rywalizowała z nadzieją na odmianę. Wygrywała.

Everybody's happy

Tej nocy koniecznie chciałam czuwać. Czekać na wynik operacji. Na wiadomość o jej pomyślnym efekcie. Na szczęśliwy poranek. Późną nocą wsłuchiwałam się w odgłosy domu i przeglądałam w necie strony na temat zabiegów na mózgu. Na temat tętniaków. Nie były optymistyczne. Bałam się. To bardzo niebezpieczna operacja, często źle rokująca. Nie mogłam się pozbierać, mimo że zjadłam oxazepam. Nawet się modliłam, chociaż w kościele widziano mnie kilkanaście lat temu. Ale pamiętałam *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario*. Wydrukowałam sobie z netu. Wyciągnęłam nawet różaniec, który od kilkudziesięciu lat, czyli od zakupienia go na Jasnej Górze, nosiłam w torebce.

Jednak w końcu przysnęłam. Obudziłam się około siódmej. Różaniec leżał na podłodze. Szybko zmieniłam ubranie i bez mycia się zeszłam do sklepu. Tak jakbym zapomniała, gdzie jestem i co się wydarzyło. Jak bezrozumny manekin zbiegłam na dół, by zrobić to, co codziennie wykonywał Julian. Pobiegnęłam kupić pieczywo! Jak zawsze. Ale tego dnia robiłam to ja. Dla niego? Bo chciałam w szpitalu poczęstować go ciepłą bułką z czosnkiem w środku? Bardzo je lubił. Mówił na nie: „śmierduszki”, ale śniadanie bez bułki czosnkowej było dla niego jakby bez aromatu. Bezwonne. Martwe.

W piekarni była bardzo długa kolejka, wiadomo, mieliśmy przecież Wigilię. Każdy chciał kupić pieczywo na całe święta. To nic, że potem zostawało. Że ptaki miały co wygrzebywać ze śmietnika. Gdy byłam mała, dziadek dbał, aby chleb nigdy się nie zmarnował. Odsmażany się jadło, maczany w mleku. Różnie. Ale jego pokolenie zaznało głodu, nasze nie.

Po godzinie wracałam obładowana najróżniejszymi wypiekami, a na klatce schodowej kamienicy pachniało cynamonem, goździkami i suszonymi grzybami. Nie miało to tym razem dla mnie żadnego znaczenia. Do wczorajszego dnia żyłam, jakby czekała mnie wieczność. Jakbym wreszcie doświadczyła harmonii. Miałam pewność, że Julian żartuje, mówiąc, że coś dla mnie będzie od niego testamentem. Czasem rzuca się głupie słowa. Ale teraz wiedziałam na pewno, że mówił to świadomie. Byłam zdruzgotana. Truchlałam na myśl, że te jego słowa mogłyby być prorocze. Poczulałam, jak moje serce zamienia się w wielką łzę.

Do szpitala pojechałam taksówką. Nikt tam nic nie wiedział. Stałam sama za szklaną ścianą, a za nią było wszystko, co moje. To znaczy Julian. Czekałam na lekarza, tak poradziły siostry. Patrzyły z nieprzychylnymi minami, ale to dla mnie nie miało żadnego znaczenia. Profesora już nie było, w końcu pojawił się asystujący mu przy operacji lekarz. Był bardzo zmęczony. Na jego czole trudy operacji na chorych mózgach wryły szachownicę. Zaprosił mnie do swojego gabinetu. Poprosił, bym usiadła.

– Niestety, mąż zmarł na stole operacyjnym. Na krótko odzyskał przytomność, ale to wszystko dobre, co mogę powiedzieć. Przykro mi, gdyby może wcześniej zdecydował się na operację... Rok, dwa temu...

Ta wiadomość nie dotarła do mnie w całym swoim potwornie bolesnym wymiarze. Próbowałam coś negocjować. Z Bogiem. Z niebiosami. Ale śmierć jest nieodwracalna. To koniec! Nie było mojego świata! Runął. Roztrzaskał się.

Wybiegłam z gabinetu na korytarz i usiadłam na ławce. Patrzyłam na pacjentów w otwartym pokoju naprzeciwko mnie. Dwóch było nieprzytomnych. Gdybym mogła zapłacić każde pieniądze, tam na górze, i wybrać czas dla nas... I niechby niebiosy pozostawiły mi Juliana nawet nieprzytomnego! Nie miałam już łez. Nie miałam celu. Siedziałam na szpitalnym korytarzu, bo oni tutaj mieli mojego Juliana.

– Skąd się dowiedziałaś!? – usłyszałam nagle znajomy głos.

– Nie wiedziałam, przyjechałam i powiedzieli mi, że nie żyje... – Łzy potoczyły się po moim policzku strumieniami. Ktoś chwycił mnie za ramię. Powoli odwróciłam głowę.

– Niemożliwe! Przecież przed chwilą rozmawialiśmy! Żyje. Przywiozłem pampersy.

Bogdan usiadł obok mnie. Patrzył, jak płacę, jak skurczona siedzę na tej obskurnej ławce. Dotknął mojej ręki. Odepchnęłam ją jak skażoną substancją promieniotwórczą.

– O kim ty mówisz?! Nie żyje! Nie wchodzi między nas, ty akurat nie wchodzi! – Gwałtownie wstałam z ławki. Zakreśliło mi się w głowie.

– Usiądź, nie denerwuj się. Twoja matka żyje, ma lekki niedowład, ale jest przytomna, wyjdzie z tego.

– Mój Julian umarł! Jaka matka? Ja nie mam matki już od dawna. Gdzie ona jest? Jaki niedowład?

Słuchałam jego opowieści jak o kimś mi obcym. Że wczoraj przyjechała Aga i jak zawsze długo ze sobą rozmawiały, szeptały. Potem Babcia wyszła z pokoju i krzyżąc, jak to ona, kazała mu oddać wszystkie klucze. „Przecież nie oddam jej kluczy, gdzie będę mieszkał?! I to teraz, kiedy wreszcie mam pracę!” Zawołała z pokoju Agę i od piętnastej do dwudziestej obie siedziały przy drzwiach, żeby nie wyszedł. I żeby w końcu oddał klucze. Ale Krysta już wtedy jakaś dziwna na twarzy była, spuchnięta, czerwona...

– Co mnie teraz to wszystko obchodzi? Teraz, gdy umarł Julian! Gdy nie mam już zupełnie nikogo?! – przerwałam mu brutalnie.

– Ja jestem... Żyję, musimy zacząć jakoś żyć. Bo to jest twój dom. Ty robiłaś remonty, naprawy, serce tam zostawiłaś... A teraz mamy oddać klucze? To chyba chodzi o to, żeby Aga tu zamieszkała, bo ponoć się rozwodzi z mężem. Według mnie ta wiadomość rozwaliła Krystę zupełnie. Przecież tak się nimi chełpiła! Tak nami pogardzała. Tobą. Mną. Naszymi chłopakami! A teraz co? Co wyszło z worka? Cała hipokryzja, udawanie. Ale nic. Aga pojechała na dworzec po dwudziestej. A wtedy Krysta zaczęła skakać, rwać sobie z głowy włosy. Krzyżeć. Że zawoła sąsiadów. Że ją źle traktuję. Że chciałem ją zgwałcić. Zgwałcić! Przecież zamknęliby mnie za znęcanie się nad staruszką na lata! Poszedłem do naszego pokoju, a ona trzaskała krzesłem o drzwi jeszcze jakiś czas. W końcu ucichła. Myślałem, że doszła do rozumu, po jakichś dwóch godzinach wyszedłem. A ona leżała na podłodze i wyciągała rękę w moją stronę. Żebyś widziała jej wzrok! Pierwszy raz w życiu widziałem, jak prosi. Zadzwoiłem po pogotowie i próbowałem ją podnieść, ale była za ciężka. W końcu przyjechał lekarz z sanitariuszami i o! Jest tutaj. Udar mózgu.

– Zobacz, a on umarł. On, dobry, kochany. Zostawił mnie. Odszedł. A ona, zła taka, żyje. Dlaczego? Bogdan, powiedz mi, dlaczego?

– Może ona coś wreszcie przemyśli? Nic innego nie mówiła, gdy ją brali do szpitala, jak tylko: „Nie mów jej. Nie mów!” Ciebie miała na myśli. Musi ją to wszystko mocno boleć. Że jeśli się coś stanie, to nie Aga jej pomoże. My jesteśmy obok, my się nią opiekujemy, czy chce, czy nie. Może wreszcie wykorzystasz tę sytuację do zaprowadzenia normalnych relacji z matką. Wróć do domu.

– Nie mogę. Muszę pożegnać się... Pogodzić... Jeszcze nie mogę. – Oparłam się na ramieniu Bogdana i zaczęłam płakać. Nie wiem, ile to trwało. Przypuszczam, że bardzo długo.

– Przemyślałem, zmieniłem się, pracuję...

Spojrzałam na swoje dłonie, na zawiniątko z bułkami czosnkowymi, na pąsowe róże, które w nich kurczowo trzymałam. Dla Juliana. Wszystko zeszło z żalu. Jak ja. Miałam teraz ten żal w sobie. Jak mam go wwieźć do domu, który jest już i tak bardzo naszpikowany moim wcześniejszym żalem?

Wyszłam ze szpitala. Prędko pożegnałam Bogdana. Bez celu błąkałam się po Starym Mieście. Nie czułam ani mrozu, ani wiatru, ani atmosfery świąt. Czułam tylko ból tak wielki, że nie mogłam już więcej płakać. Taką żalność, jaką może czuć kobieta, która tylko na niewielką chwilę narodziła się na nowo. Pokochała, aby zaraz się pożegnać. I od razu być w żałobie. Serce miało mi za chwilę pęknąć. To nic, nie zależało mi na dalszym życiu. Na trwaniu raczej. Beznamiętnie odebrałam telefon od Krzyśka.

– Mamo, może ci pomóc?

– Ja go tak bardzo kochałam...

– Ale ja mówię o babci!

– Ona?! Żyje, tak, żyje. I truje. A on... umarł... I wszystko skończyło się wraz z jego odejściem.. –

Nie dokończyłam.

– Julian? Mamo, nie wiedziałem. Wróc do domu. Wróc... Obiecaj mi. Zaraz zadzwonię do ojca.

A potem rozmawiałam z Marcinkiem. Opowiedziałam mu o Julianie, o tym, że on mnie traktował jak królową. Jak dzięki niemu zrozumiałam, że od życia wymagałam za wiele. Że nie powinnam wymagać. Walczyć o siebie kiedyś powinnam. Julian dał mi taką siłę. Opowiedziałam też mojemu synowi, że kochaliśmy się bez wstydu, nieskromni. I to musi mi dać siłę, nawet teraz, na drodze po życiu. Julian dał mi potęgę. Wierność? Czym jest? Zasadą zaledwie. Wcześniej nie mogłabym nawet zrobić nic z domem rodzinnym, bo nie wiedziałam, że życie może być inne. Teraz wiem. Jestem ładniejsza. Umiem się wystroić i wypięknąć. Mieliśmy tyle planów... na przykład lecieć do Melbourne... muzyki posłuchać. Rozmawiając z Marcinem, zrozumiałam, że nareszcie znalazłam odwagę na szczerość.

– Mamo, kocham cię.

W domu pozbierałam swoje rzeczy porozrzucane w nieładzie. Potem oderwałam kartkę naklejoną na lodówce. Adres Piotra Sobkowiaka napisany ręką Juliana wzruszył mnie po raz kolejny. Z westchnieniem otwierałam laptop. W skrzynce było mnóstwo nowych wiadomości. Ale ja wpisałam adres Piotra i napisałam e-maila.

„Pana ojciec nie żyje, kochałam go. Kocham nadal. Elżbieta”

Od razu zadzwonił telefon.

– Ja też go bardzo kochałem. Tętniak?

– Tak. Gdybym wiedziała, gdybym tylko wiedziała... Mieszkaliśmy razem. Powinnam była się domyślić. Mogę się pożegnać z nim, z domem, z jego rzeczami? Wyprowadziłabym się nie później niż do końca roku. Teraz byłoby mi bardzo ciężko.

– Wszystko uzgodnię z rodziną. Postaram się niezwłocznie przylecieć do Polski.

Malinowa trufla pisze:

Zapytała mnie kiedyś mała dziewczynka, co to znaczy „cudzołożyć”. Nie potrafiłam jej odpowiedzieć, bo sama tak naprawdę nie akceptowałam zdrady. Ale paradoksalnie moje życie składało się przeważnie ze zrad. Zdradzałam i oszukiwałam siebie. A życie biegło i nie było dobre. Kiedy wydało mi się, że wreszcie jest inaczej, skończyło się moje szczęście. Było mi przeznaczone na chwilę. Czy to mi wystarczy? Musi. Gdybym pozostawała w cieniu zmurszałego drzewa, nie zobaczyłabym nigdy promieni słońca. W sferach niebieskich wybłagałam klucz do swojej wyobraźni. Dostałam w prezencie pogląd, który zmienić może cały mój błędny tok myślenia. I to musi mi wystarczyć.

I minęło kilka następnych dni. Najchętniej wymazałabym je z kalendarza. Nie potrafiłam się znaleźć. Pierwszą moją myślą po powrocie ze szpitala było, żeby wynająć kawalerkę na mieście. Schron. Drugą, że żałobę powinnam odbyć przy mojej chorej matce. Tym samym sama sobie wymierzyłabym karę. Za złe potraktowanie Juliana, za brak zaufania.

Co robiłam całymi dniami, dokładnie nie pamiętam.

W pierwszy dzień świąt szpital przy Szkolnej działał w trybie świątecznym. Byłam umówiona z profesorem, który specjalnie dla mnie tam przybył. Skąd wiedział, że ze mną akurat powinien rozmawiać? Byłam nikim. Nierodziną. Nieżoną. Bytem nieważnym w świetle ostrych szpitalnych procedur. Doświadczyłam tego dzień wcześniej, kiedy chciałam odebrać akt zgonu i rzeczy Juliana.

– To był mój przyjaciel, taki ze szkoły średniej jeszcze, stąd wiem, że należą się pani wiadomości. On zawsze uciekał, w romanse, w nowe związki, w nowe zajęcia. Mówiłem mu, że to go kiedyś zabije. Śmiał się, on często się śmiał. Ktoś mógłby go wziąć za lekkoducha, ale to była jedna z jego masek. Mawiał, że nie znalazł jeszcze prawdziwej namiętności. Takiej, poza którą nic się nie liczy. Wchodzi się do łóżka i już nie chce się stamtąd wychodzić. Ani do pracy, ani żeby coś zjeść. Nie znalazł, mówił jeszcze rok temu. Gdy go ostrzegłem, że tętniak jest groźny, że powinien uważać na siebie, przystopować z emocjami, z pożeraniem życia, zaśmiał się tylko. Wybrał życie, cokolwiek to w tej sytuacji znaczy...

Patrzyłam na profesora jak na kolejnego Anioła, który przybył z nieba i ma stamtąd stosowne upoważnienia. Był niemłody, szpakowaty, wysoki, w swetrze z dobrej wełny, a co najważniejsze, z troską patrzący na mnie zza grubych okularów.

– Mówił zawsze o naszej bliskości, o fascynacji, ale jednak nie znalazł we mnie nic takiego, co kazałoby mu zwierzyć się mi ze swej słabości. To czy ja byłam mu naprawdę bliska? Wątpię.

– Nie przyjął wiadomości o tym tętniaku, może to panią pocieszy. Może chciał zapomnieć, a może... Nie, to byłoby do niego niepodobne...

– Może co? Proszę powiedzieć.

– Chciałem powiedzieć, że może chciał sobie ten ostatni rok ubarwić. Gdy na chwilę odzyskał przytomność, tuż po operacji, mówił coś o Melbourne, bardzo niewyraźnie, ale tak zrozumiałem.

– Mieliśmy tam lecieć... Nie udało się...

– Nie w tym życiu, przykro mi... Czy jeszcze mogę coś dla pani zrobić?

– Nie, nic, dziękuję... Chociaż może... – Zastanowiłam się. Potem dodałam: – Panie profesorze, tutaj na oddziale leży moja matka, nie chciała mnie widzieć i ja też nie znajduję dość siły, żeby teraz szukać z nią bliskości. Proszę powiedzieć, co jej grozi.

Wystraszyła mnie moja prośba. Zapowiedź powrotu do tamtego... W napięciu czekałam na profesora w jego gabinecie, a on pocieszał mnie już od drzwi.

– Udar nie był rozległy, ale i tak jest porażenie. Prawa strona. – Przeglądał kartotekę. – Niestety, nie została reanimowana w pierwszej godzinie, a to zawsze gorzej. Ale wyjdzie z tego, chociaż w tym wieku każdy udar jest poważny... Proszę być w kontakcie z lekarzem prowadzącym.

– Zawsze zabierają nam tych dobrych, żebyśmy tęsknili, cierpieli... A zostają ci gorsi, niedobrzy... Po to, byśmy mieli szansę na odmianę naszych złych relacji? Przepraszam, ale to ona mogła umrzeć, nie on! Ona. To nie jest sprawiedliwe!

– Sprawiedliwość, przepraszam za bezceremonialność, zawsze zostaje przed szpitalnymi drzwiami. Na oddziale już jej pani nie znajdzie. Dlatego starajmy się być sprawiedliwi dla żywych. To zawsze

matka...

Poczułam, jakby mi ktoś dał policzek. „To zawsze matka!” Tak jakbym nie wiedziała! A kto przeprowadził się do jej domu, żeby ją wspomóc?! Matka! Jaka? Czy taka matka zasługuje na życie? To Julian miał żyć, nie ona! A może jej kalectwo jest karą? Żeby zrozumiała?

W domu natychmiast weszłam do Internetu. I na Allegro.

*

Aukcja 187223456

Kołatka od razu wpadła mi w oko. Była ciężka, metalowa, jak stara. Nie bawiłam się w licytację. Skorzystałam z opcji „Kup teraz”. To nic, że drożej. Będę mogła na nią patrzeć, będzie mnie cieszyć, wynagradzać coś, pocieszać. A potem zobaczyłam wielką szklaną kulę z chryzoprazu. Też kupię! Będę ją zawsze trzymać w dłoni. Nie, za duża! Albo w kieszeni. Za ciężka! Będę ją codziennie rano myć w ciepłej wodzie, a potem położę na parapecie. Słońce ją wysuszy. Niech wysuszy i mnie... Niech zasuszy i moje łzy... Chcę być kamieniem!

Całe popołudnia i noce spędzałam w naszej sypialni. Rozmawiałam z Julianem, najpierw o niczym. Potem zapytałam, dlaczego umarł. Nic nie odpowiedział. W pierwszy dzień świąt nad ranem wydawało mi się, że słyszę szmer. Usiadłam wyprostowana na łóżku i poprosiłam, żeby zszedł do mnie po drodze wyznaczonej przez odrzutowce. Wtedy przez chwilę słyszałam jego charakterystyczny chichot. Cichy tym razem. Wsłuchiwałam się, czy się nie powtórzy. Nie zdarzyło się to do białego rana. Widać i tam, w niebie, romansuje... Znowu ta zazdrość! Te podejrzenia! Ta zaborczość!

Jesteśmy szpetni! My, tutaj na ziemi.

W drugi dzień świąt w szpitalu miał dyżurować lekarz prowadzący moją matkę. Zastałam go w gabinecie.

– Bardzo pani współczuję z powodu śmierci Juliana Sobkowiaka. To dla nas wszystkich wielka tragedia, znaliśmy go osobiście. Był bardzo sprawnym człowiekiem. Któż z nas, lekarzy, nie dysponuje anegdotą o nim?! Nie chciał się operować, ale często wpadał. I zawsze dowcip miał, jakąś historyjkę. Takie jest życie. Teraz jest pani potrzebna swojej matce. Zaproponowałbym dla pani mamy ośrodek rehabilitacyjny, w początkowej fazie możecie sobie państwo z opieką nie dać rady. Wiem, co mówię, bo moja matka jest po dwóch udarach... To bardzo ciężki etap, ten poszpitalny. Pacjent nie wstaje, ale układ wydalniczy działa normalnie. Pacjent je więcej niż poprzednio, więc może pani sobie wyobrazić, jaką siłą musi pani dysponować...

– Na czym polega opieka w tym ośrodku?

– To wczesna poudarowa opieka w zasadzie dla odciążenia rodziny. Miałyby pani miesiąc, żeby przywyknąć do nowej sytuacji.

– A czy są ćwiczenia rehabilitacyjne?

– W zasadzie ze dwie godziny tygodniowo. Mało, ale dla pani ta sytuacja byłaby wygodniejsza.

– Panie doktorze, raczej nie...

– Nie wiem, czy dacie sobie państwo radę, dlatego zaproponowałem...

– Zatrudnię pielęgniarkę i poszukam rehabilitanta. Ona musi wyjść z niepełnosprawności. Boję się, czy będzie chciała, zawsze była taka... Daleka ode mnie i...

– Niesprawna?

– Nie, leniwa. I uczuciowo obojętna. Wroga w zasadzie...

– Proszę się zastanowić. Jeśli pani będzie zainteresowana, wypiszę wniosek...

– Chyba jednak nie. Ale mam prośbę. Czy mogłaby wyjść ze szpitala jeszcze w tym roku? I czy

możemy zachować w tajemnicy, że byłam tutaj i z panem rozmawiałam? O reszcie zresztą też prosiłabym nie mówić. Moja dla niej dobroć stworzy w niej zobowiązanie nie do zaakceptowania. No cóż, zostali mi tylko ci, którzy mną gardzą.

– To dobrze, że stara się pani być pragmatyczna, to wiele ułatwia...

Jak się spędza Nowy Rok, tak jest ponoć w całym nadchodzącym. Zastanawiałam się, czy starczy mi pieniędzy na opłacenie terapeutów, lekarzy i opiekunki. Znajdę pracę! Muszę!

Dzień po świętach.

Wracając ze szpitala, usiadłam na oblodzonym murku przy Kupcu Poznańskim. Siedziałam i wpatrywałam się w coś, czego nie widziałam. Kolejna „dzwiniątka” ruszała z przystanku. Zmierzała na Sołacz. Tam, gdzie runął nasz dom.

Poczułam, że obok mnie przysiadł kłoszard. W tym brzydkim świecie, tak niesprawiedliwie zdradzającym najlepszych, zostajemy my, sami brzydki. Bo gdyby się przyjrzeć dokładnie, to tacy jesteśmy. Brzydki. Mamy wystające brzuchy, opuszczone biusty, pomarszczoną skórę. Bywamy otyli i niepełnosprawni. Jesteśmy też ignorantami i bezmózgowcami. „Hipokryci z nas i kłamcy. My, którzy żyjemy! Bo najlepsi z nas szybko odchodzą!” – te myśli zagnieździły się w mojej głowie na długo.

– Jeśli ktoś na tym murku przysiada na dłużej niż minutę, to musi być w beznadziei – zamamrotał śmieć. Zapijaczoną gębę odwrócił w moją stronę. Zaczęłam do niego mówić, patrzeć na niego inaczej, niżbym robiła to kiedyś. Jak na pokrzywdzonego przez los. Inaczej niż ja, ale pokrzywdzonego. Ludzie opuszczeni i bardzo samotni mówią do nieznanym sobie. W tramwajach, w autobusach, na przystankach. Ja byłam bardzo samotna. Niebiosy właśnie pokazały mi środkowy palec.

– Zmarł mój Jurand. Mój Redford. Moja miłość. Jest tam, na górze. Jest wspomnieniem, ale przyjdzie do mnie, nieraz, zejdzie po jasnopopielatej drodze. Niech tylko wystartują odrzutowce, one zrobią mu mleczone korytarze i on do mnie zejdzie. Na pewno zejdzie...

– A potem wszyscy po tej drodze wejdziemy... Ale ja do góry nie dam rady, słabe nogi mam... – śmieć zachrypiał zapijaczonym głosem.

– W Wigilię rano w szpitalu umarł. Nie byłam przy nim. To jest dla mnie koniec wszystkiego. Jestem egoistką, bo tylko egoista pomyśli w takiej chwili o sobie. Powie: „Jak mogłeś mi to zrobić?!” Obarczy zmarłego winą i może spokojnie sobie dalej cierpieć. Koniec mojego Spychowa.

– Najlepiej na to wszystko się napić, na te tragedie, na niesprawiedliwość...

– A moją matkę też tam przywieźli, dwie sale dalej leży... Ale to on umarł... nie ona.

– To jest uwikłanie w chwilową doktrynę...

– Co pan powiedział?

– Siedząc całe dni na tym murku, można się wiele nauczyć. Niechże pani posłucha, niech pani nie odchodzi. To kawałek o Jurandzie.

Pijus wstał i zaczął deklamować. Z obrzydzeniem myślałam, że ten śmieć został, żyje... Dawno temu już powinien zdechnąć, kiedy Julian... To nie jest sprawiedliwe.

– „Olbrzymi mąż zmienił się w olbrzymiego kościeja. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mleczej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydawał się trupem”. To fragment z *Krzyżaków*, tę książkę czytałem kilkanaście razy. Ten fragment jest o mnie... Jestem trupem. Jestem kościejem. Ale nie zawsze tak było, kiedyś byłem kierownikiem dużych budow. Tak powiedziałem. Nie, żebym się chwalił. Gdybym nic nie mówił, to tak, jakbym umarł... Dlatego rozmawiam sam ze sobą, ze mną nikt przecież nie chce... Jestem Kościejem – zawołał, aż odwrócili się ludzie czekający na tramwaj. – Mówią, że śmierdę. A niech mówią... każdy z nas śmierdzi, tylko inaczej.

– Byłam ekstatycznie szczęśliwa. Dopiero teraz, pierwszy raz w życiu...

– Szczęście zaczyna się w głowie. Czym jest szczęście? Że ma twarz? Że się cieszymy? Czy że się

boimy je stracić? Czym? Ja nie wiem. A może... wiem? Ma pani jakieś drobne?

Położyłam przed pijakiem sto złotych i wstałam. Na przystanek właśnie podjeżdżała kolejna „dziewiątka”.

– Pani ma miękkie serce. A ono może czynić z nas darczyńcę albo gnidę – wołał za mną śmieć. – Niech pani pamięta! Szczęście zaczyna się w głowie, w głowie!

„Jak chmura zwiewna życie jest człowieka! Płynie wzwyż, płynie w niż! Śmierć go czeka? Śmierć go czeka! To nic! To nic! To nic! Dopóki sił jednak iść! Przecież iść! Będę iść!”

W domu padłam na łóżko. Znowu się popłakałam. Rozrzucone kawałki mojego serca nie dawały się złożyć. Ostatnie pół roku było więcej warte niż całe moje życie. Straciłam wszystko. Zyskałam wyrzuty sumienia, że byłam nie dość mu bliska, by powierzył mi swoją największą tajemnicę, największy wstyd. Że jest chory. Że jest słaby. Że wymaga opieki i uwagi. A on to właśnie dał mi. I najwspanialszą namiętność, tak jakby chciał udowodnić, że lekarze się mylą. Lub jakby chciał zrobić to dla nas. Im bardziej analizowałam nasze relacje, tym większą czułam żal i oburzenie na samą siebie. Za całokształt. Za to, że brałam, niewiele dając. Za to, że nie poruszyłam mojej intuicji na tyle, by się domyślić. Że nie dałam miłości tak wielkiej, by miała właściwości lecznicze. Ponoć potęga tkwi w naszym mózgu...

Kolejnego dnia od rana dzwonił telefon na biurku Juliana. Nie chciałam go odbierać, by nie opowiadać kolejny raz, jak doszło do śmierci, dlaczego zmarł i w jakich okolicznościach. A potem słuchać kondolencji od całkiem obcych ludzi. Właśnie w gazecie miał ukazać się anons. Piotr przyleciał w drugi dzień świąt, ale nie zamieszkał na Sołacz, uszanował moją intymność. A kontakt z nim był najprzyjemniejszą rzeczą od śmierci jego ojca. Piotr przypominał Juliana sposobem mówienia, sylwetką, charakterem. Zadzwonił tego dnia około południa. Zdał mi relację, jak było u notariusza. Że rodzina miała do siebie wzajemne pretensje o zapis. I do niego. Chociaż każdy został przez ojca zaopatrzony, z wyjątkiem byłych żon. „A pani ma prawo do jego książek”. Tak powiedział. Że ja otrzymałam w spadku po Julianie prawo do dwóch książek. O Portugalii i o Islandii. Przypomniały mi się jego słowa: „Zobaczysz, Elżunia, to będzie bardzo modny rejon turystyczny”. Poza tym zmienił uposażonego na polisie. Kilkanaście miesięcy temu, gdy się dowiedział, że żyje z bombą w głowie, która może wybuchnąć w każdym momencie, znacznie podniósł wartość polisy. A miesiąc temu zmienił uposażonego. Pierwotnie była wystawiona na wszystkie córki po równo, teraz opiewała na mnie. To wszystko docierało do mnie jak zza zasłony prysznicowej podczas brania tuszu.

– Bałam się, że zostawi mnie dla jakiejś młodszej i bardzo przebojowej kobiety. A zdradził mnie z najbardziej okrutną i wysuszoną staruchą.

Pogrzeb odbył się następnego dnia.

Malinowa trufla pisze:

Świat składa się ze zwyczajnych ludzi. Są sprzedawcami, księgowymi, logistykami czy informatykami. Nielicznym tylko udaje się przybrać bardzo intensywne kolory. A ja zawsze byłam szara. Bo przyzwyczajona do złego i brudnego, więc na zło i brud jedynie potrafiłam się godzić. Za późno zetknęłam się ze światem jak z kolorowych gazet. Jest mi smutno. Gdy wyobrażam sobie, że umieram, zaczynam czuć dziwną ulgę. Jak we śnie o spadaniu.

Nagie myśli na sprzedaż

Pakowałam swoje rzeczy, bez ładu wrzucałam je do kartonu, zbierałam swój dobytek, chodząc po mieszkaniu Juliana. Od Juliana dostałam narzędzia do tworzenia cacek ze srebrnego kruszcu. Czułam się upoważniona. Płakałam. W szafie wisiały jego garnitury, koszule. Pozostał zapach. Przytulałam twarz do batystowych koszul, jedwabnych krawatów. Ciemną gawroszkę zabrałam ze sobą. W laptopie coś brzdękało, sygnalizując przychodzące e-maile. Nigdy nie byłam tak samotna. Ze swoimi myślami, z żalnością okrutną, z wyrzutami sumienia, że mogłam inaczej. Że gdyby mi tylko powiedział, byłabym na pewno dla niego lepsza. Nie obwinałabym o kobiety. Miał przeszłość, jak każdy. Gdyby mi tylko powiedział o swojej chorobie. On nie znosił współczucia. Nie chciał mnie martwić. To dlatego. Wreszcie, myślał na pewno, że będzie żył. Powtarzam się, ale wtedy myśli te nieustająco do mnie wracały.

Malinowa trufla pisze:

Dlaczego kamienie nie żyją? Poznałam dwa różne światy, ale jak zapamiętać to miejsce w moim sercu, z którego udało mi się wyruszyć i znaleźć nareszcie ten lepszy kawałek ziemi?

Miałam wyrzuty sumienia, że tamtej nocy, kiedy się to wszystko zaczęło, nie zajęłam się Julianem, ale pisanem durnych e-maili do zupełnie nieznanego faceta. Choć w jakiś sposób był moim kumplem, rozumiałam go i w jakiś sposób, wbrew rozsądkowi, jednak mu wierzyłam. Z niesmakiem patrzyłam na pełną skrzynkę mailową. Zaczęłam czytać.

„Witaj, Elżbieto. Pewnie zauważyłaś, że coś nie pisałem. Trafne spostrzeżenie. Jakoś zeszło ze mnie powietrze i nie mając żadnych pomysłów na święta, wcześniej rano w Wigilię zapakowałem córki do samochodu i pognaliśmy do Zakopanego. Byliśmy tam kilka dni, aż do wczoraj wieczorem. A w Zakopanem pięknie jest. Trafiliśmy na cudowną pogodę, tak więc wyjazd zrekompensował mi wszystkie przedświąteczne nerwy z klientami. Wyobraź sobie... Minus dwadzieścia stopni, skrzypiący śnieg pod nogami i słońce. Dużo słońca, tak dużo, że jestem nawet opalony. Dziewczynki też. Pojeździliśmy sobie z Gąsienicowej, trochę też z Goryczkowej. Dziewczynki już nawet zjadą dobrze z Nosala. Ale z Kasprowego jeszcze nie. Oczywiście zaliczyliśmy górę, żeby poczuć się trochę wyżej niż normalnie. A ja na piwo. Piwo w dużym kuflu wypite w schronisku na Kasprowym to jest to. Wczoraj miałem trochę roboty zaległej, a dzisiaj za chwilę wyjeżdżam do sądu, bo święta świętami, a dochodzenie sprawiedliwości działać się musi. Nie pognewałaś się na mnie? Pozdrawiam, Jerzy”

„Elżbieto, piszę dzisiaj do Ciebie ponownie, bo myślę, że na pewno masz jakieś ważne sprawy. Elżbieto, proszę, po odetchnięciu od nich napisz mi dużo ładnie i osobiście – bo takie listy są najsympatyczniejsze. Zawsze wypatruję Twoich wpisów i e-maili i chciałbym Ci powiedzieć, a raczej napisać, że jestem pewien na sto procent, że nadajemy na tych samych falach. Piszę krótko, po wygranej rozprawie, byś wiedziała, że myślę o Tobie, a w szczególności, by Ci powiedzieć, że pisanie listów stało się moim nawykiem, tak jak sprawdzanie poczty od Ciebie. Elu, może mogłabyś już napisać, że masz chwilkę czasu na spotkanie się ze mną? Mam w grafiku na początku stycznia rozprawę w Sądzie Rejonowym w Poznaniu. Co ty na to?”

„Elżbieto. Milczysz. Ale ja jestem pewien, że jest w nas niespotykana potęga tej samej emocjonalności. Nie mamy wyboru, nasze drogi się krzyżują i nie możemy temu zapobiec. To jest jak prawomocny wyrok. Nie ma możliwości odwołania się od niego, możemy dostać tylko uzasadnienie. Pisząc ten e-mail, płaczę, chociaż nigdy wcześniej, przez całe moje czterdzieści trzy lata, nie przytrafiło mi się to. Nie wiem, jak ubrać w słowa to, co chcę napisać, ale tak, byś się nie przeraziła. I nie uciekła. Nie potrafię. W Trzech Króli pod wieczór będę w Poznaniu, specjalnie przyjadę dzień przed rozprawą, by się z Tobą spotkać. Docen to, proszę, i nie odmawiaj. Zanocuję w Trawińskim. Głupio mi to napisać, ale proszę, błagam, spotkajmy się w hotelu na kolacji”.

I kolejny, datowany na 29 grudnia. Z dnia poprzedniego.

„Chyba to dziwnie zabrzmiało. Nie bój się, jestem naprawdę zwyczajnym facetem, który zgubił po drodze sens tego wszystkiego. Z powodu wypalenia, z przepracowania, także z tej przyczyny, że nie mam już o co się starać. Posiadam wszystko, nawet wodospad w swoim biurze. Absolutnie wszystko, z wyjątkiem bliskości. I znając Ciebie, twoje nagie myśli, wiem, że brakuje Ci tego samego, wiem, czuję, że potrzebujesz się ze mną kochać. Będziemy najbliżej siebie, jak to możliwe. Pierwszy raz od dawna czuję harmonię. Przyjedziesz?”

Zaczęłam płakać, nie mogłam się uspokoić. A potem zdarzyło się to, czego moc odkryłam dopiero niedawno. I co musiałam ujarzmić, mocno przyciskając dłońmi swoje podbrzusze.

Napisałam prędko, bez skrępowania. Dlaczego? Nie wiem. Żeby choć chwilę pobyć w oddaleniu od smutku, którym nasączona była każda moja komórka? By zawlec do hotelu swoje osamotnienie, przekazać... Zrzucić i zostawić? Czy znaleźć w ramionach tego obcego mężczyzny tak bardzo mi potrzebne życie? A może by spróbować bliskości? By jej doświadczyć znowu, choć przez chwilę. I by się popłakać. Nareszcie wypłakać wszystko. Do końca. I osuszyć twarz. A potem na nowo stawiać nieporadne kroki. Czy, jakieś kroki...?

„Tak, będę około dwudziestej. Poproszę Cię tylko, byś kupił butelkę czerwonego wina. Elżbieta”

Wyzwanie, dla siebie warto, ponoć...

Poznań, 30 grudnia 2009.

Malinowa trufla pisze:

Jestem zaledwie małym akapitem w opowieści o byle jakim życiu, właściwie nikim szczególnym. Jednak postawiłam przed sobą wyjątkowe zadanie – jadę odzyskać swój dom. Wracam, bo muszę w końcu wyjść poza granice świata opowiedzianego samej sobie, pełnego kłamstw, namiastek, ale też iluzji i ucieczek, wypełnionego miejscami, gdzie ukrywałam się przed wszystkim, co budziło mój strach. Przed samą sobą też. Czeka mnie bitwa o tożsamość, bo straciłam Juliana, bo nie mogę wiecznie uciekać. Bo... dla siebie warto podjąć wyzwanie.

W tym cholernym mieście nie pozostał mi już nikt bliski, tylko Oni.

Tych dwoje!

Czy coś osiągnę? Nie wiem, ale spróbuję, odwrócę kolejną kartkę. Już się tak bardzo nie boję.

Kurier odebrał moje rzeczy z samego rana. Usiadłam na naszym łóżku i zaczęłam się żegnać. Ze straconą miłością. Z uwagi na uświadomienie sobie, jak kruche i mizerne jest nasze życie. Nie doceniałam niczego, co było mi dane. Pasowałam w kwestii rodzinnego domu. A życie przemijało. Najczęściej bez żadnych ozdobników.

Zamknęłam drzwi do mieszkania, w którym jeszcze niedawno byłam u siebie. Klucz wrzuciłam do skrzynki pocztowej. Wraz z klapnięciem drzwi do kamienicy skończyłam kolejny rozdział. Tragiczny. „Muszę się pozbierać” – myślałam, wsiadając na przystanku do tramwaju. Kilka minut później stary enerdowski klekot wypłuł mnie na placu Cyryła Ratajskiego.

„Jestem zaledwie małym akapitem w opowieści o byle jakim życiu. Właściwie nikim szczególnym. Jadę odzyskać swój dom...”

*

[1] Fragment tekstu Edwarda Stachury *Wędrówką życie jest człowieka*.

Strona redakcyjna

Copyright © Iwona J. Walczak, 2011
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Magdalena Bandurska

Projekt okładki
Iza Szewczyk

Zdjęcie na okładce
Copyright © istockphoto.com/anneleven

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7674-901-3

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Spis treści

[Śliska droga do domu](#)
[Mosiężna kołatka](#)
[Dopóki sił, będę biegł...](#)
[Pandemonium](#)
[Że jesteśmy](#)
[Zostaw mi jakieś pieniądze!](#)
[Osobista wartość dodana](#)
[Geniusz przeksięgowań](#)
[Odkłaczanie i tym podobne...](#)
[Masz dla mnie te PIT-y?](#)
[Lichotki na głowie](#)
[A szlag by trafił te wszystkie kociska!](#)
[Przyjeżdżam. Gotuj pierogi](#)
[Słowa mają dziwną moc](#)
[Reforma Mieteksu](#)
[To stara baba już jest...](#)
[Nic z tego nie będę jadła!](#)
[Parada przyczajonego rysia](#)
[Krzesany bez dzyndzła](#)
[Uściski mdłych rąk](#)
[Mój malutki Marcinek](#)
[Posłuszne komputery](#)
[Bez czarnowidztwa](#)
[Nie wyrażam zgody na klimakterium!](#)
[Triumf Bogusia](#)
[Ależ on zawsze jest!](#)
[Genetyka w kwestii siusiu](#)
[Garnitur do trumny](#)
[Perfekcjonista jeden!](#)
[Chcę być młodziutka i malutka](#)
[Mamusia powiedziała](#)
[Nie ma to jak podejście asertywne!](#)
[Dom bez skrzydełek](#)
[Nie wyrażałam zgody](#)
[Europejczyk](#)
[Trupy w szafie](#)
[Właścicielka](#)
[Małorolny osadnik zza Odry](#)
[Mam ogon](#)
[O przelewie rozmawiam!](#)
[Śniadanko o 17.00](#)
[Romanse na starość](#)
[Brzmi dochodowo](#)
[Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu](#)

[Poradnik Blogera](#)

[Dwa tysiące kilometrów odległości](#)

[Duże i ładne gniazdeczko](#)

[Bella, bella donna – wieczór taki piękny](#)

[Wezmę, ale potem się zrewanżuję](#)

[Życie to barter](#)

[Wylęga](#)

[Mikstura z afrykańskiego masła](#)

[Testament](#)

[Mazurki Chopina](#)

[Pożegnanie zasłużonej](#)

[Świat jest taki piękny](#)

[Powrót znad Tagu](#)

[Inne światła](#)

[„Staliśmy krok nad przepaścią”, czyli krótka definicja rodzinnego postępu](#)

[Jesienny pan](#)

[Przeplatanka](#)

[Rzemiosło to jest to](#)

[Tanie romansidło](#)

[Wdowi uścisk](#)

[Zasady dobra rzecz](#)

[Nie chcę być instrumentem](#)

[Rytm wygłodzonego serca, czyli „tachykardia zdiagnozowana”](#)

[Oni by się ciągle żarli](#)

[Lody na patyku](#)

[Everybody's happy](#)

[Po...](#)

[Nagie myśli na sprzedaż](#)

[Wyzwanie, dla siebie warto, ponoć...](#)

[Strona redakcyjna](#)